MIECZYSŁAW HAIMAN

Polacy Wśród Pionierów Ameryki

Szkice Historyczne

CHICAGO, ILLINOIS

1930

DRUKIEM DZIENNIKA ZJEDNOCZENIA
1331 Augusta Boulevard Chicago, Ill.

579

MIECZYSŁAW HAIMAN

POLACY
Wśród Pionierów Ameryki

SZKICE HISTORYCZNE

CHICAGO, ILLINOIS
1930

579 Drukiem Dziennika Zjednoczenia, 1331 Augusta Blvd., Chicago, Ill.

I

Polacy w Nowej Holandji i Nowej Szwecji

Była to jesień 1643-go roku.

W Nowym Amsterdamie, młodej osadzie holenderskiej na wyspie Manhattan, bawił niezwykły gość — pierwszy kapłan katolicki, który pojawił się w kolonji. Był nim Ojciec Izaak Jogues, Jezuita, który swą gorliwość w krzewieniu Wiary św. wśród Indjan przepłacił już długą niewolą i cierpieniem.

W Nowej Holandji, podobnie jak w starej ojczyźnie, kalwinizm był religją panującą i jedyną religją uznaną. Jakkolwiek żadne inne wyznania nie były w niej zrazu tolerowane, jednakowoż, w przeciwstawieniu do tego, co się działo w niektórych angielskich kolonjach w Ameryce, nietolerancja Nowo-Holendrów nie posuwała się do prześladowań. Zamiłowania do swobód, które zawsze cechowało Holendrów, nie przydusiła w zupełności nawet zażartość walk religijnych, jakie wówczas wstrząsały światem cywilizowanym.

Ojciec Izaak Jogues zawdzięczał swe życie i wolność kalwińskim osadnikom w Nowej Holandji. Rok temu gorliwy misjonarz porzucił Kanadę i wyruszył opowiadać Słowo Boże groźnym Irokwoisom. Mohawkowie schwytali go jednak i skazali na śmierć. Skoro wieść o tem doszła do Nowej Holandji, natychmiast poczciwi koloniści, ceniąc w nim poświęcenie, zaczęli starania o jego uwolnienie. Cała kolonja gotowa była złożyć okup. Starania były jednak daremne. Indjanie za nic w świecie nie chcieli wydać jeńca, ledwo zgodzili się darować mu życie. Nowo-Holendrzy nie dali jednak za wygraną. Spotkawszy jeńca na rzece Mauritius (Hudson), zdołali skłonić go, że — choć wzdychał do korony męczeńskiej — przyjął ich pomoc i uciekł z niewoli w nadziei, że, ocalając się, będzie mógł dalej służyć Bogu.

Mieszkańcy Nowego Amsterdamu witali gościa czem chata bogata. "Dominie" Megapolensis, jedyny pastor kalwiński kolonji, zaopiekował się księdzem jak najserdeczniej. Sam gubernator Kieft, rezydujący w forcie na Manhattan, podejmował go u swego stołu, zapewnił mu bezpłatny przejazd do Francji i obdarzył nowem odzieniem na miejsce zdartych w niewoli łachmanów.

Kiedykolwiek O. Izaak pojawił się na ulicach Nowego Amsterdamu, zbiegali się ludzie, aby oglądać świątobliwego kapłana i wyrazić mu swe współczucie.

Zdarzyło się pewnego dnia, że gdy O. Izaak wychodził z fortu, zabiegł mu drogę młodzieniec, pracujący u jednego z kupców osady, i upadłszy na kolana przed kapłanem, porwał go za rękę, z której okrutni Indjanie odcięli palce. Łzy wytrysły z oczu młodzieńca na widok ran. Okrywając je pocałunkami, zwrócił oczy ku twarzy

kapłana, pełnej zakłopotania i świętej prostoty, i zawołał wielkim głosem:

— Męczennik! Męczennik Jezusa Chrystusa!

Pokorny ksiądz nie mniej od młodziana był wzruszony tym niespodzianym wylewem uwielbienia religijnego. Objąwszy go serdecznie, podniósł ze ziemi i zaczął łagodnie pytać nieznajomego, co zacz.

Niestety, nie mogli porozumieć się wzajemnie. "Ksiądz pytał go i dowiedział się, że był luteraninem, któremu nie mógł pomódz z braku znajomości jego języka; był on Polakiem". (Relation de ce qui s'est passe en la Novvelle France, svr le Grand Flevre de S. Lavrens en l'annee 1647, relacja Ks. Lalemanta, The Jesuit Relations, vol. 31).

Ojciec Izaak Jogues wyjechał niedługo do Francji, skąd wrócił między Indjan i po dwuch latach poniósł śmierć męczeńską. Kościół katolicki niedawno ogłosił go Błogosławionym. Biedny Polak-luteranin był pierwszym, który trzysta lat temu, jeszcze za życia O. Joguesa, w chwili niemal proroczego uniesienia, odgadł w nim Świętego Pańskiego.

Kim był ów Polak, — pierwszy, którego wyraźnie wspominają stare kroniki, tyczące Nowej Holandji, pozostanie zapewne na zawsze zagadką. Możemy tylko przypuszczać, że wyemigrował z Polski do Holandji, skąd, zachęcony nadzieją lepszego bytu w zamorskiej kolonji, wyjechał do Nowej Holandji i teraz odrabiał swemu chlebodawcy koszt przejazdu długą — może dożywotnią służbą, nie wiele lżejszą od niewoli.

I nie był zapewne ów Polak wyznania luterańskiego ani pierwszym, ani jedynym Polakiem, osiadłym w Nowym Amsterdamie i Nowej Holandji. Błogosławiony Izaak Jogues w swym opisie kolonji, która go tak gościnnie przyjęła, p. t. "Novum Belgium" (New York, 1862), wspomina, iż słyszał z ust samego gubernatora Kiefta, że aż osiemnaście rozmaitych narodowości zamieszkiwało przyszłą metropolę amerykańską w najpierwszem zaraniu jej dziejów.

Wśród tej różnojęzycznej mieszaniny całkiem pewnie nie brakło Polaków, którzy razem z innymi przybyli szukać szczęścia i przygód w nieznanej krainie.

Że tak musiało być rzeczywiście, — że od samego początku osadnictwa Nowej Holandji żyli w niej Polacy, dowodzi holenderska broszura z r. 1649-go pod tytułem: "Breeden-Raedt Aende Vereenichde Nederlandsche Provintien" (Szczere Rady dla Zjednoczonych Prowincyj Holenderskich). Autor jej jest nieznany. Jest ona jednem z licznych pism ulotnych, jakiemi przeciwnicy Spółki Zachodnio-Indyjskiej, założycielki i właścicielki kolonji, usiłowali poruszyć przeciwko niej opinję publiczną w Holandji i nakłonić Stany Generalne do zwinięcia przedsiębiorstwa. W Nowej Holandji rzeczywiście nie wszystko działo się tak, jak powinno, głównie z powodu nieudolności gubernatorów. Broszura "Breeden

Raedt", stanowiąca dziś bardzo ważny dokument historyczny, odsłaniała w formie djalogu stosunki, panujące w kolonji. W rozmowie, pełnej ostrych potępień dla Spółki i jej polityki, biorą udział: dwaj marynarze holenderscy, marynarz Portugalczyk z Brazylji, student szwedzki, fryzjer hiszpański, kupiec francuzki, Neapolitańczyk i Polak, nazwiskiem "Konrad Popolski."

Samo umieszczenie Polaka przez autora wśród przedstawicieli innych narodowości, głównie zamieszkujących pierwotne kolonje amerykańskie, dowodzi niezbicie obecności Polaków w zamorskim ruchu emigracyjnym wogóle, a zwłaszcza w osadnictwie w Nowej Holandji. Konrad Popolski bierze wprawdzie słaby udział w rozmowie, w której głównie uczestniczą jeden z holenderskich marynarzy i Portugalczyk, ale autor widocznie umyślnie taką wyznaczył mu rolę w djalogu, jaka stała w proporcjonalnym stosunku do liczebności Polaków w ówczesnej emigracji amerykańskiej.

Osadnictwo polskie w początkach kolonij amerykańskich musiało składać się przeważnie z różnowierców. Polscy różnowiercy cieszyli się wprawdzie dużemi swobodami, ale też, ulegając wpływom najrozmaitszych zagranicznych ruchów religijnych, zapewne najliczniej wyjeżdżali z Polski do krajów zachodniej Europy, już to dla zasięgnięcia nowinek, już to dla zetknięcia się z przywódcami sekt, dla kształcenia się w teologjach protestanckich itp. Zamieszki i spory na tle religijnem, którym w Polsce nawet powaga prawa i poczucie swobód nie mogły zapobiedz w zupełności, skłaniały lub zmuszały niejednego z różnowierców do opuszczenia kraju. Zagranicą Polacy ci musieli słyszeć — przesadne zazwyczaj — opowieści o zamorskich skarbach i cudach, musieli obserwować ruch emigracyjny do Ameryki, niejeden więc ulegał prądowi i wyjeżdżał za morze.

Szczególnie dotyczy to Polaków, który przebywali w Holandji. Zwabiała ich tam, wcale licznie, tolerancja religijna, jaka nastała ze świeżo zdobytą niepodległością, po krwawych rządach Hiszpanów. Amsterdam już z początkiem 17-go wieku stał się siedzibą wielu dysydentów polskich. Nic dziwnego, że stał się też głównym portem dla skromnego zamorskiego wychodźtwa polskiego. Szczególnie silnie kolonję polską w Amsterdamie zwiększyli Socynjanie, czyli Bracia Polscy (arjanie), którzy za zdradę na rzecz Szwedów zostali wywołani z kraju przez Sejm w r. 1658. Po Rakowie Amsterdam stał się głównem ogniskiem duchowem Braci Polskich. Stąd wychodziły w świat ich druki, które wędrowały aż za morze. Kraszewski w swych "Rachunkach z r. 1867", na podstawie listu H. Kałussowskiego, opowiada, że Józef Podbielski, jeden z wybitnych politycznych wychodźców polskich, znalazł w bibljotece w Cambridge, Mass., "przepysznie zachowaną" "Bibljotekę Braci Polskich" i egzemplarz arjańskiej biblji Wiszowatego, wydane w Amsterdamie w 17-ym wieku. W bibljotece Boston Athenaeum znajduje się do dziś, wśród wielu innych starych dru-

ków polskich, "Biblioteca Fratrum Polonorum quos Unitarios vocant", (Amsterdam, 1656-1692), w 9 tomach — prawdopodobnie ta sama, którą odnalazł Podbielski. Kto wie, czy nie przywieźli jej tam ze sobą jacy arjanie polscy jeszcze za dawnych czasów kolonjalnych.

Piotr Stuyvesant, najwybitniejszy z gubernatorów Nowej Holandji, zabiegał nawet o osadników polskich. Kiedy purytanie z Nowej Anglji próbowali osiedlić się nad Hudsonem, koło Fortu Orange (dzisiejsze Albany), Stuyvesant, bojąc się, że będzie to początkiem podboju kolonji przez Anglików i Szwedów, pisał we wrześniu 1659 do Spółki Zachodnio-Indyjskiej, aby mu przysłała czemprędzej, oprócz chłopów holenderskich i flamandzkich, także jak najwięcej Polaków, Litwinów i Prusaków (t. j. mieszkańców Korony, Litwy i Prus Królewskich), wydalonych z ojczyzny, aby mógł z nich założyć osadę nad Hudsonem, dla ochrony przed możliwym najazdem. (A History of New Sweden, by Israel Acrelius, Philadelphia, 1874; History of New Netherland, by E. B. O'Callaghan, New York, 1854; History of the State of New York, by John Romeyn Brodhead, New York, 1853). Widocznie Stuyvesant pisał pod świeżem wrażeniem wieści o wygnaniu arjan z Polski. Niewiadomo jaki skutek odniosła jego prośba, ale mogła przyczynić się do wyjazdu niejednego Polaka do Nowej Holandji.

Protestanci polscy rozpraszali się nadto po Anglji, Niemczech i innych krajach. I stamtąd, jak wskazują wyraźne ślady, dochodzili wychodźcy polscy do Ameryki.

Dokładne odszukanie śladów pierwszych osadników polskich w Nowej Holandji jest niemożliwe. Po pierwsze, — niektórzy Polacy przyjeżdżali już z nazwiskami, przerobionemi na łacińskie lub inne. Powtóre, — Holendrzy okropnie przekręcali nazwiska w dokumentach kolonjalnych i pisali je rozmaicie, nie trzymając się jednolitej pisowni. Jedne i te same nazwiska są pisane w kilku, nieraz w kilkunastu odmianach. Trzecią trudność stanowi holenderszczenie obcych nazwisk w Nowej Holandji. Tak n. p. Francuzów Rossignol (Słowik) przechrzczono na Nachtegaal i t. p. Czwartą trudnością jest dawna niestałość nazwisk holenderskich. Syn nazwisko swe urabiał z imienia ojca, i tak: Jan, syn Piotra, nazywał się Jan Peterson (Jan Piotrowicz), a Piotr, syn Jana, Peter Jansen (Piotr Janowicz) i t. d. Powstały z tego takie zawikłania, że zbadanie genealogji pierwotnych osadników nowo-holenderskich jest w wielu wypadkach niemożliwe. Tylko czasami dla lepszej tożsamości dodawali Holendrzy do swych imion i patronymików nazwy miejsc pochodzenia, jak n. p. Cornelis Antonissen de Vries (Korneli Antoniewicz z Fryzji) lub nazwy swych zajęć, jak n. p. Tunis Hendricksen Brouver (Antoni Henrykowicz Browarnik).

W ten sposób niejeden Polak, który, wszedłszy między wrony, musiał krakać jak i one, — przepadł zupełnie wśród otoczenia holenderskiego, tak zupełnie, że nie sposób odszukać go wśród ob-

cych nazwisk i wyśledzić jego pochodzenie. To samo dotyczy Polaków w innych kolonjach amerykańskich, z wyjątkiem zaledwie kilku rodów, które przechowały przynajmniej ślad polskości w swych nazwiskach i tradycje pochodzenia.

Wzorem takiego zniekształcenia nazwiska niewątpliwie polskiego jest Marcus Duschosche. Ponieważ w wymowie holenderskiej 'sch" czyta się jak "sk", Marcus Duschosche był więc Markiem Duszkowskim lub Daszkowskim. Protokóły sądu miejskiego w Nowym Amsterdamie (The Records of New Amsterdam, 1653-1675, edit. B. Fernow) wspominają go w r. 1655, prawdopodobnie więc musiał przybyć do kolonji już jakiś czas przedtem.

Daszkowski był wolnym osadnikiem, niezbyt widocznie zamożnym, skoro zarabiał na życie pracą dla drugich. Dokumenty podają, że dnia 31 maja 1655 stanął przed sądem, złożonym z burmistrza i radnych, jako oskarżyciel niejakiego Cornelisa van Ruyven, który niezapłacił mu pełnej sumy, ugodzonej za wykarczowanie trzech morgów gruntu na tegoż posiadłości w Midwout (Flatbush). Sąd wymierzył sprawiedliwość Daszkowskiemu i polecił Ruyvenowi wyrównać należność.

Bardzo możliwe, że Polakiem był też Krzysztof Probaski, — Christoffel Jeurianse Probasko, który przyjechał do Nowej Holandji w r. 1654. Dokumenty kolonjalne rozmaicie podają jego nazwisko: — Probasky, Probaske, Probasko, Probasco, Probuscoo i t. p. Genealogje amerykańskie wymieniają wprawdzie Krzysztofa, syna Urjasza, Probaskiego jako przybyłego do Ameryki z Holandji, ale niekoniecznie można polegać na ich dokładności, zwłaszcza, gdy nazwisko wskazuje pochodzenie raczej polskie, niż holenderskie. "Stoffel Probasky" przebywał może tylko dłuższy czas w Holandji, może zresztą urodził się tam nawet z wychodźcy polskiego. Ożeniwszy się w Ameryce z Idą Strycker, Holenderką, osiadł w dzisiejszym Flatbush, na Long Island. Wedle list szacunkowych z r. 1676 posiadał: "2 dorosłe konie, 1 konia rocznego, 5 krów, 1 jałówkę 2-letnią i 2 jednoroczne oraz 12 morgów gruntu i dolinę", był więc wcale zamożnym osadnikiem. W czasie spisu ludności z r. 1698 posiadał nawet dwuch niewolników. W r. 1693, już za wtórych rządów Anglików, Probaski został jednym z sędziów pokoju powiatu Kings. Zostawił po sobie sześcioro dzieci. (The Documentary History of the State of New York, by E. B. O'Callaghan, Albany, 1849; Rate Lists of Long Island; Rate List of Midwout; Civil List of the Province of New York, 1693; Census of Kings County, 1698.)

Gdyby nie wyraźne wzmianki w dokumentach kolonjalnych o polskości Doktora Aleksandra Karola Kurcjusza, niechybnie wybitna postać jego przepadłaby dla nas zupełnie. Kurcjusz, czyli — jak się pisał po łacinie — Aleksander Carolus Curtius, był właśnie owym pierwszym profesorem i kierownikiem pierwszej szkoły wyższej w Nowym Amsterdamie, o którym często wspominamy z chlubą.

Sądząc z nazwiska, Kurcjusz mógł być mieszczaninem polskim niemieckiego pochodzenia i nazywać się właściwie Kurtem, jak przypuszcza historyk Nowego Jorku, D. T. Valentine, lub też Kurtzem. Jednakowoż, równie dobrze mógł być rodowitym szlachcicem polskim. Herbarz Niesieckiego wylicza kniaziów Kurczów, herbu tejże nazwy, stary i wybitny ród litewski, oraz innych Kurczów, herbu Ostoja, również osiadłych na Litwie. Curtius mógł więc być Kurczem, mógł też również dobrze być Kurczewskim, członkiem wielkopolskiego rodu szlacheckiego herbu Szreniawa, również wspomnianego przez Niesieckiego.

Spółka Zachodnio-Indyjska nie dbała zbyt troskliwie o szkolnictwo w Nowej Holandji. Chodziło jej głównie o zyski pieniężne. Jednakowoż w r. 1633 przysłała kolonistom pierwszego nauczyciela, niejakiego Adama Roelantsena. "Komu bogi były wrogiem, zrobiły go pedagogiem". Przysłowie to sprawdziło się na Roelantsenie. Biedaczysko musiał mieć tak marny dochód z wkładania oleju w głowy pociech kolonistów, że zarabiał ubocznie na życie... praniem bielizny bogatszym osadnikom, jak świadczy jego skarga przeciw niejakiemu Gillisowi de Voocht o należną zapłatę za pranie.

Po r. 1633 zjawili się w Nowym Amsterdamie i inni przygodni nauczyciele, którzy jednakowoż przeważnie nie mogli długo utrzymać się w swym zawodzie, o ile nie mieli innych, pobocznych zajęć. Zapłatę za naukę pobierali od rodziców dzieci w skórach. Tak n. p. niejaki Arien Jansen van Ilpendam, który w r. 1645 otworzył szkołę i prowadził ją przez 10 lat, pobierał po dwie wyprawione skóry bobrowe rocznie od ucznia.

Pomieszczenie szkół było bardzo przygodne. Czasem z braku odpowiedniego miejsca szkoła była zamknięta przez dłuższy czas. W r. 1652 nauka odbywała się w gospodzie miejskiej. Klasa była zwykle mieszkaniem nauczyciela i jego rodziny.

Kolonja rozwijała się jednak. Ludności przybywało, wzrastał dobrobyt, a wraz z tem rosły i ambicje Nowo-Holendrów. Nie wystarczała im już szkółka, w której dzieci ich mogły nauczyć się zaledwie czytania i pisania i początków rachunków. W r. 1658 burmistrz i radni Nowego Amsterdamu wystosowali następującą prośbę do Spółki Zachodnio-Indyjskiej:

"Przedstawiamy, że młodzież tego miasta i okolicy zwiększa się liczebnie stopniowo i większość jej umie czytać i pisać, ale niektórzy z obywateli i mieszkańców pragnęliby wysyłać swe dzieci do takiej szkoły, której kierownik umiałby po łacinie; nie mogą tego jednak uczynić inaczej, jak chyba posyłać je do Nowej Anlji; ponadto nie mają środków na wynajęcie nauczyciela łaciny, wyłącznie dla siebie, z Nowej Anglji, i dlatego proszą, aby Spółka Zachodnio-Indyjska wysłała odpowiednią osobę jako nauczyciela łaciny, nie wątpiąc, że liczba osób, które będą posyłały swe dzieci do takiego nauczyciela, będzie zwiększała się z roku na rok, aż powstanie akademja, która przyniesie wielką chlubę naszemu mia-

stu, za co, po Bogu, Prześwietnej Spółce, która nam przysłała takiego nauczyciela, należeć się będzie chwała i podzięka. Z naszej strony będzie się starali znaleźć odpowiednie miejsce, w którem nauczyciel mógłby prowadzić swą szkołę".

Dyrektorzy Spółki w Holandji, pomimo swej oszczędności, zgodzili się uczynić zadosyć prośbie kolonistów. Dnia 25 kwietnia 1659 pisali do gubernatora Stuyvesanta:

"Nasze wielkie starania o dostarczenie waszemu miastu nauczyciela łaciny zostaną, jak spodziewamy się, uwieńczone pomyślnym skutkiem przez przyjazd Aleksandra Karola Kurcjusza, który był poprzednio profesorem na Litwie. Wynajęliśmy go w tym celu, przyznając mu roczną pensję 500 florenów (około 200 dolarów), nadto zaś dodatkowo 100 florenów jako dar na kupno towaru, który będzie mógł sprzedać z korzyścią po przyjeździe tam." (Manual of the Corporation of the City of New York, 1863, by D. T. Valentine.)

Nie wiele bliższych szczegółów wiemy o osobie Kurcjusza. — Prawdopodobnie był w Polsce nauczycielem na jednym z magnackich dworów litewskich. Przypuszczać dalej można, że opuścił Polskę pod wpływem świeżo uchwalonego prawa o wywołaniu arjan z kraju. W każdym razie musiał być protestantem, jeżeli był w Europie nauczycielem Jana Kelpa (Kelpiusa), przywódcy niemieckiej sekty mistyków, który też potem wywędrował do Ameryki i żył jak pustelnik koło Germantown, Pa. Pewnem jest też, że Kurcjusz po opuszczeniu Polski bawił jakiś czas w Holandji. Emma Van Vechten w swym szkicu "Early Schools and Schoolmasters of New Amsterdam" (Historic New York during two centuries, New York, 1898) zapewnia, że przywiózł z sobą do nowego świata "bardzo dobrą opinję... i bez wątpienia posiadał bardzo wielki zasób nauki i znał znakomicie klasyczne języki". Posiadał nadto znajomość sztuki lekarskiej, to też w niektórych dokumentach kolonjalnych zapisany jest jako "doktor Aleksander Karol Kurcjusz."

Kurcjusz przyjechał do Nowego Amsterdamu w lipcu 1659. Ojcowie miasta, zadowoleni, że wreszcie spełnia się ich życzenie, przyjęli go z pewnością życzliwie. Jednakowoż przysłowiowa oszczędność holenderska wyszła odrazu jak szydło z worka. Burmistrz i radni zmienili widocznie warunki kontraktu Kurcjusza i zamiast obiecanych 500 florenów, oddali mu wprawdzie do użytku dom z ogrodem i prawo praktyki lekarskiej, ale płacę obcięli do 200 florenów. Dokumenty są co do tego niejasne. Jedne podają 500, inne 200 florenów jako płacę Kurcjusza, ale następne wypadki wskazują, że raczej ta ostatnia cyfra jest prawdziwa.

Kurcjusz rychło spostrzegł, że wszystkie te dochody nie są wystarczające. Dom zapewne nie miał dla niego zbyt wielkiego znaczenia, gdyż był nieżonatym. Nie wiadomo jaki towar przywiózł ze sobą za owe 100 florenów i jak poszła mu jego sprzedaż, gdyż dokumenty kolonjalne nie wspominają o nim nic jako o kupcu. — Pierwsi lekarze nowo-amsterdamscy byli to właściwie cyrulikowie,

których głównem zajęciem było golenie bród. "Dominie Rector" — jak Kurcjusza tytułowali Nowo-Holendrzy — nie chciał być kupcem, tem mniej więc chyba chciał poniżać swą profesorską godność do koligacji z brzytwą, koloniści zaś, obcując ciągle z przyrodą, mieli twarde zdrowia i nie nastręczali zbyt wiele dochodu lekarzom.

Kurcjusz wnet upomniał się u władz o podwyżkę dochodów, skarżąc się, że płaca nie wystarcza mu na utrzymanie. Gubernator i ojcowie miasta przychylili się do jego prośby, pozwalając mu pobierać odtąd po 6 guldenów w skórach (około $2.30) na kwartał od każdego studenta. Opłatę tę mieli składać rodzice chłopców. I ta podwyżka nie wystarczyła jednak. W następnym więc roku Kurcjusz podwyższył opłaty od uczniów do całej skóry bobrowej, która stanowiła środek wymienny w kolonji i przedstawiała wartość 8 guldenów (około $3.00). Podwyżka ta trafiła w najczulszą strunę serc kolonistów, którzy chcieli wprawdzie, aby ich synowie znali łacinę i grekę i uchodzili w świecie za wykształconych, ale widocznie pamiętali jeszcze zbyt dobrze czasy Roelantsena, który nie trapił ich podobnemi pretensjami.

Odrazu powstała burza przeciw Kurcjuszowi. Koloniści zaczęli w nim wyszukiwać wszelkie złe strony. Wytoczyli skargi przed władzą, powiadając z przekąsem, że "ten świetny profesor, który żąda całej skóry bobrowej, nie umie nawet utrzymać porządku w szkole", że chłopcy podczas lekcyi "biją się i zdzierają odzież jeden drugiemu z pleców".

Natura dzieci nie zmieniła się widać wiele w ciągu stuleci. Zwykle najpoważniejsi profesorowie padają ofiarą zamiłowania ich do psot. Cóż miał robić biedny Kurcjusz z niesfornymi uczniami, kiedy koloniści byli zbyt czuli nie tylko o swą kieszeń, ale o całość skór swych pociech. W odpowiedzi na ich zarzuty skarżył się, że nie może zapobiedz psotom wychowańców, gdyż "ma ręce związane, ponieważ niektórzy rodzice zakazali mu karania swych dzieci".

Żądanie całej skóry za kwartał nauki wyższego stopnia nie było zbyt wygórowane, skoro zważyć, że Van Ipendam 20 lat wstecz pobierał po dwie skóry bobrowe od ucznia rocznie za naukę elementarną.

Ale przywrócenie raz zamąconej zgody było już trudne. Sąd w Nowym Amsterdamie odrzucił w styczniu 1661 nawet jego prośbę o uwolnienie go od podatków, choć Kurcjusz wskazywał, iż profesorowie, duchowni i rektorzy są wolni od podatków w Holandji, a nadto powoływał się na obietnicę gubernatora, że otrzyma podobny przywilej w kolonji.

Dnia 12 lipca 1661, wobec nowego roku szkolnego, Kurcjusz nadesłał list do burmistrza i radnych Nowego Amsterdamu z zaofiarowaniem swych usług na przyszłość, "jeżeli miasto da mu 600 guldenów rocznie w skórach bobrowych, pod warunkiem, że nie będzie dostawał ponadto żadnych opłat od uczniów". (The Records

of New Amsterdam, 1663-1674, edit. B. Fernow). Jest to dostateczny dowód, iż pensja Kurcjusza wynosiła tylko 200 florenów, bo, gdyby wynosiła 500, przewyższałaby o wiele, razem z opłatami uczniów, żądane następnie 600. Burmistrz i radni kazali Kurcjuszowi w tej sprawie zwrócić się do gubernatora, ale widocznie ten nie przyjął jego oferty, gdyż na tem urywają się zapiski o Kurcjuszu w papierach kolonjalnych.

Zawiedziony w nadziejach znalezienia szczęsnej doli w Ameryce, zniechęcony targami z Nowo-Holendrami, doktór Kurcjusz wrócił z powrotem do Europy w jesieni 1661 r. Jego akademja w Nowym Amsterdamie, pierwsza wyższa uczelnia w najważniejszym dzisiaj stanie Unji amerykańskiej, upadła. Dopiero w r. 1662 otworzył ją na nowo Egidjusz Luyck, który jako rodowity Holender, był już względniejszym na kieszenie rodaków i lepiej potrafił się zżyć z nimi.

Trudno dziś bez dokładniejszych danych sądzić zawód Kurcjusza w Ameryce. Jako wykształcony Polak, przywykły może do życia po dworach pańskich, nie umiał widocznie nagiąć się do prostego życia kolonistów. Wszystko to jednak nie umniejsza znaczenia dziejowego faktu, że Polak trzysta lat temu założył pierwszą akademję w dzisiejszym Nowym Jorku, że jeden z pierwszych wniósł wyższą wiedzę w kolonje amerykańskie, kiedy te potrzebami swemi nie wyszły jeszcze ponad poziom szkół elementarnych.

W rok po wyjeździe Kurcjusza do Europy, w Nowym Amsterdamie zjawił się inny Polak, protoplasta rodu Zabriskie, najwybitniejszego i najbardziej rozgałęzionego z polskich rodów t. zw. kolonjalnych.

Pochodzenie Zabriskich zawsze dotychczas było poniekąd zagadką. Prawdopodobnie nie znają go dokładniej nawet sami Zabriscy. Ulegając wcale niedemokratycznej słabości bogaczów amerykańskich do wywodzenia się od osób sławnych w historji, świadomie czy nieświadomie, podrobili swe rodowody.

Najpowszechniejsze wśród wychodźtwa i między poważnymi nawet naszymi pisarzami jest przypuszczenie, że Zabriscy pochodzą od Alberta Zborowskiego, spokrewnionego z owym Samuelem Zborowskim, magnatem polskim, ściętym za Stefana Batorego. Mniej znanem wśród Polaków, natomiast przyjętem przez część rodu Zabriskich, jest twierdzenie, iż są potomkami stryjecznego brata króla Jana Sobieskiego.

B. Bolesławita w mało znanym wśród nas zarysie dziejów Wychodźtwa polskiego w Ameryce w "Rachunkach z roku 1867" (Poznań, 1868) najprawdziwiej podaje na podstawie informacyj od Dra. Henryka Kałusowskiego, zdobytych przez tegoż "po wieloletnich poszukiwaniach, porównaniach listów i rachunków", że "w wieku 17-tym niejaki Zaborowski przybył tu z Holendrami i osiadł w Nowem Jersey".

Wobec tej niepewności koniecznem jest wprzód zbadanie tożsamości protoplasty Zabriskich. Dla rozjaśnienia zagadki przepro-

wadziłem obszerne badania, w których łaskawie pomagali mi ks. Eugenjusz Hełczyński, T. J., z Nowego Jorku i ks. Józef Sas, T. J., profesor historji w gimnazjum w Chyrowie, w Małopolsce. Za życzliwą pomoc składam im niniejszem serdeczne podziękowanie.

Dzięki niej mogę z zupełną niemal pewnością stwierdzić, że pierwszy Zabriskie nazywał się właściwie nie Albert Zborowski, ani Sobieski, ale Olbracht Zaborowski. J. O. Evjen, autor "Scandinavian Immigrants in New York", który zbadał wielką ilość dokumentów kolonjalnych, dodaje mu wprawdzie drugie imię Krystyn, ale pozatem nie spotkałem się z niem nigdzie.

Pierwszą datą, pod którą Olbracht Zaborowski został zapisany w dokumentach amerykańskich, jest sierpień 1662. E. B. O'Callaghan w swej "Documentary History of the State of New York" podaje spis pasażerów parowca "de Vos" (The Fox), który przybył w tym czasie z Holandji do Nowego Amsterdamu. Pomiędzy innymi w spisie znajduje się "Albert Saboriski, z Prus" (Tom III. str. 59). Evjen to samo nazwisko odczytał z dokumentów "Saborsiski". Rychard Wynkoop w "Zabriskie Notes" (The New York Genealogical and Biographical Record", tom 23) podaje jednak nazwisko jego całkiem wyraźnie "Albrecht Zaborowsky".

Jedyny znany nam podpis Zaborowskiego znajduje się na akcie sprzedaży ziemi nad rzeką Passaic kapitanowi Janowi Berry i Michałowi Smith od właścicieli Indjan, pod datą 15-go lipca 1679. Reprodukcja jego jest w broszurze "Historical Sketch of the Zabriskie Homestead, Flatbush, I. I." by P. L. Schenck, Brooklyn, 1881. Na dokumencie tym jest klauzula: "Opieczętowany i podpisany przez Cooranga, Rawatoresa i Anasana (Indjan) w naszej obecności — Edward Howell, Albridt (czy też Albricht) Zaborowskij", tłumacz, jako świadkowie.

Podpis Zaborowskiego jest dosyć niewyraźny. Można łatwo przeczytać imię jako "Albridt" — skutkiem czego właśnie niektórzy historycy przerobili je na Albert. Jednakowoż wobec całkiem wyraźnego "ri", nie ulega wątpliwości, iż imię to powinno brzmieć Albricht (t. j. Olbracht, Aleksander). "Ch" w niedbałem lub niekształtnem piśmie łatwo można zrobić podobne do "d".

W nazwisku "w" przed "s" przypomina kształtem dwa "S", z których pierwsze jest odwrócone w ten sposób, że łatwo czytać je oba razem jako "rs", skutkiem czego niebybnie powstały takie odmiany nazwiska jak: Saboriski, Saborsiski, Saboreski itp. Końcówka "ij" jest miękkiem holenderskiem "i" (bynajmniej nie ruską!) i dowodzi, że dostosowanie się imigrantów do warunków życia w nowym świecie wypływało z natury rzeczy równie dobrze przed 300 laty, jak i w naszych czasach.

Powyższe wywody wskazują, że nazwisko protoplasty Zabriskich mogło brzmieć tylko Zaborowski. Początkowe "S" w niektórych odmianach nazwiska nie zmienia postaci rzeczy. Polskie "Z" w przekładzie na łacinę niejednokrotnie zmieniano na "S" — (np. Zaborska Ziemia — Terra Zaborensis lub Saborensis).

Najdokładniejszą geneologję Zabriskich podaje wspomniany Wynkoop. Badając ją, spostrzegamy dalsze najrozmaitsze odmiany nazwiska, a więc: Zaborisco, Zaborisko, Zaborischo, Zaborischoo, Zabbroisco, Zabborwisco, Zaborisky, Zaboriskwy i Zabrowisky. Każdy niemal potomek Olbrachta został inaczej zapisany w księgach zboru w Hackensack, N. J., z których Wynkoop zebrał daty genealogiczne. Pierwotne brzmienie nazwiska jednak jeszcze nie zaciera się silniej. Poraz pierwszy pisownia Zabrisky pojawia się 11 listopada 1743, kiedy pastor zapisał ślub Jakóba, wnuka Olbrachta, ze Sarą Varick. Dwaj bracia Jakóba, jeden rodzony Krystyn, drugi zaś stryjeczny Henryk, są jednak zanotowani jako "Zabrisko". Dopiero w czwartem pokoleniu Zaborowscy przekształcają się na Zabriskie i odtąd pisownia nazwiska ustala się. Była to jednak już druga połowa 18-go wieku.

W każdym razie we wszystkich odmianach nazwiska powtarza się nieodmiennie początkowe "Za", co już samo stanowi silny argument przeciw teorji o pochodzeniu Zabriskich od Zborowskich. — Gdyby Olbracht był Zborowskim, dlaczegożby podpisywał się Zaborowski? Holendrom było równie łatwo wymówić Zborowski, jak Zaborowski, nie możnaby więc zmiany usprawiedliwić względami na ułatwienie obcym wymowy. Teorję o Zborowskich musimy odrzucić ostatecznie po stwierdzeniu ważnego szczegółu, że wedle genealogji Wynkoopa, dopiero Marcin Zabriskie, jeden z praprapraprawnuków Olbrachta, zmarły w r. 1878, przyjął pisownię Zborowski, sam jeden z całego rodu.

Owemu to Marcinowi Zabriskiemu niechybnie zawdzięczamy legendę o pochodzeniu od Samuela Zborowskiego, którą na ślepo przyjęli nasi pisarze, rozpowszechniając ją wśród Wychodźtwa i w Polsce. Stało się to dzięki temu, że Marcin zbliżył się serdeczniej niż inni Zabriscy do polskich wychodźców politycznych i, wiedziony dobrocią serca jak i poczuciem związku z Polską, świadczył im usługi. Ks. Hieronim Kajsiewicz, generał Zmartwychwstańców, podróżując po Ameryce w r. 1865, zetknął się z nim i w swych listach wspomniał o nim jako o "p. Zborowskim". — "Poznałem p. Zborowskiego, potomka jednego z osadników tej epoki" (początków Nowego Jorku), pisał w "Listach". — "Jakkolwiek protestant, wiele zawsze świadczył naszym wygnańcom; niestety, najczęściej źle się nasi spisywali. Wiem to z boku, bo sam p. Zborowski zanadto gentleman, by się skarżył".

Tu prawdopodobnie leży źródło legendy o pochodzeniu od Zborowskich. Słowa Ks. Kajsiewicza dowodzą, że Marcina Zborowskiego z Morrisania, N. Y., (obecnie Bronx) naciągali nasi mniej sumienni wychodźcy; niechybnie więc któryś ze sprytniejszych zdołał wmówić w niego, że pochodzi z magnackiej rodziny Zborowskich. Bogacz, któremu mogła chyba pochlebić koligacja z jednym z najznakomitszych rodów polskich, tak skwapliwie uwierzył w to, że nie tylko wszędzie rozgłaszał swą fałszywą geneologję, ale na-

wet urzędownie zmienił nazwisko na Zborowski. Potomkowie jego zaczęli tytułować się hrabiami.

Przytoczone powyżej ewolucje nazwiska Zabriskie stanowczo nie dopuszczają innego wywodu geneałogicznego, jak od Zaborowskich, ale dla lepszej pewności rozpatrzmy fakty historyczne, dotyczące możliwej koligacji protoplasty Zabriskich ze Zborowskimi.

Rodów Zborowskich jest wiele w Polsce, ale Zabriscy niejednokrotnie podkreślali całkiem wyraźnie, że wywodzą się od Samuela, ściętego za Batorego, a więc z rodu Jastrzębców-Zborowskich, "domu kiedyś w Polszcze naszej i honorów i fortun i zasług pełnego" — jak pisze Niesiecki. Na obchodzie 14-tej rocznicy powstania listopadowego w Nowym Jorku w r. 1844, odczytany został list jednego z Zabriskich, zawierający następujący ustęp: " Stawam przed wami... w podwójnym charakterze: raz jako Amerykanin... lecz z drugiej strony jako Polak, jako potomek Polaka, jako spokrewniony z każdym z tych tu obecnych ofiar siły arbitralnej. — Aczkolwiek więcej niż półtora wieku temu wydalono ród mój z polskiej ziemi, jednakże spozieram na nią, jako na naszą wspólną matkę"... (Kruszka, Historja Polska w Am., tom 4). Jeszcze wyraźniej mówił o tem niedawno były sędzia powiatu Bergen, N. J., Jan B. Zabriskie, podobno najwybitniejszy z żyjących Zabriskich z Nowego Jersey, na wiecu politycznym polskim w Wallington, N. J., kiedy w mowie wywodził swe pochodzenie od Samuela Zborowskiego ("Kurjer Narodowy", Nowy Jork, 11 paźdz. 1928).

Zabriscy nie mogą być potomkami Samuela choćby z tego ważnego powodu, że w r. 1662, kiedy protoplasta ich lądował w Ameryce, ród tego niespokojnego ducha nie istniał już.

K. Niesiecki w "Herbarzu" swym (wydanie Lipsk, 1839-46) podaje, że Samuel Zborowski " wszedł był w kontrakty małżeńskie z Zofją Jordanówną, kasztelanką Krakowską, z tej były córki, jedna Anna za Korycińskim, wojewodą Rawskim, druga za Rafałem Grochowskim, kasztelanem Lwowskim... i synów dwuch: Samuela bezpotomnego i Alexandra, dziedzica na Mikulenicach, sławy rycerskiej wielkiej pułkownika, osobliwie przy dobywaniu Smoleńska, i Pańskiej ku Bogu fantazji, z której kościół nasz Lwowski (Jezuitów), kędy też po śmierci złożony, od srebra ubogacił, sług Boskich honoru przestrzegający, o który na kalumnujących do szable się porywał i żona jego Magdalena Fredrówna, Jana, kasztelana Przemyskiego córka, z tej Anna w panieństwie umarła 1620, i syn Adam Alexander w zakonie Societatis Jesu, ten fortunę ojczystą, która mu obszernie po śmierci rodzicielskiej zostawiona, hojnie na cześć Boską rozszafował, czterdzieści tysięcy Kollegio Krakowskiemu u św. Piotra, Lwowskiemu także słuszną sumę na antependium srebrne, do Nowicjatu naszego Krakowskiego cztery tysiące wysypawszy, tak gdy się już z fortuny wyzuł, jeszcze i to, które mu zostało, Bogu poświęcił życie; gdy albowiem w Krakowie morowe się powietrze zakurzyło, usilnem naleganiem u starszych wyprosił, żeby mu służyć zapowietrzonym pozwolili, co gdy otrzymał

i bez respektu na zdrowie i życie narażał się, dla miłości bliźnich, w tym razie od inszych opuszczonych, sam też jadem powietrza zarażony, poszedł po zapłatę swej heroicznej odwagi w Krakowie 1652, 4 sierpnia".

Nie mógł więc pierwszy z amerykańskich Zabriskich być potomkiem Samuela, skoro jeden z jego dwuch synów, Samuel, zmarł bezpotomnie, a jak sądzi Ks. Sas na podstawie swych badań — w wieku bardzo młodym; drugi zaś, Aleksander, pozostawił tylko jednego syna, Ks. Adama Aleksandra. Na tym wnuku Samuela, na całe dziesięć lat przed przyjazdem Olbrachta Zaborowskiego do Ameryki, wygasł ród ściętego banity.

Jeżeli byśmy przypuścili nawet możliwość pochodzenia Zabriskich od którego z braci Samuela, synów Marcina Zborowskiego, kasztelana krakowskiego, przekonamy się, że z sześciu braci Samuela, tylko najmłodszy Krzysztof był banitą. Skoro więc ów Zabriskie z r. 1844 wspominał "wydalenie swego rodu z polskiej ziemi", możnaby to odnieść — oprócz Samuela — jedynie tylko do Krzysztofa.

Krzysztof zawadjactwem dorównywał Samuelowi. Przed r. 1585 miał już na sobie sześć banicyj ale ukrywał się na Morawach. Pozwany na Sejm 1585 r. za spisek na życie króla, paszkwile przeciw królowi i konszachty z Iwanem Groźnym, nie stawił się mimo glejtu bezpieczeństwa a wtedy król skazał go na najwyższą karę konfiskaty dóbr i infamję. Starostowie mieli chwytać winnego i, jako infamisa, na gardle karać. Wtedy ponownie uciekł na Morawy. Po śmierci Batorego wrócił do Polski i razem z Djabłem Stadnickim dowodził wojskiem arcyksięcia Maksymiljana. Partja przeciwna Zamoyskiemu przeprowadziła na Sejmie 1591 r. amnestję dla maksymiljanistów i przywrócenie do czci Krzysztofa, ale z warunkiem, aby w Polsce nie pokazywał się do lat dwudziestu pod karą przywrócenia mocy dawnemu wyrokowi. Są niewątpliwe ślady, iż Krzysztof przemieszkiwał w Polsce potem za glejtami bezpieczeństwa, ale nie doczekał się końca tych lat dwudziestu i zginął gdzieś na Węgrzech — podobno przy grze w kości. Ks. Sas, któremu wszystkie te szczegóły o Krzysztofie zawdzięczam, nie znalazł nigdzie wzmianki o jego potomstwie i przypuszcza, iż zmarł bezpotomnie.

Gdyby nawet byli jacy potomkowie po tym Zborowskim — banicie, Zabriscy i od nich nie mogli pochodzić, gdyż w r. 1685 wygasła zupełnie linja Zborowskich Rytwiańskich i nie żył już żaden z potomków po mieczu kasztelana Marcina, ojca Samuela — jak świadczy wypisek z dokumentów rodzinnych, załączony do rodowodu Zborowskich w "Herbarzu" Niesieckiego, oparty na akcie urzędowym w sprawie o sukcesję po Krystynie Zborowskiej, żonie Tarły, wojewody sandomierskiego, oblatowany w grodzie bieckim powyższego roku. Nie mógł więc protoplasta Zabriskich pochodzić od któregokolwiek z reszty braci Samuela Zborowskiego, gdyż

współcześni niechybnie wiedzieliby o jego istnieniu, chociażby na drugiej półkuli.

Tak ostatecznie i zupełnie upaść musi bajka o pochodzeniu Zabriskich od Zborowskich.

Zaznaczyć należy, że dotychczas tylko część rodu Zabriskich trzyma się fałszywej teorji genealogicznej o Zborowskich. Inni z rodu poszli wnet jeszcze wyżej. Nie zaspokoiwszy się bajką o pochodzeniu od możnowładców polskich i, korzystając z nieustalonej pisowni swego nazwiska w dokumentach kolonjalnych, wymyślili nową legendę, jeszcze bardziej fantastyczną, o królewskiem pochodzeniu z rodu Sobieskich.

Twórcą tej drugiej fantazji był Symeon Templeton Zabriskie, zmarły niezbyt dawno handlarz drzewny z Passaic i Wallington, N. J., — o ile można wnioskować z jego życiorysu w "History of Passaic" Williama W. Scotta (Nowy Jork, 1922). Bogaczowi chodziło zapewne o dostanie się do arystokratycznego towarzystwa miljonerów amerykańskich, którego członkami mogą być tylko prawdziwi, czy fałszywi — potomkowie koronowanych głów. W każdym razie legenda o Sobieskich jest całkiem świeżego pochodzenia. Nie wspominają jej żadne dawniejsze amerykańskie wydawnictwa genealogiczne. Poraz pierwszy wyszła w świat drukiem w 4-tomowej "Genealogical and Memorial History of the State of New Jersey", napisanej przez Fr. Bazley Lee'a i wydanej w Nowym Jorku w r. 1910. Powtórzył ją potem dosłownie i na ślepo Scott w swej "History of Passaic".

W genealogjach tych podają obaj ci autorzy, że "Albert Saboriski był synem brata Jakóba Sobieskiego (ojca królewskiego) i kuzynem króla polskiego, Jana III-go." A więc, wedle nich, ów pierwszy z Zabriskich był stryjecznym bratem pogromcy z pod Wiednia. Tymczasem historja zadaje kłam temu twierdzeniu. "Herbarz" Niesieckiego podaje, że Marek Sobieski, wojewoda lubelski, dziad króla, zmarły w r. 1606, "złączył się był dożywotnie z Jadwigą Snopkowską, siostrą Stefana, chorążego koronnego,, z której było córek pięć... i syn Jakób; był i drugi, który młodo umarł w Odolanowie w r. 1627, u siostry swojej".

Już to nasuwa wątpliwość, czy protoplasta Zabriskich mógł być "synem brata Jakóba Sobieskiego". Dokładniej wyjaśnia tę sprawę rodowód króla Jana, znajdujący się w wydawnictwie Krakowskiej Akademji Umiejętności z r. 1880 p. t. "Pisma do wieku i spraw Jana Sobieskiego", zebrane przez Franciszka Kluczyckiego. Dokument ten wyszperany przez Ks. Sasa, nosi tytuł: "Excerpt z manuskryptu własney ręki Nay. Króla i p. Jana III." Autorem jego jest sam król, który napisał go dla nuncjusza, gdyż ten "miał curiositatem wiedzieć gesta Domu mego". Wspomina w nim więc król że Marek Sobieski, dziad, "miał wprzód za sobą Snopkowską, siostrę chorążego koronnego; drugim zaś małżeństwem miał Tęczyńską, z którą spłodził syna Jana, y córkę Helenę, którzy oboje, ten w młodzieńskim wieku, powracając z cudzych kraiów, summae ex-

pectationis kawaler... na granicy w Odolanowie u szwagra swego... ta zaś subita prawie morte... z tego zeszli świata."

A więc ojciec króla Jana, Jakób, nie miał rodzonego brata z jednej matki; brat zaś przyrodni z drugiej, Jan umarł w wieku młodzieńczym i bezpotomnie, wobec czego pretensje Zabriskich do pokrewieństwa z Sobieskimi są czystym wymysłem.

Sam król Jan miał czterech braci, z których jednak dwaj, Stanisław i Michał, zmarli w wieku dziecięcym, trzeci zaś, Marek, popadłszy w niewolę pod Batohem, został okrutnie zamordowany przez Tatarów w r. 1652. "Po tragicznym zgonie Marka", pisze Artur Śliwiński (Jan Sobieski, Warszawa, 1924) — "Jan Sobieski pozostał jedynym męskim spadkobiercą sławy i fortuny, a zarazem mścicielem trzech znakomitych rodów: Żółkiewskich, Daniłowiczów i Sobieskich... Pozostały jeszcze rodziny o tych samych nazwiskach, ale z linij dalszych". W każdym razie w r. 1652 nie było już żadnych potomków męskich Marcina Sobieskiego, inaczej historycy byliby wiedzieli coś o tem.

Powyższe fakty prawdopodobnie raz na zawsze rozjaśnią bajki o pochodzeniu Zabriskich od Zborowskich czy Sobieskich. Jeżeli Zabriscy mają jakie dokumenty, mogące zbić je, niechaj je okażą. Na razie musimy uważać pretensje ich za bezpodstawne.

(Charakterystyczne, że p. W. W. Scott, autor "History of Passaic", zapytany przez Ks. Hełczyńskiego o dowody co do genealogji z Sobieskich, wykręcił się sianem, oświadczając, iż "zgubił adres" swego pretensjonalnego informatora.)

Ustaliwszy w ten sposób, że pierwszym z Zabriskich mógł być jedynie Olbracht Zaborowski, rozpatrzmy teraz bliżej kim i skąd był.

Niesiecki podaje sześć rodów Zaborowskich rozmaitych herbów i osiadłych w rozmaitych ziemiach Rzeczypospolitej: herbu Grzymała z woj. Inowrocławskiego, Ostoja z woj. Sieradzkiego, Prus II-gi z woj. Płockiego, Rawicz z woj. Sandomierskiego, Rogala z woj. Mazowieckiego, i Strzemię z ziemi Dobrzyńskiej. Wszystko to była przeważnie średnia szlachta — o ile nie chodaczkowa, która piastowała drobniejsze urzędy mieczników, cześników, wojskich, podsędków, deputatów na trybunały itp. Żernicki-Szeliga (w "Der Polnische Adel", Hamburg, 1910) dodaje wprawdzie jeszcze cztery rody Zaborowskich, ale że wszystkie te były nobilitowane po r. 1673, nie można brać ich w rachubę, o ile Olbracht Zaborowski był szlachcicem, co zdaje się nie ulegać wątpliwości.

Rzecz jasna, że Zaborowscy nie trzymali się ściśle granic swych rodzinnych województw i osiadali też w innych stronach Rzeczypospolitej. Szczęsny Morawski w "Arjanach Polskich" wzmiankuje o Aleksandrze Zaborowskim, arjanie, dziedzicu Stróżów niżnych, w Małopolsce, i Jędrzeju Zaborowskim, jego sąsiedzie, również arjanie, za czasów najazdu szwedzkiego.

"Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego" (Warszawa, 1880-1900) podaje bardzo wiele miejscowości o nazwie Zaborowo,

przeważnie jednak w zachodnio-północnych województwach. Są też tamże mniej liczne wsie Zabory i Zaborze i stara Zaborska Ziemia, w dawnem komturstwie tucholskiem. Wskazuje to, że nazwisko Zaborowskich musiało być szczególnie powszechne w północnej Wielkopolsce i Prusach Królewskich, gdyż szlachta, przywiązana do ziemi, chętnie chrzciła ją swemi nazwiskami i nawzajem przybierała je sobie od niej. Olbracht, przyjeżdżając do Ameryki, podał, rzeczywiście, Prusy jako swą ziemię rodzinną.

Jeżeli zajrzymy znowu do kłamliwych dzieł Scotta i Fr. B. Lee'a, znajdziemy w nich bardzo ciekawą wzmiankę: — że Olbracht Zaborowski, ów rzekomy "syn brata króla Jana", urodził się "w Żółkwi, w Polsce, (lub w Enghsburg, w Prusach)". Nawias ten dali autorowie, widocznie dlatego, że nie mogli zadać kłamu dokumentom, podającym wyraźnie, że Zaborowski przybył do Ameryki z Prus polskich, Żółkiew zaś (w oryginale Zolkva) podali dla usprawiedliwienia królewskich pretensyj. — Gdzie jednak Rzym, gdzie Krym? Gdzie Zółkiew do owego "Enghsburga"? Żaden ze współczesnych Sobieskich rodu królewskiego nie rodził się w Prusach, a więc tylko w owym skromnie ukrytym "Enghsburgu" mogła stać kolebka Olbrachta Zaborowskiego.

Nie mogłem nigdzie w wiarygodnych dokumentach znaleźć wiadomości o jego miejscowości urodzenia. Jeżeli potomkowie podali "Enghsburg", uczynili to widocznie na podstawie jakiegoś starego aktu, albo tradycji rodzinnej. Badając "Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego", musimy dojść do przekonania, że ów "Enghsburg" nie jest niczem innem, jak Engelsburgiem, po polsku Pokrzywno, wsią w powiecie grudziądzkim, o 9 kilometrów od Grudziądza. Jest to starożytna osada, niegdyś nawet gród i siedziba komturów krzyżackich. Tam to niechybnie było gniazdo rodzinne Olbrachta.

Badania moje zgadzają się mniej więcej z tem, co swego czasu Dr. Kałussowski podał Kraszewskiemu ("Rachunki", Bolesławity). Wedle niego, Zaborowski "był szlachcicem z ziemi Dobrzyńskiej." Jeżeli był z ziemi Dobrzyńskiej, w takim razie był herbu Strzemię.

Jest rzeczą pewną, iż protoplasta Zabriskich nie był żadnym karmazynem, ale zwykłym szaraczkiem. Już to jest dostatecznym dowodem średniego — co najwyżej — pochodzenia Olbrachta, że przez jakiś czas kształcił się na ministra protestanckiego, o ile prawdą jest, co opowiadają o nim Zabriscy. Reformacja panowała wówczas w Europie. Nowinkarstwo było w modzie w Polsce. Możnowładcy nasi łączyli się z ruchami protestanckimi i popierali je, ale — rzecz szczególna — pastorowie rekrutowali się wyłącznie z gminu szlacheckiego i z mieszczaństwa. (Al Brueckner, "Różnowiercy polscy", Warszawa, 1905.)

Stwierdziwszy w ten sposób możliwie najwierniej, co zacz był patrjarcha rodu Zabriskich, możemy teraz zająć się innemi szczegółami jego życiorysu. Pretendenci do pochodzenia od So-

bieskich podali Fr. B. Lee'owi i W. W. Scottowi co następuje o europejskim zawodzie swego przodka:

"Albert Saboriski.urodził się.... prawdopodobnie około r. 1638 Otrzymał staranne wykształcenie; ojciec posłał go do Amsterdamu w nadziei, że poświęci się stanowi duchownemu; Albert przykładał się jakiś czas do studjów w tym celu, ale nauka ta nie przypadła mu do smaku, porzucił więc teologję; potem został zaciągnięty do pruskiej armji. Służba dla odwiecznego wroga Polski była mu tembardziej wstrętną, postanowił więc szukać szczęścia w nowym świecie i połączyć się ze swymi przyjaciółmi, którzy przenieśli się z Górnego Palatynatu do Nowego Amsterdamu osiedli tam i w Nowem Jersey."

Wszystko to prawdopodobnie stanowi tradycję rodzinną. Nie poddając już w wątpliwość "starannego wykształcenia" Olbrachta, zaznaczyć możemy, że studjował teologję protestancką w Amsterdamie prawdopodobnie dopiero po opuszczeniu Polski na dobre. Teraz przejdźmy odrazu do powodów, które mogły go skłonić do porzucenia kraju rodzinnego.

Pośrednim powodem był niechybnie najazd Szwedów w latach 1655-1656. Wszak tylko wówczas mogła być mowa o zaciągnięciu Zaborowskiego do armji kurfirsta Fryderyka Wilhelma, współdziałającego zrazu po cichu, potem otwarcie, ze Szwedami. W jaki sposób Olbracht dostał się w szeregi kurfirsta jest niejasne. Czyż elektor brandenburski, wasal Rzeczypospolitej, śmiałby był porywać siłą szlachcica polskiego w granicach Polski, chociażby nawet w czasach wojennych zamieszek i w obliczu powalonego majestatu państwa, które jednak mogło wkrótce podnieść się i upomnieć o krzywdy? Wiele łotrostw wobec Polski zapisała historja na karb tego wiarołomcy, ale milczy o jego rzekomych przymusowych zaciągach szlachty polskiej do swej armji. Jeżeli więc Zaborowski przystał do Prusaków, uczynił to chyba z własnej woli. Ale odstępstwo to łagodzi fakt, że były to czasy "Potopu", kiedy trzeba było stanąć po jednej lub po drugiej stronie, zwłaszcza w Prusach, gdzie lojalność względem Polski u dyssydentów była narażona na wielkie pokusy. Różnowiercy, osobliwie arjanie, uważając najazd szwedzki za stosowną porę do porachunków na tle sporów religijnych, skwapliwie łączyli się z najeźdźcą i dopuszczali się gwałtów z fanatyzmu religijnego. (L. Kubala, "Wojna Szwedzka 1655-1656", Lwów, 1913).

Olbracht Zaborowski był różnowiercą. Jeżeli prawdą jest, co podają potomkowie, że wkrótce po najeździe szwedzkim "postanowił szukać szczęścia w nowym świecie i połączyć się ze swymi przyjaciółmi, którzy byli już w Górnym Palatynacie" — w takim razie był arjaninem, bez względu na to, że w Nowej Holandji należał do zboru kalwińskiego w Hackensack, N. J. Kiedy Rzeczypospolita zrzuciła jarzmo szwedzkie, wymierzając sprawiedliwość odstępcom, skazała wszystkich arjan na banicję. Sejm warszawski z r. 1658 nakazał im wynieść się z kraju do 10 lipca

1660, o ile do tego czasu nie zmienią wyznania. Wielu arjan zrobiło to z konieczności, wielu jednak wyszło wtedy do Siedmogrodu, Śląska, Prus brandenburskich, Palatynatu i Holandji.

Data przyjazdu Olbrachta Zaborowskiego do Ameryki — w r. 1662 — niemal w zupełności odpowiada dacie banicji arjan, a więc niechybnie ona była powodem jego wyjścia z kraju.

Tak wygląda prawda historyczna o protoplaście Zabriskich; tak w oświetleniu ówczesnych wypadków dziejowych i źródeł historycznych, po odłączeniu ziarna od plewy, przedstawiają się dzieje wczesnego żywota Olbrachta Zaborowskiego.

Co do dalszej części jego bjografji polegać już musimy — i możemy zresztą spokojniej — na tradycji Zabriskich, którzy przez W. W. Scotta i Fr. B. Lee'a podają o nim, co następuje:

Po wylądowaniu w Nowym Amsterdamie Zaborowski "mieszkał tam przez dziesięć lub więcej lat, nie osiadając na stałe w jednem miejscu, ani nie prowadząc żadnego stałego przedsiębiorstwa. Znajdujemy go w Bergen (obecnie Jersey City) w czasie swego ślubu, który jest zapisany w księgach holenderskiego reformowanego zboru w Bergen pod datą 17-go grudnia 1676. Świadectwo ślubu, wedle zapisków, zostało mu wydane 8-go stycznia 1677. Ożenił się z Machelt (Matyldą), córką Joosta Van der Linde, której brat, Roloff Van der Linde, został jednym z największych obszarników w Bergen. Po swem małżeństwie kupił obszar ziemi, objęty patentami 20, 21, 22. W r. 1682 nabył patenty od lady Carteret, (współwłaścicielki Nowego Jersey) na kilka przyległych działów gruntu, rozszerzając w ten sposób swe posiadłości od rzeki Hudson na wschodzie po rzekę Hackensack na zachodzie. Indjanie również sprzedali mu ziemię w Tappan, nieco wyżej rzeki; grunta te w r. 1702 wymienił za 2,100 akrów, należących do Indjan i przyległych do pierwotnych jego posiadłości. Drugie te grunta zwane były Nowem Paramus (dawniej Peremese). Zbudował on dom w starem Hackensack (obecnie koło Ridgefield Park), gdzie prawdopodobnie przyszły na świat wszystkie jego dzieci. Pomógł zorganizować "zbór na murawie" (The Church on the Green), w starem Hackensack w r. 1696 i nazwisko jego znajduje się wyryte na kamieniu w murze obecnego zboru; był jednym z najwybitniejszych członków i dobrodziejów tego zboru przez przeszło 25 lat. Był też pierwszym sędzią pokoju w powiecie Upper Bergen, zamianowany na ten urząd przez gub. Hamiltona w r. 1682. Zmarł w Hackensack i przypuszczalnie tam został pochowany dnia 11-go września 1711, wedle ksiąg luterańskich zborów w Nowym Jorku i okolicy. W czasie śmierci liczył 72 lub 73 lat. Wdowa po nim, urodzona w r. 1656, zmarła w r. 1725".

Zaborowski pozostawił pięciu synów: Jakóba, Jana, Joosta (imię holenderskie rozmaicie tłumaczone jako Justyn, Jozjasz lub Jerzy), Krystyna i Henryka. "Istnieje tradycja rodzinna", — podają oba cytowane wyżej dzieła — "że Jakób, najstarszy syn

Olbrachta, został porwany przez wodza indyjskiego, gdy miał lat 7. Indjanie zanieśli go do swej pobliskiej osady. Upłynął dłuższy czas, nim rodzice dowiedzieli się o jego losie. Ponieważ ojciec dziecka był prawdziwym przyjacielem Indjan, wódz wyjawił wreszcie tajemnicę porwania i wyraził pragnienie, aby mógł zatrzymać chłopca, aż wyuczy się indyjskiego języka, aby mógł pielęgnować dalej przyjaźń, zawartą przez ojca i, jak on, działać jako rozjemca i tłumacz w razie wybuchu nowych nieporozumień między Indjanami a ich białymi sąsiadami. Ojciec zgodził się, i gdy Jakób wrócił do domu ojcowskiego, znał już język indyjski. Przyjaźń dla Indjan była zasadą jego życia. Tradycja dodaje, że za pozwolenie zatrzymania chłopca, Olbracht Zaborowski otrzymał drugi dział ziemi w Upper Paramus. Jednakowoż faktem jest, że Olbracht zapłacił za tę ziemię cenne towary, wampum (naszyjniki paciorkowe) i pieniądze".

Synowie i następni potomkowie Olbrachta Zaborowskiego zholenderszczyli się wnet zupełnie przez pobyt wśród kolonji holenderskiej. Żenili się zrazu wyłącznie z Holenderkami. Kiedy Holendrzy w Nowej Holandji zlali się z otoczeniem angielskiem, Zabriscy razem z nimi ulegli amerykanizacji. Dalsze i dokładniejsze dzieje rodu przekraczają już zakres niniejszej pracy. Byli to zrazu przeważnie farmerzy, drobni przemysłowcy, rzemieślnicy i kupcy, wreszcie przedstawiciele wyzwolonych zawodów. Z czasem weszli w związki z najwybitniejszymi rodami amerykańskimi i częściowo dorobili się znacznych fortun. Odznaczali się zawsze żywym patrjotyzmem i niejednokrotnie zasłużyli się dobrze amerykańskiej ojczyźnie. Począwszy od rewolucji z r. 1776, nie ma wojny w dziejach Stanów Zjednoczonych, w którejby nie brali chlubnego udziału Zabriscy. Ród to dziś bardzo rozgałęziony. Zabriskich można spotkać we wszystkich częściach Unji amerykańskiej, ale gniazdo ich rodzinne w Hackensack, N. J., pozostaje dotychczas w rękach potomków Olbrachta.

Przedsiębiorczość i obrotność — oto zdają się główne cechy charakteru Olbrachta Zaborowskiego, o ile można wnioskować z suchych dat historycznych i tradycyj rodzinnych. Ludzki względem Indjan, lojalny dla białych współosadników, sprytem i pracą doszedł pośród obcych do znaczenia i majątku, nie splamiwszy imienia Polaka nieuczciwym czynem. Był jednym z pierwszych białych w Nowym Jorku, a potem w Nowem Jersey. Utorował drogę następnym pokoleniom i dał początek licznemu rodowi, jednemu z najwybitniejszych w Stanach Zjednoczonych. Dosyć to tytułów do pamięci u potomnych, bez potrzeby strojenia się w świetniejsze może, ale obce piórka.

Olbracht Zaborowski, choć nie pierwszy ze znanych nam osadników polskich w Ameryce, pozostanie na zawsze wybitną postacią w dziejach wczesnej naszej imigracji.

Prawdopodobnie najazd szwedzki na Polskę przyspożył No-

wej Holandji jeszcze jednego wychodźcę — Jakóba Fabrycjusza, pastora luterańskiego.

Pomimo tolerancji w kolonji, "żadna inna religja nie mogła być publicznie dozwalana w niej, oprócz reformowanej" — jak opiewał czarter Spółki Zachodnio-Indyjskiej z r. 1640. Kiedy jednak Anglicy poraz pierwszy zawojowali Nową Holandję w r. 1664, gubernator ich Nichols pozwolił luteranom na publiczne nabożeństwa i sprowadzenie pastora z Niemiec. Fabrycjusz był pierwszym uznanym przez władze pastorem luterańskim w Ameryce.

Pochodzenie jego jest właściwie wątpliwe. Szwedzi z nad Delaware, pisząc 31 maja 1693 do poczmistrza Thelina w Sztokholmie, wspominali, że był Niemcem, ale bardzo wiarygodny pastor Izrael Acrelius, przełożony szwedzkich zborów w Ameryce, w swej "Historji Nowej Szwecji", wydanej w Sztokholmie w r. 1758, podaje, że "był z pochodzenia Niemcem, lub, jak niektórzy sądzili, Polakiem". Acrelius niechybnie musiał słyszeć o Fabrycjuszu wprost od osób, które znały go zbliska. Historycy, powtarzając jego świadectwo, przechylają się raczej ku przypuszczeniu, iż był Polakiem (n. p. J. O. Evjen w "'Scandinavian Immigrants in New York"). O ile to było prawdą, trudno dziś stwierdzić dokładnie.

Jeżeli Fabrycjusz był Polakiem, w takim razie prawdziwe jego nazwisko brzmiało prawdopodobnie Kowalski. "Encyklopedja Powszechna" Orgelbranda i "Podręczna Encyklopedja Kościelna" podają cały szereg Fabrycjuszów, którzy zapisali się swym żywotem w dziejach Polski. Trudno na oślep łączyć pokrewieństwem amerykańskiego Fabrycjusza z którymkolwiek z polskich rodów tejże nazwy. Wystarczy stwierdzić, że Fabrycjuszów i Fabrycjuszów-Kowalskich można było spotkać w każdej części Rzeczypospolitej.

Wedle dokumentów, cytowanych przez H. E. Jacobsa w "History of the Evang. Lutheran Church in the United States" (Nowy Jork, 1907), Fabrycjusz otrzymał godność pastora w Głogowie, na Śląsku. Przebywał potem w Holandji. Jakoś w czasie kiedy luteranie nowoholenderscy nadesłali prośbę o pastora, Fabrycjusz zwrócił się też do konsystorza w Amsterdamie z prośbą o "środki, aby mógł dalej podróżować". Konsystorz postanowił wysłać go do Ameryki.

Fabrycjusz chętnie przyjął propozycję. Był to już mężczyzna w średnim wieku. Pobyt w Holandji, który trwał zapewne kilka lat, zbogacił go znajomością języka holenderskiego i... żoną, tą ostatnią — niestety! gdyż wiele późniejszych nieszczęść Fabrycjusza było niechybnie z jej powodu.

"Dominie Jacobus Fabricius" przyjechał do New Orange, jak wówczas Anglicy nazywali Nowy Jork — i objął obowiązki duszpasterskie nad wszystkimi luteranami w kolonji, oprócz Nowej Szwecji. Angielski gubernator Lovelace udzielił mu zaraz po-

zwolenia na sprawowanie ich "tak długo, jak długo on i jego wierni będą zachowywali się porządnie".

Korzystając z pozwolenia, Fabrycjusz odprawił pierwsze nabożeństwo dla luteranów w Nowym Amsterdamie w pierwszą niedzielę adwentu. Zrazu tak pastor, jak i członkowie zboru podobali się sobie wzajemnie. W kwietniu 1669, otrzymawszy paszport od gubernatora, udał się do Fort Orange (Albany), aby zapoznać się z tamtejszymi luteranami. Był więc niechybnie pierwszym Polakiem — o ile nim był, —, który dotarł do tego miasta. Tu jednak zaczęły się jego kłopoty.

Fabrycjusz pozostawił po sobie bardzo bogate wspomnienia w urzędowych dokumentach. Aż do pewnego okresu przełomowego w jego życiu, wszystkie one stanowią wyrok potępienia na zbyt gwałtowny, niewstrzemięźliwy jego charakter.

Franciszek Daniel Pastorius, niemiecki emigrant w swem "Umstaendige Geographische Beschreibung der Provintz Pennsylvaniae" (Frankfurt i Lipsk, 1700) nazywa go otwarcie, choć z widoczną niechęcią "pijakiem". J. O. Evjen, autor "Scandinavian Immigrants in New York", pisze, że "miał nie wiele charakteru, kłótniom jego nie było końca." H. E. Jacobs w "History of the Evang. Lutheran Church" nie mniej surowo go potępia: "Dokumenty publiczne tych czasów posiadają wiele zapisków, podających szczegóły jego kłótni z członkami zborów w Albany i Nowym Jorku, z żoną, z którą w końcu rozszedł się, i z urzędnikami, przez których był niejednokrotnie aresztowany. Nie był on wolny od wielkiej wady, która zapanowała w kolonji za rządów Stuyvesanta, kiedy to zasady moralne nie były dosyć silne, by powstrzymać prawie jedną czwartą część ludności Nowego Amsterdamu od uczęszczania do domów sprzedaży wódki, tytoniu i piwa".

Podczas pobytu Fabrycjusza w Albany zdarzył się ślub Helmara Ottena, piekarza z Beverwyck, z Ariantje, córką Arenta Andriessena, jednego z osadników duńskich w Nowym Amsterdamie. Ślub dał powód do pierwszego zatargu pastora z władzami. Ponieważ młodzi, jak się zdaje, zawarli związek małżeński w zborze kalwińskim mimo swej religji luterańskiej, Fabrycjusz nałożył na Ottena grzywnę tysiąca talarów. Przerażony Otten zaapelował do władz cywilnych. Ówczesny angielski gubernator Lovelace, który nadto miał już inne skargi na Fabrycjusza, odebrał mu przywilej sprawowania obowiązków duchownych w Albany, jednakowoż, na skutek próśb przyjaciół pastora, pozwolił mu prowadzić dalej pracę duszpasterską w Nowym Jorku.

Wnet po powrocie tam Fabrycjusz rozpoczął spory z członkami swego zboru, którzy akurat wtedy, ciesząc się z przybycia pierwszego swego pastora do Ameryki, zaczęli budować własny dom modlitwy w obrębie fortyfikacyj miejskich. Spory doprowadziły do takiego rozjątrzenia, że luteranie nowojorscy odnieśli się ze skargą na Fabrycjusza wprost do konsystorza w Am-

sterdamie i zażądali przysłania innego duchownego. Nim jednak ten przybył, Fabrycjusz stał się powodem jeszcze niejednej zwady, co ostatecznie skłoniło gub. Lovelace'a do wysłania go do Nowej Szwecji, kolonji szwedzkiej nad rzeką Delaware, podbitej przez Holendrów, a następnie przez Anglików. W drodze łaski gubernator pozwolił mu jednak "wygłosić do wiernych pożegnalną mowę i przedstawić nowoprzybyłego pastora, wedle zwyczaju, przyjętego przez ich religję".

Było to 11-go sierpnia 1671. Zaopatrzony w list polecający od Lovelace'a do wicegubernatora Nowej Szwecji, Carra, przybył Fabrycjusz do New Castle, aby rozpocząć pracę wśród Szwedów. Nowe warunki życia, nowe otoczenie wpłynęły dodatnio na jego charakter, gdyż przez trzy lata nie słychać o skargach na niego. Na swe nieszczęście, wrócił do Nowego Orange niewiadomo poco i zaraz dostał się w nowe kłopoty. Przedewszystkiem wszedł w zatarg z władzami, gdy dnia 5-go lutego 1674, pomimo pozbawienia go praw ministra w Nowem Orange, udzielił ślubu niejakiemu Ralfowi Doxy. Następnie wdał się w gorszące spory ze żoną. Księgi sądowe miasta z roku 1674 są pełne wzmianek o tych zatargach. Doprowadziły one wreszcie do prawdziwie ulicznej awantury, którą "czcigodny schout" (skaut-urzędnik w rodzaju szeryfa i prokuratora) przedstawił sądowi dnia 17-go lipca 1674 w następujących słowach:

..."Oskarżony, wbrew poleceniu tego sądu, wszedł siłą 11-go lipca b. r. do domu Annetie Cornelis, swej małżonki, i przyniósł tam skrzynię wbrew jej woli i pozwoleniu; zepchnął z drogi pewną niewiastę nazwiskiem Barentje jej kołowrotkiem, a ponadto, kiedy został ostrzeżony, aby zachowywał się spokojnie, gdyż inaczej zostanie oddany schoutowi, odpowiedział: że ma dosyć schouta i burmistrzów, a gdy schout przybył z rozkazem usunięcia oskarżonego, stawił opór żołnierzom i uderzył schouta w piersi oraz popełnił inne złe czyny"... Wobec takiego postępowania Fabrycjusza, schout zażądał, aby sąd skazał go "przynajmniej na wieczne wygnanie z granic miasta... jako osobę niegodną przebywania w spokojnej społeczności, gdyż popełniał różne przestępstwa przeciw prawom i ustawom naszej ojczyzny". (E. B. O'Callaghan, Documentary History of New York, t. III.)

Ostatecznie sprawa ta zakończyła się odsiedzeniem kilku dni więzienia przez Fabrycjusza i zapłatą grzywny 100 florenów oraz kosztów sądowych. Kłótnie z żoną doprowadziły do wyroku separacji. Ze skarg jej, przedkładanych sądowi przeciw mężowi, zdaje się przeglądać złośliwość, — niechybnie kobieta ta wiele była winną upokorzeniom i nieszczęściom męża. Najcięższa kara spotkała go za ślub Ralfa Doxy, gdyż sąd, pomny na jego "poprzednie złe prowadzenie się," a nie chcąc karać go surowo "z uszanowania dla jego starego wieku i godności, którą ostatnio piastował", skazał go na jednoroczne zawieszenie w sprawowaniu obowiązków duchownych. "Dominie" prosił o złagodzenie wyroku,

aby "przynajmniej mógł udzielać chrztów", ale sąd odrzucił prośbę. (J. R. Brodhead, "History of the State of New York, 1871, t. II.)

Fabrycjusz wrócił nad Delaware, ale nieszczęścia jego nie skończyły się jeszcze. W sierpniu 1675 Szwedzi i Finowie z Cranehook zanieśli skargę przeciw niemu do władz — nie już o złe postępowanie, — ale o to, że nie mogli dobrze rozumieć jego języka. Widocznie wyprowadziło go to znowu z równowagi, gdyż w rok potem gubernator Andros skazał go ponownie za "niespokojne życie i rozmowy" na zupełne pozbawienie praw duchownego w granicach kolonji. Sprawa ta ściągnęła go znowu do Nowego Jorku, gdzie nieszczęsny starzec został na bruku, bez rodziny i bez przyjaciół.

W życiu Fabrycjusza zaszła jednak wówczas zupełna zmiana. Szwedzi nad Delaware, potrzebując pastora, a nie mogąc otrzymać go z ojczyzny, przeprosili się z Fabrycjuszem i wezwali go ponownie do przybycia do siebie. Gub. Andros złagodził poprzedni wyrok i Fabrycjusz mógł uczynić zadość ich wezwaniu. Odtąd porywczy, niepohamowany awanturnik, nie wstydzący się poniżania godności duchownej i dostojności swych siwych włosów, staje się spokojnym i cierpliwym człowiekiem, pracowitym i gorliwym krzewicielem swej religji. O ile dotychczas dokumenty nowo-holenderskie mają dla niego tylko słowa potępienia, odtąd kroniki szwedzko-amerykańskie mówią o nim z najwyższem uznaniem.

Pastor Acrelius, przełożony zborów szwedzkich w Ameryce, w swej "Historji Nowej Szwecji" (Sztokholm, 1758) wspomina o nim, że po upadku rządu szwedzkiego w tej kolonji "był pomocnikiem pastora Larsa Locka, opiekującego się zborami szwedzkimi. Powołano go z Nowego Jorku, gdzie był bez zapewnionej posady. Wygłaszał kazania przeważnie po holendersku, (który to język rozumieli już Szwedzi amerykańscy), ale tak dalece opanował język szwedzki, że mógł odprawiać w nim nabożeństwa zrozumiale. — Pierwsze swe kazanie wygłosił w niedzielę św. Trójcy r. 1677 w Wicacoa (dzisiejszej Filadelfji, w zborze Gloria Dei, zbudowanym w r. 1669; na jego miejscu wznosi się obecnie Old Swedes' Church, zbudowany w r. 1700, najstarszy dom modlitwy w Filadelfji). — W pięć lat potem miał nieszczęście oślepnąć i był już ślepym aż do swej śmierci, która nastąpiła w dziewięć lat potem. Pomimo kalectwa opiekował się swymi wiernymi wedle swej możności. Mieszkał powyżej Filadelfji, w miejscowości zwanej Kensington i łódką udawał się do Wicacoa, ba, nawet aż do zboru Tranhook, odległego o 4 mile szwedzkie (t. j. przeszło 6 mil angielskich), również łódką, a co więcej aż do Maryland. Gdy szedł, prowadził go ktoś, idąc przodem z laską."

W r. 1688, gdy zmarł Lock, na barki oślepłego Fabrycjusza spadł obowiązek obsługi wszystkich szwedzkich zborów w okolicy. Zdwojoną gorliwością płacił teraz za dawne swe błędy, nie zważając na to, że członkowie zborów nie płacili mu dosyć rzetelnie obie-

canego wynagrodzenia. Acrelius zapewnia, że "starzec przy końcu swego życia żył w wielkiej nędzy."

W r. 1691, gdy coraz bardziej opadał ze sił, Szwedzi zwrócili się do luterańskiego konsystorza w Amsterdamie z prośbą o nowego pastora, zaświadczając jak najchlubniej o starym Fabrycjuszu:

"Czcigodny i wysoce uczony mistrz Jakób Fabrycjusz... wiernie i gorliwie opiekował się nami, ucząc nas stosownie do nauk niezmienionego wyznania augsburskiego i prowadząc wzorowe życie. Ale teraz, ze względu na swój podeszły wiek, swą ślepotę i swe dolegliwości, zawiadomił nas, że musi złożyć urząd pastora." (Acrelius).

W innym liście z 31 maja 1693 do pocztmistrza Thelina w Sztokholmie, który zainteresował się losem Szwedów w Ameryce, koloniści donosili, że Fabrycjusz "jest podziwu godnym pastorem, ale, niech go Bóg ma w swej opiece — jest starym i stracił wzrok swój już dawno."

Podobnie wysoce pochlebne świadectwa za ostatnie lata życia wystawiają mu Benjamin Harris w "History of the Original Settlements of the Delaware" (Washington, 1846), jak i H. E. Jacobs w "History of the Evang. Lutheran Church in the United States" (Nowy Jork, 1907).

Fabrycjusz umarł wkrótce potem. "Wolelibyśmy zamilczeć o jego czynach" — pisze Jacobs, "gdybyśmy nie mieli najlepszego dowodu, że przeniesiony na inne pole działania, prowadził zupełnie inne życie i nawet przez lata po utracie wzroku obsługiwał szwedzkie zbory w Delaware i Pennsylwanji z wiernością, która zjednała mu gorące pochwały z ust pastora Acreliusa... Niechaj więc imię Jakóba Fabrycjusza nasuwa nam przed oczy obraz starca gnębionego smutkami i bolejącego nad wspomnieniami swego życia w Nowym Jorku, płynącego łodzią z Kensington do miejsc modlitwy lub prowadzonego na kazalnicę przez pomocnika, aby w słabym języku szwedzkim wychwalać Stwórcę"...

Być może, że ze względu na dawne przewiny Fabrycjusza, stronniczy historycy woleliby przypisać go Polakom. Niema żadnych ścisłych dowodów co do jego narodowości. Jednakowoż, o ile był Polakiem, nie potrzebujemy wstydzić się go. Podniesienie się z upadku moralnego jest najwyższem bohaterstwem. Fabrycjusz dokazał tego, zostawiając potomnym, prawdopodobnie pierwszy zapisany przez historję amerykańską, przykład rehabilitacji, zdobytej własną pracą i trudem.

* * *

Oprócz wyżej wspomnianych, stare kroniki przechowały nam nazwisko jeszcze jednego Polaka, mieszkańca Nowego Amsterdamu. W księgach niemieckiego luterańskiego zboru w Nowym Jorku znajduje się notatka:

"1718, 28-go września, Jan (Hans) Karoski, mężczyzna około 90-letni, pochowany przy naszym zborze."

Notatkę tę przytacza R. Wynkoop, autor genealogji Zabriskich w "New York Genealogical and Biographical Record" (tom 23), robiąc przypuszczenie, że był to może jaki krewny Olbrachta Zaborowskiego, może nawet brat. Jednakowoż wielka różnica nazwisk wskazuje, że to ostatnie przypuszczenie jest mylne i że pewnie był to jakiś różnowierca polski, który zabłąkał się do Nowej Holandji, tu przybliżył się do Niemców i tu zmarł, dożywszy bardzo późnego wieku.

Polakiem, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, był też Daniel Liczko (Lischo, Litsko, Litchcoe), porucznik załogi Nowego Amsterdamu, potem właściciel jednej z najpopularniejszych gospód w mieście, którego historycy uważają za Niemca. Nie trzeba być filologiem, aby spostrzedz, że nazwisko jego nie jest wcale niemieckie, a teorję o jego polskości popiera fakt, iż pochodził z Koszalina na Pomorzu, które przecie jeszcze w 18-tym wieku posiadało silny żywioł polski.

Liczko przybył do Nowego Amsterdamu bardzo wcześnie jako chorąży w służbie armji holenderskiej. Parokrotnie odznaczył się w służbie zamorskiej a w wyprawie Stuyvesanta na Nową Szwecję brał udział jako porucznik. Około r. 1648 założył gospodę na miejscu dzisiejszego nr. 125 ul. Pearl. Wnet stała się ona punktem zbornym dla okolicznych osadników, przybywających do grodu. W kilka lat potem Liczko przeniósł ją do nowego domu opodal i tam gospodarzył do swej śmierci w r. 1662. Kiedy sir Henryk Moody, poseł Wirginji, przybył w r. 1660 do Nowego Amsterdamu, aby zawrzeć traktat handlowy między kolonjami, zamieszkał w gospodzie Liczka. Musiało to więc być jedno z najporządniejszych miejsc w mieście. Po śmierci porucznika gospodę prowadziła wdowa, Anna, przez długie lata.

Polakiem raczej niż Czechem mógł być niejaki Łokietko czy też Łokietka (Loketka), którego władze holenderskie wysłały do Nowej Holandji dla zbadania stosunków, panujących w kolonji. Łokietko miał wysłać do Amsterdamu dokładne sprawozdanie ze swej wyprawy, ale pozatem nic bliższego nie wiadomo o nim. T. Czapek, w dziele "The Czechs in America" (Nowy Jork, Boston, 1920) wspomina o nim i robi przypuszczenie iż był to Czech, ale nie podaje żadnych dowodów na to a w przystępnych mi dokumentach nie mogłem znaleźć żadnej wzmianki o nim.

Poza tymi wychodźcami polskimi, lub przypuszczalnie polskimi, których można wyśledzić choćby tylko z nazwiska, nie brak było z pewnością w Nowym Amsterdamie i Nowej Holandji i innych Polaków. Że oprócz owego luteranina, padającego na kolana przed błog. Izaakiem Joguesem, prócz Daszkowskiego, Kurcjusza, Zaborowskiego, Karoskiego, Liczka i inni przodkowie nasi byli czynni przy kładzeniu podwalin pod przyszłą metropolę amerykańską, twierdzić możemy z całą pewnością już choćby na podstawie tych kilku nazwisk. Przeszłość bowiem przechowuje ślady tylko nielicznych, tłumy grzebie bezimiennie.

* * *

Nowa Szwecja, teren rehabilitacji Fabrycjusza, przechowała także ślady związków z Polakami i Polską. Król szwedzki, Gustaw Adolf, zachęcony przykładami Anglików, Holendrów, Francuzów, Hiszpanów i innych, snuł daleko idące plany kolonjalne. Willem Usselinx, wychodźca holenderski, uzyskał od niego w roku 1626 pozwolenie na zorganizowanie szwedzkiej Spółki Południowej dla handlu i kolonizacji krain "na zachód od cieśniny gibraltarskiej". Czarter Spółki, wydrukowany po szwedzku i niemiecku, został rozrzucony po Europie dla zwabienia udziałowców. Pieniądze napływały jednak wolno. W listopadzie 1627 Usselinx, uzbrojony w listy polecające od króla, przybył do Polski i zaczął objeżdżać miasta północne w celu agitacji za przyciągnięciem ich do Spółki. Wiadomo np., że był w Tczewie i Gdańsku, próbując zwłaszcza bogatych Gdańszczan zjednać dla swych planów. Zdaje się, że znalazł u nich przychylne przyjęcie, ale śmierć Gustawa Adolfa pogrzebała cały projekt.

Kanclerz szwedzki Oxenstierna próbował potem ponownie założyć szwedzką kolonję w Ameryce. W r. 1637, za panowania królowej Krystyny, Szwedzi wysłali okręt wojenny i osobowy z 50 wychodźcami, którzy mieli stać się jej zawiązkiem. Wyprawa zajęła w posiadanie ziemię u ujścia rzeki Delaware, między Wirginją a Nową Holandją i nazwała ją Nową Szwecją. Obejmowała ona mniejwięcej dzisiejsze stany Delaware i Pennsylwanję oraz części Nowego Jersey i Maryland. Kolonja przetrwała bardzo krótko pod panowaniem szwedzkich gubernatorów, gdyż w r. 1655 zawojował ją Piotr Stuyvesant, gubernator Nowej Holandji, a z rąk Holendrów odbili ją później Anglicy.

Nowa Szwecja stanowi nowy dowód, jak Polska wywierała niekiedy stanowczy wpływ na sprawy kolonij amerykańskich. Szwedzi stracili swą kolonję dlatego przedewszystkiem, że Karol X, zajęty wówczas wojną z Polską, niemiał czasu i sił na odzyskanie jej z rąk zdobywców.

Nawet jednak po utracie kolonji, Szwecja troszczyła się o potrzeby duchowne swych ziomków nad Delaware. Rząd szwedzki przez przeszło sto lat posyłał im pastorów na swój koszt. W dokumentach Nowej Szwecji, podanych przez Acreliusa, znajduje się rozkaz Karola XII, datowany 21-go lutego 1708 w Smorgoniach, na Litwie, w sprawie odwołania pastora Biorka z Ameryki po długich latach pracy. Nawet więc podczas kampanji w Polsce król ten pamiętał o utraconej placówce szwedzkiej w Ameryce.

Podobnie jak w Nowej Holandji i Wirginji, byli też Polacy i w Nowej Szwecji. A. Johnson w swem dziele "The Swedes on the Delaware" wspomina o "dzieciach Pawła Malicha, Małopolanina", które — widocznie sieroty — otrzymywały pomoc w ubraniu, odzieży, obuwiu i innych rzeczach, razem z innymi ubogimi osady, z funduszu dobroczynnego, ustanowionego przez szwedzkiego gubernatora Risinga i zawiadywanego przez pastora.

Jeszcze jeden związek między Nową Szwecją a Polską stanowił Fort Kazimierz, zbudowany w r. 1651 nad rzeką Delaware, blisko teraźniejszego miasta New Castle, Md., o 5 mil poniżej Wilmington, Del. Była to niechybnie najwcześniejsza miejscowość o polskiej nazwie w Ameryce. Mapa Vischera z r. 1655, której oryginał znajduje się w nowojorskiej bibljotece publicznej, podaje go jako "Fort Kasimier" — a więc z bardzo małą różnicą pisowni polskiej. W innych starych dokumentach pisownia zmienia się czasem na Casimier, Casimir itp.

W jaki sposób powstał ten fort i dlaczego dostał polskie miano? Większość historyków — i to najpoważniejszych — przechyla się do zdania, że zbudowali go Holendrzy pod wodzą gub. Stuyvesanta, aby powstrzymać rozwój kolonji szwedzkiej. Dyrektorzy Nowej Holandji w Amsterdamie nie wiedzieli nic bliższego w tej sprawie. W odpowiedzi na raport Stuyvesanta o wyprawie do Nowej Szwecji, donosili mu, że "czas pouczy ich o celach nowego Fortu Kazimierz i dlaczego dostał tę nazwę". (George W. Schuyler, "Colonial New York", New York, 1885). Zdaje się, że nie dowiedzieli się o tem nigdy, gdyż historja powstania fortu pozostaje dotychczas niezupełnie jasną.

Tenże Schuyler przypuszcza, że Stuyvesant nazwał fort imieniem Kazimierz dla uczczenia pamięci Ernesta Kazimierza, księcia Nassau-Dillenburg, (zmarłego w r. 1632), gubernatora Fryzji, rodzinnej swej ziemi. Sentymentalizm nie był jednak cechą charakterystyczną Stuyvesanta. Były niemi — obok gwałtowności — energja i przedsiębiorczość. Mógł wprawdzie chować głębokie uczucie dla nieżyjącego od 20 lat swego dawnego wodza, ale w stosunku do ludzi jego kalibru mimowoli nasuwa się podejrzenie, że pobudki do swych czynów czerpią raczej z teraźniejszości i przyszłości, niż z przeszłości. Stanowczo więc prawdopodobniej wygląda, że Stuyvesant, wiedząc o zatargach Polski ze Szwecją, wybrał nazwę wedle imienia Jana Kazimierza, panującego wówczas króla polskiego, umyślnie, aby dokuczyć Szwedom i równocześnie zjednać kolonji względy Polski, które jeszcze ważyły znacznie w polityce światowej. Stosunki między Szwecją a Polską były silnie naprężone od czasów Zygmunta III-go z powodu katolicyzmu polskich Wazów i ich pretensyj do korony szwedzkiej. Względy polityczne mogły więc doradzić Stuyvesantowi taką próbę zjednania sobie Polski przeciw wspólnemu wrogowi.

Bozman w "History of Maryland" robi rzeczywiście przypuszczenie, iż fort nazwany był wedle króla polskiego, choć twierdzi, że zbudowali go nie Holendrzy ale Szwedzi. Jest to jednak nieprawdopodobne. Tejże teorji trzyma się C. C. Hall w notatkach redakcyjnych "Dziennika Poselstwa Holenderskiego do Marylandu" przez Augustyna Herrmana w r. 1659 (Original Narratives of Early American History). Niektórzy wywodzą nazwę fortu od księcia Jana Kazimierza, palatyna reńskiego, ożenionego z siostrą króla szwedzkiego Gustawa Adolfa, jednego z głównych członków

pierwotnej Szwedzkiej Spółki Południowej, ale wywód ten byłby tylko w tym wypadku usprawiedliwionym, gdyby założycielami fortecy byli Szwedzi. Tymczasem stanowczo bardziej zasługującą na wiarę jest teorja, iż Fort Kazimierz zawdzięcza swe powstanie i nazwę Holendrom. Już same słowa listu dyrektorów Nowej Holandji do Stuyvesanta wskazują na to prawie niezbicie.

Dalsze losy Fortu Kazimierz są następujące: Szwedzi pod gub. Risingiem zdobyli go na Holendrach 21-go maja 1654 i nazwali go Fortem Trójcy (Trefaldigket) ze względu na to, że było to w niedzielę św. Trójcy. Dnia 1go września 1655 Holendrzy pod Stuyvesantem odbili fort i nazwali go znowu Kazimierz. Przez jakiś czas była tu nawet siedziba rządu kolonji. Potem dopiero, zdaje się w r. 1656, przezwali go New-Amstel, od Nieuer-Amstel, przedmieścia Amsterdamu. Odtąd znika już na zawsze polska nazwa fortu. Anglicy, zdobywszy Nową Holandję w r. 1664, przezwali go New Castle i nazwa ta utrzymała się do naszych czasów.

* * *

Dokładniejsze badania dokumentów kolonjalnych niż te, na jakie mogłem sobie pozwolić, odsłoniłyby niechybnie jeszcze niejeden polski ślad w pierwotnych osadach amerykańskich, jeszcze niejeden związek między dawną Polską a Ameryką. Wśród Gdańszczan, Pomorzan i Ślązaków, zamieszkujących Nowy Jork i okoliczne stany w 17-tym i początkach 18go wieku; wśród Palatyńców niemieckich, którzy w 18-tym wieku emigrowali masowo do Pennsylwanji, trafiali się i nasi przodkowie. Prof. I. Daniel Rupp w spisie nazwisk imigrantów pennsylwańskich w latach 1727-1776 ("A Collection of 30,000 Names of Germans, Swiss, Dutch, French and Other Immigrants in Pennsylvania from 1727-1776", Phila., 1876) podaje cały szereg nazwisk, które można uważać za polskie, jak: Piotr Durny, Marcin Bliski, Jan Ludwik Buda, Jan Piotr Lach, Tomasz Lubek, Piotr Karp, Kazimierz Hembda (Hembd?), Jakób Farny, Krystyn Halicki (Hallischke) i kilku Reyów. Byli to przeważnie wychodźcy z Palatynatu, dokąd wielu arjan polskich schroniło się po r. 1658.

Słusznie zauważył prof. Jan Bystroń w swem dziele "Nazwiska polskie" (Lwów, 1927), że "Ameryka była grobem nazwisk polskich". Iluż naszych przodków przepadło w obcem morzu przez zmianę lub zatratę nazwiska, bardzo powszechne w czasach kolonjalnych. To co działo się z nazwiskami w Nowym Amsterdamie, działo się też w innych kolonjach. Zatrata nazwiska nie zawsze była winą ich właścicieli. Obdarzeni przezwiskami przez nowe otoczenie, nieprzywykłe do nazwisk polskich, zmuszeni byli przez nowe warunki do używania ich wszędzie. Przezwiska przechodziły z pokolenia na pokolenie. Typowym przykładem tego jest ród "Polandrów", osiadły w Pennsylwanji. Spis ludności z r. 1790 ("Heads of Families at the First Census of the U. S. in 1790", publ. by Dept. of Commerce and Labor, Washington, 1908) podaje czterech Polandrów jako ojców rodzin: Adama, Fryderyka,

Henryka i Jana Polander, zamieszkałych wraz z żonami i dziećmi w powiecie Northumberland, a więc gdzieś w okolicy Stroudsburga lub Easton, Pa. Polander niechybnie było przezwiskiem, nadanem ich ojcu, może dziadowi, przez sąsiadów, którym wymowa prawdziwego nazwiska sprawiała trudność. Polander nie mogło oznaczać co innego, jak Polaka. Nie wszystkie jednak przezwiska tak dobitnie zaznaczały pochodzenie osadników.

* * *

Dzieje dawnych Polaków nad Hudsonem i Delaware wyglądają na pozór szare, ale życie składa się z szarych dni, a i z szarych postaci plecie się historja. Stanowią one niechybnie nowy nasz tytuł do zasług wobec przybranej ojczyzny. Każdy z tych pionjerów przyłożył cząstkę swego trudu do budowy podwalin pod dzisiejszą potęgę Stanów Zjednoczonych. Każdy z nich w warunkach prymitywnych i ciężkich torował drogę dla przyszłych, szczęśliwszych pokoleń. Na zawsze pozostanie dla nas chlubnym fakt, że Polak Kurcjusz był pierwszym nauczycielem klasycznym w Nowym Jorku, że inni Polacy zaludniali puszcze amerykańskie i wśród ciągłych niebezpieczeństw zamieniali je w urodzajne role. Nieszczęsny Fabrycjusz zawsze może świecić przykładem, jak pokonać własne wady i naprawić błędy życiowe. Ale ponad wszystkimi najpiękniejszą postacią na tej karcie naszych dziejów amerykańskich pozostanie ów nieznany luteranin polski, który pierwszy ujrzał aureolę świętości nad Męczennikiem Pańskim nowego świata.

II

William Penn i Kwakrzy w Gdańsku

Polska odznaczała się zawsze silną odpornością przeciw nowinkom sekciarskim. Idea katolicyzmu górowała w niej nawet podczas najgorszych zalewów protestantyzmu. Wysiłki reformatorskie rozpryskiwały się o wiarę, z którą zrosła się natura polska.

Z niejednej z tych sekt, które przed wiekami przedarły się do Polski, a nawet zdołały rozszerzyć się w niej, nie został ślad, mimo tolerancji polskiej.

Mało znanym dziś faktem jest, że ongiś byli w Polsce kwakrzy, wyznawcy religji, stworzonej przez Jerzego Foxa, angielskiego kowala. Fakt ten o tyle tylko obchodzi wychodźtwo polskie w Ameryce, że tym, który utrzymywał stosunki z polskimi kwakrami i w ich sprawie zabiegał u króla Jana III-go był William Penn, założyciel Pennsylwanji i najwybitniejszy apostoł tej sekty.

Pierwszym, który dotarł do Polski w celu szerzenia religji kwakierskiej, był William Ames, pastor, który przysporzył wielu zwolenników nowej sekcie w Holandji i Niemczech. W r. 1660 udał się on z Hamburga przez Czechy do Polski, przeszedł ją całą wzdłuż i dotarł aż do Gdańska. Samuel M. Janney w swej "History of the Religious Society of Friends", (Philadelphia, 1861), podaje, że "w Gdańsku nawrócił pewną liczbę osób, ale w Polsce nie znalazł posłuchu dla doktryn, które głosił".

W Gdańsku powstała pierwsza i jedyna w Polsce gmina kwakierska, złożona wyłącznie z mieszczan. Rozwojowi sekty stanęły na przeszkodzie prześladowania ze strony współmieszkańców i władz miejskich. Gdańsk nie był jednak wyjątkiem pod tym względem. Były to czasy ostrych prześladowań religijnych w całym cywilizowanym świecie.

Kwakrzy byli przedmiotem szczególnie ciężkiego ucisku. Zwalczano ich wszędzie, gdziekolwiek pojawili się. Przodowały zaś w tym ucisku rodzinna ich Anglja i kolonje w Ameryce.

Penn, bogaty syn admirała angielskiego, przejąwszy się doktryną wzgardzonej sekty, oddał się jej cały na usługi i z gorliwością zaczął pracować nad rozszerzeniem jej w krajach kontynentalnej Europy. W r. 1671 odbył swą pierwszą podróż misyjną do Holandji i Niemiec i wówczas to musiał zetknąć się poraz pierwszy z przedstawicielami gdańskich kwakrów. "A Collection of the Works of William Penn", wydany w Londynie w r. 1726, podaje list Penna z 1-go lipca 1673, wzywający "przyjaciół" — jak nazywali się sekciarze — w Holandji, Niemczech i "w Gdańsku lub koło Gdańska" do wytrwania wobec prześladowań.

O losie gdańskich kwakrów dowiadujemy się ze zbioru "A Collection of the Sufferings of the People called Quakers for the Testimony of a Good Conscience", ułożonego przez J. Bessego i wydanego w Londynie w r. 1753.

W rozdziale XV-tym, opisującym "Cierpienia ludzi zwanych kwakrami w Gdańsku w Polsce, w Emden we Wschodniej Fryzji, w mieście Hamburg, w Palatynacie w Niemczech i w kilku miejscowościach Zjednoczonych Prowincyj" (Holandji) autor opowiada, że w roku 1677 "niewielu mieszkańców Gdańska, przekonawszy się o prawdzie zasad, wyznawanych przez tych ludzi, zaczęli odróżniać się przez publiczne zbieranie się dla chwalenia Boga; to obraziło władze miejskie, które poleciły ująć trzech z nich, mianowicie Jerzego Wunderlicha, pomocnika tamtejszego kupca, Daniela Abrahamsona, krawca, i Krystyna Puttalla, sprzedawcę płócien. Gdy już przesiedzieli jakiś czas w więzieniu, senat wydał następujący rozkaz:

"Ponieważ trzej kwakrowie są jakiś czas trzymani w więzieniu w przednim dziedzińcu ratusza, i sławetna rada nie uważa za możliwe, aby utrzymać ich w dosyć ścisłem odosobnieniu: dlatego wysłała woźnego sądu, aby szukał sposobności (im prędzej, tem lepiej) sprowadzenia ich na pokład okrętu, aby zostali wysłani za morze, z tem postanowieniem, że, gdyby powrócili tu znowu, zostaną niechybnie umieszczeni w domu poprawy lub ukarani w inny ciężki sposób. Dan w senacie 11go maja 1677."

"Stosownie do tego rozkazu zostali wsadzeni na okręt, którego nazwa była "Słup Ognia" i przewiezieni do Anglji.

"Ale pomimo surowości senatu, zebrania przyjaciół odbywały się dalej, chociaż wśród licznych sprzeciwów i zamieszek ze strony grubiańskich i ciemnych ludzi, którym senat wielce pobłażał"..

Z końcem roku 1677 nadszedł do kwakrów w Amsterdamie list od Krystyna Andreasa, Gdańszczanina, z nowemi skargami na prześladowania.

Andreas, majętny właściciel dwuch fabryk szkła w Gdańsku, skarżył się w nim, że tłum parokrotnie wtargnął na zebrania kwakrów i "pozwolił sobie na tyle bezczelności i haniebnej bezbożności, że trudno je opowiedzieć". Nie przytacza jednak nic zdrożniejszego, jak "rozbicie drzwi w domu modlitwy i zabranie kilku rzeczy i kapeluszy", tych ostatnich zapewne dlatego, że jeden z przepisów religijnych zabraniał kwakrom odsłaniania głowy. Straż miejska, zwabiona tumultem, przybyła na miejsce i aresztowała Andreasa i pięciu innych kwakrów. Stawiony przed senatem, Andreas został skazany na utratę swobód miejskich, gdyż, wedle orzeczenia senatu "żaden kwakier, żaden mennonita, żaden arjanin, nie może być obywatelem miasta", pozatem zaś musiał opuścić miasto za cenę uwolnienia z więzienia.

Podobne wypadki zdarzały się i później. Zważyć należy, że Gdańsk bardzo wcześnie uległ wpływom reformacji i większość

mieszczan wyznawała religję luterską. Wśród bogatszych rozkrzewił się później kalwinizm. Nigdy katolicyzm nie zwalczał tak bezwzględnie różnych sekt protestanckich, jak te zwalczały się wzajemnie. Jednakowoż banicja była najcięższem prześladowaniem, na jakie kwakrzy gdańscy mogli się skarżyć przed światem, choć równocześnie współwiercy ich byli gdzieindziej poddawani torturom, a nawet traceni. W Massachusetts, purytańskiej kolonji w Ameryce, kwakrzy poddani byli wyrokowi śmierci przez powieszenie.

Wieści o zamieszkach religijnych w Gdańsku, jak i towarzyszących im sporach politycznych, skłoniły króla Jana III do wyjazdu do miasta. Wielki zwycięzca Turków snuł właśnie wtedy śmiałe plany tajnego sojuszu ze Szwecją przeciwko zdradliwemu elektorowi, Fryderykowi Wilhelmowi, spodziewał się więc, że zdoła za jednym zachodem uspokoić miasto i dobić targu ze Szwedami.

Dnia 1-go sierpnia 1677 wjechał Jan III uroczyście do Gdańska, witany przez władze miejskie i tłumy mieszkańców. Pobyt jego w mieście przeciągnął się aż do 18 lutego 1678.

William Penn bawił wówczas w Amsterdamie, w drugiej swej podróży misyjnej. W swym pamiętniku "Travels in Holland and Germany," zawartym w zbiorowem londyńskiem wydaniu pism z r. 1726, opowiada, że "znalazłszy w Amsterdamie listy od Przyjaciół w Gdańsku, skarżące się na ciężkie cierpienia, jakie przechodzą, zawiadamiające również, że Król Polski jest tam, i pytające o radę w sprawie memorjału do Niego, przyszło mu na myśl, aby napisać następujący w imieniu Przyjaciół w Gdańsku.

"Do Króla Polskiego

"Wielki Panie!

"Czyny Sprawiedliwości, Miłosierdzia i Prawdy przystoją wszystkim wielkim Ludziom, ale w najznakomitszy sposób należą poważnej Rozwadze Królów i Książąt. My, niektórzy Mieszkańcy Miasta Gdańska, oddawna cierpimy wiele, nie przez żadną Zdrożność, popełnioną przeciw Królewskiemu Prawu Boga, lub jakie przekroczenie tych Cywilnych Praw Miasta, które przynależą do dobrego nim Zarządu we wszelkich sprawach Naturalnych i Cywilnych; ale jedynie i wyłącznie z powodu naszych Czułych Sumień względem Boga.

"Gdyśmy tę Surowość przedstawiali Urzędnikom Miasta, nie otrzymaliśmy dotychczas od nich żadnej Ulgi; a niektórzy powiadali, jakoby zwolnienie Ciężaru naszych Prześladowań, dałoby Sposobność do Niezadowolenia z nich Tobie, o Królu, który jesteś naszym uznanym Obrońcą.

"Będąc tak w konieczności a nawet zmuszeni przedłożyć Ci tę Prośbę, nie weźmij za złe, że z Pokorą i Cierpliwością, które przystoją Sługom i Naśladowcom Jezusa i z wszelkim Chrześcijańskim Szacunkiem i Szczerością Myśli, krótko przedstawi-

my Ci najważniejsze Zasady, w które jak najsilniej wierzymy, i które, jak ufamy, uznasz, że nie zasługują na te kary, jakie są nam zadawane jakby jakim Złoczyńcom."

W dalszym ciągu listu Penn przedstawia królowi zasady religji kwakrów, zawarte w ośmiu artykułach, poczem pisze:

"A tu pozwól nam przypomnieć Ci o Szlachetnych Słowach jednego z Twych Poprzedników, Stefana, Króla Polskiego: Jestem Królem Ludzi, a nie Sumień, Królem Ciał, a nie Dusz: I byli i są jeszcze wśród Cesarzów, Królów, Książąt, i Panów Świata niektórzy, którzy mają tego Szlachetnego Ducha i folgują swym Poddanym, różniącym się w Sumieniach; ...Bądź Ty niemniej od nich Szlachetnym; Zważ jak Spokojnie i Wygodnie nasi Przyjaciele żyją pod innymi Rządami".

Przypominając królowi słowa mędrca, że "sławą księcia są jego liczni poddani" Penn prosi go, aby nie pozwolił na opuszczanie kraju przez uczciwych, spokojnych i pracowitych obywateli dlatego tylko, że nie mogą spokoju sumienia pogodzić z poddawaniem się kanonom innej religji.

"O, obyś mógł być Mądrym nawet w Twojem Pokoleniu! I obyś używał władzy, jaką Bóg Ci dał, dla Dobra i Prawdy i Sprawiedliwości!" — woła Penn. "A gdyby kto był tak dla nas szkodliwy, że nazwałby nas Nieprzyjaciółmi Władzy Świeckiej, Niechaj Ci będzie wiadomo, o Królu, że Czcimy wszystkich Ludzi w Panu, nie próżnemi Zaszczytami tego Świata, ale Prawdziwą i Trwałą Czcią, która pochodzi z Nieba; Szczególnie zaś Królów i tych, których Bóg ustanowił nad nami. Uważamy bowiem, że władza jest zarówno Prawną, jak i Pożyteczną dla Postrachu Złoczyńców, jak i dla Pochwały i Zachęty tych, którzy dobrze czynią.

"Tak przedstawiwszy sprawę, błagamy Cię Panie, abyś wziął pod Poważną Rozwagę nasze Cierpienia i przez tę Władzę i Wpływ, jaki masz nad Urzędnikami Miasta, polecił nasze Ciężkie Położenie ich Poważnemu Zastanowieniu; abyśmy nie musieli dłużej znosić tych nietylko Niechrześcijańskich, ale i przeciwnych Naturze Surowości, ale otrzymali szybką i skuteczną pomoc, jak przystoi Chrześcijańskim Urzędnikom dawać swemu własnemu spokojnemu i chrześcijańskiemu ludowi."

List ten Penna mieli doręczyć królowi kwakrzy gdańscy. "Mieliśmy być przedstawieni królowi razem z przyjaciółmi, którzy są w domu poprawy" — donosił Krystyn Andreas współwyznawcom w Amsterdamie 22 listopada 1677. Jednakowoż niewiadomo, czy senat gdański dopuścił ich przed oblicze króla i czy wogóle list ten doszedł do rąk Jana III-go.

Niechybnie wiedział on o losie kwakrów i niechybnie robił co mógł, aby ulżyć ich losowi. Sobieski przy wstąpieniu na tron zaprzysiągł dawnym zwyczajem swobody dla różnowierców i niejednokrotnie stawał w ich obronie, (Encyklopedja Kościelna, rozdział o Dyssydentach). Ale stanowisko jego wobec Gdańska było trudne. Miasto tworzyło prawie niepodległą rzeczpospolitą kupiecką

w obrębie Polski, rządziło się samo przez senat, złożony z 4 burmistrzów i 4 rajców, i niepodlegało Polsce tylko samemu królowi. Podległość ta była jednak krucha. Miasto umiało królom polskim stawiać warunki i nie obawiało się nawet wojen prowadzić z nimi. Sobieski więc, nie chcąc rozdrażniać mieszczan, mógł jedynie polecać kwakrów ich łaskawości.

N. A. de Salvandy w życiorysie "Jan III Sobieski" wspomina o wyniku wizyty króla w Gdańsku: "Sława głośna króla miała tyle powagi i znaczenia, iż udało się jego usiłowaniom pogodzić stronnictwa, ułagodzić fanatyków i ustalić porządek". Niechybnie więc król wstawił się za kwakrami i przynajmniej chwilowe uzyskał dla nich ulgi. Ale wstawiennictwo nie przyniosło trwalszego skutku.

Niejaki Stefan Crisp donosił z Amsterdamu 30 czerwca 1678, że w "Gdańsku władcy skazali kwakrów na opuszczenie miasta do 8 dni, inaczej zostaną wypędzeni przez kata..... Spodziewamy się codziennie wieści, że zostaną wszyscy wygnani, którzy nie dadzą zapewnienia, iż nie będą przychodzili na zebrania". (A Collection of the Sufferings, J. Besse, Londyn, 1753).

Nie były zresztą przepisy przeciw kwakrom stosowane zbyt surowo, skoro, mimo dekretów, sekta rozszerzyła się tymczasem na Szydlicę, wieś w obrębie wolnego miasta, należącą do klasztoru św. Brygidy w Gdańsku, jak świadczy nowy dekret banicyjny, wydany przez rajców Szydlicy i senat gdański 24-go lipca 1679. Dekret ten powiada, że kwakrom "kilkakrotnie mówiono w ich mieszkaniach i rozkazywano uroczyście, aby wynieśli się, ale pomimo tego, po większej części, pozostają tu jeszcze wbrew prawu", wobec czego, stosownie do układu między miastem a klasztorem panien Brygidek, "uroczyście niniejszem nakazuje się i poleca, aby wszyscy kwakrzy i każdy z osobna opuścili miasto między tegorocznym dniem św. Michała a przyszłorocznym i żeby żaden z nich więcej nie znajdował się tu pod karą przymusowego wygnania." Mieszkańcom Szydlicy tenże dekret zabraniał przyjmować kwakrów do swych domów.

Pastor William Gibson, były szewc angielski, bawiąc wówczas w Rotterdamie, wysłał nowy list do władz Gdańska z prośbą o łagodniejsze obejście się z kwakrami. List nosi tytuł: "A Christian Expostulation with the Magistrates of Dantzick and Schidlith, on the Behalf of Some Suffering Christians there" i zawarty jest w zbiorze Bessego. Utrzymany jest w tonie polemiczno-religijnym.

Interwencja Gibsona tem mniej mogła pomódz gdańskim kwakrom. Prześladowania ich przez luterskie władze miasta zaostrzyły się nawet wobec nieskuteczności poprzednich środków. Na rocznem zebraniu przywódców kwakierskich w Londynie w r. 1684 odczytano dwa listy od kwakrów z Gdańska, skarżące się, iż są uwięzieni o chlebie i wodzie, skuci kajdanami po dwuch, mając za całe posłanie wiązkę słomy mimo niezwykle ostrej zimy.

Skargi na ciemiężenie kwakrów musiały dochodzić na ręce króla Jana, który też, widocznie nie ustawał w swych staraniach

wpłynięcia na senat gdański. O zabiegach jego, uwieńczonych wreszcie pomyślnym skutkiem, świadczy protokół z rocznego zebrania sekty w Londynie z r. 1685. "Podobało się Bogu" — podaje zbiór Bessego — "wpłynąć na Króla Polski i Władze Gdańska, że umiarkowanie załatwili prośby, wniesione do nich w sprawie cierpiących przyjaciół i braci, choć większość z nich, skutkiem dawniejszych wielkich prześladowań, zostali zepchnięci do tak niskiego stanu w świecie, że jeszcze nie mogą utrzymać siebie i swych rodzin."

Rzeczywiście, odtąd ustały wszelkie skargi kwakrów na władze Gdańska. Niechybnie stało się za przyczyną Jana Sobieskiego, który bez wątpienia, byłby natychmiast położył kres prześladowaniom, gdyby to wyłącznie od niego zależało.

"Ta pochwała mu się należy, iż pod jego panowaniem tak protestanci, jak szyzmatycy żyli w pokoju... U niego rozsądna tolerancja szła w parze z pobożnością" — świadczy Salvandy.

W r. 1681 Penn założył Pennsylwanję. Nie ulega wątpliwości, że spora liczba Gdańszczan-kwakrów, wypędzona z granic miasta przez protestancki senat, wywędrowała z nim lub we wczesnych latach kolonji, aby za morzem módz swobodnie wyznawać swą religję. Po kwakrach w Gdańsku nie ma dziś ani śladu.

III

Piotr Stadnicki

Pionier Dobrobytu Amerykańskiego

Był kiedyś czas, w którym Stany Zjednoczone, dzisiaj najpotężniejsze i najbogatsze państwo na kuli ziemskiej, nie miały jeszcze żadnego znaczenia w świecie politycznym i finansowym. — Dyplomaci nie liczyli się z niemi. Najpoważniejsi bankierzy lekceważyli je i nie chcieli ani słyszeć o wdawaniu się z niemi w jakiekolwiek sprawy pieniężne.

Tak było podczas wojny rewolucyjnej. Nie lepiej było i podczas pierwszych lat powojennych. Długa walka zniszczyła kraj, zubożyła go i obciążyła olbrzymim długiem. Co gorsze, nie było silnej władzy związkowej. Kongres był bezwładny. Poszczególne stany zazdrośnie strzegły swej suwerenności, a obarczone własnymi ciężarami finansowymi, nie chciały przyjmować na siebie związkowych długów zagranicznych, ani też zobowiązań za stosy pieniędzy papierowych, wydanych przez kongres podczas wojny. W skarbie związkowym były pustki. Nie było czem płacić nawet bieżących wydatków, ani procentów od długów. Bankructwo i rozbicie mozolnie skleconej konfederacji — oto, co ciągle przez szereg lat po wojnie wisiało jak miecz Damoklesa nad młodą republiką amerykańską.

Kongres, szukając jakiegoś wyjścia z trudnego położenia finansowego, uznał wszystkie banknoty, wydane podczas wojny za bezwartościowe. Zmniejszyło to wprawdzie znacznie sumę długów, ale, z drugiej strony, musiało odbić się ujemnie na i tak już słabym, kredycie kraju. Nic dziwnego, że Europa nieufnem okiem patrzyła na świeżo powstałe państwo zamorskie.

Zawierzyć mu wówczas, wspomódz finansowo, było nieledwie cnotą i czynem humanitarnym. Spodziewane bowiem zyski nie odpowiadały niebezpieczeństwu straty.

A jednak znalazły Stany Zjednoczone kilku przyjaciół pośród finansistów europejskich, którzy zaufali im wówczas i wspomogli je pieniężnie. Takimi byli przedewszystkiem bracia Staphorstowie i Willinckowie, bankierzy w Amsterdamie, a obok nich — jedno z najwybitniejszych miejsc zajął Piotr Stadnicki, zamożny i rzutki bankier amsterdamski, szef firmy "Pieter Stadnitski & Son."

Ponieważ osoba i sprawy Piotra Stadnickiego o tyle tylko mogłyby nas bliżej obchodzić, o ileby można stwierdzić związek jego z polskością, podjąłem przeto starania, aby drogą korespondencji wywiedzieć się u poważnych historyków w Ameryce, Polsce i Holandji wszelkich możliwych szczegółów o genealogji holenderskich Stadnickich i życiu Piotra.

W badaniach pomagali mi łaskawie:

P. Józef Białynia Chołodecki ze Lwowa, sędziwy historyk i autor dzieł o przeszłości polskiej; Ks. Jan Sas, profesor historji

w gimnazjum O. O. Jezuitów w Chyrowie; prof. Paweł D. Evans z uniwersytetu Yale w New Haven, Conn., autor świetnej pracy historycznej "The Holland Land Co.", dotyczącej w części działalności Stadnickiego; p. A. de Bussy, archiwista miasta Amsterdamu, w Holandji; Dr. P. J. Van Winter z Amsterdamu, historyk, autor "Amsterdamsche handel en den ophouw van hot Amerikansche Gemeenebest" (Handel Amsterdamu a powstanie republiki amerykańskiej), uważany za powagę naukową w zakresie wczesnych stosunków finansowych holendersko-amerykańskich; p. Karol L. Hoover, konsul Stanów Zjednoczonych w Amsterdamie, oraz prof. N. W. Posthumus, dyrektor państwowego holenderskiego archiwum ekonomiczno-historycznego w Hadze. Wszystkim im składam niniejszem podziękowanie za życzliwą i chętną pomoc.

O polskiem pochodzeniu Stadnickich z Amsterdamu świadczy przedewszystkiem nazwisko, rozgłośne w dziejach Rzeczypospolitej Polskiej. Drobna zmiana pisowni Stadnickich na Stadnitski nie ma znaczenia — i najwidoczniej była podyktowana koniecznością uniknięcia niemoty "c" przed "k" w wymowie holenderskiej.

"Armorial General" J. B. Rietstaga (Gouda, 1887) podaje holenderskich Stadnickich jako ród szlachecki i zaznaczając, że pochodzą z Polski, zamieszcza opis ich herbu. Jest to Szreniawa vel Drużyna, herb Stadnickich ze Stadnik i Żmigrodu, owej właśnie rodziny, która dała Polsce sławnego "Djabła Łańcuckiego".

Ks. J. Sas stwierdził, że źródła historyczne polskie nie wspominają nic o emigracji potomków Djabła Stadnickiego. Synowie jego, Władysław, Zygmunt i Stanisław zginęli kolejno w zamieszkach wewnętrznych lub z rąk katów. Syn Stanisława, Jan, zginął w Bieczu, za najazdu szwedzkiego w walce ze stronnikami króla Jana Kazimierza (S. Morawski, Arjanie Polscy, Lwów, 1906), a wedle W. Łozińskiego (Prawem i Lewem), też z ręki kata. Na tym Janie miał wygasnąć ród Djabła.

P. Białynia Chołodecki, pytany przezemnie kiedy i który ze Stadnickich mógł przenieść się z Polski do Holandji, doniósł mi listem z 4-go października 1928, że w dziele Kazimierza Stadnickiego "Rodowody domu Stadnickich" (Lwów, 1857-61), najkompetentniejszem w tej sprawie, nie znalazł żadnej wzmianki o wychodźtwie którego z dawnych Stadnickich do Holandji, a "rozpytując się pomiędzy naszymi dziejopisarzami, spotkał się z dwoma zdaniami: — wedle jednych, jeden z antenatów Stadnickich, którzy, jak wiadomo, byli kalwinami, z powodu zmiany religji przeniósł się z Polski; wedle drugich zaś, amsterdamski Stadnicki był żydem, który jako Stadnik zmienił swoje nazwisko na Stadnicki."

Dalsza moja korespondencja z wyżej wymienionymi uczonymi przyniosła jednak prawie niewątpliwe potwierdzenie faktu, że holenderscy Stadniccy należeli rzeczywiście do rodu Szreniawitów Stadnickich.

P. A. de Bussy doniósł mi, że pierwszym z nich, zapisanym w dokumentach Amsterdamu jest Daniel Stadnicki, który, biorąc

tam ślub 1-go sierpnia 1693, jako miejsce swego pochodzenia podał "Racov" w Polsce.

Nazwa ta nasuwa odrazu na myśl Raków, który był gniazdem arjan polskich. Wzmianka o nim może wyjaśnić przyczynę i — mniejwięcej — datę pojawienia się Stadnickich w Holandji. Sekta arjan, wzgardzona ogólnie w Polsce i z powodu swych wierzeń i za łączenie się z nawałą szwedzką i siedmiogrodzką, została wyrokiem sejmowym z r. 1658 wywołana z Polski. Wyznawcy sekty musieli wyprzedać się i iść na tułaczkę, o ile nie chcieli powrócić na łono wiary katolickiej. Mógł więc dekret banicji dotyczyć którego ze Stadnickich, który przeszedłszy na arjanizm, wolał porzucić ojczyznę, niż wyprzeć się nowej wiary.

Faktem jest, że arjanizm miał też swych wyznawców wśród Stadnickich Szreniawitów. S. Morawski (Arjanie Polscy, str. 219) pisze, że Jan Stadnicki, syn Stanisława Stadnickiego "Djabełka", ożeniony z Anną Mierzyńską "po dziadu i ojcu odziedziczył arjaństwo". Mierzyńscy byli też arjanami. Niechybnie i inni Stadniccy, przynajmniej na krótko, musieli należeć do tej sekty, zaliczali się bowiem do najgorliwszych "nowinkarzy" w Polsce.

Ale podany przez Daniela "Racov" mógł nie być arjańskim Rakowem. Prawdopodobniejsze jest, że był całkiem inną miejscowością. Szlachta, zwłaszcza dawniej, często dodawała do swych nazwisk także nazwy gniazd rodzinnych. "Racov" był więc niechybnie miejscowością, którą Daniel uważał za swe rodzinne gniazdo, chociaż może nawet nie urodził się w niej. Właściwa jej nazwa nie koniecznie musiała brzmieć Raków. "Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego" wykazuje szereg pokrewnych nazw, a między niemi dwie wsie pod nazwą "Rakowa", jedną w powiecie samborskim, drugą w powiecie Sanockim, w środkowej Małopolsce, tam właśnie, gdzie Szreniawa Stadniccy mieli swe posiadłości.

Daniel Stadnicki najprawdopodobniej wywodził się z jednej z tych Rakowych, a pisarz holenderski wpisał ją do ksiąg mylnie, wziąwszy za miejscowość, rozsławioną w Holandji przez emigrantów — arjan.

O Danielu Stadnickim głucho w genealogjach polskich, prawdopodobnie więc nie on był pierwszym z rodu, który przeniósł się do Holandji. Pole do przypuszczeń jest tu bardzo obszerne. Kto wie np., czy Jan, zabity w Bieczu, nie pozostawił potomka, niezapisanego w genealogjach i czy matka Anna, na skutek dekretu o arjanach nie wywiozła go do Holandji. Djabeł Łańcucki miał zresztą pięciu braci, Marcina, Mikołaja, Jana, Samuela i Andrzeja Piotra. Mogli więc holenderscy Stadniccy pochodzić od którego z nich.

P. Białynia Chołodecki, po dalszych poszukiwaniach w archiwach polskich, znalazł rzeczywiście wzmiankę o Janie Szreniawa Stadnickim, synu Rafała z Wiatrowic, w Sandeckiem, arjanie, który po wypędzeniu z Polski tej sekty, bawił na wygnaniu, gdzie mu urodził się syn Krzysztof.

Wiatrowice, obok Tropia, w Sandeckiem, były gniazdem arjan

i właśnie w czasie grasowania tej sekty w Polsce znajdowały się w ręku Stadnickich. "Pielesz Stadnickich, arjan", nazywa je Szczęsny Morawski (Arjanie polscy, str. 317).

W notatce p. Chołodeckiego nie zgadzają się ani imię, ani miejscowość z tem, co podają źródła holenderskie. Jednakowoż niektóre dane przemawiają za tem, iż Stadniccy z Amsterdamu byli właśnie potomkami owego Jana, syna Rafała.

Że protoplastą holenderskiej linji był Jan, można wnioskować przedewszystkiem z tego, iż imię to powtarza się w niej często, że więc, stosownie do zwyczaju niektórych rodzin szlacheckich, łączyli z niem szczególne tradycje rodowe.

Data emigracji Jana, syna Rafała, zgadza się mniejwięcej z datą pojawienia się Stadnickich w Holandji. Ostateczny termin opuszczenia granic Polski przez arjan był wyznaczony do lipca 1660 r. Pierwszy ze Stadnickich musiał więc przybyć do Amsterdamu około tej daty razem z wieloma innymi koryfeuszami sekty. Różnica dat między wygnaniem arjan a ślubem Daniela, 1-go sierpnia, 1693, wskazywałyby, że ów Daniel był albo synem Jana, bez względu na to, że genealogje wspominają tylko o jednym synu Krzysztofie; albo też, co jest mniej prawdopodobnem — wnukiem Jana, a synem Krzysztofa, zrodzonego już na ziemi holenderskiej. Brak wzmianki o Danielu w genealogjach polskich mógłby być łatwo następstwem przeoczenia, lub pomyłki co do imion.

Holenderscy Stadniccy byli w początkach rzeczywiście arjanami. Dr. Van Winter, pytany przezemnnie o ich religję i co do możliwości żydowskiego ich pochodzenia od legendarnego Stadnika, odpisał mi pod datą 11-go listopada 1928:

"Czy Stadniccy byli żydowskiego pochodzenia, nie mogę potwierdzić, ani zaprzeczyć. Jestem jednak pewien, że w Holandji nie byli żydami. Byli oni chrześcijanami i należeli do sekt protestanckich, ale nie do holenderskiego — reformowanego kościoła (kalwińskiego). Daniel Stadnicki, który przybył z Rakowa, (Racov), zaślubił w Amsterdamie naprzód 1-go sierpnia 1693 Annę Meynderts z Zerdam (Zaandam) i powtóre 11-go marca 1695 Elżbietę Timmermans, obie kobiety o imionach wybitnie chrześcijańskich. Ponadto Jan, syn Daniela i Elżbiety, został ochrzczony 9-go marca 1702."

Zdanie Dra. Van Wintera dostatecznie zdaje się stwierdzać, że Stadniccy nie byli żydami. Jeżeli zaś nie byli kalwinami, mimo tego, iż rodzina Stadnickich w Polsce przeważnie należała do tej sekty—jeżeli nadto zważy się czas emigracji z Polski, jak i miejsce osiedlenia, Holandję, centrum emigracji arjan — czyż nie wszystko przemawia za tem, iż byli arjanami? Dr. Van Winter w swem dziele "Amsterdamsche handel" wyraża właśnie takie przypuszczenie.

Notatka p. Białynia Chołodeckiego podaje dalej, że Rafał, ojciec Jana, przypuszczalnego protoplasty holenderskich Stadnickich, pochodził z Wiatrowic w Sandeckiem. Różni się to z oświadczeniem Daniela, przypuszczalnego syna Jana, iż pochodzi z Rakowej. —

Jednakowoż Jan przed opuszczeniem Polski mógł przez małżeństwo lub kupno wejść w posiadanie którejś z Rakowych i tam założyć swe gniazdo rodzinne.

Tak więc możemy z pewną cechą prawdopodobieństwa twierdzić, że Stadnicy holenderscy byli potomkami Jana, syna Rafała, Szreniawa Stadnickiego; że w każdym razie, byli członkami tego rodu, którzy w 17-tym wieku przesiedlili się z Polski do Holandji z powodu wyznania arjańskiego. Wyznanie to, czas emigracji, pieczętowanie się herbem Szreniawa, i inne szczegóły silnie przemawiają za tem.

O Danielu Stadnickim nic pozatem nie wiemy ze źródeł holenderskich. Genealogja, nadesłana mi przez p. A. de Bussy i Dra. Van Wintera, wykazuje, że Jan Stadnicki, syn Daniela, zaślubił w Amsterdamie Sarę de Clerq, wyznania mennonickiego, 7-go listopada 1728, i miał z nią następujące potomstwo: Kornelję, ur. 1729; Elżbietę, ur. 1732; Piotra, ur. 1735 i Sarę, ur. 1737. Wszystkie dzieci, jak twierdzi Dr. Van Winter były wychowane w religji matki i, poza świadomością polskiego pochodzenia, niechybnie były już zholenderszczone.

Piotr Stadnicki, wnuk, jak przypuszcza Dr. Van Winter, ale, mojem zdaniem, raczej prawnuk założyciela holenderskiej linji Stadnickich, był właśnie tym, który z końcem 18-go wieku cieszył się opinją jednego z najwybitniejszych bankierów holenderskich i odegrał znaczną rolę w historji gospodarczego rozwoju Stanów Zjednoczonych.

Prywatne życie Piotra jest przeważnie nieznane. Wiadome są natomiast dokładnie szczegóły jego działalności finansowej. Zrazu działalność ta ograniczała się do papierów wartościowych europejskich. Dopiero w r. 1785 niejaki Daniel Parker, spekulant amerykański, zwrócił jego uwagę na możliwość dużych zysków z wykupna kwitów amerykańskiego długu wewnętrznego. Wartość ich wówczas była bardzo problematyczna, gdyż nie posiadały żadnej gwarancji, że skarb Stanów Zjednoczonych wykupi je z jakimkolwiek procentem lub też czy wogóle wykupi. Rada Parkera była niebezpieczna, ale Stadnicki usłuchał ją i zaczął skupywać kwity amerykańskiego długu wewnętrznego, stając się w ten sposób jednym z finansowych pionierów, którzy niepewnym amerykańskim papierom wartościowym otwierali drogę na europejskie giełdy, dominujące w ówczesnym świecie pieniężnym.

Spostrzegłszy się z czasem, że Parker zawiódł go w bardzo niepewną spekulację, Stadnicki powziął oryginalny plan zabezpieczenia wyłożonego kapitału. Zaczął mianowicie skupywać kwity długu wewnętrznego w możliwie największych ilościach i zatrzymywał je jako żelazny kapitał, na który wypuszczał rodzaj akcyj, przynoszących procent i płatnych przez losowanie. Był to więc rodzaj loterji, który w ówczesnym terminie nazywał się "negocjacją."

Ponieważ Stanów Zjednoczonych nie otaczał jeszcze magiczny

nimb dolara, Stadnicki własnymi funduszami gwarantował wypłatę procentu nawet w tym wypadku, gdyby Stany Zjednoczone zaniedbały uczynić to. Gra była ryzykowna, ale był to jedyny sposób zabezpieczenia wyłożonego kapitału. Chęć zysku nie była zresztą jedyną pobudką Stadnickiego. Sam z przekonań demokrata, sam przejęty hasłami wolności, kierował się wiarą w Amerykę. Przyznają mu to zgodnie Dr. Van Winter i prof. P. D. Evans. Stadnicki słyszał, że patrjoci amerykańscy robią już usilne starania o jak najszybsze uchwalenie konstytucji, o polepszenie finansów kraju i przywrócenie kredytu narodowego. Zachęciło go to do podjęcia ryzyka.

Kiedy pierwsza "negocjacja" 1,200,000 florenów na zastaw 840,000 dolarów w papierach amerykańskich została rozchwytana przez publiczność holenderską, Stadnicki wypuścił szereg dalszych "negocjacyj", wywołując przez to zainteresowanie się Ameryką w Holandji i wszczepiając w drugich własną wiarę w jej finanse.

Około roku 1788 Stadnicki był już głównym agentem giełdowym Stanów Zjednoczonych w Europie. Papiery amerykańskie w jego posiadaniu dochodziły do miljonowych sum. "Mr. Stadnicki, our principal broker", nazywa go Tomasz Jefferson, ówczesny poseł amerykański w Paryżu, w liście do komisarzy skarbu w Ameryce z 7-go lutego 1788. Był to czas nadzwyczaj krytyczny dla Stanów Zjednoczonych. Bankructwo groziło im całkiem poważnie. Zbliżał się termin płatności rocznej raty procentu od poprzednich pożyczek. Tymczasem w skarbie związkowym nie było pieniędzy. Komisarze skarbowi musieli zawiadomić bankierów w Holandji, że "ani szylinga" nie będą im mogli przysłać na dług. "Niebezpieczeństwo czegoś w rodzaju bankructwa" — jak pisał Jefferson Waszyngtonowi w tym czasie, zbliżało się szybko. Jedyną nadzieją była jeszcze nowa pożyczka, świeżo rozpisana w Holandji, na miljon florenów, ale, wedle listu Jeffersona do Adamsa (z 6 lutego 1788) "Willinck i Staphorstowie odpowiedzieli, że niema najmniejszego podobieństwa zebrania tyle na tę pożyczkę, aby zapłacić procent, przypadający następnego czerwca i że, jeżeli spłata ta opóźni się choćby o jeden dzień, wyrządzi to taką szkodę amerykańskiemu kredytowi, jakiej nie naprawi nawet bardzo długi czas."

Korespondencja Jeffersona z tego czasu (The Writings of Thomas Jefferson, ed. A. R. Limpscomb, Washington, D. C., 1903) odkrywa fakt, że w tej krytycznej chwili Stadnicki zgłosił się z pomocą Stanom Zjednoczonym. Zobowiązywał się mianowicie pokryć całą brakującą jeszcze sumę nowej pożyczki, wynoszącą 622,840 florenów, pod warunkiem, że z tego odciągnie sobie zaległy procent za kwity wewnętrznego długu, jakie posiadał na ręku. Procent ten narósł do 180,000 florenów. Uzyskana w ten sposób suma dałaby Stanom Zjednoczonym możność spłacenia najważniejszych zaległości i uniknięcia niewypłacalności. Jefferson był gotów skorzystać z propozycji, w ostatniej jednak chwili, przez osobisty wyjazd do Amsterdamu, zdołał popchnąć sprzedaż nowych obligacyj amerykańskich, wobec czego pomoc Stadnickiego była już zbyteczna.

Pierwsze spekulacje Stadnickiego amerykańskiemi papierami przyniosły ostatecznie dobre wyniki wszystkim trzem stronom interesowanym: publiczności, Ameryce i bankierowi. Zachęciło to Stadnickiego do podobnych tranzakcyj z długami poszczególnych stanów amerykańskich, zaciągniętymi podczas wojny rewolucyjnej. Stadnicki był pierwszym, który zwrócił na nie uwagę i wykupił znaczną ilość kwitów stanowych, zwłaszcza stanów Massachussets i Południowej Karoliny. Na kwity te rozpisał nowe "negocjacje", które również powiodły się.

System Stadnickiego pobudził innych do pójścia w jego ślady. Staphorstowie i Willinckowie, najpoważniejsi bankierzy holenderscy, połączyli się z nim dla wspólnego odtąd działania na terenie amerykańskim. Wnet potem i dwa inne, mniejsze domy pieniężne, Van Eeghen i Ten Cate & Vollenhoven, przystąpiły do spółki. Kierownictwo akcją objął Stadnicki. Aby ułatwić ją sobie, wysłał do Ameryki, w porozumieniu ze spólnikami, swego przyjaciela, Teofila Cazenovę, podupadłego bankiera, Francuza z pochodzenia, obdarzywszy go wprzód z prawdziwie staropolską hojnością. Cazenove miał działać jako agent i przedstawiciel spółki w Stanach Zjednoczonych. Przełożeni zostawili mu dużą swobodę wyboru odpowiednich lokacyj kapitału. Jakkolwiek nie wszystkie tranzakcje jego były szczęśliwe, jednakowoż nigdy w niczem nie złamał swej wierności dla pracodawców i zaufania, jakie w nim położył Stadnicki.

Wkrótce po przyjeździe Cazenovy do Ameryki, zapanowała tu gorączka spekulacyj "dzikiemi gruntami", to jest olbrzymimi obszarami niezaludnionej i nieuprawnej ziemi. Miljony akrów leżały odłogiem i w stanie zupełnej dzikości jeszcze w granicach pierwotnych trzynastu stanów, cóż dopiero mówić o obszarach leżących dalej ku zachodowi. Cazenove, ogarnięty ogólnym ruchem, zaproponował swoim przełożonym w Holandji, aby i oni puścili się na handel ziemią amerykańską, który, jak się zdawało, obiecywał duże i szybkie zyski.

Projekt nie wszystkim spólnikom przypadł zrazu do gustu. Stadnicki jednak pochwycił go odrazu. Chociaż "wielu najbogatszych bankierów Londynu i Amsterdamu nie chcieli mieć nic do czynienia z przedsiębiorstwami amerykańskiemi, uważając je za oparte na fałszywych zasadach i skazane zgóry na niepowodzenie, Stadnicki, ufny, jak zawsze, w jasną przyszłość Ameryki, był gotów oddać ochotnie część swych zysków na to nowe przedsiębiorstwo w młodej republice" — pisze prof. Evans w swej historji — "The Holland Land Co."

Stadnicki, skupiwszy obok siebie dwa najuboższe domy z dotychczasowych spólników: Van Eeghen i Ten Cate & Vollenhoven, stworzył w r. 1792 pierwszą spółkę, t. zw. Klub Trzech, dla handlu zamorskimi gruntami. Kapitał zakładowy tej spółki wynosił 150,000 florenów, z czego Stadnicki dał 100,000 a dwaj inni członkowie po 25,000. Ponieważ wybór gruntów na ślepo był rzeczą

niemożliwą, a Cazenove sam jeden nie mógł dać sobie z tem rady, Stadnicki przysłał mu do pomocy Gerrita Boona i swego ulubieńca, Jana Lincklaena, młodego marynarza holenderskiego.

W głowie rzutkiego potomka polskich karmazynów snuły się wówczas śmiałe plany. Marzył, że energją swoją i przy pomocy swego majątku nietylko zaludni puszcze amerykańskie, ale stworzy w nich nowy przemysł, który uwolni Amerykę od plagi niewolnictwa. Cukier z trzciny cukrowej był prawie wyłącznie wytworem pracy czarnych niewolników. Marzyciele ówcześni wysuwali projekt fabrykacji cukru z soku drzew klonowych celem wyparcia z rynku cukru z trzciny i odebrania w ten sposób niewolnictwu racji bytu. Stadnicki, przejęty altruizmem projektu, porozumiał się ze spólnikami i postanowił wprowadzić go w życie na nowych posiadłościach amerykańskich.

"Zająwszy się raz gruntami amerykańskimi jako polem spekulacji, niestrudzony duch Stadnickiego pchał go do nowych wysiłków" — pisze prof. P. D. Evans. Przedewszystkiem więc wciągnął do Klubu Trzech nowych spólników, a między nimi solidne banki Staphorstów i Willinckow. Spółka ulegała jeszcze dalszym przemianom, aż ostatecznie w r. 1795 została zreorganizowana w Hollandsche Land Compagnie — Holland Land Co., której 896 akcyj było rozłożone w następującym stosunku: Willinckowie 256 akcyj, Stadnicki 208, Staphorstowie 192, Van Eeghenowie 128, Ten Cate & Vollenhoven 80 i Schimmelpenninck 32. Stadnicki nietylko pozostał jednym z głównych akcjonarjuszy spółki we wszystkich jej przemianach, ale i utrzymał się do swej śmierci na stanowisku jej kierownika. Współczesny mu Samuel S. Forman, cytowany w "Pamiętnikach Jana Lincklaena" (Journals of John Lincklaen, agent of the Holland Land Co., New York, 1897) nazywa go "głównym dyrektorem spraw Holland Land Co. w Ameryce".

Stadnickiemu w tem jednaniu poparcia poważnych firm dla swych projektów chodziło o przełamanie nieufności Holandji i reszty Europy do spekulacyj gruntami amerykańskimi. Aby tem lepiej osiągnąć swój cel, wydał z końcem r. 1792 broszurę w języku holenderskim p. t. "Voorafgaand Bericht wegens eene Negotiatie op Landen in America door Pieter Stadnitski" (Amsterdam). Broszura przedstawiała zyski, jakie można osiągnąć z lokacji funduszów w ziemi amerykańskiej, warunki jej zakupna i osadnictwa. Rzadka dzisiaj, stanowi ciekawy przyczynek do historji wczesnego amerykańskiego osadnictwa.

Śmiałe plany Stadnickiego wywołały duże zaciekawienie wśród finansistów i publiczności. Przygotowawszy sobie tak grunt do działania. Wypuścił jedną "negocjację" na 3 miljony guldenów, zabezpieczoną ziemią w stanie Nowy Jork. Gdy pierwsza "negacja cja" powiodła się doskonale, wypuścił drugą na 3,450,000 guldenów.

Agenci spółki w Ameryce, mając do dyspozycji olbrzymie te zasoby pieniężne, rozpoczęli zakupno gruntów na wielką skalę. — W kilku latach w posiadanie spółki dostało się przeszło pięć miljo-

nów akrów ziemi w środkowej i zachodniej części stanu Nowy Jork i w północnej i zachodniej części stanu Pennsylwanja. Był to obszar większy niż połowa dzisiejszej Polski a prawie równy dzisiejszym Czecho-Słowacji i Węgrom razem wziętym.

Poszczególne posiadłości Holenderskiej Spółki Ziemskiej były następujące:

Tak zwane "Sześć Dystryktów", obejmujące przeszło miljon akrów gruntu w powiatach Alleghany i Northumberland we wschodniej Pennsylwanji.

Około pół miljona akrów, rozrzuconych w powiatach Erie, Crawford, Warren, Forest, Venango, Clarion, Jefferson, McKean, Elk, Cameron, Porter i Lycoming w północno zachodniej Pennsylwanji.

Osada Cazenovia na południe od rzeki Mohawk, między dzisiejszem Syracuse a Utica, N. Y.

Osada Oldbarneveld, na północ od rzeki Mohawk i dzisiejszej Utica, N. Y., na której Boon z końcem 18-go wieku rozpoczął fabrykację cukru z soku drzew klonowych, zakończoną jednak niepowodzeniem.

Wreszcie najważniejszą posiadłość spółki stanowiły 3,000,000 akrów gruntu w t. zw. West Genesee, obejmujące cały zachodnio-północny zakątek stanu Nowy Jork, od granicy Pennsylwanji po jeziora Erie i Ontario i na wschód aż poza Batavia, N. Y. Te ostatnie grunta spółka nabyła od Roberta Morrisa za $300,000.

Spekulacje gruntowe zawiodły nadzieje Stadnickiego i jego spólników na szybkie i duże zyski. Okazało się to bardzo prędko. Zamiast zbierać zarobki, spółka musiała przez szereg lat dokładać grube sumy na najkonieczniejsze ulepszenia na swych posiadłościach. O osadników było stosunkowo trudno, zwłaszcza, że zaczynał się już ruch wychodźczy ku dalszemu zachodowi. Osadnicy byli z reguły ludźmi biednymi, którzy mogli kupować ziemię tylko na długie spłaty. Przez wiele lat ziemia nie wydawała im tyle, by mogli opłacać raty długu i procenty. Niejednokrotnie trafiali się wśród nich ludzie nieuczciwi. Spółka siłą rzeczy wpadła w różne trudności prawne i ucierpiała wiele skutkiem przesileń gospodarczych, przez jakie przechodziły Stany Zjednoczone. Musiała nadto niemal nieustannie walczyć z niechęcią niektórych Amerykanów ku sobie, jako cudzoziemskim przedsiębiorcom i bronić się kosztownie w legislaturach przed wrogimi bilami.

Jeżeli pomimo tych trudności posiadłości spółki zaludniły się pionierami, jeżeli wertepy i gąszcza leśne znikły, a na ich miejscu powstały orne pola, wsie i miasta, zasługa to przedewszystkiem kierownictwa spółki, które głównie spoczywało w rękach Piotra Stadnickiego. Spostrzegłszy się, że kupno gruntów amerykańskich było pomyłką, z bankierskiego punktu widzenia, i zaplątało go w niepotrzebny kłopot, z którego na razie nie było wyjścia — nie opuścił rąk, ale uczciwością i rozumnemi zarządzeniami zdołał nadać olbrzymiemu przedsiębiorstwu kierunek, który utrzymali jego następcy i dzięki temu doprowadzili je do pomyślnego końca.

Na to jednak potrzeba było niemal pół wieku. Próbowali wprawdzie bankierzy holenderscy wyzbyć się swych posiadłości hurtownie, jednakowoż szło to ciężko. Stany Zjednoczone nie były jeszcze krajem miljonerów, o gotówkę, lub choćby o gwarancję większych spłat było trudno. Po gorączce gruntowej w latach 1790-tych grunta były zresztą uważane za złą spekulację.

Postępowanie spółki wobec osadników było zawsze uczciwe i łagodne. Wychodząc z założenia, że zyski spółki zależne są od dobrobytu osadników, Stadnicki i towarzysze zabiegali wszelkimi sposobami, aby ułatwić im osadnictwo, zapewnić zaspokojenie koniecznych potrzeb życiowych i doprowadzić ulgi w spłatach do możliwych granic. Z nakazu swych przełożonych, agenci spółki byli bardzo ogłędni w ściąganiu zaległości, nie wyrzucali z gruntów nawet takich, którzy przez całe dziesiątki lat nie płacili ani kapitału, ani procentu. Nawet wobec tych, którzy otwarcie nadużywali łagodności spółki, z reguły nie uciekano się do prawa, z wyjątkiem kilku wypadków. Gdy długi przerosły wartość gruntu, spółka skreślała je częściowo. Grunta sprzedawane były po umiarkowanych cenach. Dla ulżenia osadnikom, spółka przyjmowała spłaty w naturze, zwykle z własną szkodą. Starała się o podniesienie rasy bydła, budowała drogi, tartaki i młyny i pomagała do rozwoju początków przemysłu.

Cazenove, po nim Włoch, Paweł Busti, a po nich Holender, Vanderkemp, główni agenci spółki, wiernie trzymali się instrukcyj z Amsterdamu, kładących nacisk na jak najdalej idącą ludzkość wobec osadników. To też kiedy około r. 1835 spółka odsprzedała swe obszerne posiadłości w West Genesee (północno-zachodnia część stanu Nowy Jork), wiadomość o tem przyjęli osadnicy ogólnym żalem. Stosunek dłużnika do wierzyciela jest zwykle nacechowany niechęcią. Wśród osadników nigdy nie brakło takich, którzy stale narzekali na swych panów, choć byli to najczęściej ci, którzy z własnej winy zalegali z opłatami. Jednakowoż na wieść o wykupnie gruntów przez Amerykanów, ci właśnie najwięcej żałowali zmiany właścicieli i czemprędzej spieszyli do Batavii, gdzie było główne biuro spółki, aby zawczasu wykupić swe tytuły własności.

Ludzkie postępowanie Stadnickiego i jego spólników wobec osadników stanowiło silną sprzeczność z surowemi warunkami, jakie nałożyli nowi właściciele, Amerykanie. Warunki były tak twarde, że doprowadziły w r. 1836 do szeregu zaburzeń na terytorjum West Genesee, skierowanych jednak nie przeciw ich autorom, ale spółce holenderskiej skutkiem mylnego a powszechnego mniemania, że sprzedaż była tylko udaną w celu szybszego ściągnięcia zobowiązań przez bankierów amsterdamskich.

Najdłużej utrzymała się spółka w posiadaniu gruntów w Sześciu Dystryktach. Z powodu ubóstwa ziemi osadnictwo w tej okolicy rozwijało się bardzo powoli. Bogactwa mineralne jej nie były jeszcze znane. Ostatecznie dopiero w r. 1849 spółka zdo-

łała pozbyć się ostatku gruntów amerykańskich, mianowicie 23,000 akrów w powiecie Armstrong w Pennsylwanji. Wielu osadników nigdy nie spłaciło jej swych zobowiązań.

Pomocnikiem Piotra Stadnickiego w kierownictwie przedsiębiorstwami amerykańskiemi był od r. 1791 jego siostrzeniec, Arend van Halmael. Syn Piotra, Jan, choć figurował w firmie, nie był w niej czynnym, gdyż był jeszcze niepełnoletnim. Był on najmłodszem dzieckiem Piotra Stadnickiego i Krystyny z domu Coster, z Rotterdamu, zaślubionych 2-go września 1763. Prócz Jana, Piotrowie Stadniccy mieli troje dzieci: Sarę, zamężną za owym na van Halmaelem; Jakóbę, zamężną za Janem van Heukelom; i Andrzeja, żonatego z Zuzanną van Heukelom, siostrą Jana. i Andrzeja, żonatego z Zuzanną von Heukelom, siostrą Jana.

Piotr Stadnicki zmarł w r. 1795. Po jego śmierci firma "Stadnitski and Son" została przekształcona w "Stadnitski and Cuperus", której spólnikami byli J. M. Cuperus i nieletni jeszcze Jan Stadnicki. Cuperus umarł w r. 1797 i firma znowu została zmieniona na "Stadnicki and Van Heukelom". Jan mniejwięcej w tym czasie osiągnął pełnoletność, ale nie musiał wyłącznie zajmować się kierownictwem firmy, gdyż — jak mi doniósł Dr. Van Winter, był oficerem kawalerji holenderskiej. Dokumenty legislatury stanu Nowy Jork wspominają go już w r. 1797 jako współwłaściciela Holland Land Co. i nazwisko jego powtarza się odtąd ciągle w dokumentach aż do zupełnego wycofania się spółki z terenu amerykańskiego.

Rozumna polityka Piotra Stadnickiego, jego spólników i następców przyniosła ostatecznie dobre wyniki i dla nich. Wedle obliczeń prof. P. D. Evansa, grunta w Pennsylwanji przyniosły spółce naogół około miljon dolarów straty. Jednakowoż stratę tę wynagrodziły zyski z gruntów w West Genesee. Koszt ich pierwotny wynosił 300,000 dolarów. Około drugie tyle wydali właściciele na ulepszenia. Sprzedaż ziemi przyniosła około dwa miljony dolarów. Osady Cazenovia i Oldbarneveld zostały wcześnie odprzedane agentom spółki, pierwsza Lincklaenowi w r. 1817, druga Adamowi Mappa w r. 1816 z drobnym zyskiem. Ostatecznie, po pół wieku Jan Stadnicki i bankierzy holenderscy odebrali wszystkie swoje kapitały z około 5-tym procentem.

Jakkolwiek więc przedsiębiorstwo zawiodło poniekąd z czysto finansowego punktu widzenia, jednakowoż miało duże znaczenie ekonomiczne dla Stanów Zjednoczonych. Bankierzy amsterdamscy, a głównie Piotr Stadnicki, jako inicjator przedsiębiorstw amerykańskich i ich główny kierownik do czasu swej śmierci, położyli znaczne zasługi dla gospodarczego rozwoju zamorskiej republiki.

Już przez sprzedaż swych "negocjacyj" wśród publiczności europejskiej i uczciwe wypłaty procentów i kapitału wszczepiał wiarę w Amerykę, wywoływał zwiększone zainteresowanie się nią i przyczyniał się do wzmocnienia słabych jej finansów.

Zorganizowana przez niego Holland Land Co. położyła pierwsze podwaliny życia cywilizowanego na olbrzymich obszarach "dzikich pól", które stanowią dziś najludniejsze i najzasobniejsze okolice Stanów Zjednoczonych. Równocześnie zaś zostawiła przykład uczciwości kupieckiej, na który wychodźca polski z dumą wskazać może jako na dzieło myśli i duszy potomka Polaków. Jakkolwiek bowiem Stadnickim i jego spólnikami kierowała chęć zysku, nigdy w niej nie przekroczyli praw moralności, owszem, wyżej stawiali uczucia ludzkości, jak pieniądz.

Prof P. D. Evans w liście z 4-go lutego 1929 taką wyraził mi cenną opinję o Piotrze Stadnickim na podstawie swych badań, które miały o wiele szerszy zakres niż te, na które mogłem pozwolić sobie:

"Jak wielu ze współczesnych, Stadnicki trudnił się różnego rodzaju handlem. Jako kupiec prowadził handel wywozowy i przywozowy. Przedewszystkiem jednak był bankierem i pośrednikiem giełdowym i to bardzo szczęśliwym. Jefferson nazywał go 'najwyśmienitszym bankierem'; inne świadectwa wykazują, że solidność jego była wysoko ceniona. Był odważnym, śmiałym spekulantem. Miał świetny zmysł orjentacyjny. W polityce był liberałem. Nalczał do patrjotów, którzy w tym czasie pracowali nad zdobyciem bardziej demokratycznego rządu w Holandji".

Próby fabrykacji cukru z soku drzewa klonowego stawiają Stadnickiego w rzędzie pionierów amerykańskiego przemysłu — bez względu na ich niepowodzenie.

Tak to więc Polak — zholenderszczony wprawdzie—przyczynił się walnie do dobrobytu Stanów Zjednoczonych w zaraniu ich dziejów, nie stanąwszy ani razu swą stopą na ziemi amerykańskiej.

W Buffalo, N. Y., największem mieście na dawnych posiadłościach spółki, przez długie lata istniała ulica Stadnickiego — dzisiejsza ul. Church. Nazwa jej, jak i nazwy innych ulic wedle nazwisk członków spółki, została zmieniona pod wpływem agitacji demagogów w latach rozruchów w West Genesee (około r. 1836).

Wedle dra. van Wintera, firma "Stadnitski and Van Heukelom" przetrwała w Amsterdamie aż do naszych czasów, bo aż do początku 20-go wieku, jednakowoż od czasu śmierci Jana Stadnickiego, syna Piotra, żaden Stadnicki nie był jej członkiem.

Jan Stadnicki umarł w r. 1843, pozostawiając córkę, Joannę Robertynę Angelinę, i syna, również Jana, urodzonego w r. 1821. Syn ten poświęcił się także zawodowi wojskowemu i dosłużył się stopnia majora artylerji holenderskiej. Ze śmiercią majora Jana wygasła holenderska linja Stadnickich po mieczu. Dzieci siostry jego, Joanny, zamężnej w r. 1850 za Janem Adrjanem Koopmans przybrały nazwisko Koopmans-Stadnicki. Są to więc potomkowie po kądzieli, którzy żyją dotychczas w Holandji, szczycąc się swą łącznością z krwią polską.

IV

Sadowscy, Pionierowie Ohio i Kentucky

Sandusky is a pleasant name;
'Tis short and easy spoken;
Descending to us by a chain
That never should be broken.

Then let us hand it down the stream
Of time to after ages,
And Sandusky be the theme
Of future bards and sages.

(Z "Historical Collections of Ohio", H. Love'a, Columbus, O., 1891, tom III, str. 198).

Było to w roku 1849-tym. Sędzia powiatowy w Lower Sandusky, O., rozpatrywał prośbę gromadki obywateli o zmianę nazwy miasteczka na Fremont dla uczczenia generała Fremonta, zdobywcy Kalifornji w wojnie amerykańsko-meksykańskiej. Jako jedyny przeciwnik prośby wystąpił młody adwokat, który za cały swój argument odczytał wierszyk o siedmiu zwrotkach, z których dwie otwierają niniejszy szkic. Autorem wierszyka był sędzia Howland, który zabijał czas pisaniem ulotnych rymów, ale z powodu starości nie mógł osobiście stanąć do sądu, aby bronić dawnej nazwy miasta. Tym, który zastępował go, jako obrońca, był późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych, Rutherford B. Hayes.

Sędziwy poeta i jego adwokat przegrali sprawę. Miasto Lower Sandusky, O., zostało odtąd Fremontem. Ale nie zatarło to historycznej nazwy Sandusky z map stanu Ohio.

"Imię Sandusky jest tak powszechne w naszej części stanu, że stało się prawdopodobnie najlepiej znanem w Unji" — pisał mieszkaniec tych stron, J. I. Green z Tiffin, O., 28 lutego 1842, do redakcji "The American Pioneer" (tom I, str. 199).

Rzeczywiście, choć sądowi i obywatelom z Lower Sandusky nie przemówiły do serca i przekonania proste zwrotki starego poety, w południowo zachodniej części stanu Ohio—a i w innych częściach Stanów Zjednoczonych — pozostało do dziś jeszcze wiele topograficznych nazw Sandusky.

Z biegiem czasu ustaliła się obecna pisownia Sandusky. Dawniej jednak, zwłaszcza w początkach zetknięcia się białych z czerwonoskórcami nad jeziorem Erie, nazwa ta pojawiała się w najrozmaitszej pisowni i — co najciekawsze — miała jeszcze więcej cech polskości, niż dzisiejsze Sandusky.

Pierwsi angielscy handlarze, którzy zapuszczali się w te stro-

ny, wspominają o rzece St. Dusky i St. Sandoske. Holenderska mapa z roku mniejwięcej 1730 nazywa dzisiejszą zatokę Sandusky — Lac Sandouske, a na mapie drukowanej w Londynie w r. 1773, zatoka ta nazwana jest Lake Sandoski. (Nevin O. Winter, "A History of Northwest Ohio", New York, 1917).

Tu nad zatoką i rzeką Sandusky były pierwsze siedziby białych w północno-zachodnim Ohio. Tu w r. 1745 wybudowany został pierwszy fort białych w Ohio, zwany Fort Sandoski. Koło miasta Port Clinton, O., znajduje się kamień pamiątkowy z tablicą na miejscu tego dawnego fortu, wzniesiony za naszych czasów. W napisie tablicy została zachowana dawna pisownia Sandoski.

W jaki sposób w odległym zakątku Ameryki tak wcześnie pojawiło się imię, które uderza ucho swojem polskiem brzmieniem?

Wedle jednej teorji, Sandusky nie ma nic wspólnego z polskością a powstało z wyrażenia indyjskiego "sa-un-dus-tee", co ma znaczyć "nad zimną wodą". Ku tej teorji skłaniają się zwłaszcza młodsi historycy amerykańscy.

Ale wedle drugiej teorji, opartej na tradycji, Sandusky pochodzi od nazwiska Sadowskiego, Polaka, pioniera amerykańskiego zachodu, który niemal o cały wiek wyprzedził kolonizację białych w Ohio.

Która teorja jest prawdziwą, trudno orzekać stanowczo. — W każdym razie, zwolennicy pierwszej mają za sobą tylko gołosłowne przypuszczenie, a przeciw nim przemawia to, że Sadowski więcej jest zbliżony brzmieniem i pisownią do Sanduski, niż "sa-un-dus-tee".

Upiera się przy prawdziwości drugiej teorji wspomniany J. I. Green w tymże liście do redakcji "The American Pioneer" i opowiada, że "w czasie, gdy Francuzi ustanawiali swe placówki handlowe nad rzekami Wabash i Maumee, blisko sto lat temu (obecnie już blisko dwieście), aby w ten sposób Francuzom, działającym nad rzeką Ohio, ułatwić komunikację z osadami w Detroit, pewien kupiec polski, nazwiskiem Sandusky, a raczej Sanduski, osiedlił się blisko obecnego miasta Lower Sandusky (Fremont), nad rzeką tej nazwy."

Izaak i Jakób Sadowscy, wnukowie owego pioniera w liście do tegoż czasopisma z 15-go marca 1843 potwierdzają słowa Greena, zaznaczając: "Pan Green zupełnie słusznie pisze co do pochodzenia nazwy. Dziadek nasz, Jonatan (?) Sandusky, a właściwie Sadowski, przyjechał do tego kraju, jak nam mówiono, za panowania królowej angielskiej Anny i wylądował i osiedlił się w miejscu, gdzie dziś jest miasto Nowy Jork. Puścił się on na handel z Indjanami i mieszkał w Sandusky, jak powiada p. Green, ale w jakim czasie, nie wiemy."

Królowa Anna panowała w Anglji od roku 1702 do 1714, a więc wedle tradycji rodzinnej Sadowskich, w tym czasie ów Jonatan Sadowski przyjechał do Ameryki. Rudolf Cronau w swej hi-

storji "German Achievements in America" (Nowy Jork, 1916) podaje rok 1728 jako datę pojawienia się Sadowskiego w okolicy Sandusky, ale niewiadomo na jakiej podstawie historycznej. Według artykułu H. M. Rattermanna, pt. "Die Deutschen Pioniere von Kenton County, Ky." (w "Der Deutsche Pionier", 1877), Sadowski osiedlił się dopiero w połowie 18-go wieku w Detroit i stąd zapuszczał się jako wędrowny handlarz do wiosek indyjskich w Ohio.

W każdym razie nazwisko Sadowskich pojawiło się bardzo wcześnie w dokumentach kolonij amerykańskich. Prof. Daniel Rupp w dziele "A Collection of 30,000 Names of German, Swiss, Dutch, French and Other Immigrants in Pennsylvania from 1727—1776" (Filadelfja, 1876), podaje "spis nazwisk wczesnych osadników powiatów Berks i Montgomery, pierwotnie powiatu Filadelfja, którzy zostali naturalizowani". Zawiera on między innemi nazwisko "Anthony Zadouski", z powiatu Filadelfja, naturalizowany w r. 1734-tym lub 1735-tym. Uwzględniwszy drobną zmianę pisowni nazwiska, zwykłą w amerykańskich dokumentach kolonjalnych, jest to całkiem wyraźny Antoni Sadowski, niechybnie protoplasta Sanduskich.

Antoni Sadowski, przyjmujący obywatelstwo w Filadelfji, i Jonatan Sadowski, pionier Ohio, mogli być, oczywiście, dwoma różnemi osobami. Jednakowoż wszystko przemawia za tem, że mowa tu tylko o jednym i tym samym protoplaście Sanduskich. Niektórzy historycy podają jego imię Jan, przy naturalizacji zapisano go Antoni, wnukowie nazwali go Jonatan. Czy przypadkiem pierwszy z Sadowskich nie nazywał się właściwie Jan Antoni? Jonatan może być zlaniem obu tych imion.

Do tej różności imion nie można przywiązywać zbytniej wagi. Jeśli nawet obecnie w Ameryce są przekręcane nazwiska i imiona w urzędowych dokumentach, to cóż dopiero mówić o stosunkach przed dwustu laty. Tak np. wnukowie w cytowanym liście nazywają swego ojca James, a stryja Jacob, choć są to dwie odmiany jednego imienia Jakób. Trudno przypuścić, by rodzeni bracia mieli jednakowe imiona, z drugiej zaś strony, że najbliżsi ich krewni nie znali dobrze ich imion. To dziwne pomięszanie można chyba tłumaczyć amerykańskim zwyczajem nazywania poufale osób imionami, odmiennymi od chrzestnych, które z czasem łączą się coraz ściślej z osobą, wchodzącą wreszcie w użytek codzienny, ba, nawet przedostają się do aktów urzędowych. Jan Antoni Sadowski mógł też być w jednej okolicy znany jako Jan, w innej jako Antoni, w trzeciej jako Jonatan; podobnie do synów jego mogły przylgnąć imiona James i Jacob. Wnukowie trzymali się niechybnie form, utrwalonych przez długoletnie używanie.

Bądź co bądź, faktem jest, że pierwszy Sadowski przybył do Ameryki z początkiem 18-go wieku. Jakie pobudki skłoniły szlachcica polskiego do porzucenia ojczyzny i puszczenia się na niepewne losy na drugą półkulę, trudno powiedzieć. Prawdopodobnie ów

Jan Antoni Sadowski — przypuśćmy, że takie miał imiona — był człowiekiem rozmiłowanym w przygodach i podróżach i tylko dla tej żądzy rzucił swe śmieci w Polsce i ruszył w daleki świat. Kasper Niesiecki w "Herbarzu Polskim" wylicza dwie rodziny Sadowskich, jedną herbu Nałęcz, osiadłą w Wielkopolsce, której najznaczniejszym przedstawicielem był Marcin Sadowski, poseł na Sejm r. 1643, a potem kasztelan gostyński — i drugą, herbu Lubicz, osiadłą w województwie Brześciańskiem. Amerykańskie dzieła historyczne zgodnie podają, że Sadowski pochodzi z Wielkopolski, był więc niechybnie Nałęczem. Niemiecko-amerykańscy historycy prawem kaduka przywłaszczyli sobie Sadowskich i podają Jana Antoniego i jego sławnych synów za "German-Poles", choć Wielkopolska była wówczas jeszcze częścią niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej.

Jan Antoni Sadowski nie oparł się długo w Nowym Jorku. Żyłka awanturnicza lub potrzeba zdobycia kawałka chleba pognały go dalej. Zrazu próbował farmerki w okolicach Filadelfji, potem zaś w Wirginji i wówczas to naturalizował się. Ale i tam nie zagrzał długo miejsca. Pozostawił więc rodzinę na swej farmie, a sam wyruszył na kresy cywilizacji.

Wędrowny handel wśród Indjan był popłatnem, ale ciężkiem i niebezpiecznem rzemiosłem. Futra stanowiły główny przedmiot handlu. Kupcy płacili za nie taniemi i jaskrawemi materjami, strzelbami, siekierami, tytoniem, paciorkami i wódką. Tylko odważni, sprytni i silni mogli puszczać się na takie przedsiębiorstwo. Kupcy odbywali podróże konno, wioząc na koniach swe skromne zapasy towaru. Goła ziemia była najczęściej ich łożem, garść suszonego mięsa i kubek wody jedynem pożywieniem przez długie tygodnie. Dróg nie było, musieli więc przebijać się przez gąszcza leśne i przeprawiać przez, wezbrane nieraz, rzeki. Na każdym kroku czyhały na nich niebezpieczeństwa. Niejednokrotnie Indjanie napadali na tych wędrownych kupców, rabowali ich, lub nawet zabijali. O wiele większe niebezpieczeństwo groziło im ze strony białych współzawodników. W dzikie ostępy puszcz nie sięgało ramię prawa, tylko więc siła, zręczność i odwaga były ochroną mienia i życia.

Bogatsi z wędrownych kupców otwierali składnice towarów po większych osadach indyjskich i rozsyłali agentów między dzikich, lub też zakładali własne stacje. Wspomniany Rottermann twierdzi, że poraz pierwszy nazwa Sandusky pojawiła się jako nazwa stacji handlowej Sadowskiego w Ohio, "która zyskała wkrótce rozgłos wśród Europejczyków, a od nich Indjanie przyjęli tę nazwę" ("Der Deutsche Pionier", 1877). Wynikałoby więc z tego, że Jan Antoni Sadowski dorobił się z czasem majątku i należał do zamożniejszych handlarzy indyjskich.

Nie uniknął jednak losu wielu innych pionierów. Jego wnukowie podają w "The American Pioneer" (r. 1843), że "z jakiegoś

powodu, nieznanego im bliżej, powstał spór między ich dziadem a Indjanami. Czerwonoskórcy poprzysięgli mu śmierć. Chcąc ratować życie, Sadowski musiał uchodzić z krainy Ohio i przebił się aż do Wirginji, gdzie mieszkała jego rodzina. Wrogowie dosięgli go jednak i tam Jan Antoni Sadowski, wedle relacji wnuków, "został zabity w Wirginji przez Indjan, albo też, jak powszechniej przypuszczano, przez jakichś białych z podmowy Indjan". Pozostawił trzech synów i córkę. Przypuszczać można, że ożenił się dopiero w Ameryce, i że więc dzieci jego wszystkie już były urodzone na ziemi amerykańskiej.

Sadowscy pierwotnie mieszkali w powiecie Campbell, na południowy zachód od Richmondu, Va.

L. A. Burges w spisie żołnierzy rewolucyjnych z Wirginji (Virginia Soldiers of 1776, Richmond, Va., 1927) wylicza też Jakóba Sadowskiego, jednego z synów polskiego pioniera, podając, że urodził się w r. 1748 w powiecie Hardy w Wirginji; a więc i tam musieli Sadowscy mieszkać przez jakiś czas.

Po tragicznej śmierci ojca rodzina poszła w rozsypkę. Losy dwóch synów i córki Jana Antoniego Sadowskiego są nieznane. Natomiast o dwuch pozostałych synach — owych Jamesie i Jacobie, których historycy nazywają Józefem i Jakóbem — wiadomo, że wcześnie przenieśli się z rodzinnej zagrody w dolinę rzeki Shenandoah, gdzie osiedli wśród Niemców w okolicy Strassburga, Va. Oni to, idąc śladami ojca, zasłynęli wkrótce jako pionierowie Kentucky, jako nieustraszeni myśliwcy i pierwsi biali osadnicy w puszczach kentuckich.

* * *

Pragnienie przygód, żądza nieokiełzanej swobody, wrodzone wszystkim dążenie do poprawy bytu i głód ziemi zaczęły wywabiać osadników z Wirginji w puszcze zachodnie z końcem 18-go wieku. Kraina Kentucky, leżąca po drugiej stronie gór Cumberland, zdawała się być jakby "obiecaną ziemią" dla nich.

Był to szmat ziemi wielki, od gór Cumberland od wschodu po rzekę Ohio od północy i zachodu; o niezwykłej żyzności; o pięknej i obszernej równinie, zarosłej trzciną i sławną "niebieską trawą"; pokrytej źródłami solanki; o licznych rzekach; ale przedewszystkiem o wspaniałych borach, które stanowiły wymarzone miejsce do polowania.

Indjanie zwali Kentucky "ciemnemi i krwawemi polami". — Ciemnemi, bo potężne drzewa zarastały je tak gęsto, iż promienie słońca rzadko przebijały się przez listowie na ziemię — a krwawemi dlatego, że kraina ta była odwiecznem pobojowiskiem indyjskiem. Rozmaite szczepy toczyły ciągle boje wśród jej lasów i łąk. Najwięcej zaś krwi wytoczyli tam sobie wzajemnie Czerokizowie z Tennessee i Georgji i ich śmiertelni wrogowie, Szanisowie z nad rzeki Scioto. Rok rocznie wojownicy obu szczepów wpadali do Ken-

tucky przez wydeptane "ścieżki wojenne", zasłane bielejącemi kośćmi przodków i braci, i mordowali się bezlitośnie dla zaspokojenia żądzy krwi i zemsty.

Kentucky było "krainą łowów" potężnych Sześciu Narodów indyjskich. Żaden szczep nie śmiał się w niej osiedlić. Biali rozciągali wprawdzie nad nią swe panowanie, ale było ono długo tylko nominalne. Rościli sobie do Kentucky pretensje Francuzi, którzy całą dolinę Mississippi uważali za swoją, jak i Anglicy, których czartery kolonjalne wyznaczały ocean Spokojny za granicę zachodnią. Sprzeczne te uroszczenia zostały ostatecznie rozstrzygnięte na korzyść Anglji przez wojnę francusko-indyjską i pokój paryski z roku 1763.

Przez półtora wieku po powstaniu kolonij angielskich szczyty Cumberlandu strzegły Kentucky od wschodu przed białymi. Historja wie zaledwie o kilku "bladych twarzach", którzy przypadkowo zaszli do Kentucky do połowy 18-go wieku, ale drogą z północy przez rzekę Ohio.

Pierwszymi Wirginijczykami, którzy weszli do tej krainy przez góry Cumberland byli dr. Tomasz Walker i Krzysztof Grist, wysłannicy spółek gruntowych, które potworzyły się w kolonjach dla zbadania i osadnictwa nieznanej jeszcze ziemi. Pierwszy, idąc na oślep, przeszedł w r. 1750 południową, dziką i górzystą część krainy, drugi, w następnym roku, północną jej część, najhojniej wyposażoną przez przyrodę. Upłynęło jednak ćwierć wieku nim w Kentucky powstała pierwsza osada białych.

Odtąd, z przerwą 10-letnią, spowodowaną przez wojnę z Francuzami i Indjanami, raz poraz wymykali się na zachód wirginijscy "kresowcy", rozmiłowani w życiu nawpół dzikiem, w niczem nie ograniczonej swobodzie, włóczędze, myśliwstwie i walkach z Indjanami. Były to charaktery śmiałe, silne, spragnione przygód. Nieznana kraina poza sinemi szczytami Cumberlandu rozbudzała ich ciekawość i fantazję a podniecały je opowieści tych, którzy odważyli się już zajrzeć w "puszcz kentuckich przepastne krainy".

Właściwą przednią straż późniejszych rzesz wychodźczych stanowili "dłudzy myśliwi" — long hunters, — którzy przepadali w puszczach na długie tygodnie i miesiące i wynurzali się z nich potem, obładowani bogatemi łupami w postaci skór zwierząt, upolowanych w Kentucky, "Dłudzy myśliwi" żyli jak Indjanie w ciągłej włóczędze, w ciągłej czujności przed zwierzyną i dzikimi, mając tylko drzewa i niebo za dach nad głową, mięso za główne pożywienie. Nosili czapki myśliwskie, kaftany i spodnie z frendzlami, strzelby, rogi z amunicją na piersiach, noże i tomahawki.

Najsławniejszym z tych "długich myśliwców" był Daniel Boone, który z czasem został postacią bohaterską w literaturze amerykańskiej. Zapuścił się on poraz pierwszy w głąb Kentucky w maju 1769 i z bratem, Squirem Boone, przetrwał w puszczach przez dwa lata. W drodze powrotnej Boone'owie spotkali się z

inną partją, złożoną z kilku myśliwców, i wszyscy razem zostali obrabowani ze swych łupów przez Indjan u wrót Wirginji.

Podobne przypadki nie odstraszały śmiałków, gotowych do naśladownictwa. Bardzo być może, że Jakób i Józef Sadowscy nie później od Boone'ów zaszli do Kentucky jako "dłudzy myśliwi", prowadząc też przy sposobności, wzorem ojca, wymienny handel z Indjanami.

Co do ich obecności w tej krainie w r. 1773 są już pewne wskazówki historyczne. Izaak i Jakób Sadowscy, w liście do "The American Pioneer" z 15 marca 1843, podają, że "ojciec ich, Józef Sadowski, przeprawił się w dół rzeki Ohio w r. 1773 i ponownie w r. 1774 razem z Hightem i Harrodem. W pierwszej wyprawie dostarli aż do wodospadów (dzisiejsze Louisville, Ky,) i wrócili... Godne jest wzmianki, że obie te podróże odbyli w pirogach, czyli dużych łodziach".

Tę samą datę pierwszej wyprawy Jakóba Sadowskiego do Kentucky podaje niemiecko-amerykański historyk Herman Schuricht w swem dziele "History of the German Element in Virginia."

Jeżeli Sadowscy odbyli pierwszą swą podróż do Kentucky przez rzekę Ohio, w takim razie musieli przejść do Fort Pitt, dzisiejszego Pittsburga, który był wówczas jakby bramą między kolonjami nad Atlantykiem a ówczesnym "dzikim zachodem". Podróż nie była tak łatwa jak dziś. "Droga od Cumberland do Pittsburga była straszna, a podróż w dół rzeki Ohio nie więcej zachęcająca. Kiedy poziom rzeki był wysoki i pozwalał na bezpieczną żeglugę, stawał się gościńcem zarówno dla czerwonoskórych, jak i dla białych a były to zdradliwe czasy. Kiedy stan rzeki był niski, tysiące naturalnych przeszkód odstraszały nawet najdzielniejszych żeglarzy. Rzeka była pełna zmiennych prądów, zdradliwych wirów i tysięcy zatopionych drzew... Niebezpieczeństwa podróży przez rzekę wywierały taki wpływ na wczesnych pionierów, że większość wybierała drogę lądową" do Kentucky. (A. B. Hulbert, "Boone's Wilderness Road", Cleveland, 1903).

Jest wielce prawdopodobne, że śmiali Polacy, wówczas młodzieńcy około 20-letni, odbyli wyprawę w r. 1773 nie na własną rękę, ale z oddziałem mierniczych, których gubernator Wirginji, Dunmore, wysłał w maju tegoż roku do Kentucky celem dokonania pierwszych pomiarów gruntów, jakie miały być rozdzielone między weteranów wojny francusko-indyjskiej.

Za przypuszczeniem tem przemawia to, że wyprawa ta również wyruszyła z Fortu Pitt w łodziach przez rzekę Ohio; że dotarła też najdalej na zachód do okolic wodospadów rzeki Ohio; że wreszcie członkami oddziału mierniczych byli Jakób Douglas, mierniczy, i kap. Jakób Harrod, Niemiec z Wirginji, też jeden ze sławnych "długich myśliwych". Pierwszy z nich przeprowadzał swe pomiary w Kentucky z Jakóbem Sadowskim w r. 1774, drugi zaś był przyjacielem obu braci.

Wyprawa mierniczych trwała trzy miesiące. Dokonała ona pomiaru około 15,000 akrów ziemi nad rzekami Limestone, Licking, Kentucky i Salt i, po wielu trudach i przygodach, wróciła szczęśliwie do Wirginji w lipcu.

Wprawdzie w tymże roku 1773 bawiły w Kentucky, o ile wiadomo, dwie inne wyprawy, mianowicie Daniela Boone i braci McAfee, ale jest mało prawdopodobieństwa, aby Sadowscy byli z którą z nich. Bądź co bądź, można przyjąć za pewnik, że Jakób i Józef Sadowscy byli w Kentucky już w r. 1773, gdy znajomość tej krainy w kolonjach angielskich była jeszcze bardzo powierzchowną; gdy w całej Ameryce była może setka białych, którzy mogli pochlubić się, że widzieli "ciemne i krwawe pola"; gdy przechwałkę taką można było słyszeć z ust tylko najodważniejszych z odważnych.

Sadowskich oczarowała nowa kraina. Niespokojny duch nie dał im długo wysiedzieć w sadybach Wirginji. Już w roku następnym wyszli ponownie na zachód, a obecność ich w Kentucky w r. 1774 jest już stwierdzona licznemi dokumentami historycznemi.

Z wiosną 1774 r. pułk. William Preston, mierniczy powiatu Fincastle, najbardziej wysuniętego na zachód w Wirginji i stąd roszczącego sobie władzę nad zachodniemi obszarami, wysłał nowy oddział mierniczych do Kentucky. Należał do niego wspomniany wyżej Douglas. Równocześnie bracia Sadowscy wspólnie z kapitanem Harrodem, zebrawszy około 40 ludzi, wyruszyli na zachód, nie już na krótką wyprawę myśliwską, ale w celu założenia stałej osady w Kentucky. Oba oddziały udały się tą samą drogą co poprzednio, a więc łodziami przez rzeki Monangahela i Ohio. Być może nawet, że dla bezpieczeństwa odbywali podróż wspólnie.

Jednym z pierwszych postojów Sadowskich i ich towarzyszy nad Ohio było miejsce blisko ujścia rzeki Deer, a naprzeciw ujścia rzeki Licking. Wędrowcy obozowali tam przez czas dłuższy i nawet wykarczowali nieco drzew. Na tem samem miejscu wznosi się dzisiaj miasto Cincinnati, O. Tak więc Polacy byli wśród gromadki pionierów, która pierwsza z białych obozowała tam, gdzie dziś roi się jedno z największych miast amerykańskich. (Die Deutschen Pioniere von Kenton County, Der Deutsche Pionier, 1877).

Stamtąd wyprawa udała się dalej rzeką Ohio i następnie rzeką Kentucky, przez samo serce Blue Grass Region, aż do miejsca zwanego dziś Oregon Landing, w powiecie Mercer. Tu podróżnicy wylądowali i szli pieszo, obładowani ciężarami, przebijając się z trudnością przez puszczę, aż do rzeki Salt. Idąc w górę jej wschodnim brzegiem, doszli nareszcie na miejsce, które uznali za odpowiednie do osadnictwa. Tam dnia 16-go czerwca 1774 powstała pierwsza osada białych w Kentucky, zwana dawniej Harrodstown, i istniejąca do dziś dnia pod nazwą Harrodsburgh. Głównymi jej współtwórcami byli Sadowscy. ("Colonial Families of the United States of America", ed. Geo. N. Mackenzie, Baltimore, 1914, tom IV, str. 197).

Osadnicy zaraz zabrali się do wymierzenia gruntów i objęli je w posiadanie przez losowanie. Oczyściwszy część z nich, pobudowali pierwsze domy, zaczęli budować fort i zasiali nawet nieco zboża. Wnet przyłączył się do nich Izaak Hite, również Niemiec, z 11 towarzyszami, osada więc zwiększyła się. Jednakowoż Indjanie nie dali jej spokoju. Ostrzeżeni przez Daniela Boone'a i Niemca, Stonera, o gotującym się napadzie Szanisów na Harrodstown, pierwsi ci kentuccy osadnicy porzucili swe sadyby i wrócili tegoż roku do Wirginji.

Józef Sadowski wrócił z nimi i ożenił się wnet potem. Jakób jeszcze przedtem opuścił Harrodstown. Mierniczy Douglas, robiący wówczas pomiary nad Kentucky, przyjął go za swego pomocnika wkrótce po założeniu osady. Świadczą o tem zapiski w starych dokumentach mierniczych w biurze gruntowem stanu Kentucky, podane w roczniku Tow. Wojen Kolonjalnych w Kentucky za r. 1917. (Earliest Surveys of Land in Kentucky.) Jakób Sadowski (Sadusky) wspomniany jest w nich kilkakrotnie jako pomocnik Douglasa. Tak np. 29 czerwca 1774 odmierzyli wspólnie 2,000 akrów, dnia 13 lipca 1,000 akrów i 19 lipca znowu 1,000 akrów ziemi dla pułk. Adama Stephensa, weterana wojny francusko-indyjskiej.

Bratankowie Jakóba opowiadają o dalszych jego losach w wyżej wzmiankowanym liście:

"Po rozbiciu osady białych w Harrodstown w r. 1774 nasz stryj Jakób udał się nad rzekę Cumberland. Tam zbudował sobie łódź i przepłynął w niej rzeki Cumberland, Ohio i Mississippi aż do Nowego Orleanu. Stamtąd przejechał okrętem do Baltimore i wrócił wreszcie do Wirginji. Jest on uważany za pierwszego białego, który przepłynął przez te rzeki, wyjąwszy Francuzów i Hiszpanów".

Niezwykły ten, a tak chlubny dla Wychodźtwa polskiego w Ameryce, czyn Jakóba Sadowskiego potwierdzają zgodnie historycy amerykańscy. (Theo. Roosevelt "The Winning of the West", New York, 1889; A. B. Faust, "The German Element in the United States", Boston, 1909). Polak był więc pierwszym mieszkańcem kolonij angielskich, który, wiedziony duchem przedsiębiorczym i odwagą, w słabej łódce, jedynie przy pomocy wioseł, sam jeden przeżeglował najpotężniejszą rzekę amerykańską.

Wiosna następnego roku znowu wywabiła Sadowskich w puszcze Kentucky. Józef z żoną już, i Jakób, prawdopodobnie z kilkoma innymi ochotnikami, wywędrowali poraz trzeci na zachód z myślą założenia własnej osady. Założyli ją w powiecie Washington, Ky., nad rzeką Pleasant Run, i nazwali Sandusky's Station. Była to osada o charakterze rolniczym, obliczona na stały pobyt. Sadowscy wykarczowali pola i pobudowali sobie domy. Żyzna ziemia, lasy pełne zwierzyny, rzeki pełne ryb zapewniały im stosunkowo dostatni i wygodny żywot. Ale warunki życia na "kresach" nie pozwalały im całkowicie na zamianę miecza na pług. Biały osadnik

kentucki musiał wówczas pracować, spać i jeść ze strzelbą w pogotowiu i w każdej chwili mieć się na baczności przed napadem Indjan. W całem Kentucky w lecie 1775 było już około 300 białych. Ustawiczne i coraz zażartsze napady Indjan tak przerzedziły szeregi osadników, że w r. 1777 było ich tylko około 150.

Sadowscy, z iście polskim uporem, wytrzymali na swojej "stacji" niejeden najazd i wyszli cało nawet z wielkiego napadu. Indjan na Kentucky w r. 1782. Wobec tego, że, wedle prawa Wirginji, do której należało wówczas Kentucky, wszyscy mężczyźni w wieku od 18 do 50 lat podlegali obowiązkowi służby w milicji, prawdopodobnie obaj bracia brali udział w niejednej walce z Indjanami. Zresztą, i bez przymusu prawnego, popychała ich w bój żyłka wojownicza, właściwa każdemu z "kresowców". Istnieje dowód, że Jakób Sadowski brał udział w odparciu najazdu w r. 1782, oraz w bitwie pod Lower Blue Licks, 18 sierpnia 1782. W bitwie tej straszni i zręczni Wiandotowie roznieśli oddział z 182 białych, którzy ścigali czerwonoskórych po odparciu ich z pod palisad Bryant's Station. Sześćdziesięciu pięciu pionierów padło na polu walki. Była to największa klęska, jaką ponieśli biali z Kentucky z ręki Indjan, ale też po niej energja Indjan wyczerpała się i biali mogli czuć się bezpieczniej.

Pułkownik Benjamin Logan, który maszerował z posiłkami na Lower Blue Licks, przyszedł zapóźno i zebrał tylko niedobitków rzezi. W raporcie swym z bitwy (w Collections of the Illinois State Historical Library, vol. XIX, Virginia Series, vol. IV., George Rogers Clark Papers, 1781—1784) podaje on straty w rynsztunku, poniesione przez osadników, celem wypłacenia im szkód przez "zachodnich komisarzy" Wirginji. Wśród innych pozycyj raport zawiera następującą: "Antoni Sadowski (Sowdusky) jedna klacz, siodło, uzda i torby", razem wartości 25 funtów szterlingów.

Mimo tego, że raport Logana wspomina o Antonim Sadowskim, chodzi tu niechybnie o Jakóba. Jest to widocznie tylko nowa pomyłka w imieniu, gdyż "Journal of Western Commissioners" (w tejże kolekcji) wspomina pod datą: czwartek, 27-go marca 1783: "Zdaje się, że Jakóbowi Sadowskiemu (Sodowsky) należy się 23 funtów szterlingów za konia, straconego w służbie stanu". Dnia 1-go lipca 1783 komisarze w raporcie do gubernatora polecili wypłacić Sadowskiemu powyższą sumę.

Bracia Sadowscy opuścili z czasem swoją Sandusky's Station z nieznanych bliżej powodów. Jakób wrócił jeszcze na krótko do starej zagrody ojcowskiej w powiecie Campbell w Wirginji, ale była to już ostatnia jego wędrówka. Wymaszerowawszy około r. 1785-go ponownie do Kentucky, osiedlił się razem z Józefem w powiecie Jessamine, między Lexingtonem a Harrodsburgiem, tym razem już na stałe. Był to wówczas mężczyzna w średnim wieku, zahartowany w twardem życiu pionierskiem, ale też pewnie syt ciągłej włóczęgi i przygód, wyszumiały już z młodocianych

zapałów. Ziemia przyciągała go coraz silniej. Co dziwniejsze, w tym napoły zdziczałym kresowcu odezwała się żyłka literacka. W chwilach spokojniejszych zaczął spisywać pamiętniki ze swych niezwykłych przygód. Bratankowie jego wspominają, że "robił zapiski o osadnictwie krainy i posiadał wielką ich ilość". Jednakowoż drukarz, któremu ci oddali rękopisy celem wydawnictwa po śmierci stryja, zagubił je, wyrządzając przez to niepowetowaną szkodę pamięci Jakóba Sadowskiego i Wychodźtwu polskiemu w Ameryce. Stratę poniosła również historjografja amerykańska, gdyż — jak pisali bratankowie — Jakób "znał dobrze historję początków osadnictwa w Kentucky i zawsze potępiał w wielu szczegółach wszystkie ogłoszone historje, gdyż wiedział, że były niedokładne". Pamiętniki Sadowskiego mogły więc zawierać wiele szczegółów historycznych, które przepadły na zawsze.

Jakóba Sadowskiego możemy słusznie uważać za jednego z najstarszych pamiętnikarzy polsko-amerykańskich. Jego praca literacka, jego pomoc w pomiarach mierniczych wskazują, że musiał posiadać pewne wykształcenie. Temple Bodley w bjografji "George Rogers Clark" (Boston, New York, 1926) pisze: "Pionierzy Kentucky są zwykle przedstawiani jako jednego pokroju— dzielni wojownicy indyjscy, ale nieokrzesani i ciemni. Bez wątpienia, było takich wielu, ale też wielu było zupełnie innego kalibru. Należy pamiętać, że ruch osadników do Kentucky w r. 1775 i z początkiem 1776 był zupełnie inny od zwykłych wędrówek wychodźczych ku kresom cywilizacji. Zdarzył się on w czasie wielkiego podniecenia w Wirginji i sąsiednich kolonjach z powodu świeżego odkrycia ziemi obiecanej i porwał za sobą wielu odważnych młodzieńców ze znanych rodzin. Nie wszyscy z nich, może, byli odzwierciedleniem kultury swych rodzin, gdyż przygody przemawiały im widać lepiej do przekonania, niż książki a zachodnie krainy zaciekawiały ich więcej, niż wschodnia arystokracja; jednakowoż nie byli to ludzie nieokrzesani... Pomimo twardych warunków życia, jakie prowadzili, wielu z nich zachowało sporo manier dawnego "society" ze wschodnich kolonij, wśród którego wychowali się..."

Przypuszczać można, że Sadowscy należeli właśnie do tego rodzaju pionierów kentuckich.

Obaj brali czynny udział w sprawach publicznych swej nowej, ściślejszej ojczyzny. Podpisy ich widnieją na kilku petycjach pierwszych mieszkańców Kentucky do legislatury Wirginji w sprawach rozmaitych ulepszeń gospodarczych. (Petitions of the Early Inhabitants of Kentucky to the General Assembly of Virginia, 1769—1792, by James Robertson, Louisville, Ky., 1914, Filson Club Publications, nr. 27).

Sadowscy potrafili wyrobić sobie znaczenie i poważanie wśród współobywateli. Wszystkie źródła historyczne wspominają ich z uznaniem. Mann Butler w swej "History of the Commonwealth of Kentucky" (Cincinnati, 1836) wymienia Jakóba Sadow-

skiego (Sodowsky) jako "poważanego farmera" (a respectable farmer) z powiatu Jessamine. Jakób wówczas nie żył już od kilku lat. W którym roku zmarł, dokładnie niewiadomo. List bratanków z r. 1843 wspomina, że "osiadłszy w powiecie Jessamine około r. 1785, mieszkał tam aż od swej śmierci, około 10 lat temu", a więc około r. 1833. Wedle Burgessa ("Virginia Soldiers of 1776", tom I, str. 440, umarł w roku 1831. Był żonaty z Marją Ball Brown, i zostawił jednego syna, również Jakóba (ur. 1790, zmarły 1866).

Józef, po pobycie razem z bratem w powiecie Jessamine, jeszcze raz poszedł szukać szczęścia w inne strony. W roku 1786 czy też 1787 przeniósł się do powiatu Bourbon i osiedlił się w okolicy Cane Ridge. "Stacja jego była wówczas najdalszą osadą na wschód od Lexington", podaje list synów.

Józef Sadowski pozostawił czterech synów i jedną córkę, którzy następnie rozprószyli się po rozmaitych stronach Stanów Zjednoczonych. Izaak i Jakób, autorzy wielokrotnie cytowanego listu, byli bliźniakami, łudząco do siebie podobnymi. Jeden z nich siedział na ojcowiźnie w powiecie Bourbon, Ky. Lewis Collins w "History of Kentucky" (Covington, Ky., 1874) wspomina Izaaka B. Sandusky'ego jako jednego z wielkich właścicieli ziemskich w tymże powiecie. Drugi syn Józefa, wedle listu J. J. Greena z r. 1842 do "The American Pioneer", mieszkał w stanie Illinois, w powiecie Vermilion, Ill., o kilka mil od Danville, był więc jednym z pierwszych a może pierwszym osadnikiem polskim w Illinois. Losy reszty potomstwa Józefa są nieznane.

Pierwszy spis ludności w Stanach Zjednoczonych z r. 1790 wykazuje dwuch Sadowskich, Jakóba i Samuela "Sadouskie", jako głowy rodzin, osiadłych w powiecie Hampshire, w Wirginji (Heads of the families at the first Census of the United States in 1790, Washington, 1908). Przypuszczać można, że ów Jakób był właśnie naszym pionierem kentuckim.

"Petitions of the Early Inhabitants of Kentucky to the General Assembly of Virginia, 1769—1792" podają też Jana Sadowskiego (Sandusky i Sanduske) jako podpisanego na petycji z 27-go sierpnia 1790 od mieszkańców powiatu Bourbon, ale niewiadomo, czy był to jaki nowy członek rodu Sadowskich, czy też znowu tylko pomyłka w imieniu.

Ród Sadowskich rozmnożył się znacznie w Stanach Zjednoczonych. Na całym ich obszarze można dziś spotkać potomków dawnego szlachcica polskiego, który jako jeden z pierwszych białych śmiało przebiegał lasy i stepy Ohio, i potomków sławnych synów jego, pionierów kentuckich. Wnukowie Jana Antoniego Sadowskiego jeszcze pamiętali o swem polskiem pochodzeniu a pamięć o niem przeszła i na następne pokolenia.

Zaznaczyć należy, że z biegiem lat pisownia nazwiska Sadowskich ulegała różnym przemianom. Tak n. p. list do "American

Pioneer" z r. 1843 był podpisany: Isaac Sadowsky i Jacob Sandusky. Redakcja "Pioniera" wyjaśnia, że różnica w pisowni nazwisk braci powstała z tego, iż jeden zmienił ją, aby zgadzała się z dokumentami własności gruntu, mylnie zapisanemi.

"A most respectable family" — nazywa Teodor Roosevelt ród Sadowskich w swem "The Winning of the West". Wychodźtwo polskie w Ameryce może być dumne, że na taką pochlebną opinję z ust jednego z najwybitniejszych mężów Ameryki zasłużyli ci, w których — mimo — parowiekowego oderwania od starej ojczyzny — płynie dotychczas krew polska i żyją wspomnienia dzielnych ich przodków, pionierów amerykańskich.

Daniel Boone zyskał rozgłos i popularność dzięki wczesnym historykom, którzy rozsławili jego czyny. Sadowscy, zwłaszcza Jakób, dorównywali mu odwagą i zasługą pionierską. Gdyby nie nieopatrzna zatrata pamiętników Jakóba, gdyby byli znaleźli piewcę swych śmiałych czynów, byliby dzisiaj nie mniej znani i sławni. W każdym razie, wśród przedrewolucyjnych wychodźców polskich byli to ludzie na miarę prawdziwie bohaterską.

V

Gen. Karol Lee,

Adjutant Króla Stanisława Augusta i Generał-major Armji Polskiej

W zupełnem zapomnieniu leżał dotychczas ciekawy dla nas fakt historyczny, że najwyższym dowódcą amerykańskiej armji rewolucyjnej po Jerzym Waszyngtonie w latach 1775—1778 był "adjutant i generał-major w służbie Jego Mości Króla Polskiego".

Wprawdzie adjutantem tym i generałem nie był Polak i wprawdzie niesławnie zapisał swe imię w historji walki o niepodległość Stanów Zjednoczonych, ale stosunki jego z ostatnim królem polskim i Polską stanowią tak ciekawy temat, że zasługują w zupełności, aby z niemi zaznajomić Wychodźtwo.

Bohaterem niniejszego szkicu jest generał Karol Lee, Anglik z pochodzenia, awanturnik; pomimo swych niezwykłych zdolności, płaski karjerowicz; wreszcie zdrajca sprawy wolności, której poprzysiągł swe ramię i życie.

Karol Lee urodził się w r. 1731 w Anglji jako syn generała Jana Lee. Kształcił się w ojczyźnie i Szwajcarji. Odebrał tylko powierzchowne wykształcenie szkolne. Lektura i podróże po szerokim świecie uzupełniły je jednak nawet ponad ówczesną przeciętną miarę, zapoznały go z kilku językami, przedewszystkiem rozwinęły w nim wrodzony talent pisarski i nadały mu to zacięcie i bystrość pióra, które cechują jego pisemną spuściznę.

Młody Lee, stosownie do życzeń ojca, poświęcił się karjerze wojskowej, która przedstawiała najlepsze pole do działania dla jego żywego temperamentu. Jako 20-letni młodzieniec otrzymał patent na porucznika armji angielskiej. W r. 1755 wyjechał ze swym pułkiem do Ameryki razem z ekspedycją gen. Braddocka, wysłaną przez Anglję przeciw francuskim kolonistom, walczącym od kilka lat z angielskimi o władzę nad kontynentem amerykańskim. Lee był świadkiem i uczestnikiem haniebnego pogromu Braddocka w dolinie Monongahela, brał udział w dalszej kampanji francusko-indyjskiej, odznaczył się w r. 1758 przy szturmie na Ticonderogę i odniósł w nim ranę. Po wyleczeniu wziął udział w kampanji 1760-go roku, która dokończyła angielskiego podboju Kanady i w tymże roku wrócił do Anglji. Pięcioletni pobyt w Ameryce, oprócz stopnia kapitana, dał mu sposobność poznania stosunków miejscowych, co ułatwiło mu następnie karjerę w rewolucji amerykańskiej.

Wnet po przybyciu do Anglji awansował na majora. W tym czasie Hiszpanja usiłowała zmusić Portugalję do połączenia się z nią i Francją przeciwko Anglji. Ponieważ między Anglją a Portugalją istniał traktat przyjaźni, rząd angielski w r. 1762 wysłał 8,000 swych wojsk na pomoc Portugalczykom. Major Lee uczestniczył w wyprawie, odznaczył się w niej i wrócił do Anglji w

stopniu podpułkownika, zaszczycony ponadto tytułem pułkownika armji portugalskiej.

W ojczyźnie otwierała się teraz przed nim droga do wyższych dostojeństw. Dzięki swemu urodzeniu miał przed sobą otwarte najpierwsze domy w kraju i sam dwór królewski. Przebyte kampanje zapewniały mu szybki awans. Wrodzone zdolności wyróżniały go z pomiędzy innych. Niespokojny duch, wygórowana ambicja i niepohamowany charakter zniweczyły jednak wszelkie nadzieje, jakie Lee mógł roić co do swej przyszłości. Wnet wdał się w spory polityczne z zaciekłością, która nie opuszczała go nigdy — w dobrej, czy złej sprawie. Zwalczając gwałtownie rząd i żądając zmiany despotycznej i drażniącej polityki wobec kolonij amerykańskich, stanął w obronie słuszności. Jednakowoż mowy i pisma Lee'a, choć wyróżniające się świetnym stylem polemicznym, pełne były złośliwego sarkazmu i osobistych przytyków do ministrów i samego króla. Skutek był nieunikniony. Lee popadł w taką niełaskę u dworu i rządu, że na zawsze pozbawił się widoków powodzenia w angielskiej służbie rządowej.

Bjografowie Lee'a, uznając jego zalety, ubolewają nad tem, że niweczył je równie wielkiemi wadami. George H. Moore, autor "The Treason of Charles Lee". (New York, 1860), pisze, że "zawsze pochopny, zuchwały i buntowniczy, nieustępliwy w swem zdaniu, zachowywał się wobec rządu, któremu służył, ze swobodą bezczelnego sługi, uważającego się za niezbędnego... Zapalczywy, niestały i gwałtownego usposobienia, płochy i pozbawiony trzeźwego sądu, złośliwy i niewczesny w swym humorze, był zarówno niebezpiecznym dla swych przyjaciół, jak i nieprzyjaciół".

Jared Sparks, wybitny historyk rewolucji amerykańskiej, pisał swój życiorys Lee'a w r. 1848 i nie wiedział jeszcze nic o jego zdradzie, odkrytej dopiero w dziesięć lat potem. Skutkiem tego ocenił Lee'a o wiele wyżej, niż zasługiwał. Ale i on wytknął mu "przekorność charakteru, porywczość, nieokiełzany język, przesadną ambicję i dziwaczność zwyczajów".

Nie mając co robić w Anglji a nie lubiąc siedzieć bezczynnie, Lee zwrócił oczy na Polskę, gdzie dopiero co wstąpił na tron Stanisław August. Sława młodego króla, jako najwykształceńszego i najłaskawszego ze współczesnych monarchów, dobiegła i do Anglji, gdzie zresztą Poniatowski był dobrze znany wśród arystokracji ze swego pobytu nad Tamizą w młodzieńczym wieku. Lee zapewne musiał słyszeć, że dwór warszawski stał się schroniskiem wszelkiego rodzaju "wędrownych ptaków", którzy umieli zjednać sobie króla czy uczonością, czy sztuką, czy wreszcie pochlebstwem lub dowcipem. Król władał wieloma językami, słynął z wytwornych manier, posiadał niezwykle sympatyczną powierzchowność, "styl w pisaniu piękny, grzeczność ujmującą, tak z rodakami, a jeszcze więcej z cudzoziemcami... Cudzoziemców, przybywających do Warszawy, bądź wartych poważania i szacunku,

bądź awanturników, wszystkich ujmował grzecznością lub datkiem". (Adam Moszczeński, Pamiętnik).

Lee postanowił spróbować szczęścia u łaskawego króla. Ciekawe jego stosunki ze Stanisławem Augustem i Polską odsłaniają liczne jego listy i zapiski w Edwarda Langworthy "Memoir of Charles Lee" (Nowy York, 1792), w zbiorze "Lee Papers" (New York Historical Society Collections, 1871—1873), nadto w życiorysach Lee'a pióra Sparksa i Moore'a.

Już 7-go grudnia 1764, a więc w parę miesięcy po koronacji Stanisława Augusta, w liście do swego krewnego, Karola Bunbury, pisał: "Mój obecny plan jest ten, aby wstąpić do służby polskiej; mam tak silne polecenia, że z pewnością powiedzie mi się. "Cóż mam lepszego do roboty? Nie widzę sposobu utrzymania się w domu; dochód mój jest bardzo szczupły; moje zaś dążenia wyższe niż przypuszczają ci, którzy nie znają mego położenia..."

Wybierał się więc Lee do Warszawy z pobudek czysto materjalnych. Nie w myśli, że będzie mógł przysłużyć się Polsce, zagrożonej wówczas chciwością ościennych państw, ale jedynie w nadziei, że uwiesi się u klamki królewskiej i znajdzie może drogę dla zadosyćuczynienia swej ambicji.

Zaopatrzywszy się w listy polecające od swych przyjaciół do króla, książąt Czartoryskich, również dobrze znanych w Anglji, oraz do innych wybitnych osób w Warszawie, ruszył w drogę przed Nowym Rokiem 1765. Po drodze nieomieszkał odwiedzić przyjaciół króla Stanisława, między innymi Józefa Yorke, posła angielskiego w Hadze, i Księcia Ludwika brunswickiego, aby i od nich uzyskać polecenia, jakie mogłyby mu być przydatne w wyprawie. W Berlinie zatrzymał się przez kilka dni na dworze Fryderyka Wielkiego, który oczarował go gościnnością i innemi przymiotami.

W połowie lutego 1765 Lee stanął wreszcie w Warszawie. Rzeczywistość przeszła jego oczekiwania. Listy polecające otworzyły przed nim na oścież dwór królewski i domy arystokracji polskiej, przedewszystkiem zaś dom księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego, generała ziem podolskich. Oboje księstwo przyjmowali zresztą zawsze chętnie wybitnych gości zagranicznych. Błękitny pałac ich w Warszawie lub pałac na Powązkach były zawsze otwarte dla różnych podróżujących filozofów, artystów i awanturników.

Król Staś przyjął angielskiego pułkownika z otwartemi ramionami. Anglja i Anglicy zawsze pociągali go. Nie chcąc Czartoryskich pozbawiać zupełnie przyjemności posiadania gościa, podzielił się nim w ten sposób, że Lee miał mieszkać u nich, a zasiadać do jedzenia przy stole królewskim. Moszczeński, szambelan królewski, zaręcza, że obiady u króla były zawsze "wyborne", a choć bez pijaństwa, którem król się brzydził, jednak zaprawne zawsze dobranem towarzystwem i tą ujmującą wytwornością, w

której Stanisławowi Augustowi nikt ze współczesnych nie umiał dorównać.

Lee, zachwycony i ośmielony przyjęciem, wynurzył królowi swoje pragnienie wejścia do armji polskiej. Nie była to sprawa łatwa. Armja polska była nieliczna, dostojeństwa w niej pozajmowali jedni z poręki Czartoryskich, drudzy z hojności królewskiej. Na razie nie było w niej żadnego wakansu. Pozatem niektórzy z otoczenia królewskiego patrzyli na Lee'a podejrzliwem i niechętnem okiem. Ale gość przypadł królowi tak do serca, że znalazł drogę wyjścia — zamianował go swym adjutantem z roczną pensję 800 dukatów, wypłacalną z prywatnej szkatuły królewskiej, oraz z odpowiedniem utrzymaniem.

Król nawzajem pozyskał sobie odrazu uczucia Anglika. Chcąc czemprędzej odwdzięczyć się mu za życzliwe przyjęcie, postanowił ofiarować mu miecz Olivera Cromwella, który dostał się w jego posiadanie. Pisząc o nadesłanie sobie tej pamiątki do siostry, panny Sidney Lee, w Londynie, opisywał jej równocześnie swe przyjęcie w Warszawie i swe pierwsze wrażenia ze stolicy Polski (list datowany 3 kwietnia 1765):

"Droga moja siostro!... Jestem od sześciu tygodni w Warszawie i już myślałem, że wyprawa moja będzie daremną, gdy król — sądzę, że wbrew chęciom wielu, z którymi, na mocy konstytucji tego kraju, musi władać — zamianował mnie swym adjutantem. Na razie jeszcze nie wiem jakie będzie moje zaopatrzenie; wystarczy mi niewielkie, gdyż nie mam wielu wydatków; mam bowiem mieszkanie u książąt Czartoryskich a stół u króla. Możesz mi wierzyć, że życie dworaka nie najlepiej godzi się z moim charakterem; doprawdy, nie zgodziłbym się na nie, gdybym nie lubiał charakteru króla, jako człowieka. Jest on zaprawdę, o ile mogę sądzić z tak krótkiej znajomości, pełen dobrych zalet — zupełnie bez nadętości z powodu swego szczęścia, a należyte zachowanie się wobec nagłego dojścia do wielkiej władzy, bogactw i wspaniałości, jest może najlepszą próbą dobrego serca. Zna on doskonale język angielski, choć z braku ćwiczenia nie mówi nim płynnie. Zna też wszystkich naszych najlepszych pisarzy i klnie wedle wzorów Szekspira, o co, jak niechybnie wyobrażasz sobie, nie będę się z nim kłócił. Książę Czartoryski, u którego mieszkam, mówi i pisze po angielsku płynnie i poprawnie. Mą on w palcu niemal każda książkę w naszym języku.

"O ileby Europa została znowu wciągnięta w wojnę, moje obecne stanowisko może mi być wielką pomocą. Tymczasem jest ono lepsze niż próżnowanie w domu. Spodziewam się, że w następne lato będę miał przyjemność być z Tobą w Anglji, gdyż łatwo dostanę urlop. Wyszlij mi list i także szablę z Chester, która, wedle podania, ma być szablą Cromwella. Jest ona przeznaczona dla króla polskiego, który, chociaż król, jest wielkim wielbicielem tego niezwykłego człowieka. Proszę cię, zrób to czemprędzej..."

Jeszcze więcej entuzjazmu dla osoby króla zawiera list

Lee'a do Yorke'a w Londynie, jednego ze swych protektorów i brata posła w Hadze. Równocześnie z listem siostry, jak wskazują podobne ustępy listów, donosił mu, że zaprzyjaźnił się już z Wroughtonem, posłem angielskim w Warszawie, i dodawał:

"Jego Mość Król Polski, dzięki Pańskim poleceniom, zamianował mnie swoim adjutantem. Nie miał on władzy umieszczenia mnie w armji, gdyż Rzeczypospolita nie zbiera nowych wojsk, a te zaś nieliczne, jakie są, mają już poobsadzane wszystkie stanowiska oficerskie. Armja była celem mej ambicji i ufam, że będziesz uważał mnie Pan za szczerego, gdy powiem, że, gdybym nie miał dobrego mniemania o królu jako o człowieku, bez względu na swe położenie, chociażby najgorsze, — nie byłbym przyjął miejsca przy jego osobie. Ale doprawdy, mam o nim wysokie wyobrażenie. Zdaje mi się, że nie ma w nim ani trochę nadętości z powodu wielkiego szczęścia, jakie go spotkało; a należyte zachowanie się wobec nagłego wyniesienia do władzy, bogactw i wspaniałości zawsze uważałem za świadectwo dobrego serca.

"Sąd o nim, jako o królu, należy do przyszłości; ale, jeżeli zdrowy rozsądek, dobre serce i wykształcenie danej osoby rokują dobre nadzieje, szanse są po jego stronie. Sądząc go jako człowieka, uważam go, doprawdy, za przyjemnego i wykształconego. Jest on przystępny, grzeczny i zupełnie nieprzesadny. Zna doskonale najlepszych naszych angielskich autorów. Uwielbia Szekspira, co, w moich oczach, jest probierzem umysłu i uczuć każdego człowieka. Ale winienem tysiąckrotne przeproszenie za rozwodzenie się nad osobistością, o wiele lepiej Panu znaną, niż mnie. Lubię jednak tego człowieka i chętnie piszę o nim; sądzę też, że nie będzie Panu nieprzyjemnie dowiedzieć się, że król Poniatowski nie różni się niczem od Pańskiego przyjaciela, hrabiego Poniatowskiego."

Podobnie jak w królu, rozkochał się Lee i w swym gospodarzu, księciu generale, ale życie społeczeństwa polskiego nie przypadło mu do smaku. Bezczynność i bezmyślność ludzi, z którymi zetknął się, pobudziły go do zjadliwych uwag, które właściwym sobie stylem wyraził w liście do lorda Charlemonte'a. Wypisał w nim bardzo surowy wyrok na Polaków z owej doby, ale, na szczęście, sąd jego dotyczyć może tylko motylej arystokracji, która trzymała go między sobą i zresztą nie była w niczem gorszą od współczesnej arystokracji w innych krajach Europy. Sama księżna generałowa w pierwszych latach panowania Stanisława Augusta nie różniła się od reszty rówieśnic, owszem, lubiła życie wesołe, wystawne a płoche.

Lee brał rzeczy powierzchownie. Nie próbował zgłębić życia polskiego, które z pod saskich ostatków zaczynało już puszczać kiełki odrodzenia narodowego. Pisał lordowi Charlemonte pod datą Warszawa, 1 czerwca, 1765: —

"Czekałem (z listem) w nadziei, że coś stanie się tu, co może Cię zajmie; ale ponieważ mógłbym czekać do sądnego dnia,

a to nigdy by się nie stało, — gdyż Warszawa, byleby tylko wino i klimat były lepsze, jest stanowczo dworem Alcynousa i nie ma nic do czynienia ze sprawami tego zgiełkliwego świata, ani też sądzę, nic, co się dzieje, dobre, czy złe, nie obchodzi jej w najmniejszym stopniu — powtarzam, mój milordzie, ponieważ zwątpiłem już o czemkolwiek wzruszającem, co byłoby godne, abyś o niem usłyszał, nie mogę dłużej odwlekać ze złożeniem ci daniny obowiązku i uczucia, należnej od tak dawna. Powinienem jednak zacząć prośbą o tysiąc przebaczeń za to, że tak długo trzymałem w swych rękach załączony list ks. Czartoryskiego do ciebie, milordzie; wiedząc jednak, że nie zawiera nic pilnego, odkładałem jego wysyłkę z dnia na dzień z wyżej wyłuszczonych powodów. Im dłużej znam tego człowieka, tem bardziej lubię go, tembardziej podziwiam jego talenty; wyborna pamięć, rozumny sąd i bystrość umysłu są rzadko zjednoczone w jednej osobie, a jednak posiada on je w najwyższym stopniu. Być mistrzem kilku języków i posiadać również obszerną znajomość spraw jest to cudowna rzecz, a jednak celuje on w jednem i drugiem. Jest to ubolewania godne, że nie ma lepszej sceny do działania; ale, doprawdy, kraj ten jest nędzny; ani też przypuszczam, by była najmniejsza nadzieja polepszenia jego położenia, gdyż każda próba albo ze strony króla, przywódców lub szlachty w kierunku naprawy konstytucji spotyka się z protestem dobrych sąsiadów, dbałych o jego sprawy; — chociaż, należy przyznać, że gdyby jego sąsiedzi nie mieszali się, możliwość reformy byłaby nie wielka, gdyż masy polskiej szlachty, posiadającej tak olbrzymią władzę negatywną, iż jeden głos rozwiązuje sejm, są, o ile to jest możliwe, bardziej ciemne, uparte i fanatyczne, niż hidalgowie portugalscy; ci zaś nieliczni, którzy są więcej oświeceni, niż stado, — czy to jest wynikiem rozpaczy, czy ich przyrodzonego usposobienia — spędzają swe godziny w tak zupełnej bezczynności i rozrywkach, że nasz klub Macaroni lub nasi próżniacy z Betty's są, stosunkowo, ludźmi czynu i pilności. Gdybym nazwał gmin bydlętami, skrzywdziłbym czworonożne stworzenia, są to bowiem tylko ruchome bryły śmierdzącej ziemi. Z pewnością jest to następstwem niewoli; nie może bowiem być tak potwornej różnicy przyrodzonej między człowiekiem a człowiekiem... Od czasu mego przejazdu przez Niemcy i mego tu pobytu, nabrałem, o ile to możliwe, większego wstrętu do niewoli, niż przedtem. Na miłość Bożą, wy, garść patrjotów w ojczyźnie, trwajcie przy zasadach! gdyż absolutna władza jest wężem z tego wijącego się i przenikającego wszędzie gatunku, który, skoro tylko może wetknąć głowę, nadarmo wtedy ciągnąć go za ogon".

Po takiem brutalnem wyszydzeniu Polaków, wśród których znalazł gościnę i łaskawy chleb, Lee chwali się przed przyjacielem, że wszystkie te swe myśli wyłuszczył królowi i omawiał je z nim obszernie, — niewątpliwie w delikatniejszej formie:

"Jest to ciekawe słyszeć mnie, jak rozmawiam z królem o

tych przedmiotach, słyszeć mnie, jak przedstawiam swe poglądy, nie zbyt przychylne dla monarchji, jak bronię nawet ścięcia głowy umęczonemu Karolowi. Ale jeszcze ciekawsze jest słyszeć jego opinje, które są niezwykłe jak na głowę koronowaną; krótko mówiąc, jest on tak gorącym zwolennikiem przyrodzonych praw człowieka, jak był sam Algernon Sydney.

"Nie mam zamiaru dawać ci przykładu swej biegłości w rzemiośle dworaka, gdy zapewnię, że król ten jest naprawdę doskonałą osobą; jest on należycie obznajomiony z książkami, pojęcia jego są sprawiedliwe, zamiary jego uczciwe, a temperament jego nie potrzebuje ozdób. Najsłabszą jego stroną jest to, że spędza za wiele czasu z kobietami; ale jest to grzechem całego kraju. Włochy nie mogą iść w porównanie z Polską co do miłostkowości; mężczyźni i kobiety są zawsze razem, już to zażywając tabakę, już to ziewając, już to wzdychając, nie mówiąc przytem do siebie ani słowa — ale rozdzielić się nie mogą. Mogę cię zapewnić, mój milordzie, że ja, który uznaję trzymanie się spódnicy za godne kary pręgierza, uchodzę tu, jeżeli to możliwe, za jeszcze większego dziwaka, niż uważany byłem w innych krajach. Nie zadawalniam się jednak tem, że sam wydaję się oryginałem, wdarłem się w ich zabawy i zmusiłem Wroughtona, naszego posła w Warszawie, który jest tak zdecydowanym próżniakiem, jak reszta, aby od czasu do czasu dosiadł konia i zaglądnął do książki. Za kilka tygodni wyjeżdżam do Wrocławia, aby wziąć udział w zabawie przeciw-zabawowej; będzie to przegląd wojsk króla pruskiego..."

List ten kończy Lee zapewnieniem, że ks. Czartoryski bardzo poważa Charlemonte'a, a dla siebie prosi o odpowiedź na adres "Chez Le Prince General de Podolia, Varsovie".

Tak to nudził się Anglik w Polsce, rozrywając leniwe czasy pogawędkami z królem Stasiem i księciem generałem na tematy społeczno-filozoficzne, literackie i polityczne. "Najuczeńszego z królów" szczególnie zajmowały ruch niepodległościowy w Ameryce, polityka Anglji wobec kolonij, jej prawa stemplowe i inne represje przeciw kolonistom. Lee opowiadał mu o wszystkiem na podstawie informacyj z pierwszej ręki, gdyż przebył kilka lat w Ameryce i znał dobrze stosunki amerykańsko-angielskie. Anglik otwarcie wyłuszczał przed królem swe rewolucyjne poglądy, zwrócone przeciw własnemu rządowi — znajdował bowiem w monarsze polskim zgodne zapatrywania na prawa człowieka do swobody. Ciekawe to były, rzeczywiście, rozmowy. Król i adjutant dziwnie zgadzali się w teorji wolności, — niestety, obaj dziwnie zgodnie — choć na dwuch odmiennych polach walki o wolność — zdradzili później swe zasady.

Łaskawy król, oprócz rozmów i zabaw, szukał i innego sposobu rozerwania nudzącego się Anglika. Zamierzał zrazu wysłać go z poselstwem do Anglji, potem z poselstwem do Berlina, wreszcie kiedy pan Aleksandrowicz w styczniu 1766 wybierał się jako

nadzwyczajny poseł do Porty z oznajmieniem o wstąpieniu króla na tron (Moszczeński), zaproponował Lee'owi, aby mu towarzyszył.

"Przyjąłem propozycję z największą skwapliwością" — pisał Lee do siostry już z Konstantynopola, 1 marca 1766 — "gdyż zwiedzenie krajów, sceny tak wielkich wypadków dziejowych, znanych nam dobrze ze szkoły, było oddawna celem mych życzeń i ciekawości. Zaraz tego samego dnia, kiedy postawiono mi propozycję, wyruszyłem w drogę i dopędziłem ambasadora na granicy, ale posuwał się tak wolno, że straciłem cierpliwość i przyłączyłem się do eskorty, odprowadzającej haracz hospodara wołoskiego, wysyłany corocznie z Mołdawji — czego często żałowałem, gdyż skutkiem niedołęstwa, niezręczności i brutalności straży, doznałem wielu niewygód. Mrozy w górach Bułgarji były bardzo silne; spędziliśmy w nich kilka nocy bez ognia, bez żywności dla nas lub dla koni skutkiem głupiej nieopatrzności naszych przewodników. Kilku ludzi i koni padli od zimna i gdyby nie to, że ciało moje zahartowało się nieco w wyprawie amerykańskiej, byłbym może poszedł za nimi. I tak nie wyszedłem cały z opresji, gdyż reumatyzm zapędził mnie do łóżka na kilka dni..."

Tak więc po nieczynności warszawskiej mógł wreszcie Lee zaspokoić swą żądzę przygód. W Konstantynopolu nie zabrakło mu świeżych wrażeń, gdyż przeżył tam wielkie trzęsienie ziemi, w którem wiele domów runęło i wiele ludzi zginęło. Lee ocalał dzięki temu, że dom, w którym zamieszkał, był drewniany.

Donosząc siostrze do Londynu o tej katastrofie (w liście, datowanym w Konstantynopolu 28-go maja 1766) pisał: "Możesz mnie oczekiwać w Anglji tej zimy. Zamierzam wyjechać za trzy tygodnie stąd do Warszawy, gdzie będę prosił króla — gdyż uważam, iż służba przy monarsze o tak wspaniałym charakterze jest najwyższym zaszczytem, — aby pozostawił mnie w stopniu adjutanta, co nie będzie przeszkadzało posadom, wyrobionym dla mnie w domu"...

Rzeczywiście niedługo potem Lee wrócił z Turcji do Warszawy, gdzie objawił królowi zamiar powrotu do ojczyzny. Stanisław August niechybnie zaopatrzył go hojnie na drogę, nadto, wobec trudności Lee'a u dworu angielskiego, dał mu odręczny list do króla Jerzego III, z prośbą o względy dla swego adjutanta.

Pełen najlepszych nadziei na powodzenie wśród swoich, Lee wrócił do Anglji u schyłku r. 1766-go i na posłuchaniu u króla Jerzego wręczył mu list od króla polskiego, prosząc zarazem ustnie o awans w armji. Zabiegał też u ministrów w tej samej sprawie, ale zbywano go tylko obietnicami, aż wreszcie sam spostrzegł się, że — jak skarżył się siostrze — jest "stanowczo proskrybowany."

Z Londynu wnet po swem przybyciu pisał do ks. Czartoryskiego, dziękując za gościnę w Polsce i opisując szeroko sprawy polityki angielskiej. "Rozmawiałem z naszymi ministrami o sprawach polskich, ale, ponieważ ten list idzie zwykłą pocztą, nie mogę po-

słać szczegółów Waszej Wysokości. Charakter Jego Królewskiej Mości jest u nich w wysokiem poważaniu. Proszę Waszej Wysokości oświadczyć Mu moje uszanowanie, zapewnić Go o mojej gorliwości, podziwie i miłości. W kilku dniach pozwolę sobie napisać do Niego lub do Pana Ogrodzkiego. Czekam z tem jednak, aż do posłuchania u króla. Czy nie mógłby Wasza Wysokość postarać się mi o kopję podobizny Jego Królewskiej Mości, albo w minjaturze, albo innej; proszę tylko o kopję, gdyż nie śmiałbym kłopotać go, aby pozował, Wasza Wysokość uszczęśliwiłby mnie również nadesłaniem swego własnego portretu". Obiecuje potem Lee, że skoro tylko Bałtyk popuści lody, wyszle królowi znaczną liczbę nowych książek angielskich, na które król przysłał mu pieniądze, zostawiając wybór ich jego sądowi. Donosi też, że lord Thanet wyszle na wiosnę parę koni dla króla w podarku.

Z przerwy między pierwszym a drugim pobytem Lee'a w Polsce pochodzą dwa bardzo ciekawe listy - resztki, jakie w papierach jego zachowały się z widocznie obszerniejszej korespondencji z królem polskim.

"Mój Najjaśniejszy i Najdroższy Panie" — pisał Lee królowi 1 grudnia 1766, a więc wkrótce po przyjeździe do Londynu. Odpowiadając na wcześniejszy list króla, wynurzał przedewszystkiem swoje uczucia dla niego: —

"Wasza Królewska Mość lepiej wyobrazi sobie, niż zdołam wyrazić, jak ucieszyłem się z otrzymania miłego i łaskawego listu Waszej Królewskiej Mości; zapewnienia, jakie mi przynosi o Waszem wysokiem mniemaniu i poważaniu, będę zawsze uważał za najszczęśliwsze, najbardziej zaszczytne wydarzenia mego życia. Płacą one mi sowicie za nieprzyjaźnie, jakie ściągnąłem na siebie ze strony pewnych potężnych osób w mojej ojczyźnie, gdzie może z jakiego sprawiedliwego wyroku Bożego, te same przymioty, które byłyby zaletą w oczach Waszej Królewskiej Mości, są bardzo znienawidzone. Gorąco pragnę i z dumą spodziewam się, dla swego własnego honoru, że tak będzie, abym tylko zawsze posiadał miejsce w szacunku Waszej Królewskiej Mości, a pozostał w niełasce u tych, którzy tak bardzo, tak zupełnie różnią się od Waszej Królewskiej Mości."

W dalszym ciągu listu Lee, na żądanie króla, przedstawia mu sprawy polityczne Anglji, przedewszystkiem ostro potępiając sławnego Williama Pitta, ówczesnego pierwszego ministra. "Jest rzeczą widoczną, że razem ze zdrowiem i siłami tego niezwykłego człowieka, zużył się także rozum... Zanim przyjechałem do Anglji, niewiele przywiązywałem wagi do tych szczegółów jego postępowania, które tak martwiły gazety; a przypominam sobie, że Wasza Królewska Mość tak samo powiadał, iż nie było nic tak bardzo potwornego w przyjęciu parostwa przez niego, ale że był to raczej nierozważny krok z jego strony; Wasza Królewska Mość dowodził bezsensowości pragnienia sławy, aby wyrzekać się nazwiska Pitta dla jakiegokolwiek tytułu, który król mógłby mu nadać". (Odnosiło

się to do tytułu hrabiego Chatham, jaki Jerzy III nadał starszemu Pittowi).

Lee zapewniał króla, że pomylił się, sądząc łagodnie Pitta: "Szlachetny ten niegdyś umysł upadł zupełnie". Parostwo Pitta pociągało za sobą przejście jego z izby gmin do izby lordów, a nikt, zdaniem Lee'a, nie zmieniał tak miejsca bez zmiany zasad. Zresztą o zmianie sposobu myślenia u Pitta świadczy zaniechanie dawnej prostoty a otoczenie się wystawnością. Premjer stał się histerykiem. Ogólnie uważają, że skończył karjerę. Na pytanie Stanisława Augusta, kto zajmie miejsce po nim, Lee wylicza kilku mężów stanu. Przechodząc potem do amerykańskich spraw, wspomina, iż wysłał królowi kilka broszur o sprawach kolonij za oceanem, potępia ciemiężycielskie prawa angielskie, wymierzone przeciw kolonistom i kończy wróżbą powstania w Ameryce: "Jeżeli jeszcze jeden podobny napad (jak prawo stemplowe) zostanie dokonany na kolonistów przez okrutnego, głupiego ministra ośmielam się wróżyć, że kraj ten zostanie wstrząśnięty aż do swych posad w bogactwie, kredycie, flocie wojennej i wewnętrznej ludności".

Nie wygląda na to, by zachowany w papierach Lee'a list króla Stanisława Augusta był odpowiedzią na ten list Anglika, gdyż królewskie pismo jest datowane w Warszawie, aż 20-go marca 1768, jednakowoż w treści odpowiada powyższej korespondencji. List króla objawia właściwe mu duże zainteresowanie wszelkiemi sprawami — od polityki do zboża, bydła i zalet koni, ale przedewszystkiem jest bardzo ciekawym i ważnym dla nas wyrazem zapatrywań głowy rządu polskiego na swobody Ameryki, która wówczas stała przed wojną rewolucyjną.

Pisał więc król Lee'owi:

"Czekałem na pewny sposób wysłania odpowiedzi na list Pana z 20-go października r. ub. Proszę się nigdy nie usprawiedliwiać z długości swych listów, jeżeli zawsze pisze je pan tak zajmujące i pouczające, jak ostatni.

"Jeżeli prawdą jest, iż wielki Pitt stał się przykładem ludzkiej słabości, klęska ta sprawia mi taką samą przykrość, jaką czułbym w razie zniszczenia bazyliki św. Piotra przez trzęsienie ziemi, ponieważ byłoby to zniszczeniem wzoru doskonałości, lub przynajmniej ludzkiej znakomitości.

"Ale jeżeli Pitt już nie istnieje, lub mówiąc poprawniej, jest teraz tylko magni nominis umbra, kto jest lub kto ma zostać waszym ministrem.

"Ponieważ nie dostałem druków w sprawie waszych kolonij, o których Pan pisze, że wysłał mi, ponownie proszę donieść mi, dlaczego nie pozwalają waszym kolonjom mieć przedstawicielstwa w parlamencie angielskim? Reprezentacja i opodatkowanie szłyby wtedy razem a związek między macierzą a córami stałby się nierozerwalny; inaczej nie widzę innej alternatywy, jak uciemiężenie lub zupełną niepodległość.

"Stworzenie parlamentów amerykańskich jako środek zaradczy — albo też innych ciał ustawodawczych, jakkolwiek by się nazywały — zdaniem mojem, wywołałoby prawdopodobnie nic innego, jak tylko sprzeczność interesów między kolonjami a Anglją, zarówno niemożliwą do pogodzenia jak i szkodliwą dla obu stron.

"Anglicy w Ameryce byliby wówczas w takim samym stosunku do Anglików w Europie, jaki istnieje w siedmiu Zjednoczonych Prowincjach, (t. j. w Holandji), tworzących związkową rzeczpospolitą, której rząd jest tak wadliwy i powolny w działaniu z powodu równości władzy między siedmioma małemi republikami. Najgorsze ze wszystkiego byłoby to, że uchwały parlamentu Anglji musiałyby być zatwierdzane przez amerykański parlament, zanim mogłyby być wykonywane w Ameryce — co ten ostatni czyniłoby wyższym nad pierwszy. Byłoby to źródłem takich nadużyć, jakie można widzieć teraz w Polsce, gdzie sejmik pruski przypisuje sobie prawo zatwierdzania lub odrzucania tego, co uchwali sejm Królestwa Polskiego.

"Donieś mi następnie, czy drożyzna żywności dalej zmniejsza się u was? i czy pozwolenie na wywóz zboża, wydane przez króla Francji swym poddanym, doprowadziło do zwiększenia przywozu francuskiego zboża do waszego kraju, i czy jest u was nadzieja otrzymania pożądanych praw przeciw wielkim farmom w celu zmniejszenia liczby koni a zwiększenia liczby rogatego bydła?

"Jestem zobowiązany milordowi Thanet zarówno za jego życzenie sprawienia mi przyjemności, jak i za przysłanego mi konia, który jest bardzo piękny i znakomity.

"Jeżeli milord pragnie znać mój gust co do rumaków, najlepiej lubię te, które kształtem najwięcej zbliżają się do tureckich, odznaczających się, jak Pan wie, nietylko chudą głową, dużemi i mądremi oczyma, karkiem silnym i smukłym, ale także rozdętemi nozdrzami i uszyma jak ostrze dzidy, piękną piersią, dużym zadem, prostym grzbietem, nogami szczupłemi, ale silnemi, ogonem naturalnie wzniesionym, a jeżeli jest ucięty, powinien być dobrze podniesiony do góry.

"Nie wiem czy robię przyjemność milordowi Thanet, ale przynajmniej chcę tego, wysyłając mu sześć nakryć zimowych na zaprząg koni, takie, jakie my tu używamy.

"Ponieważ Pan chcesz mieć mój portret, a nie mam obecnie innego, któryby mnie przypominał, posyłam Ci jeden, który ma być do mnie podobny. Osądź sam. Jest jednak rzeczą pewną, że oryginał tego portretu żywi dla Ciebie zawsze wiele uczucia i poważania."

Powyższy list Stanisława Augusta, pisany w poprawnej angielszczyźnie i podany w "The Lee Papers, Collections of the New York Historical Society, 1871-74", dowodzi, jak ostatni król polski żywo zajmował się sprawami kolonij amerykańskich — co więcej, iż życzliwie odnosił się do sprawy ich niepodległości. Jared Sparks,

cytując ten list króla w życiorysie Lee'a, zaopatruje go w następującą uwagę:

"Te ideje króla (o Ameryce), choć może nie zupełnie stosowne do okoliczności, do których odnoszą się, dowodzą jego wolnościowych poglądów i należnego poszanowania dla politycznych praw człowieka".

Tak jak król, musiała myśleć i czuć znaczna część społeczeństwa polskiego — a chociaż w czasie rewolucji amerykańskiej Polska, skołatana swemi nieszczęściami, znaczyła zbyt mało w świecie polityki międzynarodowej, by wpływem swym przeważyć szalę zwycięstwa na rzecz kolonij, to jednak niechybnie uczuciami swemi, urzędowo i prywatnie, była po ich stronie.

Słowa listu królewskiego wyraźnie odsłaniają jego myśl, że opodatkowanie kolonij bez głosu w ustawodawstwie — główny punkt sporny między Anglją a Ameryką — jest tyranją, która musi doprowadzić do powstania i wybicia się kolonij na niepodległość.

Powyższe — jakkolwiek platoniczne — oświadczenie się Stanisława Augusta za wolnością Ameryki stanowi nowy, ważny przyczynek do historji stosunków polsko-amerykańskich, tem ważniejszy, że urzędowych oświadczeń polskich z owej doby brak. Powstające kolonje nie zabiegały nawet o nawiązanie stosunków z Polską, nad którą ciążyło już widmo śmierci politycznej.

* * *

Chociaż Polacy, oprócz nielicznych wybrańców, nie pozyskali serca Lee'a, jednakże adjutant Króla Jegomości, ze względu na rachuby przyszłości, nie zrywał zupełnie za sobą mostów w Polsce, gdy wyjeżdżał do Anglji. List Tomasza Wroughtona, posła Wielkiej Brytanji w Warszawie, pisany do Lee'a w Londynie pod datą 29-go kwietnia 1767, świadczy, że pożądał nowin ze stolicy nadwiślańskiej, zarówno o wielkich sprawach Rzeczypospolitej jak i małych zdarzeniach brukowych.

"Pamiętam o mej obietnicy" — pisał Wroughton — "aby zawiadamiać cię o wypadkach miejscowych; i gdybym otrzymał od ciebie kilka słów z drogi, byłbym starał się znaleźć czas podczas Sejmu, by dać ci zarys poważnych i niespodzianych spraw, jakie nas zajęły; obecnie jest to zbyteczne, gdyż gazety i inni twoi tutejsi korespondenci nie zaniedbali, bez wątpienia, pouczyć cię o tem. Ważna sprawa dyssydentów została ostro i zuchwale odrzucona; i nie możesz nie wiedzieć, że ci panowie utworzyli dwie konfederacje w Polsce i na Litwie, poparte armją rosyjską z 30 lub 40 tysięcy wojska, i że spodziewamy się nadzwyczajnego Sejmu w sierpniu lub wrześniu dla załatwienia ich żądań, stosownie do życzeń mocarstw, które popierają ich; i, choć nie można przewidzieć, jak to się skończy, jednak okoliczności obecne sprzyjają im i mamy powody do przypuszczania, że sprawa zostanie przeprowadzona bez naruszenia spokoju Rzeczypospolitej.

"Nie wyobrażaj sobie jednak, że — jakkolwiek ważna jest ta sprawa — nasi wielcy ludzie nie znajdują czasu na inne przyjemności i zabawy. Przedmiotem, który zajmuje naszą uwagę w obecnej chwili, jest miłość i rodzina Clavereau — pamiętasz tego francuskiego aktora i jego dwie córki? Książę Kasper Lubomirski zaślubia dziś młodszą córkę a starsza uciekła i zaślubiła przed dwoma dniami muzyka, który otrzymał od R — (niechybnie, jak zresztą wskazuje dalsza wzmianka o ambasadorze, jest tu mowa o Repninie) znaczną sumę pieniędzy jako wynagrodzenie za haniebną rolę i za służenie tylko za płaszcz dla jego wysiłków w wydostaniu jej z domu ojcowskiego. Ojciec postąpił w tym wypadku jak książę, a ambasador jak komedjant. Ten ostatni śmieje się i jest zadowolony ze swej zręczności a jego pochlebcy mówią mu, że jest zręcznym dyplomatą; ale każdy rozumny i bezstronny człowiek musi potępić osobę jego stanowiska i charakteru, ojca wielu dzieci i dawno wyszłego z gorącej młodości, za popełnienie takiego szaleństwa".

Niewiadomo, co Lee'a więcej zajmowało, — polskie sprawy państwowe, czy plotki, — zdaje się jednak, że te drugie. Siedząc bezczynnie nad Tamizą i napróżno wyczekując na łaskę rządu i awans, zatęsknił znowu za Polską. Z końcem r. 1768 postanowił puścić się w nową podróż na wschód, przez Francję i Korsykę do Polski, a stamtąd do Rosji, aby przyczepić się do armji rosyjskiej, zajętej wojną z Turcją.

"W dziesięciu dniach" — pisał do siostry, panny Sidney Lee, z Londynu, 29-go listopada 1768 — "spodziewam się wyjechać do południowej Francji, a jeżeli uda mi się dostać na Korsykę, to pojadę. Ale na wiosnę zamierzam za poleceniem króla polskiego wstąpić do armji rosyjskiej i odbyć następną kampanję przeciw Turkom. Pochlebiam sobie, że nieco więcej ćwiczenia a będzie ze mnie dobry żołnierz — jeżeli zaś nie, to służba ta posłuży mi za temat do rozmów przy kominku podczas mojej starości, która wkrótce przyjdzie na nas wszystkich. Apropos, muszę Cię błagać (teraz mówię o królu polskim), abyś posłała jego obraz do pani Naylor, przy starej ulicy Burlington, aby zrobiła kopję z niego i zwróciła ci go natychmiast..."

Jednakowoż plany wypoczynku w południowej Francji i Korsyce pokrzyżował Lee'owi ks. Czartoryski. Lee wyjaśniał zmianę decyzji w liście do siostry, datowanym już z Wiednia 12-go lutego 1769:

"Spotkałem w Paryżu Księcia Czartoryskiego, od którego dowiedziałem się, że kampanja między Rosjanami a Turkami rozpocznie się prawdopodobnie wczesną wiosną. Nakłonił on mnie, abym jechał z nim. Jesteśmy we Wiedniu od dwuch tygodni i tylko czekamy na eskortę, która ma zaopiekować się nami od granicy do Warszawy, gdyż drogi w Polsce nie są wcale otwarte, co dnia powstają nowe konfederacje, które łupią i mordują wszystko, co nawinie im się pod ręce. Mam dostać komendę nad Kozakami i Wo-

łochami, a o tym rodzaju ludzi mam dobrą opinję. Jestem zdecydowany nie służyć w wojsku linjowem — równie dobrze możnaby zostać kościelnym. Pisz do mnie Chez Le Prince General de Podolie, Varsovie."

Tak to Lee w towarzystwie ks. generała dostał się poraz drugi do Warszawy a chociaż tym razem zabawił tam tylko kilka miesięcy, ale z okresu tego pozostała o wiele większa liczba ciekawych listów w jego papierach, niż z pierwszego jego pobytu. Spieszyło mu się wprawdzie na front rosyjsko-turecki, ale nie potrzebował już narzekać na nudy. Urozmaiceń nie zabrakło mu.

Przedewszystkiem bowiem zakochał się w jakiejś uroczej Polce, Ludwice C....., której dla zabicia czasu zaczął udzielać lekcyj języka angielskiego. "Byłem już tak przywykły do rozmów z samym sobą i z kilkoma ulubionymi książkami" — wyznawał umiłowanej — "że nigdy nie czułem potrzeby wysiadywać w buduarach kobiet, jak to jest w powszechnym zwyczaju, dla ucieczki od samotności i zabicia czasu... Po jednej czy dwuch rozmowach z moją uczennicą żywiłem rodzaj ambicji, że powiększę środki oświecenia tak wspaniałego rozumu... Ale, o Ludwiko! powinnaś, musisz wiedzieć, że ambicja ta ustąpiła miejsce innemu, nie tak spokojnemu uczuciu!... Połącz swe losy z mojemi, gdyż pochodzę z szanowanej rodziny a fortuna moja jest dostatecznie duża, aby uczynić uczciwego mężczyznę niezawisłym a uczciwą kobietę zadowoloną"...

Lee nie znalazł wzajemności w sercu Ludwiki. Trudno dociekać powodów tego, jednak adjutant królewski już swą powierzchownością nie zalecał się zbytnio na męża. Wedle opinji współczesnych, był bardzo wysoki i przytem cienki, twarz miał brzydką, z orlim nosem wielkich rozmiarów. Pozatem i majątek i stanowisko jego mogły niedostatecznie odpowiadać wymaganiom panny, która, zdaje się, należała do jednej z pierwszych rodzin w Polsce.

Romans skończył się na tym jednym liście. Przygoda z Ludwiką była jedynym epizodem miłosnym w życiu Lee'a. Pozostał on do końca życia w stanie bezżennym.

Polska przeżywała wówczas burzliwe czasy Konfederacji Barskiej, które mogły Lee'owi posłużyć nie tylko za temat spostrzeżeń i sądów, ale i za pole popisu dla swych zdolności wojskowych. W obserwacjach swych pozostał jednak nadal powierzchownym a w sympatjach wiernym ukoronowanemu dobroczyńcy.

"Kraj ten jest przeciwieństwem naszego" — pisał do niejakiej pani Blake w Londynie, z Warszawy, 2-go maja 1769. "Ma on uczciwego, patrjotycznego króla, ale występny naród. Jeżeli Bóg, jak przypuszcza Seneca, rozkoszuje się widokiem cnotliwego męża, walczącego z przeciwieństwami, ma On miły widok w królu Polski; a spodziewam się, że Bóg w końcu nagrodzi narzędzie swej przyjemności, przez uwolnienie go z nieszczęść; nikt inny nie potrafi tego, jestem tego pewny. Musi mi Pani wybaczyć, że nie wchodzę w szczegóły tych trudności, gdyż list ten może wpaść w

ręce Konfederatów i zostać ogłoszonym przez naród, jak to zdarzyło się już z kilkoma innemi, podobnie małoznaczącemi, z niemałą szkodą dla spraw tego dobrego człowieka.

"Nasze położenie tu — mówię o tych, którzy są blisko osoby królewskiej, jest dziwne. Mamy niewiele wojska, większość jego zupełnie niezadowolona, a miasto jest pełne Konfederatów, którzy, choć nie rozgłaszają, ale i nie ukrywają swych sympatyj. Mamy częste alarmy i przyjemność spania w nocy z pistoletami pod poduszką. Ja obecnie czekam tylko na sposobność połączenia się z armją rosyjską. Nie zdarza się ona codziennie, gdyż potrzeba silnej eskorty, ponieważ drogi są pełne band rozbójniczych, rekrutujących się z wyrzutków Konfederacji".

Podobną opinję o Konfederatach Barskich wydawał w dwa dni potem (4-go maja 1769) w liście do lorda Thaneta. Prosząc go o list, pisał:

"Jestem w tej wesołej stolicy od pięciu tygodni, czekając na sposobność połączenia się z armją rosyjską, co nie trafia się codziennie, gdyż drogi są pełne pewnego gatunku panów, którzy nazywają się Konfederatami, ale dlaczego lub z jakiego powodu podoba się im tak mianować, nie mogę zbadać. Nie dają oni pardonu, nie mają żadnego planu, ale rabują, łupią i zwykle mordują każdego, kto wpadnie w ich ręce, bez względu na religję, rasę i cerę...."

Przy końcu tego listu Lee wtrąca zdanie króla Stanisława Augusta o współczesnem położeniu politycznem Anglji: "Onegdaj miałem rozmowę z jegomością, któremu dałeś Pan konia. Ubolewa on wielce nad słabem i złem prowadzeniem naszej administracji, nie tylko ze względu na nas samych, ale i ze względu na całą Europę. Powiada on, że gdyby tylko Wielka Brytanja miała zdrowy rozsądek i przeciętną uczciwość, zostałaby władczynią świata; że mogłaby utrzymać na wodzy psy wojny, które teraz niechybnie zerwą się na zniszczenie większej części kuli ziemskiej. Przesyła Panu swoje uszanowanie i dziękuje jeszcze raz za konia, który chowa się doskonale..."

Te same sprawy polskie obszerniej i z jeszcze większą niechęcią do Barszczan omawiał w liście do przyjaciela, Jerzego Colemana, starszego, z Warszawy, 8-go maja 1769:

"Jestem tu od dwuch miesięcy i czekam na sposobność połączenia się z armją rosyjską. Boję się, że będę musiał czekać jeszcze miesiąc. Drogi są tak zapchane wyrzutkami z szeregów Konfederatów, którzy sami są bandytami, że niepodobna przejść dziesięć jardów bez eskorty Rosjan; Anglicy są mniej bezpieczni niż inni, gdyż uważani są za arcywrogów wiary świętej. Pewien francuski aktor omal że nie został powieszony dlatego, że miał na sobie perukę, która uważana jest przez Konfederatów za narodowy strój angielski. Pragnąłbym bardzo, aby trzy nasze izby ustawodawcze wpadły na pomysł wybrania się w podróż w perukach po lasach polskich.

"Pierwszą sposobnością, jaka mi się nastręczy, będzie obecny

ambasador (rosyjski, Repnin), który, jak mówią, ma być zmieniony za dziesięć dni. Ale o tem mówią już tak długo, że zaczynam wątpić, czy zgoła jaka okazja nadarzy się. Jeżeli nie trafi się żadna, podróż moja będzie chybiona; zdaje mi się, że serce pęknie mi z żalu. Jestem niewymownie ciekawy zobaczyć tę kampanję, choć, co prawda, sądzę, że będzie śmieszna... Rosjanie nie mogą nic wygrać przez pobicie nieprzyjaciela, a Turcy są przeklęcie trwożliwi... Jeżeli nie powiodą mi się zamiary połączenia z Rosjanami, myślę o przejeździe przez Węgry do Włoch, byle nie wracać do Anglji, poniżanej w oczach świata przez rząd."

Lee znowu przyznaje się do nieznajomości spraw polskich i obojętności wobec nich: — "Chyba nie weźmiesz tego poważnie, gdy zapewnię Cię, iż jestem tak zupełnie obcy wobec nich (wypadków w Polsce) jak ty lub ktokolwiek inny w Polsce. Widzę, że kraj jest w zupełnym stanie zamieszania, pełen zniszczenia i zabójstw. Słyszę co dnia, że Rosjanie biją Konfederatów; ale czego chcą Rosjanie, czego Konfederaci, czego ogół narodu, nie wiem nic, ale pewnie oni sami nie wiedzą więcej. Ich sposób wojowania jest równie łagodny jak nasz w północnej Ameryce z Szanisami i Delawarami. Konfederaci wieszają wszystkich Rosjan, którzy wpadną im w ręce, a Rosjanie ścinają Konfederatów. Rosyjscy kozacy mają podziwu godną zimną krew przy tych egzekucjach. Niedawno w mieście zwanem Rawa czterdziestu czy 50 Konfederatów zostali skazani na śmierć przez zabagnetowanie; ale że byli znośnie ubrani, musieli rozebrać się do tej ceremonji, gdyż Kozacy nie chcieli robić dziur w ich odzieży. Położenie króla jest naprawdę pożałowania godne, choć nosi koronę. Jest on uczciwym, cnotliwym mężem i przyjacielem praw ludzkości. Pragnąłbym, abym mógł nakłonić znanego mi władcę, którego nauczają nienawidzieć je (o ile można nauczyć go czegoś), aby zamienił z nim miejsce. (Lee mówi tu o królu angielskim). Znam naród, który mógłby wyrzec się całej rodziny, matki i wszystkich Polaków a wziąć w zamian tylko tego jednego człowieka...

"P. S. Na miłość Boską, każ Rice'owi niech się postara o kask dragoński Elliota; jeżeli sir William Erskine jest w mieście, możesz go poprosić o jeden w mojem imieniu; jest on przeznaczony dla króla polskiego".

Litował się więc Lee nad królem, zapewne, że nieszczęśliwym, ale dla tragedji jego narodu miał tylko obojętność i drwiny. Żył w otoczeniu królewskiem, w bliskim stosunku z Repninem i zausznikami rosyjskimi, łatwo więc pojąć dlaczego przejął się zapatrywaniami swego otoczenia. Jednakowoż potępienia godne jest to, że nie starał się poznać bliżej stosunków, o których z góry wydawał sądy i do których mieszał swoje trzy grosze.

Wnet Lee przyłączył się do wojsk polskich, działających pod regimentarzem Ksawerym Branickim i rozkazami Repnina przeciw Konfederatom. O udziale jego w walce z Konfederatami świadczą

zapiski w notatniku, z których widocznie zamierzał spisać pamiętnik. Zapiski te obejmują tylko kilka dni w czerwcu 1769 i tak: —

"Czerwiec, 20, 1769. Przeszliśmy Wisłę i leżeliśmy obozem tej nocy na Pradze.

"Czerwiec 21. Warszawa została zaniepokojona przez duży oddział Konfederatów, którzy zbliżyli się o 2 polskie mile do miasta Wysłaliśmy dla zabezpieczenia miasta połowę naszych kozaków i piechoty.

"22. Konfederaci zostali odparci przez Branickiego. — Warszawa uspokoiła się, nasza eskorta wróciła. Nasza eskorta składała się z 600 Kozaków, 300 grenadjerów i 300 piechoty. Dziś maszerowaliśmy pięć niemieckich mil do wsi zwanej Gliniany, położonej w lesie.

"23. Wymaszerowaliśmy o 4-tej rano przez las do małego miasteczka, zwanego Lasowicze, położonego na brzegach rzeczki Świder.

"24. Wymaszerowaliśmy o 4-ej rano i przeszliśmy 5 mil przez bardzo piękne okolice, częścią las, częścią równinę, obfitujące w pastwiska i pola, do wsi zwanej Grzeczówka — lasy tak otwarte, że wszelkiego rodzaju wojska mogłyby w nich działać — drzewa dębowe i nieco sosen."

Nie wytrwał jednak długo Lee w obozie Branickiego. Po kilku dniach miał już dosyć wojaczki i wrócił do Warszawy, aby czekać dalej na okazję przejazdu do Rosji. Nie długo już miał jej wyglądać. Ostatni list jego pisany z Warszawy w lipcu 1769 jest do siostry i wprowadza w zakres jego uwielbień jeszcze jedną osobę — ambasadora Repnina.

"Jestem w tem mieście od trzech miesięcy" — pisał jej — "i czekam na sposobność połączenia się z armją rosyjską — bardzo bezpieczna nadarzy się za 10 lub 12 dni — obecny ambasador ma wrócić do swego pułku. Będziemy mieli silną eskortę. Znam go, na szczęście, bardzo dobrze i uważam się za pewnego rodzaju jego faworyta. Jest on dobrym człowiekiem, pełnym dowcipu, wiedzy i odwagi — słowem, jest to mąż tej miary, którego przyjaźń przynosi chlubę i przyjemność.

"Król przyjął mnie z serdecznością i dobrocią, których spodziewałem się po jego szlachetnym, stałym i szczerym charakterze. Obchodzi się on ze mną więcej jako brat, niż jako patron i pan. W tym tygodniu zamierza zaszczycić mnie stopniem generał-majora — jest to, doprawdy, zaszczyt, gdyż choć między Polakami wielu niewdzięcznych poddanych, skutkiem urządzeń rządowych, dochodzą do jeszcze wyższych stopni, jednakowoż cudzoziemcy, którzy go osiągnęli, byli to ludzie niezwykłych zasług w służbie której poświęcili się. Ta łaska tak wspaniałomyślnego monarchy pochlebia mi nadzwyczajnie. Jest on, zaprawdę, znakomitym monarchą. Jest on godzien być władcą lepszego narodu. Znam pewien naród, który jest godzien lepszego władcy, niż go posiada. Czy nie mogliby zamieniać swe miejsca?"...

Wyniesiony rzeczywiście do godności generał-majora armji polskiej, Lee jakoś z końcem lipca 1769 pożegnał króla i znajomych w Warszawie i w towarzystwie Repnina wyruszył na wschód. Za protekcją Stanisława Augusta, przydzielono go do armji rosyjskiej wojującej z Turkami. Ale i to nie przypadło mu do smaku. W liście do króla z Kamieńca Podolskiego, 16 sierpnia 1769 wyszydzał Lee generałów rosyjskich i drwił z całej kampanji, wreszcie zniechęcony i przytem wyczerpany reumatyzmem i biegunką, wyjechał we wrześniu czemprędzej do Węgier, zaniedbawszy nawet pożegnać się z przyjaciółmi w Polsce. W Munkaczu przycisła go tak bieda, że musiał sprzedać konia, aby opłacić dalszą podróż. Przez Włochy dostał się na Sycylję i Maltę, gdzie spędził zimę, a w roku 1770 wrócił do Anglji.

Polski ani króla polskiego już więcej nie ujrzał. "Jest to pocieszające, jednak, że aż do ostatka zachował ten sam osobisty szacunek i to samo przywiązanie dla Stanisława Augusta, jakie wyrażał w pierwszych miesiącach swojej znajomości z nim" — powiada Jared Sparks. Rzeczywiście, Lee aż do śmierci pozostał wierny w uczuciach ostatniemu królowi polskiemu. Wprawdzie w pozostałych papierach Lee'a nie ma żadnych śladów późniejszej ich korespondencji, ale Lee niejednokrotnie w listach swych, pisanych w Ameryce do osób trzecich, wysławiał króla jako "jednego z najgodniejszych szacunku władców Europy" itp. Tytułem adjutanta Jego Mości Króla Polskiego i generała armji polskiej zawsze się szczycił i popisywał nawet w swych urzędowych pismach do kongresu amerykańskiego. Na jego dobro zapisać należy, że w jednym ze swych referatów, przedłożonych temuż kongresowi, wydał bardzo przychylną opinję o Kazimierzu Pułaskim, chociaż w Polsce znajdowali się we wrogich sobie obozach.

W rok po powrocie do Anglji, zignorowany znowu przez rząd, Lee wyjechał do Ameryki, aby oddać się na usługi sprawy niepodległości kolonij. Poprzednie jego pisma i głośne stanowisko opozycyjne wyrobiły mu już popularność na drugiej półkuli. Obrona swobód amerykańskich była jednym z głównych tematów jego antyrządowych występów, to też witano go w Nowym Jorku jako "szczerego przyjaciela wolności w ogólności, a zdolnego obrońcę swobód i praw kolonij w szczególności". Popularność tę zwiększyły broszury, jakie Lee wydał w Ameryce przed rewolucją, zwłaszcza jedna z nich pod tytułem "Structures on a Pamphlet Entitled A Friendly Address to All Reasonable Americans, on the Subject of our Political Confusions", stanowiąca świetną odpowiedź na pismo ulotne pastora M. Coopera, wzywające Amerykanów do uległości dla Anglji. Broszura ta jest ważną dla nas z tego powodu, że Lee, jeden z najlepszych ówczesnych znawców stosunków amerykańskich, stwierdzał w niej ciekawy fakt, że "Ameryka stała się wielkim spichrzem Europy, zwłaszcza od czasu zamieszek w Polsce". Jak więc Polska pomagała w znacznej mierze do dobrobytu pierwszych kolonij angielskich w Ameryce ("Polacy wśród Pionierów

Ameryki" w zbiorze "Z Przeszłości Polskiej w Ameryce") tak też upadkiem swym położyła jeden z kamieni węgielnych pod pomyślność Stanów Zjednoczonych, tracąc na ich rzecz europejskie rynki zbytu.

I nie tylko ekonomicznie Rzeczpospolita Polska wspomagała zamorską republikę w okresie swego upadku—warto tu wspomnieć mimochodem, że Stany Zjednoczone były w pewnej mierze spadkobiercą jej znaczenia politycznego, jak świadczy współczesny dokument z archiwów francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych w Paryżu. Dokument ten jest tajnym referatem politycznym, przeznaczonym dla rządu Ludwika XVI i zatytułowanym "Myśli, które może poddadzą nowe pomysły w sprawie wielkich i ważnych spraw w Ameryce". Nosi datę 7-go stycznia 1777. Znajduje się w B. F. Stevensa "Facsimiles of Manuscripts in European Archives Relating to America", (Londyn, 1898). Autor referatu jest nieznany, ale widocznie dobrze obznajomiony z tematem. Pisał on:

"Jeżeli Ameryka oderwie się od Anglji z naszą pomocą, odtąd wszystkie posiadłości tego państwa w tej części świata odpadną a nasze uzyskają tam jak najsilniejsze podstawy. Ponieważ dwa wielkie źródła handlu Anglji, jedynej podstawy jej bogactwa, są w Ameryce i Azji, odcięta więc zostanie jedna z wielkich arteryj jej potęgi... Skutki tej rewolucji powinny, naszem zdaniem, być jeszcze donośniejsze. Taki wypadek, w naszem pojęciu, zmieni odtąd na korzyść Francji polityczny układ Europy i nawet naprawi złe skutki nieszczęsnej wojny polskiej, która zniszczyła równowagę germańskiego świata, ustanowioną z taką trudnością przez 40-letnią wojnę i sławny pokój westfalski"...

A więc chylenie się Polski ku upadkowi mogło, ponadto, mieć także duży wpływ na przyjaźń Francji dla Stanów Zjednoczonych, jakby wynikało z powyższego referatu i z dalszego ciągu polityki rządu króla Ludwika XVI, jak najprzyjaźniejszej dla Ameryki.

* * *

W chwili wybuchu rewolucji popularność Lee'a dosięgła szczytu. Proponowano go nawet na naczelnego wodza armji kontynentalnej, a choć stanowisko to przypadło w udziale Jerzemu Waszyngtonowi, jednakowoż kongres zamianował Lee'a drugim generał-majorem. Oprócz Waszyngtona przewyższał go stopniem tylko jeden gen. Ward z Massachusetts, ale gdy ten zrezygnował, Lee został pierwszym w armji po naczelnym wodzu.

W początkach rewolucji Lee położył pewne zasługi dla sprawy niepodległości Stanów Zjednoczonych. W r. 1776 został mianowany głównodowodzącym na południowym terenie wojny. W październiku tegoż roku objął dowództwo prawego skrzydła armji amerykańskiej, oblęgającej Nowy Jork. Kiedy jednak Waszyngton, nie czując się dosyć na siłach, nakazał odwrót do Nowego Jersey, Lee przez dwa tygodnie zwlekał z zastosowaniem się do rozkazów. Dnia 13 grudnia 1776 został zaskoczony przez oddział dragonów angielskich w domu w Basking Bridge, N. J., o kilka mil od swej

armji i wzięty do niewoli. Więziono go w Nowym Jorku, gdzie zdradził plany amerykańskie generałowi Howe. Na skutek gróźb represji ze strony Waszyngtona, nie podejrzewającego nic złego, Anglicy uwolnili Lee'a w maju 1778. Przywrócony do dowództwa, już nie długo pozostawał w armji. Za swe zachowanie się w bitwie pod Monmouth, N. J., w czerwcu 1778, został postawiony przed sąd wojenny, który uznał go winnym nieposłuszeństwa, nienależytego zachowania się wobec nieprzyjaciela i znieważenia naczelnego wodza. Za karę zawieszono go w dowództwie na rok. Wyrok tak oburzył Lee'a, że napisał zuchwały list do kongresu, który, w następstwie tego, usunął go zupełnie z armji. Złamany na duchu, rozgoryczony do ludzi, opuszczony przez większość przyjaciół, usunął się do swego majątku w powiecie Berkeley w Wirginji i tam pędził odtąd samotne życie. W r. 1782 zmarł w Filadelfji, dokąd wyjechał na chwilowy pobyt. Pochowano go z pełnymi honorami wojskowymi, uznając dawny zapał dla sprawy wolności amerykańskiej.

Jared Sparks, historyk amerykański, uczcił go pięknym życiorysem (w r. 1848). "Byłoby niewdzięcznością mówić, że nie oddał naszemu krajowi, w czasie potrzeby, ważnych usług" — pisał w nim. "Byłoby daremnem zaprzeczać, że przez swą nieroztropność i niewczesną gwałtowność przyczynił się wiele do zmniejszenia szacunku, jaki należałby mu się za te usługi. Był zarówno twórcą pięknej sławy, którą cieszył się w jednym okresie swego życia, jak i nieszczęść, które rzuciły cień na jego koniec". Niestety, i na tem nie koniec. Zły czyn ścigał Lee'a aż poza grób. Wobec odkrycia zdrady w 70 lat po śmierci, historja odarła Lee'a nawet z tych resztek lauru, które Sparks poświęcił jego pamięci.

Dla Wychodźtwa Polskiego w Ameryce Lee pozostanie ciekawą postacią dziejową jako pośrednik poglądów na prawa kolonij amerykańskich ostatniego z królów polskich, który, dziwnem zrządzeniem Opatrzności, podobny zgotował sobie los jak jego angielski adjutant. O nim to raczej możnaby powiedzieć niemal dosłownie to, co Sparks powiedział powyżej o Lee'u. A jeżeli niewdzięcznością byłoby mówić, że nieszczęśliwy król nie oddał Polsce w czasie potrzeby ważnych usług, niechajże na dobro przybędzie mu jeszcze jeden karb, że w dobie urodzin potężnej rzeczypospolitej amerykańskiej żywił życzliwość dla jej swobód, przyczyniając przez to nam, Polakom w Ameryce, jeszcze jedno chlubne ogniwo w łańcuchu naszych zasług wobec przybranej ojczyzny.

VI

Kilka Dokumentów o K. Pułaskim

Awful the scene! fierce horror stalk'd around,
Six hundred French lay gasping on the ground:
Of Freedom's sons, two hundred bravely slain,
And fierce Poulaski bit the ensanguin'd plain.

(Opis bitwy pod Savannah pióra rewolucyjnego poety Ryszarda Snowdena. Z "Columbiad, or a Poem on the American War", Canto XI, Baltimore, Md., 1800).

Prof. W. M. Kozłowski w swym szkicu "Pułaski w Ameryce" (Bibljoteka Warszawska, 1905); Jared Sparks w "Life of Count Pułaski" (Boston, 1844), i Marcin I. J. Griffin w "General Count Casimir Pulaski" (Catholics and the American Revolution, vol. III) wyczerpali niemal wszystkie dokumenty, dotyczące amerykańskiej służby Kazimierza Pułaskiego. Są to najlepsze prace historyczne o ostatnich latach życia i bohaterskiej śmierci wodza polskiego. Poza niemi pozostało prawdopodobnie nie wiele materjału, którym by można jaśniej rozświetlić trudy i zasługi Pułaskiego dla powstających kolonij amerykańskich.

Poniższe dokumenty dorzucają kilka nowych szczegółów do znanych już dziejów jego rycerskiego żywota. Wszystkie one były dotychczas przeoczone przez bjografów Pułaskiego. W każdym razie nie znali ich prof. Kozłowski i Griffin, nie mówiąc już nic o Sparksie, który swój życiorys Pułaskiego napisał około 90 lat temu, nie zużywszy do niego nawet tych dokumentów o Pułaskim, jakie miał pod ręką.

Przedewszystkiem duże znaczenie historyczne posiada referat o Pułaskim, pióra gen. Karola Lee, najwyższego po Waszyngtonie dowódcy amerykańskiej armji rewolucyjnej. Referat ten znajduje się w popularnej przed 130 laty pracy Edwarda Langworthy p. t. "Anecdotes of the late Charles Lee, Esq., Lieutenant-Colonel of the 44-th British Regiment, Colonel in the Portuguese Service, Major-General and Aid-du Camp to the King of Poland, and Second in Command in the Service of the United States of America during the Revolution" (2-nd edition, London, 1797).

"Anegdoty" stanowią zbiór, części listów i papierów Lee'a, tytuł więc niezbyt trafnie odpowiada treści posiadającej wartość historyczną. Referat, dotyczący Pułaskiego, nosi tytuł: "Projekt stworzenia oddziału lekkich wojsk, gotowego do samodzielnego działania w nagłych potrzebach" (Proposals for the formation of a Body of Light troops, ready to be detached on a emergency occasion).

Dokument nie ma daty, ale z treści i wypadków historycznych

można ustalić jego datę na maj lub czerwiec 1778. Gen. Lee przebywał w niewoli angielskiej przez półtora roku, od grudnia 1776 do maja 1778. Ponieważ Pułaski przyjechał do Ameryki dopiero w lipcu 1777, nie mógł więc Lee pisać o nim i jego legjonie wcześniej. Nie mógł też pisać po czerwcu 1778 gdyż po bitwie pod Monmouth, N. J., został oskarżony przez Washingtona o niesubordynację i powołany przed sąd wojenny. Miesiące maj i czerwiec 1778 były właśnie miesiącami organizowania legjonu przez Pułaskiego.

Niechybnie referat Lee'a przeznaczony był dla użytku kongresu kontynentalnego, który, polegając na zdaniu Waszyngtona, już 28-go marca 1778 uchwalił pozwolić Pułaskiemu na formowanie własnego lekkiego korpusu. Ponieważ był to nowy eksperyment w armji rewolucyjnej, nic dziwnego, że kongres badał opinję najwybitniejszych oficerów w tej sprawie, — w każdym razie Lee'a, jako zastępcy Waszyngtona.

Lee wydał w referacie bardzo pochlebny sąd o Pułaskim. Zaraz z początku, w właściwym sobie nieco dziwacznym stylu, pisał:

"Hrabia Pułaski jest z pewnością dobrym żołnierzem, albo nie jest nim; co do mnie, uważam go za bardzo dobrego. (Count Pulaski is certainly a good soldier, or he is not; for my own part, I believe him a very good one.) Przedewszystkiem jest on Polakiem, którego talent jest dostosowany do lekkiej czyli podjazdowej wojny. Następnie, miał on dużo praktyki w najlepszych szkołach i jest bez wątpienia dzielnym i przesiębiorczym. Jeżeli nie jest dobrym żołnierzem, nie powinien być trzymany, gdyż korpus jego jest kosztowny; dlatego jest rzeczą wskazaną, aby albo zupełnie podziękować mu za służby, albo użyć go należycie; ale, przypuszczając, że zna swe rzemiosło, proponuję następujący plan: — Aby jego legjon natychmiast powiększyć do dwunastu set ludzi, czterysta kawalerji i ośmset lekkiej piechoty — aby na te ośmset piechoty bez straty czasu zrobić zaciąg z każdego pułku armji kontynentalnej i przyjmować tylko rodowitych Amerykanów; niezbyt młodych, którzyby nie mogli znieść trudów tego rodzaju służby, ale w wieku odpowiednim do wytężających działań i forsownych marszów. Major Lee, który, zdaje się, jakoby już z łona matki wyszedł żołnierzem, powinien być wcielony do tego legjonu ze stopniem podpułkownika i dowództwem nad całą kawalerją (legjonu). Jeżeli korpus majora Lee — nie znam jego siły —, dodany do kawalerji, jaką Pułaski już ma, nie podniesie jej liczby do czterystu ludzi, należy zrobić zaciąg z innych pułków kawalerji, Moylana, Blanda i Sheldona, też z rodowitych Amerykanów i możliwie najmłodszych, ponieważ, wedle zasad ćwiczeń Pułaskiego, które, doprawdy, uważam za najlepsze w świecie, (Pulaski's principle of excercise, which I verily believe to be the best in the world), nikt, prócz bardzo młodych mężczyzn, nie może wyćwiczyć się w manewrach; ponieważ zaś nie jest rzeczą pewną, że hrabia Pułaski lub major Lee znają szczegóły musztry kawaleryjskiej, od czego

tak wiele zależy, należy wynaleźć jakich kwatermistrzów lub sierżantów, którzy służyli w brytyjskiej kawalerji i których tylu jest na kontynencie, i zachęciwszy stopniem i wynagrodzeniem, użyć do tego. Tak zorganizowany korpus, mając na czele dzielnych i rozumnych oficerów, jakimi są Pułaski i Lee, oraz kilku niższych oficerów, zaznajomionych ze szczegółami służby, odda skuteczniejsze usługi, niż jakiekolwiek inne dziesięć pułków na kontynencie..."

Dalszy ciąg referatu nie ma już nic wspólnego z Pułaskim; zawiera potępienie zwyczaju wybierania doborowych ludzi z pułków na rozmaite nadzwyczajne wyprawy.

Major Lee, wspominany przez generała Lee'a, jest to późniejszy generał Henryk Lee, dzielny dowódca jazdy w wojnie rewolucyjnej, znany pod przydomkiem: "Light Horse Harry". Między autorem referatu a majorem Lee nie zachodziło żadne pokrewieństwo.

Wprawdzie kongres nie zastosował się do wskazówek Lee'a, wprawdzie Lee skończył rychło i niesławnie swą karjerę w armji rewolucyjnej, ale sąd jego o Pułaskim, zapomniany przez przeszło wiek, jest nowym liściem wawrzynu do wieńca sławy polskiego bohatera. Lee, bądź co bądź, był dobrym oficerem, służył w kilku armjach i w kilku potrzebach wojennych, a zdanie jego o Pułaskim jako o "bardzo dobrym żołnierzu", posiadającym "najlepszą w świecie" metodę szkoły żołnierskiej, ma tem większe znaczenie, że pochodziło z pod pióra człowieka, który w Polsce stał w obozie, wrogim Pułaskiemu, a w Ameryce też z pewnością nie miał powodu do zbytnich sympatyj dla bohaterskiego Polaka.

* * *

Historję sztandaru Pułaskiego, którą już ogłosiłem w szkicach "Z Przeszłości Polskiej w Ameryce", oraz genezę znanego wiersza Longfellowa o tymże sztandarze uzupełnia list Edmunda Schweinitza, biskupa sekty Morawjan, osiadłej w Bethlehem, Pa. List jest odpowiedzią dla Henryka Stockbridge, członka Towarzystwa Historycznego Stanu Maryland, który około r. 1870 zainteresował się sprawą pochodzenia sztandaru, znajdującego się w zbiorach tegoż towarzystwa, i zwrócił się do biskupa Schweinitza z prośbą o informacje. List, zaciągnięty do protokółów Towarzystwa, został ogłoszony w "Baltimore Sun" około r. 1880. Wycinek znalazłem w zbiorach po ś. p. Henryku Kałussowskim w archiwum Związku Narodowego Polskiego w Cambridge Springs, Pa., do którego dostęp, podczas przelotnej wizyty w r. 1928, ułatwili mi p. p. Marjan Stęczyński, zarządca i Wacław Gąsiorowski, rektor Kolegjum. Za grzeczność tę składam im niniejszem serdeczne podziękowanie.

List, adresowany do Stockbridge'a, nosi datę Bethlehem, Pa., 2 września 1874 i brzmi następująco:—

"Drogi Panie:—... Przypuszczam, że taki sztandar został wyhaftowany przez mieszkanki Domu Morawskich Sióstr w Bethlehem, ale nie został uroczyście przez nie wręczony Pułaskiemu.

Co więcej, sztandar nie był wcale darem, ale został zrobiony na zamówienie i zapłacony przez Pułaskiego, Takie jest moje zdanie a zdanie to jest oparte na następujących faktach:

"Pułaski przybył do Ameryki w lecie 1777-go r. i zmarł z ran w r. 1779, wobec czego obecność jego w Bethlehem i uszycie sztandaru mogły zdarzyć się tylko w latach 1777, 1778 i 1779. Stosownie do tego z wielką uwagą przeczytałem urzędowe dzienniki z tych lat, zachowane w naszych archiwach w Bethlehem i zawierające nietylko historję morawskiego kościoła w tej miejscowości, ale również wiadomości o bieżących wypadkach, zwłaszcza dotyczących rewolucji. Przekonałem się, że Pułaski odwiedzał Bethlehem dwukrotnie, mianowicie w kwietniu 1778, dnia 16-go tego miesiąca, który to dzień był Wielkim Czwartkiem i w którym to dniu był na nabożeństwie w zborze morawskim w towarzystwie pułk. Kowacza, — i ponownie 17-go maja tegoż roku. Zapisek z tegoż dnia brzmi: — Niedziela, 17go, p. Samuel Adams, delegat do kongresu z zatoki Massachusetts, Dr. Foster i kilku innych panów spędzili dzień dzisiejszy w Bethlehem i byli na nabożeństwie, a tak samo Gen. Pułaski, który nakazał paradę oddziału ze swego korpusu, jaki był z nim, i w ten sposób przybył do zboru. Pozatem niema najmniejszej wzmianki o Pułaskim, lub jakiejkolwiek wzmianki o sztandarze. Gdyby taki sztandar ofiarowano mu, wręczenie byłoby niechybnie opisane obszernie.

"Z drugiej strony, znalazłem w naszem archiwum urzędowy dziennik przełożonej Domu Sióstr, w którym sztandar został wyszyty. Dziennik ten również nie wspomina nic o Pułaskim lub sztandarze. Gdyby został mu ofiarowany, fakt ten, rzecz jasna, byłby wzmiankowany w tym dzienniku; gdyby zaś Siostry wysłały mu go po jego odjeździe jako dar, i to też byłoby z pewnością zanotowane. W owym czasie część dochodu Domu Sióstr, z którego był utrzymywany, pochodziła ze sprzedaży haftów i innych robót kobiecych, wykonywanych przez mieszkanki domu. Otrzymywały one duże zamówienia na te roboty. Było to tak powszednią rzeczą, że nie zapisywano ich w urzędowych dziennikach. Dlategoteż sądzę, że gdy Pułaski odwiedzał Dom Sióstr na wiosnę 1778 r. i zobaczył piękne hafty, jakie tam wykonywano, zamówił mały kawaleryjski sztandar dla swego legjonu, i że cała tranzakcja była czysto handlową, choć z czasem przekształciła się w inną wersję, obecnie ogólnie przyjętą, dzięki poematowi Longfellowa, zupełnie niezgodnemu z historją.

"Wiele lat temu pewien młodzieniec z Bethlehem, który uczył się w kolegjum Yale, spotkał prof. Longfellowa i powiedział mu, że w Bethlehem nie było katedry za czasów Pułaskiego, ani niema jej teraz; że Siostry morawskie nigdy nie miały klasztorów, i że nigdy nie było morawskich zakonnic, gdyż cała historja sekty jest zaprzeczeniem wszystkiego, co pochodzi z Rzymu. Na to profesor z uśmiechem powiedział, że jego opis był licencją poetycką. W zeszłym roku jeszcze żył tu pewien starzec, który mawiał, że

jako dziecko znał jedną czy dwie kobiety, które pomagały haftować sztandar Pułaskiego. Jest to nowy dowód, że sztandar ten został rzeczywiście tu wyhaftowany. Powyższe jest wszystkiem, co mogę podać w tej sprawie. Pozostaję...

"Edmund De Schweinitz."

List ten stanowi ciekawy komentarz do znanego wiersza Longfellowa o poświęceniu sztandaru Pułaskiego a zarazem zaprzecza ostatecznie teorji, wedle której sztandar był darem sióstr morawskich dla Pułaskiego z wdzięczności za osłonienie ich przed bandami maruderów. Potwierdza on moje przypuszczenie, wyrażone w szkicu "Historja Sztandaru Pułaskiego", że sztandar zamówił i zapłacił z własnej kieszeni Pułaski, zawsze wysoce dbały o marsowy i piękny wygląd swego żołnierza.

* * *

Zbiory po ś. p. H. Kałussowskim dostarczyły mi innego ciekawego dokumentu, tyczącego zagadki miejsca pochowania Pułaskiego. Wśród wycinków, skrzętnie zbieranych przez tego nestora polskiej emigracji politycznej, znalazł się artykuł z "The Daily Courier", z Savannah, Ga., z 12-go lutego 1854, p. t. "The Burial of Pulaski". Temat ten omawiałem obszerniej w szkicu "Śmierć, pogrzeb i pomnik Pułaskiego w Savannah" w zbiorze "Z Przeszłości polskiej w Ameryce". Artykuł potwierdził istnienie trzech teoryj co do miejsca pochowania Pułaskiego, do jakich doszedłem na podstawie własnych badań — mianowicie: 1) że Pułaski został pochowany w morzu; 2) że został pochowany w Greenwich, koło Savannah; 3) że został pochowany na wyspie św. Heleny.

Artykuł stwierdza, że "ostatnia teorja, chociaż znalazła prawo obywatelskie w Lossinga 'Pictorial Field Book of Revolution', nie wydaje się dosyć prawdopodobną, by warto nad nią zastanawiać się".

Co do teorji pochowania Pułaskiego w morzu główną powagą są broszury Pawła Bentaloua, oficera legjonu Pułaskiego i jego przyjaciela, nadto zaś oświadczenia pułk. Lyncha, cytowane już przezemnie, wedle relacji z ust jego dziadka, który był z Pułaskim pod Savannah.

Artykuł zajmuje się głównie drugą teorją t. j. pochowaniem zwłok Pułaskiego w Greenwich i dla udowodnienia jej przytacza następujące fakty:

"1) Dwie kobiety, matka i córka, jedna licząca 50 lat, druga 15, obie najwyższej inteligencji i cieszące się szacunkiem, były obecne w domu w Greenwich w czasie, gdy Pułaskiego zaniesiono tam. Niosły mu one pociechę w ostatnich chwilach życia i były świadkami jak przy świetle pochodni zaniesiono jego ciało na miejsce wiecznego spoczynku. Panie te nie żyją już, ale świadectwo ich jest pewne; przeszło ono do nas wielorakiemi drogami. W mieście naszem, zaiste, żyje wiele osób, które słyszały to z ich własnych ust. Z religijną pieczowistością oczyszczały ścieżkę do grobu i utrzymywały ją w porządku. Jedna z osób powiada, że było

to zwykłym obowiązkiem służby, by drogę do grobu Pułaskiego utrzymywać w porządku. (Mowa tu o pani Beecroft, właścicielce farmy w Greenwich, i jej matce, o których już pisałem.)

"2) Służba pani Beecraft była również przy śmierci Pułaskiego i z ust jej rozmaitemi drogami przeszła podobna tradycja.

"3) Wśród starszych mieszkańców naszego miasta panowała powszechna i nie dopuszczająca wątpliwości wiara, że Pułaski został pochowany w Greenwich. Wielu z obecnie żyjących za czasów swej młodości byli nieraz prowadzeni przez rodziców na grób Pułaskiego dla uczczenia jego szlachetnych czynów.

"4) Stosownie do tych różnych, ale zgodnych dowodów, pułk. Bowen niedawno (w r. 1853) zaczął kopać ziemię w tem samem miejscu, na które wskazywała tradycja i natrafił na prawie doskonale zachowany szkielet mężczyzny, widocznie pospiesznie, ale starannie pochowanego. Szkielet ten musiał należeć do mężczyzny wzrostu i tuszy Pułaskiego. Czaszka wykazuje ślad cięcia szablą, należała widocznie do rasy polskiej a profil ma uderzające podobieństwo do litografowanego portretu Pułaskiego. Krzyż i ostrze polskiej lancy znaleziono w jego grobie...

"Do tych dowodów należy dodać nieprawdopodobieństwo, aby po pięciu milach marszu po piaszczystej drodze, śmiertelnie rannego Pułaskiego przeniesiono mimo gościnnego domu na okręty, źle przysposobione na przyjęcie go i prawdopodobnie leżące w pewnem oddaleniu."

Artykuł powyższy, ciekawy w kilku nowych szczegółach, towarzyszących śmierci i czci pośmiertnej Pułaskiego, zgadza się mniejwięcej z tem wszystkiem, co zdołałem już przytoczyć w szkicu "Śmierć, pogrzeb i pomnik Pułaskiego w Savannah". Mimo wszystkich argumentów za teorją pochowania Pułaskiego w Greenwich, trudno jednak zgodzić się na nią. Owszem, raczej tem silniej należy się przechylić ku teorji pochowania go w morzu. Powtórzyć muszę tu, co już ongiś pisałem, że "w domu pani Beecraft umarł i w jej sadzie został pochowany niechybnie całkiem kto inny, chociaż prawdopodobnie także jakiś Polak z legjonu Pułaskiego. Nazwisko zmarłego, trudne do spamiętania dla Amerykanina, szybko musiało ulecieć z pamięci pani Beecraft, o ile wogóle było jej znane. Pozostała u niej tylko pewność, że był to Polak, a z tego, z biegiem czasu, mogło urość przekonanie, że zmarłym był Pułaski."

Za takiem rozwiązaniem przemawia wzmianka w paragrafie 4-tym artykule "Couriera", iż na czaszce szkieletu, wydobytego z rzekomego grobu Pułaskiego, znaleziono ślad cięcia szablą. Nie wspominał nic o tem raport lekarzy Williama G. Bullocka i Jakóba B. Reada. (Patrz: "Śmierć, pogrzeb i pomnik P. w Savannah".) Jak wiadomo, Pułaski zmarł z rany postrzałowej w pachwinie. Rozbita czaszka zwłok, wydobytych z grobu na farmie pani Beecraft i przeniesionych do podnóża kolumny Pułaskiego na Monterey

Square, jest nowym dowodem pomyłki patrjotycznych obywateli Savannah.

Karol C. Jones, jr., w odczycie wygłoszonym w Savannah w r. 1871, przytoczył jeszcze jeden dowód za teorją pochowania Pułaskiego w morzu. Wyjątek z "listu pewnego pana ze szpitala powszechnego w Savannah" pod datą 24-go listopada 1779, zawiera słowa: "Pułaski umarł z ran i został wrzucony do morza, gdy jechali do Charles Town." (Z "Siege of Savannah", Albany, 1866, str. 81.)

Tak więc trzeba uznać podanie o grobie Pułaskiego za legendę piękną i przemawiającą do serca każdego Polaka amerykańskiego, ale, niestety, niezgodną z prawdą historyczną.

* * *

Po śmierci Pułaskiego zabrakło żołnierzom z jego legjonu troskliwego opiekuna. O opłakanym ich losie opowiada list majora Piotra Vernier, oficera legjonu, do gen. Lincolna, głownodowodzącego na południu. List nieznany dotychczas, znajduje się w zbiorach dra. Aleksandra Kahanowicza z Brooklyna, któremu serdecznie dziękuję za otwarcie mi na oścież swych cennych zbiorów. Treść jego jest następująca:

"W obozie pod Shelden, 30 list., 1779.

"Drogi Generale,

"Jest moim obowiązkiem zawiadomić go o nędznym stanie dragonów biednego generała Pułaskiego; nigdy w taki sposób nie traktowano żadnego wojska; są prawie nadzy, służą w zimnych okolicach i są ciągle narażeni na złe skutki i niestałość powietrza; nigdy nie dostali żadnych koców, nie mają ani ubrania, ani koszul, ani... (list uszkodzony w tem miejscu) słowem, potrzebują rzeczy, którychby Pan nie odmówił murzynowi ani żebrakowi, aby pokryli swą nagość. Generalny intendent jest naocznym świadkiem tego politowania godnego położenia i może potwierdzić moje słowa. Zanoszę również skargę na niewłaściwe zachowanie się płatniczego, którego Pan był łaskaw zamianować dla legjonu. Niektórzy moi ludzie nie otrzymali płacy od dziesięciu miesięcy, a wszyscy od czterech, nasi zaś woźnice mają dostać za osiem. Skarzę się też i na to, co uważam za pokrzywdzenie, że ludzie w tym obozie nie dostają rumu, a wiedzą, że żołnierze, leżący w dobrych i ciepłych koszarach w mieście, dostają codziennie. Nie wiem czy te wszystkie krzywdy są zgodne z przepisami, wydanymi przez wysoki kongres kontynentalny, ale jedną rzecz wiem całkiem pewnie, że jeśli ludzie pod moją komendą nie dostaną do czternastu dni ubrania, pieniędzy i wszelkich potrzebnych zapasów, jakie im się należą, niechaj nikt się nie dziwi, że pozwolę im rozejść się dokąd zechcą i robić co chcą, gdyż już jestem ostatecznie zgnębiony patrzeniem na taką nędzę.

"Pan, p. generale, i każdy pamięta zapewne, jaki wspaniały i dzielny oddział przyprowadziłem ze sobą z północy, teraz zaś nie ma ani jednego żołnierza z niego wśród nas. Tak źle potraktowano

ich pod Charlestown, że niektórzy zdezertowali, a inni, gdy termin ich skończył się, woleli pracować jak murzyni na farmach, niż zaciągnąć się ponownie; uważam to za wielką stratę dla Stanów Zjednoczonych, gdyż nie można jej naprawić w krótkim czasie, potrzeba bowiem wielu dni na wyrobienie żołnierza. Taka sama strata grozi i teraz, jeżeli jej nikt nie zapobiegnie. Jest mi bardzo przykro, że ranga i obowiązek nakazują mi pisać do Pana w taki sposób, gdyż nikt nie ma większej przyjemności kreślić się z szacunkiem".

Jego najpowolniejszym i najniższym sługą
"Petr Vernier, Mjr."

Mimo wszystko, major Vernier utrzymał resztki legjonu Pułaskiego aż do bitwy pod Monk's Corner, 18-go kwietnia 1780, w której poległ razem z wielu legjonistami. Ocalał z niej niemal jedyny kap. Bentalou razem ze sztandarem legji.

* * *

Do amerykańskiej historycznej literatury o Pułaskim należy wspomniany już odczyt "Casimir Pulaski", który Karol C. Jones, historyk stanu Georgia, wygłosił w Savannah, dnia 13 lutego 1871 z okazji 32-giej rocznicy stanowego Towarzystwa Historycznego (Collections of the Georgia Historical Society, vol. 3, Savannah, 1873.)

We wstępie autor, weteran wojny domowej, pamiętny na niedawne zgniecenie ruchu niepodległościowego w południowych stanach amerykańskich, potępia rozbiory Polski i wyraża nadzieję w lepszą jej przyszłość:—

"Jak najczulej współczując w pokrewnych cierpieniach, jakie spadły na Sarmatów w ich walce o niepodległość, i dzieląc z nimi te nadzieje na przyszłość, które, pomimo zawodów, krzywd i niesprawiedliwości obecnej chwili, żywimy tak święcie względem nas samych, nie możemy nie wierzyć, że przyjdzie czas w dobrej Opatrzności Tego, który może światło wywieść z ciemności i rozerwać wszelkie więzy, kiedy nawet rozczłonkowana Polska, zgromadziwszy swych wygnanych synów ze wschodu i zachodu, z północy i południa i powstawszy z niewoli, zajmie znowu miejsce wśród siostrzanych narodów w całej świeżości i mocy odrodzonego bytu politycznego."

Po streszczeniu życiorysu Pułaskiego Jones mówi w poetycznych słowach o miejscu grobu Pułaskiego:

"Śpi on, gdzie odpływające nurty naszej rodzinnej Savannah spotykają się i łączą z wodami szerokiego Atlantyku. Zaiste, stosowny grób dla męża o tak szczerej duszy! Śpi on, gdzie hymnom na cześć jego wielkich czynów, jakie śpiewają fale Savannah, całując brzegi, uświęcone jego pamięcią, wtórują bałwany oceanu i radośnie powtarzają je w szerszych kręgach i silniejszych strofach. Śpi on, gdzie otaczające nas powietrze, pełne woni ziemi, za której swobody padł, — opowiada wiatrom Atlantyku dzieje je-

go sławy, aby i one też, w zgodnym chórze, mogły rozgłaszać na najdalsze lądy wielkość jego imienia".

A potem, w równie pięknych słowach, opiewa Jones przywiązanie i miłość, jakiemi mieszkańcy Savannah otaczają stary pomnik Pułaskiego:

"Nieraz przy bladem świetle księżyca, kiedy przycichł gwar miejski a wielkie serce życia ludzkiego prawie przestawało bić w objęciach siostrzycy śmierci — przechadzaliśmy się koło tej wyniosłej kolumny, sterczącej ku pięknym gwiazdom, które zawisły na bezgranicznych obszarach przestworza, jakby Westalki, palące swe wieczne ognie nad naszym globem — i czuliśmy jak dusze nasze uszlachetniały się pod wpływem milczącej wymowy i myśli o nieśmiertelności, jakie rodziły się z ciszy nocnej i nakazów tego czcigodnego pomnika. W blasku dnia nigdy nie przeszliśmy pod jego cieniem bez zatrzymania się, aby dać wyraz tym dzielnym myślom, które wzbudza jego obecność. Wschodzące słońce łagodnie oświeca jego zgrabne kształty, wlewając w każdą rzeźbioną linję nowe życie i piękność. Jego wieczorne promienie unoszą się w miękkim blasku dokoła jego szczytu. Burza w swym dzikim pędzie nie postrzępi ani jednego pióra potężnego orła — symbolicznego ptaka Polski i Ameryki, strzegącego pilnie złączonych godeł Polski i Georgji. Błyskawica w swej błędnej drodze nie uszkodzi Bogini Wolności, która na swym wyniosłym piedestale pełni poważną i czujną straż. Pomnik ten wznosi swe klasyczne kształty w obrębie wystrzału karabinowego od miejsca, gdzie padł świetny wódz, którego cnoty upamiętnia.

"Zawsze powtarzając dzieje przeszłej wielkości, zawsze przypominając nam chlubne wspomnienia naszego okresu rewolucyjnego, zawsze napawając ludzi naszych czasów czcią dla przeszłości a nadzieją na przyszłość, — swoją obecnością pobudzając do szlachetnego naśladownictwa tego bezinteresownego poświęcenia się i tej chwalebnej miłości prawdy i słuszności i wolności, które płonęły w piersi i uświetniły życie sławnego Pułaskiego, będzie on stał wśród zmiany lat i rewolucyj Stanów jako szlachetny wyraz wdzięczności narodu, bardziej wymowny nieśmiertelnemi wspomieniami, z którymi jest związany, niżli sławny posąg Nemnona..."

VII

Kościuszko i Dawid Humphreys

Jeden z najserdeczniejszych węzłów przyjaźni, nawiązanych przez Tadeusza Kościuszkę podczas służby w amerykańskiej wojnie rewolucyjnej, połączył go z Dawidem Humphreysem, żołnierzem, dyplomatą i poetą. Jeżeli nie wcześniej, to w każdym razie zetknęli się z sobą w r. 1778 w West Point, gdzie Kościuszko prowadził roboty inżynierskie a Humphreys pełnił obowiązki adjutanta przy generale Putnamie. Prawdopodobnie jednak spotkali się wcześniej, obaj bowiem służyli w armji północnej w r. 1777. Charakterem byli sobie pokrewni. Obaj gorący republikanie, obaj dzielni żołnierze, mieli w sobie wiele nastroju marzycielskiego, który tak często łączy ze sobą dwie pozorne sprzeczności — miecz rycerza z lutnią poety. Służbę Kościuszki — obok trudów wojskowych — przetykała czasem nić sielanki, a w chwilach marzeń o dalekiej ojczyźnie, przy cichych dźwiękach gitary lub skromnej nucie tęsknej piosenki, któż mógł być milszym młodemu pułkownikowi, jeżeli nie szczery i serdeczny major Dawid Humphreys, ulubieniec armji, kradnący swe godziny wypoczynku na pisanie wierszy?

Potem drogi ich rozchodziły się i znów stykały, pozwalając na odnowienie przyjaźni. Kościuszko odszedł na południe, Humphreys wygrał los szczęścia: — został adjutantem Jerzego Waszyngtona, który tak przywiązał się do niego, że po skończonej wojnie zabrał go ze sobą na stały pobyt do Mount Vernon, a następnie utorował mu drogę do ważnych stanowisk pod młodym rządem republiki.

W r. 1784 Humphreys, za staraniem Waszyngtona, został zamianowany sekretarzem komisji dla układów o traktaty przyjaźni i handlu z rozmaitemi państwami europejskiemi. Obowiązki zmuszały go do wyjazdu do Paryża, gdzie miał pracować razem z najpierwszymi znakomitościami okresu rewolucyjnego — Tomaszem Jeffersonem, Benjaminem Franklinem i Janem Adamsem.

Okoliczności zrządziły, że towarzyszem długiej podróży przez Atlantyk miał mu być Tadeusz Kościuszko, który po chlubnej służbie amerykańskiej wracał teraz do ojczystej ziemi z świeżą nominacją na generała i podzięką kongresu, ale bez określonych planów na przyszłość.

"Wypadki są niepewne, i wśród najbardziej błyszczących widoków można w końcu nie znaleźć nic, prócz widziadła lub tylko obraz jakby w zwierciadle, którego posiadaniem nigdy nie można się cieszyć" — pisał Kościuszko na odjezdnem z Nowego Jorku, dnia 14 lipca 1784, do swego byłego przełożonego i serdecznego przyjaciela, gen. Nataniela Greene'a.

"Ciągnąc bilety loterji losu przez tak wiele lat" — pisał dalej pod widocznym wpływem niepewności o jutro — "jestem zbyt dobrze otrzaskany z poleganiem na możliwościach, gdzie nawet rzeczy pewne są często wątpliwe."

Nie wiedząc, co go czeka w Polsce, zabezpieczał sobie Kościuszko powrót do Ameryki i w tym celu starał się o miejsce naczelnego inżyniera armji amerykańskiej, jak świadczy dalszy ciąg tegoż listu, znajdującego się w zbiorach dra. Aleks. Kahanowicza:

"Aby postawić się w mniej przykrem położeniu, muszę przeciwdziałać wszystkim możliwym wypadkom, jakie mogą przytrafić się mi o ile jestem zdolny je przewidzieć. Jutro wyjeżdżam do Francji. Proszę Pana jednak, gdyby kongres przyjął ustrój pokojowy, abyś Pan zajął się mianowaniem mnie jako naczelnego inżyniera ze stopniem generała brygady, jeżeli to możliwe, będzie to zabezpieczenie na wypadek, gdyby moje nadzieje w ojczyźnie nie spełniły się."

Dnia 15-go lipca 1784 Kościuszko i Humphreys wyjechali z Nowego Jorku na pokładzie żaglowca "Courier de l'Europe". Trzecim towarzyszem podróży był pułkownik Krystyn Senf, inżynier milicji Południowej Karoliny, Niemiec, ale poczciwy kolega broni.

Wiadomości te zawdzięczamy żyłce poetyckiej Humphreysa, który opisał wspólną podróż w rymowanym liście do swego przyjaciela, Tymoteusza Dwighta, autora znanego hymnu "Columbia, Columbia, to glory arise".

List ten p. t. "An Epistle to Dr. Dwight, On Board the Courier de L'Europe, July 30, 1784", znajduje się w zbiorowem wydaniu "The Miscellaneous Works of David Humphreys" (Nowy Jork, 1804). We wierszu wcale zręcznym, miejscami wesoło nastrojonym, opisuje autor okręt, nie pomijając żadnego szczegółu, nawet kuchni "z ogniami, ale nie poetycznemi", ani że

"Here we enjoy accommodations good,
With pleasant liquors and well-flavour'd food".

Potem przedstawia porządek życia na statku, wreszcie przystępuje do opisu towarzyszy podróży:—

"Yet what would all avail to prompt the smile,
Cheer the sad breast, or the dull hour beguile;
If well-bred passengers, discreet and free,
Were not at hand to mix in social glee?
Such my companions — such the muse shall tell,
Him first, known one in war full well,
Our Polish friend, whose name still sounds so hard,
To make it rhyme would puzzle any bard;
That youth, whose bays and laurels early crown'd,
For virtue, science, arts and arms renown'd!"

A więc Kościuszko musiał być najmilszym towarzyszem Humphreysa, skoro oddaje mu pierwszeństwo w opisie przyjaciół i ochotnie i bez zazdrości przyznaje mu wawrzyny za "cnotę, wiedzę, sztukę i waleczność".

Przyjemnie i w pogodnym nastroju jechało się młodym bohaterom. Powietrze dopisało im nadzwyczajnie. Nie doświadczyli ani jednej nawałnicy podczas 24 dni podróży.

Dnia 8 sierpnia 1784 zawinęli wreszcie do francuskiego portu

L'Orient, skąd Humphreys pisał do swego protektora, Waszyngtona, pod datą 12 sierpnia:

"Generał Kościuszko i ja mamy wyjechać razem powozem do Paryża".....

W dopisku zaś dodał: "Generał Kościuszko pragnie złożyć swe najszczersze uszanowanie Waszej Ekscelencji." (Life and Times of Dawid Humphreys, F. L. Humphreys, New York 1917).

W Paryżu spędzili razem około dwa tygodnie, przyczem Kościuszko, jako znający miasto i kraj z kilkoletniego pobytu przed wojną rewolucyjną, musiał pewnie służyć młodemu Amerykaninowi za przewodnika. Ale jakże dziwne wydały się Kościuszce europejskie stosunki po 8-letnim pobycie w Ameryce!

"Nie będę Cię bawił elegancją i dostatkiem Paryża i innych miejsc, ponieważ nie sprawiłoby to prawdziwej przyjemności ani Tobie, ani mnie" — pisał do niejakiego p. Williamsa, zdaje się, że jednego z współtwórców Deklaracji Niepodległości, w Paryżu 26 sierpnia 1784. "Nam potrzeba zdrowszego pokarmu. Czy możesz wierzyć, że czuję się bardzo nieszczęśliwy, opuściwszy Wasz kraj? Tutaj wydaje mi się całkiem inny świat, w którym każdy znajduje rozkosz w pozbawianiu się zdrowego rozsądku... Jutro wyjeżdżam do Polski a z pewnym niepokojem, gdyż jak mnie powiadomił jeden z rodaków, sprawy Rzeczypospolitej i moje własne są w bardzo okropnem położeniu... Muszę się przygotować na najgorsze, może mnie znowu zobaczysz w swej ojczyźnie, dlatego proszę Cię, musisz użyć swego wpływu w kongresie na moją korzyść..." (Oryginał w zbiorach dr. A. Kahanowicza).

A więc Kościuszko znowu starał się zabezpieczyć sobie powrót do Ameryki na wypadek niepowodzenia w Polsce.

W Paryżu rozeszły się drogi jego i Humphreysa, — tym razem na zawsze. Kościuszko wyjechał do Polski 27 sierpnia 1784, aby osiąść w zaciszu domowem, zanim wypadki dziejowe powołały go na szerszą widownię. Humphreys pozostał w Paryżu. Po załatwieniu swej urzędowej misji wrócił do kraju rodzinnego, gdzie znowu zajął miejsce domownika w Mount Vernon. Waszyngton, wówczas już pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych, zrobił go mistrzem ceremonji na swym skromnym dworze, a w r. 1790 wysłał na nowe zaszczytne stanowisko jako amerykańskiego posła na dworze portugalskim.

Oddalenie, sprawy osobiste i publiczne zerwały na dłuższy czas bliższe stosunki między Kościuszką a Humphreysem. List ze zbiorów dra. A. Kahanowicza, adresowany jako odpowiedź do majora Haskella i datowany Warszawa, 15-go maja 1789, w którym Kościuszko skarży się: "Jestem szczęśliw, że przynajmniej raz na pięć lat mogę mieć wiadomość o kraju, do którego jestem tak bardzo przywiązany..." — świadczy, że od czasu rozstania się z Humphreysem w Paryżu ani on, ani żaden z Amerykanów nie pisał do niego. Dopiero śmierć gen. Greene'a skłoniła Haskella do zawiadomienia Kościuszki o zdarzeniu. Wówczas i Humphreys przypom-

niał sobie Kościuszkę i wysłał też list z żałobną wieścią, jak świadczą ułomki z korespondencji w tychże zbiorach. Ożywiło to znowu dawną przyjaźń. Kościuszko odpisał Humphreysowi i prosił o portret Greene'a. Humphreys spełnił prośbę. Wszystkie te listy zaginęły jednak.

Trafiło się w roku 1791, że do Lizbony, gdzie Humphreys przebywał jako poseł, zawitał Jan Potocki, poseł Sejmu Czteroletniego, gorący patrjota i znakomity podróżnik i uczony. Spotkanie z nim znowu przypomniało Humphreysowi Kościuszkę. Potocki przywiózł mu o nim wiadomości, wśród których najważniejszą było to, że Kościuszko dostał patent na gen.-majora w wojsku koronnem.

Pod wpływem wieści poseł amerykański napisał list do dawnego towarzysza broni, nieznany wcale historykom amerykańskim, a znajdujący się w zbiorach Polskiej Akademji Umiejętności (Listy i Akty ad. Kośc. 1781—1819, nr. 1171). List ten jest szczególnie ciekawy z tego względu, że zawiera wiersz napisany przez Humphreysa na cześć Stanisława Augusta pod wpływem wiadomości o Konstytucji 3-go Maja.

Pisał w nim Humphreys Kościuszce:—

Lizbona, 1 października 1791.

"Mój drogi Panie:—

"Po tak długiem wzajemnem rozdzieleniu i tak długim czasie, w którym nie słyszałem nic o Tobie, byłem niezmiernie szczęśliwy, gdy dowiedziałem się o Twem powodzeniu od hrabiego Potockiego, który jest na tyle grzeczny, że podjął się dostarczenia tego listu.

"Odkąd pożegnałem się z Tobą we Francji, zaszło wiele wypadków w politycznem i prywatnem życiu. Po przebyciu około dwuch lat w Europie, wróciłem do Ameryki, gdzie otrzymałem patent na pułkownika i zwerbowałem pułk do służby dla Stanów Zjednoczonych. Pułk ten miał być użyty na zachodnich granicach, ale ponieważ służby jego okazały się niepotrzebne, rozwiązano go. Po pracy w zgromadzeniu ustawodawczem mego stanu (Connecticut) przez pewien czas, udałem się do Mount Vernon i żyłem razem z moim wielkim opiekunem i przyjacielem, póki nie objął kierownictwa rządem Stanów Zjednoczonych jako pierwszy prezydent wedle nowej konstytucji. Odtąd pozostawałem wśród jego rodziny aż do czasu wyjazdu do Europy, co nastąpiło rok temu. Jednakowoż tymczasem byłem wysłany jako jeden z komisarzy pełnomocnych (z gen. Lincolnem i p. Cyrusem Griffinem, którzy byli dwoma innymi komisarzami) w celu zawarcia pokoju z narodami indyjskimi wzdłuż granic Georgji; a właściwie zatwierdzenia ułożonych już traktatów z wszystkimi innymi szczepami na południowym brzegu Ohio. — Obecnie jestem tu jako poseł rezydent Stanów Zjednoczonych. Tyle o moich osobistych dziejach.

"Sprawy Stanów Zjednoczonych uległy prawie nieprawdopodobnej i niepojętej zmianie, odkąd opuściłeś je. I możesz polegać na tem jako na świętej prawdzie, że jest prawie niemożliwą rzeczą, by mogły opływać w większą pomyślność, niż obecnie. Panuje spo-

kój — rząd posiada pełne zaufanie narodu. Zasoby powiększyły się niezmiernie; wywóz w zeszłym roku wynosił 25,000,000 dolarów. Kredyt publiczny został przywrócony, tak dalece, że gdy otworzono subskrypcje na bank krajowy (wedle czarteru nowego rządu) w Filadelfji około dwa miesiące temu, na 10 miljonów dolarów, cała subskrypcja została wypełniona w niecałej godzinie; a byli chętni do zakupienia przeszło czterech tysięcy akcyj więcej, niż mogły być wypuszczone przez instytucję. Szczegóły te właśnie otrzymałem w prywatnym liście od prezydenta Stanów Zjednoczonych. Powrócił on niedawno z podróży po wszystkich stanach południowych i podaje mi w sprawozdaniu z okoliczności, dotyczących tej podróży, bardzo pochlebny obraz prawdziwego stanu rzeczy w obu Karolinach i Georgji. A propos — niespodzianej a szczęśliwej rewolucji, jaka zdarzyła się w Twej Ojczyźnie, mówi on w te słowa: "Polska, jak donoszą gazety, zdaje się zrobiła wielki i niespodziewany krok ku wolności; co, jeśli okaże się prawdziwe, rzuca duży zaszczyt na obecnego króla, który wygląda na głównego kierownika tej sprawy. Mimochodem podaję, że nie otrzymałem nigdy żadnego listu od p. Littlepage'a lub od króla Polskiego, które, jak donosisz mi wedle informacji od p. Carmichaela, zostały mi wysłane zeszłego lata". Jeżeli znasz p. Littlepage'a, pragnąłbym, abyś mu wspomniał, że gen. Waszyngton nigdy nie otrzymał wspomnianych listów.

"Co się mnie tyczy, byłem tak szczerze i tak bardzo zachwycony postępowaniem Króla Polski, że nie mogłem wstrzymać się, by nie dać światu świadectwa mym uczuciom w małym poemacie, który teraz piszę dla publikacji; wiersz jest następujący:

"To thee, thou Sage of higher, nobler sort,
Than e'er before adorned an earthly Court,
Parent of Millions! Paragon of Kings!
A Bard from new-found Worlds new laurel brings,
To thee, great Stanislaus! — Thy glorious name
Shall stand unrivalled on the rolls of fame —
Hail patriot King! And hail the Heav'n — born plan
Thy voice pronounc'd to fix the rights of man;
The godlike voice, that op'd the feudal graves,
Call'd to new life innumerable Slaves,
Nor call'd to life alone... Inspir'd by thee
Thy gen'rous Nobles made those Vassals free. —
Hail blest example! Happy Poland hail!
No more... to lure thy foes... shall feuds prevail;
No more shall bord'ring Pow'rs, with lawless arms,
Divide thy confines and despoil thy farms;
No more shall Slav'ry sterilize thy soil,
But fruits, that prompt, shall pay the Peasant's toil;
While soothing faction'l rage, fair Concord reigns,
And crowns with bliss the plenty of the Plains;
While Age succeeding Age, a patriot King!
Both Worlds admire and all the Muses sing."

"Teraz, mój drogi Kościuszko, powiedz mi, czy Król Polski będzie zadowolony z takiego szczerego wyrażenia pochwały ze strony człowieka, który nie może być podejrzany o pochlebstwo. Jeżeli Jego Królewska Mość będzie tego sposobu myślenia, zachowam te strofy i umieszczę je w "Poemacie o Narodowej Skrzętności", gdy będzie drukowany; jeżeli zaś nie będą przychylnie przyjęte, wstrzymam je. Jeżeli będziesz tak dobry, by napisać mi na ręce polskiego posła w Londynie, będzie on mógł wysłać list do Lizbony, gdyż statki pocztowe kursują ciągle między Anglją a tym krajem.

"Spodziewam się, że dostałeś sztychy twego dobrego przyjaciela gen. Greene'a, które zostały wysłane z Paryża, jak poleciłeś. Jego przedwczesna śmierć była przedmiotem powszechnego żalu w ojczyźnie. Jest to szczęśliwa okoliczność, że portret, który kazałeś zrobić, jest najlepszą obecnie podobizną tego świetnego męża. W rzeczywistości wszyscy jego przyjaciele w Ameryce uznali jego doskonałe podobieństwo. Pani Greene jest, jak sądzę, na plantacji w Georgji; najstarszy syn w Paryżu, a reszta dzieci uczą się w Bethlehem, w Pennsylwanji.

"Biedny gen. Parsons, który przeniósł się do Ohio, utonął na nieszczęście, prawie dwa lata temu.

"Twoi znajomi i przyjaciele w Ameryce wszyscy pamiętają Cię bardzo serdecznie. A tembardziej za zaszczytny udział, jaki miałeś w ustanowieniu niepodległości naszego kraju — kraju, który teraz, doprawdy, zaczyna kosztować owoców swej rewolucji.

"Bądź pewnym, mój drogi Kościuszko, że zawsze zajmować będziesz wybitne miejsce w szacunku i uczuciach

Twego szczerego przyjaciela i uniżonego sługi,

D. Humphreysa.

"P. S. — Gdy będziesz pisał do mnie, bądź tak dobry powiadomić mnie o prawdziwym stanie Polski i wszystkich spraw północy.

"Adieu,

"Twój

"Dawid Humphreys."

"Gen. Kościuszko".

List ten był Kościuszce zapewne bardzo miłem odnowieniem wspomnień, wiążących go z Ameryką i Humphreysem. Czy dał nań odpowiedź — niewiadomo; nie ma jej w każdym razie wśród papierów, pozostałych po poecie. Kościuszko został przeniesiony z Lublina na Podole, Potocki nie zastał go więc w pobliżu Warszawy. Nim list mógł dojść do rąk Kościuszki, upłynęło niechybnie parę, a może i kilka miesięcy. Możliwe, że zajścia wojskowe na pograniczu a następnie kampanja 1792-go roku nie pozwoliły mu na przygotowanie odpowiedzi.

Nie ulega natomiast wątpliwości, że Kościuszko starał się wywiązać z poleceń Humphreysa, — aby zawiadomić Littlepage'a o zaginięciu listu królewskiego i zbadać opinję króla o wierszu. Littlepage'a, sekretarza królewskiego, musiał znać osobiście, choć

może tylko przelotnie, gdyż przed swem przeniesieniem na kresy bywał nieraz w Warszawie. I królowi nie był też obcy.

Bez względu na to, w jaki sposób próbował Kościuszko załatwić prośbę przyjaciela, misja jego stała się wnet zbyteczną. Wobec dalszych wypadków dziejowych, wiersz Humphreysa stracił aktualność. "Wielki Stanisław", ten "szlachetniejszy i wyższy nad mędrców, jacy dotychczas ozdabiali dwory", sam zdradził naród i wydał ojczyznę ościennym mocarstwom na łup. Humphreys — choć może król jak najprzychylniej przyjął wylew jego poetyckiego zapału — musiał zatrzymać wiersz w swej tece. "A Poem on the Industry of the United States of America", w który autor zamierzał włączyć go, pojawił się w druku w Nowym Jorku w r. 1804, ale bez ustępu o Stanisławie Auguście.

Polska jednak, którą poeta w tymże wierszu witał szczęśliwą, a którą widział niedługo potem rozdartą i wymazaną z karty świata, nie pozostała mu nigdy obojętną. Już po swym powrocie do Stanów Zjednoczonych, dnia 4-go lipca 1804 przemawiał w Hartford, w swem rodzinnem Connecticut, na uroczystości rozwiązania towarzystwa Cyncynnata, i w mowę swą wplótł wiersz bez tytułu, wymierzony przeciw niewolnictwu w Ameryce i wszelkiej tyranji w świecie. Zaraz w pierwszych zwrotkach wiersza dotknął bolesnego losu Polski:

"If we to Heav'n our unavailing vows
"For Poland rais'd — besought Heav'n's righteous Lord,
"To rend the wreath from Austria's, Prussia's brows,
"And break of baneful leagues the threefold cord;

"With horror mark'd the Empress of the North,
"Her wheels yet reeking o'er the mooned host,
"Rouse the dull Russ, and call the Cossac forth
"From darksome dens of everlasting frost;

. . . . . .

"Of every class, ye proud opressors hear!

. . . . . .

"I hate your conduct, and your anger brave."

(A Valedictory Discourse Delivered Before the Cincinnati of Connecticut in Hartford, July 4, 1804, Boston, 1804).

I Kościuszce dochował Humphreys wiernej przyjaźni, chociaż nie przechowały się żadne inne ślady bliższych ich stosunków, oprócz powyższych. We wierszu "A Poem on the Love of Country in Celebration of the 23rd Anniversary od the Independence of the United States of America" (The Miscellaneous Works of David Humphreys, New York, 1804), napisanym, gdy autor był posłem w Madrycie, wśród wspomnień, poświęconych bohaterom wojny rewolucyjnej, znajduje się nast. ustęp o polskich jej bohaterach:

"With Poland's suff'ring rankling in his mind,
"Our levied forces Kosciusko join'd,
"Expert to change the front, retreat, advance,

"And judge of ground with military glance;
"While strong Pulaski's troops for battle rave,
"Intrepid swordsmen! bravest of the brave!"

Dnia 21 lutego 1818 umarł w New Haven, Conn., poeta, który może pierwszy wplótł imię Polski i Kościuszki w dźwięki muzy amerykańskiej.

Ciekawą jest rzeczą, że wdowa po nim wyszła ponownie za mąż za Polaka. Była ona Angielką z pochodzenia, córką bogatego kupca w Lizbonie, gdzie Humphreys zaślubił ją w r. 1795. Nazywała się z domu Anna Franciszka Bulkley, czy też Bulkeley. Po śmierci pierwszego męża przeniosła się z New Haven do Bostonu, gdzie dom jej przy ulicy Mount Vernon zasłynął wkrótce jako ognisko zabaw i przyjęć dystyngowanego towarzystwa.

Po upadku Napoleona weterani jego rozprószyli się po świecie. Wielu z nich przybyło do Ameryki. Między nimi byli też Polacy. F. L. Humphreys, autor "Life and Times of David Humphreys" (Nowy Jork, 1917), podaje, że jednym z nich był Jacek Kajetan Franciszek hrabia Kolonna Walewski, niechybnie krewniak męża sławnej pani Walewskiej. Wedle urzędowych zapisków francuskiego ministerstwa wojny, Walewski, urodzony w Polsce w r. 1784, rozpoczął służbę wojskową w r. 1806 jako podporucznik 4-go pułku szaserów pieszych Księstwa Warszawskiego. Odbył chlubnie wszystkie kampanje napoleońskie i dosłużył się rangi kapitana; w r. 1814 był adjutantem gen. Kellermana; pod Iławą był ranny szablą w głowę; pod Lipskiem odznaczył się ujęciem pruskiego majora do niewoli.

Walewski, wylądowawszy w Ameryce, osiadł w Bostonie. Wytworne jego maniery i wspaniała postawa zwracały ogólną uwagę bostończyków. Opromieniała go sława oficera napoleońskiego i zdobiły wstęgi Legji Honorowej i krzyża Virtuti Militari. Walewski prędko wszedł między śmietankę towarzyską Bostonu i zaczął odgrywać rolę lwa salonowego. Damy bostońskie rozrywały go między sobą. W ten sposób poznał się z panią Humphreys. Znajomość doprowadziła do ślubu, który odbył się 31-go grudnia 1829 w domu wdowy.

W następnym roku nowożeńcy, zdawszy zarząd domu przyjacielowi, wyjechali do Paryża, aby tam zamieszkać na stałe. Krążyły wprawdzie pogłoski, że Walewski był utracjuszem i nawet przepuścił majątek żony, ale Fr. Landon Humphreys, bjograf Dawida, który miał do dyspozycji wszelkie dokumenty rodzinne, zaprzecza im. W każdym razie nie musiało się im powodzić w Paryżu zbyt świetnie, skoro mieszkali w jednej z uboższych jego dzielnic. Hrabina Walewska zmarła tam 2-go marca 1832. Walewski sprzedał potem jej dom w Bostonie za 13,000 dolarów. Przeżył znacznie swą żonę. Umarł w Paryżu 2-go kwietnia 1848 i został pochowany obok niej, ale niewiadomo na jakim cmentarzu.

VIII

Jak Kościuszko Chciał Ratować Dobrą Sławę Amerykańskiego Bohatera

Kiedy Jan Paul Jones, amerykański bohater morski, oddawszy się niebacznie na usługi carycy Katarzyny, znalazł w służbie rosyjskiej tylko gorzkie zawody i bolesne upokorzenie, — tym, który usiłował wyrwać go z rozpaczy i skierować na drogę obowiązku żołnierza wolności, był nasz Tadeusz Kościuszko.

Zawsze wierny ideałom wolności, wódz racławicki wszedł w życie Jonesa jako głos sumienia. Nie jego wina, że przyjacielskie jego starania nie odniosły skutku, z największą szkodą dla samego Jonesa.

Poniższy epizod z życia Kościuszki jest nieznany historykom polskim. Amerykańscy bjografowie Jonesa znają go tylko w części. Tem ciekawsze więc będzie odgrzebanie tych szczegółów dla użytku Wychodźtwa polskiego w Ameryce.

* * *

Jan Paul Jones urodził się w południowej Szkocji 6 lipca 1747 jako syn ogrodnika. Nazwisko jego brzmiało właściwie Paul. Zmienił je na Jones dopiero w Ameryce dla ukrycia zabójstwa, popełnionego w samoobronie podczas służby na handlowych okrętach angielskich.

Jones wcześnie wciągnął się do służby marynarskiej. Jako 12-letni chłopiec odbył pierwszą podróż w charakterze majtka na żaglowcu, płynącym do Ameryki, i odtąd morze stało się jego żywiołem. Sługiwał na okrętach handlowych, a nawet przez jakiś czas na statkach, przewożących niewolników do Ameryki. W 21-ym roku życia został kapitanem okrętu handlowego. W r. 1775 osiadł w Wirginji, odziedziczywszy drobny majątek po swym bracie, Williamie Paulu. Z wybuchem wojny rewolucyjnej ofiarował swoje usługi kolonjom i wrócił na morze. Wnet odznaczył się jako dzielny oficer w kilku wyprawach przeciw Anglikom. Szczególnie rozbłysły jego zdolności dowódcy i odwaga w spotkaniu z angielskimi okrętami wojennymi "Serapis" i "Countess of Scarborough" koło brzegów Anglji w sierpniu 1779. Za zwycięstwo to król francuski Ludwik XVI dał mu złotą szpadę i order, a kongres nadał mu stopień komodora i wybił złoty medal na jego cześć. Jones uważany jest za "ojca amerykańskiej floty wojennej" i był bezsprzecznie jednym z najzdolniejszych jej dowódców.

Kiedy Ameryka toczyła bój o swe swobody, caryca Katarzyna, rozwydrzywszy swój zachłanny apetyt na pierwszym rozbiorze Polski, uplanowała podobny rozbiór Turcji do spółki z Austrją. W r. 1787 Potemkin zmusił Turcję do wojny i obrony całości i niepodległości państwa. Działania toczyły się na lądzie i na morzu, a że Rosja nieposiadała ani porządnej floty, ani zdolnych oficerów morskich, zastępowała brak tych ostatnich przeważnie cudzoziemskimi najemnikami. Katarzyna wcześnie

zwróciła uwagę na Jonesa i jeszcze w r. 1787, kiedy ten bawił w Ameryce, usiłowała zjednać go sobie.

Wnet potem kongres Stanów Zjednoczonych wysłał Jonesa do Francji w celu dalszego fachowego kształcenia się we francuskiej marynarce i załatwienia pewnych spraw powojennych w Danji. W Paryżu ponownie spotkał się z propozycją wejścia do służby rosyjskiej. Przedstawił mu ją Simolin, ambasador rosyjski przy dworze francuskim, za pośrednictwem Tomasza Jeffersona, podówczas posła amerykańskiego w Paryżu. Podobno Waszyngton nie mógł zapomnieć Jeffersonowi do śmierci tego pośrednictwa. Ciekawy dla nas jest fakt, że w dalszych układach pomocnym był głównie Ludwik Littlepage , obywatel amerykański, sekretarz i szambelan króla Stanisława Augusta, używany przez niego do różnych posług dyplomatycznej natury.

Dnia 2-go lutego 1788 Littlepage urządził śniadanie w swem mieszkaniu w Paryżu i tam spotkali się osobiście Jones z Simolinem. Ambasador oświadczył Amerykaninowi, że caryca jest gotowa oddać mu najwyższe dowództwo nad flotą czarnomorską, choć nie wyjaśnił szczegółów propozycji. Że układy te zajmowały króla polskiego, świadczy fakt, iż Littlepage doniósł zaraz Stanisławowi Augustowi o tem spotkaniu.

Zaproszenie rosyjskie rozpaliło umysł Jonesa. Cechowały go odwaga i może przesadne rozumienie własnej godności, ale przytem rycerskość i uczciwość. Głównym jednak rysem jego charakteru była żądza sławy. Ona górowała nad wszystkiemi jego uczuciami. Była najsilniejszą — a bodaj jedyną pobudką jego czynów i w niewielu postaciach historycznych wybujała tak silnie, jak w nim. Dowództwo nad wielką flotą było oddawna jego marzeniem. Projekt Simolina zdawał się mu przedstawiać jak najróżowsze widoki na przyszłość. Ochotnie więc zgodził się nań, nie roztrząsając czy obywatelowi Stanów Zjednoczonych, który tylokrotnie w bitwach a nawet w poezjach wyrażał miłość wolności, który walczył chlubnie za tę wolność, godziło się zaciągać w służbę despotycznego, na poły barbarzyńskiego rządu i to dla wojny podłej i rozbójniczej.

Obowiązki powoływały go na razie do Kopenhagi, gdzie z polecenia kongresu miał przeprowadzić układy o pieniądze za łupy amerykańskie, zdobyte podczas wojny rewolucyjnej. Ponieważ jednak pełnomocnictwo jego okazało się niedostateczne, zlecił je wnet Jeffersonowi, a sam, wolny już od zobowiązań względem Stanów Zjednoczonych, mógł teraz pomyśleć swobodnie o drodze do Rosji. Katarzyna przysłała mu specjalnym kurjerem do Kopenhagi zapewnienie, że przyjmie go jak najlepiej oraz obietnicę nadania mu stopnia kontradmirała, nadto zaś dar tysiąca dukatów na drogę.

Upojony marzeniami o przyszłych zwycięstwach i zaszczytach, popędził Jones z takim pośpiechem do Petersburga, że w Sztokholmie nie zatrzymał się nawet dla złożenia wizyty królo-

wi szwedzkiemu, a nie chcąc czekać na lepszą porę do przejazdu przez Bałtyk, najął małą łódź w Gresholm i w niej, zastraszywszy załogę pistoletami, po czterodniowej żegludze wśród burzy, lodów i ciągłego niebezpieczeństwa śmierci, przebił się do Rewla.

Dnia 2-go maja 1778 stanął w Petersburgu. Hrabia de Segur, francuski ambasador, przedstawił go w trzy dni potem Katarzynie. "Jej Cesarska Mość", pisał Jones, "przyjęła mnie tak ujmująco i obchodziła się ze mną z taką dystynkcją, że grzeczności jej podbiły mnie zupełnie i oddałem się w jej ręce bez żadnych zastrzeżeń co do swej osobistej korzyści."

Co gorsze, oddał się jej też bez żadnych zastrzeżeń co do swojej własnej godności. Katarzyna przywiązała go do siebie jakimś niesamowitym urokiem. Omamiła go obietnicą spełnienia jego gorącego pragnienia szlif admiralskich, czynów bohaterskich i wielkich zwycięstw morskich. Omamiła go tak, że z piedestału bohatera spadł powoli do roli bezwolnego służalca i to wobec najpodlejszego państwa w świecie i najpodlejszej monarchini w dziejach ludzkości.

Caryca gościła Jonesa niezwykle serdecznie. Zapraszała go na obiady do siebie i obsypywała różnymi innymi dowodami swej łaski. Jones stał się codziennym gościem na dworze. Za przykładem Katarzyny gościli go i rozrywali między sobą dworzanie, dygnitarze państwa i najpierwsi mieszkańcy nadnewskiej stolicy. Przez dwa tygodnie Jones żył w chwale i rozkoszach. Do gen. Lafayette'a pisał w tym czasie:

"Caryca przyjęła mnie z wyróżnieniem, najpochlebniejszem może, jakiem poszczycić się mógłby którykolwiek cudzoziemiec. Zatrzymano mnie wbrew mej woli i ustawicznie goszczono na dworze i w najlepszem towarzystwie... Co się tyczy carycy, sława dotychczas jeszcze nie osądziła jej sprawiedliwie. Jestem pewien, że cudzoziemiec, który nie poznał tego wspaniałego charakteru, nie pojmie jak majestat jej jest stworzony do panowania nad wielkiem mocarstwem"...

Ale już wśród tych szczęśliwych uniesień pojawiły się nieprzychylne dla Jonesa znaki. Pomimo obietnic niepodzielnego dowództwa nad flotą czarnomorską, Katarzyna dawała mu teraz tylko komendę pod swym wszechwładnym faworytem, kniaziem Potemkinem, który nie myślał dzielić się laurami z drugimi. Był to pierwszy bolesny cios dla aspiracyj Amerykanina, ale, udobruchany zapewnieniami o łaskach carycy i życzliwości Potemkina, postanowił przyjąć i niższe stanowisko.

Dnia 18-go maja 1788 wyjechał z Petersburga i po 12-dniowej karkołomnej jeździe przebył przeszło 1,000 mil do obozu Potemkina w Jekaterynosławiu. Dnia 1-go czerwca przyjął go Potemkin. Do hr. Segura pisał Jones: "Przyjęty zostałem bardzo serdecznie przez ks. Potemkina... Przekonałem się, że książę jest bardzo miłym człowiekiem."

Moskale oblegali wówczas Oczaków, silną fortecę turecką między ujściami Dniepru i Bohu. Ostatecznym ich celem było zdobycie Konstantynopola. Potemkin nie szczędził więc krwi, byle tylko zająć czemprędzej kluczową warownię nadmorską, która stała na drodze do urzeczywistnienia marzeń jego i carycy. Operacjami lądowemi kierował gen. Suwarow. Jones, wedle polecenia Potemkina, miał współdziałać z nim jako dowódca eskadry na Limanie w celu odcięcia dowozu do fortecy od strony morza. Eskadrę tę stanowiły 17 okrętów, starych i źle uzbrojonych, oraz flota z 60 małych galer, dowodzona przez księcia de Nassau-Siegen, głośnego narwańca i awanturnika, który uganiał po całej Europie, szukając wszędzie przygód.

Niepowodzenia Jonesa rozpoczęły się zaraz po objęciu służbowych obowiązków. Przedewszystkiem nowy kontradmirał nie znalazł poparcia i posłuchu wśród niektórych oficerów. Ci, którzy byli mu nieprzychylni, nie zaniedbali żadnej sposobności do podstawienia mu nogi. Wnet potem dostał się w nieporozumienia z ks. Nassau na tle nierozsądnego podziału władzy, który krępował swobodę ruchów Jonesa. Potemkin zostawił Jonesa pod wrażeniem, że Nassau ma być jego podkomendnym, Nassauowi zaś oświadczył, że ma słuchać tylko jego rozkazów. Z takiego zamieszania władzy musiały wyniknąć zatargi, które wreszcie zaostrzyły się tak dalece, że aż sam Potemkin przybył na pokład flagowego okrętu Jonesa, aby godzić obu dowódców. Towarzyszący mu Littlepage zdołał pomyślnie odegrać rolę pośrednika i Jones uścisnął się z Nassauem w obecności wszystkich. Świadkiem tej pojednawczej sceny był i hetman polski, Branicki, jurgeltnik rosyjski, ożeniony z siostrzenicą Potemkina.

Przy najbliższej sposobności Jones i Nassau wrócili do dawnej niezgody, którą ostatecznie zakończyły usunięcie awanturniczego księcia z floty i jego wyjazd do Warszawy.

Oprócz lichego stanu okrętów, inną techniczną trudnością, którą Jones miał do pokonania był zły teren działania. Liman był bardzo płytki i pełen niebezpiecznych mielizn. Ponaprawiał wprawdzie, o ile się dało, stare statki a, zapoznawszy się z terenem, zdołał nawet odnieść kilka zwycięstw nad Turkami, ale wszystko to były pomniejsze sukcesy, które nie zadowalniały jego ambicji.

Najgroźniejszym wrogiem Jonesa okazał się sam Potemkin, który niedorzecznymi a sprzecznymi rozkazami udaremniał wszelkie dobre chęci Amerykanina i uniemożliwiał mu zużytkowanie swych zdolności, a równocześnie dawał chętny posłuch intrygom, które knuto przeciw niemu. Aby cieszyć się łaską potwornego faworyta Katarzyny, który trząsł wówczas Rosją, trzeba było być pochlebcą, intrygantem i wyzutym z wszelkiego honoru. Jones, mimo swych wad, był za uczciwym na to. Znalazł się on wśród zgniłego systemu rosyjskiego jak człowiek, który wpadnie w bagno bez dna. Wszelki wysiłek, aby utrzymać się

na powierzchni, pogrążał go coraz bardziej w głębię. Pominięto go przy awansach i nagrodach, któremi caryca zasypała oficerów floty za zwycięstwa, głównie przez niego odniesione. Przestano go wzywać na rady wojenne. Rozkazy jego lekceważono. Otoczono go szpiegami i konfiskowano jego korespondencję. Raporty jego fałszowano. Spychano go coraz bardziej na szary koniec. Kiedy wreszcie raz w rozdrażnieniu poważył się listownie zwrócić Potemkinowi uwagę na niestosowność jednego z jego rozkazów, dziki kniaź oskarżył go przed Katarzyną o ospalstwo i nieudolność i nakłonił carycę do odwołania go na północ pod pozorem przydzielenia do floty bałtyckiej.

Tak niefortunnie skończyła się pięciomiesięczna służba Jonesa we flocie czarnomorskiej. On, który zwycięstwami swemi w obronie wolności Ameryki wzbudził podziw na dwuch półkulach, — wracał teraz na północ w poniżeniu i pod ciężarem zarzutu o nieudolność. Nietylko nie zdołał urzeczywistnić swych marzeń o nowych tryumfach wojennych, ale i swoją dawną sławę utopił na Limanie. Pozatem i zdrowie nadwyrężył silnie.

W miesiąc po jego odjeździe "książe taurydzki" zdobył Oczaków i wyrżnął 30,000 Turków.

Potemkin dał wprawdzie Jonesowi pismo pochwalne na odchodnem, ale pocichu i w porozumieniu z carycą przypieczętował już jego los. Katarzyna przyjęła Jonesa dosyć grzecznie, ale już bez dawnej serdeczności. Kiedy zaś prosił o nowe dowództwo, kazała czekać. Zmarł właśnie wtedy admirał Greig, najemny Szkot, który dowodził flotą bałtycką. Jonesa łudzono nadzieją, że jemu przypadnie jego miejsce. Mijały jednak tygodnie a nie wzywano go na dwór. Obietnice nowej komendy nie spełniały się. Intryganci zaczęli i tu działać przeciw niemu i rozpuszczać plotki. Wreszcie, aby dobić ostatecznie Jonesa, uplanowali podły podstęp. Wynająwszy dziewczynę niemoralnego prowadzenia się skompromitowali go rzekomym napadem na nią. Odrazu nieszczęsnego admirała opuścili wszyscy jak zapowietrzonego. Ani jeden adwokat nie chciał podjąć się jego obrony. "Wyższy rozkaz" zabronił im tego. Słudzy opuścili go, przyjaciele znikli. Jeden Segur pozostał mu wiernym i uratował go od samobójstwa, które Jones uplanował już w rozpaczy.

Niestety, Amerykaninowi brakło siły ducha, by mógł wyjść z tej sprawy z honorem. Długi a uniżony list, który napisał do Potemkina z wyjaśnieniami, nie uniewinnił go w oczach tych, którzy z góry skazali go na potępienie. Za poradą Segura Jones napisał list wprost do carycy. Uczynił to jednak znowu z taką uniżonością, że trudno opanować przykre wrażenie, jak takie czołobitności mogły wyjść z pod pióra człowieka, który tylokrotnie chlubił się obywatelstwem amerykańskiem i zasługami dla sprawy wolności.

"U stóp Waszej Cesarskiej Mości przysięgam być zawsze wiernym Tobie i państwu, którego stanowisz szczęście, ozdobę i

sławę" — pisał jej, niewyleczony ze swych omamień rosyjskich. W zakończeniu prosił o nowe dowództwo, albo o pozwolenie na powrót do Francji albo Ameryki, a "jako jedynej nagrody za służby, jakie miał szczęście oddać", prosił o pozwolenie na "nadzieję, by mógł je odnowić w przyszłości." Katarzyna skwapliwie skorzystała z tego i dała mu dwuletni urlop z obietnicą pensji, której jednakowoż Jones nigdy nie dostał.

Littlepage po pogodzeniu Jonesa z Nassauem był jednym z poddowódców w eskadrze Amerykanina, ale prędko musiał ustąpić z powodu nieporozumień z Potemkinem. Bawił on już oddawna w Warszawie przy boku króla. Dowiedziawszy się o kłopotach Jonesa, zaprosił go do polskiej stolicy.

Admirał skorzystał chętnie z zaproszenia, zwłaszcza, że Warszawa leżała mu po drodze na zachód. Zresztą nie miał żadnego celu przed sobą, czuł się opuszczonym i bezdomnym. W Polsce czekały go nietylko przytułek, ale i życzliwe serca.

Do Warszawy przybył we wrześniu 1789. Littlepage zajął się rodakiem, przedstawił go królowi i wprowadził w sfery dworskie. "Byłem traktowany z największą gościnnością i grzecznością przez króla i modne towarzystwo" — pisał do Bourgoinga, francuskiego posła w Hamburgu, już po wyjeździe z Polski. Z jedną z dam, poznanych w Warszawie, niejaką hrabiną de Tomatis de Valery, była aktorką i żoną włoskiego przybłędy, szulera i szubrawca z pod ciemnej gwiazdy, przyjmowanego jednak w najwyższych kołach, zawarł nawet bliższą znajomość, gdyż w papierach jego pozostały listy z ich późniejszej korespondencji.

Poza rozrywkami towarzyskiemi Jones — choć nieproszony — użył pobytu w Polsce na spisanie pamiętnika swej służby rosyjskiej dla użytku Katarzyny. Pamiętnik miał na celu przedstawienie jego zasług pod Oczakowem i usprawiedliwienie się z wszelkich zarzutów w oczach imperatorowej. Autor posunął się w nim aż do chełpliwości, byle tylko przebłagać jej gniew. Odesłał carycy rękopis z listem, znowu w bardzo uniżonym tonie i z zapewnieniem, że jest jej oddany "sercem i duszą". Pamiętnik chybił celu, a tylko rzucił nowy cień na sławę i dobre imię bohatera wobec potomności.

W tej krytycznej chwili, kiedy Jones z boleścią rozmyśliwał nad swem nieopatrznem wdaniem się w służbę rosyjską i cierpiał pod jej gorzkiemi zawodami i upokorzeniami — zbliżył się do niego nasz Tadeusz Kościuszko, aby wyrwać go z rozpaczy i skierować na drogę, która jedynie przystawała rycerzowi wolności.

Kościuszko prawdopodobnie znał Jonesa ze swych czasów amerykańskich. Jeżeli nie znał go osobiście, musiał w każdym razie słyszeć o nim wiele i uważać go za towarzysza broni. Że cenił go za odwagę i ubolewał głęboko nad jego zaprzedaniem się Rosji, świadczy poniższy wyjątek z jego listu do majora Haskella, przyjaciela w Ameryce. (Oryginał w zbiorach dr. Aleksandra Kahanowicza z Brooklyna). Pod datą: Warszawa, 10-go sierpnia 1789, pisał Haskellowi:

"Dzielny Paul Jones jest w Petersburgu. Boleję nad tem, że jest w służbie Rosji, — on Republikanin i Amerykanin — jest to dostateczne, by wyciągnąć wnioski."....

Tych kilka słów wystarczają, aby wyobrazić sobie myśli Kościuszki. Są one stanowczem potępieniem postępku Jonesa, który spadł do roli najemnika despotów. Pod sztandarem rosyjskim, zdaniem Kościuszki, nie było miejsca dla republikanina i Amerykanina.

Kiedy Jones przyjechał do Warszawy, Kościuszko akurat dostał nominację na generał-majora w wojsku koronnem. Wyznaczono mu na kwaterę Włocławek nad Wisłą, skąd mógł łatwo dojechać do Warszawy. Dowiedziawszy się o przyjeździe druha z pod gwiaździstego sztandaru, pospieszył czemprędzej do stolicy, aby się z nim przywitać i, w razie potrzeby ofiarować mu swe przyjacielskie usługi. Szczery i dobry Kościuszko odrazu ujął sobie Jonesa, który w rozterce duchowej z wdzięcznością witał każdą życzliwość ze strony spotykanych osób. Odwiedziny musiały powtarzać się i doprowadziły do wywnętrzenia się obu przyjaciół. Jones opowiedział Kościuszce wszystkie swe przykre przejścia w Rosji, ten zaś, wytykając mu otwarcie zejście na niewłaściwą drogę, pocieszał przyjacielskiemi słowami i radami, oraz nadziejami na przyszłość. Równocześnie Kościuszko zaczął myśleć, w jaki sposób możnaby użyć zdolności Jonesa w sposób, godny miana "republikanina i Amerykanina", Polska żyła pod groźbą nowych rozbiorów, ale nie posiadała floty. Jednakowoż król szwedzki, Gustaw III, akurat wówczas był w wojnie z Rosją. Wywnioskował więc Kościuszko, że przyjąłby chętnie Jonesa do swej służby, która byłaby o wiele odpowiedniejszą dla Amerykanina, niż służba rosyjska.

Kościuszko przedstawił swój plan Jonesowi i zapytał o jego zdanie. Jones, przejęty fałszywem pojęciem wierności dla Rosji i Katarzyny, miał zrazu poważne skrupuły. Ale powoli znikły one pod wpływem namów Kościuszki. Ostatecznie generał polski uzyskał pozwolenie jego na działanie. Udawszy się do hrabiego Wawrzyńca Engestroma, posła szwedzkiego przy dworze polskim, bardzo Polsce przychylnego, zaproponował umieszczenie Jonesa we flocie szwedzkiej, która potrzebowała zdolnego admirała.

Wszystko to można wywnioskować z listów, jakie Jones i Kościuszko wymienili następnie w tej sprawie. Zanim Engestrom mógł zawiadomić swój rząd o projekcie i otrzymać odpowiedź, Jones wyjechał tymczasem z Warszawy.

Że Kościuszko zdołał — choć chwilowo tylko — wpłynąć na Jonesa i zjednać go dla swego planu, świadczy list, jaki tenże wysłał mu na odjeździe z Warszawy. Podana w nim dokładna droga i adres dowodzą, że wyjeżdżał w oczekiwaniu doniesienia o wyniku starań Kościuszki.

"Mój Drogi Generale!" — pisał Jones w Warszawie, 2 listo-

pada 1789 — "Zamierzam wyjechać dzisiaj do Wiednia, gdzie zatrzymam się tylko kilka dni. Potem pojadę do Strasburga, a stamtąd do Holandji, gdzie spodziewam się przybyć przed 1-ym grudnia. Mój adres w Holandji jest do Panów Mikołaja i Jakóba Staphorstów, Amsterdam.

"Ponieważ będę w stosunkach z naszymi przyjaciółmi w Ameryce, nie omieszkam wspomnieć przy każdej sposobności o dostojnem stanowisku i szacunku, jakie Pan osiągnął w swej ojczyźnie i wielkiem poważaniu, jakie Pan zachowałeś dla mieszkańców Ameryki, gdzie Pański charakter jest czczony a Pańskie imię słusznie kochane za usługi, jakie Pan oddał. Pozostaję itd.

"Jan Paul Jones".

Jones wyjechał do Kopenhagi drogą okrężną przez Wiedeń, zaprzyjaźniony z Rosją, ponieważ przyjaciele warszawscy "doradzali mu, aby nie pokazywał się na dworach w Berlinie lub Kopenhadze w obecnych politycznych warunkach" — jak wyjaśniał w liście do Bourgoinga już po opuszczeniu Polski. "Ponieważ wiadomo było, że opuściłem Rosję niezadowolony, wolałem nie dawać nieprzyjaciołom broni przeciwko sobie. Rozpuścili oni pogłoskę, że mam przyjąć dowództwo nad szwedzką flotą".

Pogłoski te powstały jeszcze, nim Kościuszko rozpoczął starania u Engestroma. Że zgadzały się z rzeczywistością, był to tylko zbieg okoliczności, wynikły z ówczesnych stosunków politycznych. Ostrożność nakazywała Jonesowi zaprzeczać im. Autorem rady omijania Prus i Danji był niechybnie Littlepage, obznajomiony z tajnikami dyplomacji, a poparł ją może i Kościuszko dla zachowania pozorów.

Jones przybył do Amsterdamu 18-go grudnia 1789, wedle marszruty, zakreślonej w liście do Kościuszki. Widocznie oczekiwał dosyć niecierpliwie na jego list, kiedy, nie mogąc doczekać się go, pierwszy napisał do niego z zapytaniem o wynik starań. W zbiorach Akademji Umiejętności w Krakowie znajduje się następujący jego list, datowany Amsterdam, 21 stycznia 1790, (podany w T. Korzona "Kościuszko"):

"Mój drogi Generale! Pisałem do Pana 2-go listopada przed samym wyjazdem z Warszawy; powierzyłem mój list gospodyni tego domu, w którym zwykle mieszkasz; kazałem go oddać Panu po powrocie ze wsi. Dałem Panu swój adres na ręce Panów M. i J. Van Staphorstów, w Amsterdamie. Przybyłem tu z Wiednia przed sześcioma tygodniami i nie miałem zaszczytu otrzymać żadnego listu od Pana. Obawiam się, że projekt, o którym Pan nadmieniłeś mi, nie doznał życzliwego przyjęcia, albo że mój list nie został Panu doręczony. Jadę na kilka dni do Hagi i wrócę tutaj, gdzie miło mi będzie otrzymać wiadomość od Pana. Jestem z wielkim szacunkiem, mój drogi Generale, najpowolniejszy i najniższy sługa,

"Paul Jones".

"Obawiam się, że projekt nie doznał życzliwego przyjęcia" —

wyrażał się Jones, a więc jest to dowód, że zależało mu na jego przyjęciu i że, jeżeli przeczył pogłoskom o możliwem wejściu do służby szwedzkiej, czynił to nieszczerze.

Kościuszko prawdopodobnie dlatego nie odpisywał mu, ponieważ nie wiedział jeszcze nic stanowczego o wyniku starań. Dopiero, gdy Engestrom zawiadomił go, że rząd szwedzki godzi się na propozycję i prosi o bliższe porozumienie się Jonesa z ministrami w Holandji lub Danji, którzy dostali już odpowiednie polecenia — Kościuszko czemprędzej, dnia 2-go lutego 1790, zawiadomił Amerykanina o wszystkiem, niechybnie zachęcając go jeszcze do korzystania z propozycji. List ten zaginął, niestety.

W kilka dni potem, Kościuszko, otrzymawszy list Jonesa z 21-go stycznia, powtarzał mu, co pisał poprzednio:

Warszawa, 15-go lutego, 1790.

"Mój drogi Panie:

"Miałem zaszczyt pisać do Ciebie 1-go albo 3-go lutego. Nie przypominam sobie; ale dałem Panu wiadomość, abyś zgłosił się do posła Szwecji w Hadze lub Amsterdamie po propozycje; wedle tego, co Pan d'Engestrom powiedział mi, obaj oni mają polecenia, jakie mają Ci zakomunikować. Pragnę całem sercem, aby odpowiedziały Twoim oczekiwaniom. Jestem zupełnie nieświadomy ich treści; ale mogę Cię już widzieć walczącego przeciw ciemięstwu i tyranji. Daj mi wiadomość o wszystkiem. Pozostaję, drogi Panie, Twoim najniższym i najpowolniejszym sługą,

"T. Kościuszko, Generał-major."

"Napisz mi, proszę, kto jest posłem amerykańskim w Paryżu: chcę wiedzieć jego nazwisko".

W kilku tylko słowach streścił Kościuszko swoje pragnienie pozyskania Jonesa dla słusznej sprawy, ale jakże pięknie napisał mu: — "Pragnę całem sercem, aby propozycje odpowiedziały Twoim pragnieniom,... mogę Cię już widzieć walczącego przeciw ciemięstwu i tyranji"..

A więc skutki pośrednictwa Kościuszki były pomyślne, jednakowoż w umyśle Jonesa powstały tymczasem silne wahania co do tego, czy przystoi mu przyjmować ofertę. Fałszywe pojęcie honoru i dziwna uległość urokowi carycy nie pozwalały mu złamać wierności dla Rosji. "Gorące przywiązanie, które cesarzowa wzbudziła we mnie, tkwi jeszcze w mem sercu" — pisał w tym czasie do barona Krudenera, posła rosyjskiego w Kopenhadze.

Najsilniej jednak zbuntowała się w nim urażona ambicja — uraziło go to, że rząd szwedzki nie prosił go, jak ongiś caryca, przez umyślnych kurjerów, nie zabiegał z ceregielami o jego służby, ale, zamiast roli proszonego, dał mu rolę proszącego. A Jones zawsze wiele o sobie myślał.

Odpisał więc Kościuszce z Amsterdamu w marcu 1790:

"Mój drogi Panie:—

"List z 2-go lutego, którym zaszczyciłeś mnie Pan, został doręczony moim tutejszym bankierom (Staphorstom) przez czło-

wieka, który żądał od nich poświadczenia odbioru. Byłem wtedy w Hadze i list Polski nadesłano mi tam. Powróciwszy tu przed kilku dniami, zastałem drugi list od Pana z 15-go lutego. List ten został doręczony moim bankierom przez tego samego człowieka. Pan proponuje, o ile nie mylę się, abym zgłosił się do pewnego pana w Hadze, który ma mi coś do zakomunikowania. Ale po chwili rozwagi dojdzie Pan do przekonania, że wzgląd na to, co winienem sam sobie, jak i delikatność mego położenia nie pozwalają mi na podjęcie tego kroku. Jeżeli ten pan ma mi coś do powiedzenia, może to zrobić pisemnie, przez zaproszenie mnie na osobistą naradę, lub przez pośrednictwo trzeciej osoby. Pokazałem Pański list moim bankierom i ci powiedzieli powyższe jegomości, od którego dostali je, ale, jak powiadają, przyjął tę odpowiedź obojętnie."

Na liście powyższym urwała się korespondencja Kościuszki z Jonesem. W czerwcu 1790 Jones wrócił do Paryża, gdzie żył do śmierci wśród biedy, cierpień fizycznych i moralnych. Nie mógł nigdy przeboleć smutnego epilogu swej służby w Rosji i raz po raz szturmował do dworu rosyjskiego, już to listami wprost do Potemkina i carycy, już to przez wpływowych dyplomatów, o przywrócenie go do dawnych łask. Wszystkie to uniżone błagania Petersburg traktował milczącą pogardą, a jednak Jones dalej wytrwale wycierał kąty w przedpokojach posłów rosyjskich. — Wyjechawszy z Warszawy, usunął się z pod osobistego wpływu Kościuszki, a sam nie posiadał dosyć siły woli, aby zdobyć się na zerwanie poniżającego stosunku z Rosją.

Jeden z ostatnich listów Jonesa, w listopadzie 1791, był pisany do Littlepage'a, przebywającego wówczas w Warszawie. Biedny admirał winszował w nim szambelanowi królewskiemu przyjęcia przez Polskę Konstytucji 3-go Maja i donosił o wysyłce jakiejś broszury swego przyjaciela dla Stanisława Augusta. Szkoda, że mimo starań, nie mogłem nigdzie odszukać tego ciekawego dla nas listu.

Choroba, której nabawił się podczas kampanji rosyjsko-tureckiej, przyprawiła Jonesa o przedwczesną śmierć. Zmarł w Paryżu niemal w zupełnem opuszczeniu 18-go lipca 1792, przeżywszy zaledwo 45 lat.

Tak marnie zakończył żywot ten, któremu historja oddała zaszczyt rozwinięcia pierwszego gwiaździstego sztandaru nad morzami świata.

Katarzyna, dowiedziawszy się o jego śmierci, napisała do swego totumfackiego Grimma: "Ten Paul Jones był to bardzo zły charakter". Nie zarobił więc nawet na dobre słowo pośmiertne u tej podłej kobiety, której w ofierze złożył swe życie i — co gorsze — swoją dobrą sławę.

Tym, który najwięcej musiał boleć nad tragicznym końcem zwycięzcy "Serapis", był niechybnie Tadeusz Kościuszko.

IX

Wspomnienie Amerykanki o Kościuszce

Swego czasu w modzie były roczniki literackie, t. j. stałe wydawnictwa, które pojawiały się raz na rok jako zbiór utworów literackich rozmaitych autorów, najrozmaitszej formy i treści, przeważnie jednak sentymentalnej. Cieszyły się one szczególnemi łaskami płci pięknej. Jeden z tych roczników p.t. "The Token and Atlantic Souvenir", redagowany przez S. G. Goodricha, jednego z literatów amerykańskich mniejszego kalibru, i wydany w Bostonie w r. 1833, zawiera ciekawe wspomnienie nieznanej Amerykanki o Kościuszce, — ciekawe nie tyle ze szczegółów, jakie podaje o nieśmiertelnym bohaterze, gdyż dzisiaj są one przeważnie znane nam z innych źródeł, ile dla spowiedzi z naiwnych wrażeń, jakie postać Kościuszki wywarła na autorkę.

Wspomnienie nosi tytuł: "The Fur Coat", gdyż historyczne futro, które car Paweł darował Kościuszce przy uwolnieniu z niewoli a Kościuszko ofiarował następnie Tomaszowi Jeffersonowi na odjezdnem z Ameryki, stanowi w opowiadaniu główny motyw, dokoła którego autorka rozsnuwa swe wspomnienia.

Autentyczność ich zdaje się nie ulegać wątpliwości. Że wspomnienia nie były urojone, świadczyć może o tem opis chorego Kościuszki, leżącego na kanapie w domu jednego z przyjaciół, przy stoliku, zarzuconym papierami. O ile wiem, jest to pierwszy taki opis w druku a zgadza się zupełnie z opowieścią Evansa, wnuka gen. White'a ("Memoir of Kościuszko"), ogłoszonej jednak w 50 lat potem, oraz z tem co opowiada J. U. Niemcewicz w swych pamiętnikach o drugim pobycie Kościuszki w Ameryce, odgrzebanych w Polsce przez W. M. Kozłowskiego i wydanych w części dopiero w r. 1906. (Bibljoteka Warszawska, r. 1906).

Zresztą rok 1833 był oddalony zaledwo o 16 lat od chwili śmierci Kościuszki, a tylko o 7 lat od skonu Jeffersona. Żyli jeszcze ci, którzy pamiętali ich i znali dobrze, — kłamstwo autorki byłoby więc niebezpieczne.

Odkrycie nazwiska jej jest trudne. Ponieważ jednak wspomina, że spotykała Kościuszkę codzień przez kilka tygodni, gdy bawił u jej krewnych w małem miasteczku, przypuszczać można, że była krewną generała White'a. Kościuszko podczas swego drugiego pobytu w Ameryce przebywał też dłuższy czas jako gość w domu gen. Gatesa, ale ten mieszkał pod samym Nowym Jorkiem, który nawet wówczas nie był już "little town". Pozatem nie korzystał dłużej z gościny żadnego ze swych licznych przyjaciół, mimo ich zaproszeń. W domu gen. White'a w New Brunswick, N. J., bawił natomiast dwukrotnie, raz w drodze z Filadelfji do gen. Gatesa od 1-go do 9 września, drugi zaś raz w drodze powrotnej, od 20-go października do 27-go listopada 1797.

"Było to w zimie 1805 r." — opowiada nieznana Amerykanka. — "Byłam na obiedzie u p. Jeffersona, gdy wkrótce po opuszczeniu stołu chwyciły mnie boleści i musiałam opuścić miłe towarzystwo, które zebrało się w salonie.

"P. Jefferson z ojcowską niemal czułością nalegał na owinięcie mnie w futro, które, ochraniając mnie w zupełności przed nocnym chłodem, tem skuteczniej zapobiegło dreszczom przez ożywienie mej imaginacji.

"Czy nie dziwny zbieg okoliczności — myślałam sobie, — że ja, nieznana mieszkanka Ameryki, jestem otulona tym samym płaszczem, który ongiś okrywał cara rosyjskiego, który potem długo nosił patrjotyczny bohater Polski, a teraz zaś należy do jednego z największych współczesnych ludzi. Gdyby tak płaszcz ten mógł mówić i opowiedzieć mi coś o każdym ze swych właścicieli! Co do obłąkanego despoty, do którego pierwotnie należał, nie mógłby mi powiedzieć ani o jednym czynie jego życia w połowie tak dobrym, jak ten, dzięki któremu futro dostało się dobremu Kościuszce.

"Dzielny ten mąż, natchniony wrodzoną a niewygasłą miłością wolności, jako młodzieniec opuścił ojczyznę, zbytki bogactwa (?) i ponęty rozkoszy, aby zaciągnąć się i walczyć dla naszej sprawy. Liczne były trudy, jakie musiał znieść, i niebezpieczeństwa, na jakie narażał się w imię słusznej sprawy, której poświęcił swe całe życie. Obok odwagi, której nic nie zdolne było zastraszyć, i obok ducha, który gotów był ważyć się na wszystko, posiadał miękkość i delikatność uczuć niemal kobiecą, oraz wytworność, pod wpływem których, wśród surowego i ciężkiego życia obozowego, oddawał się łagodnym zajęciom pokojowym. Śmiały żołnierz na polu walki był delikatnym i pełnym uczuć towarzyszem cnotliwych dam, ozdobą salonów i ulubieńcem domowników.

"Nawet wśród życia garnizonowego nie zaniedbywał popędów prostego a wytwornego smaku. W fortecy West Point, gdzie jego pułk był długo oblęgany przez wojska angielskie, dotychczas prowadzą nas na miejsce wśród skał, zwane Ogrodem Kościuszki. Tam, na wysokich i skalistych wybrzeżach Hudsonu, spędzał swe wolne godziny na hodowaniu kwiatów. Przyroda poskąpiła ziemi dla nich, ale z niezmordowanym trudem i niewyczerpaną cierpliwością zaradził temu brakowi. Miejsce, które wybrał, było niedostępne dla wehikułów wszelkiego rodzaju, Kościuszko więc nosił sam ziemię w koszach i składał ją w szczelinach skał.

"Tam, rankiem i wieczorami, uciekając od rubasznych zabaw i zmysłowych przyjemności obozowych, doglądał swoje kwiaty, albo zatapiając się w ciszy osamotnienia, siadał na wystający odłam skały i patrzył na majestatyczną rzekę, która płynęła u jego stóp, lub na chmury, które płynęły mu nad głową.

"Kto, patrząc wówczas na szczupłego i delikatnego młodzieńca, na ładnego chłopca — gdyż był tak drobnych i delikatnych

kształtów i rysów, że nie wyglądał na mężczyznę — kto, patrząc wówczas na niego, schylającego się z rozkoszą nad grządką z kwiatami, przeczułby w nim przyszłego wodza wojsk, bohatera swego narodu? Jak miłe jest połączenie wielkości z dobrocią! Dzięki właśnie zespoleniu tych zalet Kościuszko był zarówno kochany, jak i podziwiany i rozpalał w piersiach innych część tego zapału, co żarzył się mu w piersi. Tak, nawet ja, wówczas młoda i bezmyślna dziewczyna, czułam siłę tego zapału, jaki natchnął naród wolnych ludzi i zgromadził tysiące dokoła sztandaru tego żołnierza - patrjoty.

"Przez dnie i tygodnie siedziałam z rosnącą przyjemnością obok jego sofy i słuchałam opowiadań o jego bitwach i cudownych ocaleniach, o zwycięstwach i klęskach, jego tryumfach i niewoli, jak jednego dnia był zwycięzcą, a drugiego jeńcem.

"Chociaż od tego czasu upłynęło już przeszło trzydzieści lat, mogę go jeszcze widzieć, jak widziałam go wówczas, bladego, wychudłego, rannego; jego słaba postać spoczywała na sofie, podparta poduszkami, a obok był przysunięty mały stolik, na którym opierał łokieć, podpierając głowę dłonią. Widzę jego zranioną głowę, dokoła której nosił bandaż z czarnej wstążki, zamiast wieńca laurowego, który tak szlachetnie zdobył sobie. Ale niegojąca się blizna, którą ten bandaż okrywał, była pieczęcią sławy.

"Mały stolik był pokryty książkami, piórami, ołówkami; listami od licznych przyjaciół i hołdowniczemi wierszami ze wszystkich państw Europy. Z jaką lubością korzystałam z jego pozwolenia, aby oglądać te wszystkie rzeczy i jak uprzejmie zaspokajał moją młodocianą ciekawość, czytając mi wiele z tych wylewów przyjaźni, podziwu i miłości; tak jest, gdyż pamiętam dobrze, iż jeden z tych listów był od damy, która kochała go gdy jeszcze był ochotnikiem w naszej armji. Zaczynał się on tak:

" 'Jak mam tytułować Ciebie, który, ach, jesteś jeszcze zbyt drogim i zbyt dobrze pamiętnym! Czy mam Cię nazywać obrońcą Twej ojczyzny? O, nie, jest to zbyt straszne. Bohaterem wolności? Jest to zbyt górnolotne. Szlachetnym Polakiem? O. to przypomina inny i bardzo daleki kraj. Jak więc mam Cię nazwać, aby przypomnieć dnie minionych lat? Nazwę Cię Kościuszką. Inne imiona potrzebują może tytułów, ale nazwisko to starczy za najwyższy tytuł. Niezniszczalnie wyryte na mojem sercu, będzie ono jasno błyszczało na kartach historji. Witaj więc, Kościuszko! Witaj krajowi, który Cię czci i sercu, które Cię uwielbia!'

"Takie, lub mniejwięcej takie były gorące słowa tego czułego listu. Były one tak zgodne z dziewczęcą romansowością mego usposobienia, że zrobiły niezatarte wrażenie w mej pamięci. Może, a raczej z pewnością, nie powinien mi był pokazywać tego listu. Ale, w gruncie rzeczy, bohaterowie są także ludźmi i nie mogę zaprzeczyć, że niestety, miał on też liczne słabości natury ludzkiej i że próżność była jedną z nich. Przy-

pominam sobie też niektóre bardzo piękne wiersze, przysłane mu przez pannę Porter, wybitną powieściopisarkę (angielską, autorkę "Tadeusza z Warszawy"); ale nie pochodziły one z jej serca i dlatego nie zrobiły wrażenia na mojem. Były to wiersze pełne komplementów, opiewające patrjotę i bohatera. Bohatera! — jakże inaczej wyobrażałam sobie postać bohatera, a jak inaczej wyglądał Kościuszko.

"Od czasu mego dzieciństwa nazwisko jego było mi dobrze znane i słyszałam o jego młodzieńczych czynach w obronie naszej wolności. W czasie jego powrotu do naszego kraju sława jego poprzedziła jego przyjazd. Jego śmiałe przedsięwzięcia, jego cierpliwa wytrwałość, jego niezwyciężona odwaga, jego niezłomna stałość i jego gorący patrjotyzm były codziennym tematem rozmów w kołach prywatnych i opisów w publicznych pismach, a kiedy wylądował na naszych wybrzeżach, powitany został z nieograniczonym zapałem i tłumy zbiegały się ciekawie, aby ujrzeć jednego z naszych dawnych obrońców.

"Kiedy przyjechał do małego miasteczka, w którem mieszkałam i stanął w gościnie w domu moich krewnych, ogarnęły mnie uczucia, trudne do opisania. Moja młoda wyobraźnia ubrała tego 'apostoła wolności' — jak go niekiedy nazywano, w kształty wspaniałe, imponujące i wzbudzające zachwyt, z postawą tak wyniosłą jak nasz Waszyngton, i z twarzą o wiele wyrazistszą. Fantazja moja przedstawiała mi go o szlachetnych rysach, dużych, przenikliwych oczach i o powierzchowności wzniosłej i wspaniałej. Kiedy zaprowadzono mnie do jego sofy, i zobaczyłam małego i słabego starca, o bladej twarzy, o zadartym nosie, małych niebieskich oczach i rzadkich jasnych włosach, nie mogłam z początku uwierzyć, że jest to naprawdę sławny Kościuszko i na jakiś czas mój entuzjazm całkiem wygasł, gdyż nie było w nim nic, co mogłoby przeciwdziałać wrażeniu, jakie wywarł jego widok. A muszę się przyznać, że nigdy nie wróciły mi te uczucia, któremi natchnęła mnie jego sława, — uczucia, wzniecone przez jego duchową wielkość. Jego sposób zachowania i rozmowy były również tak mało imponujące, jak jego osobistość i twarz. Próbowałam ciągle, przypominając sobie jego wielkie czyny, rozpalić na nowo swój entuzjazm. Nie udało mi się to nigdy — nic w jego słowach lub wyglądzie nie wspomagało wyobraźni; — nie, nawet, gdy opisywał walki, w których brał udział, nie mogłam sobie wyobrazić jak ten blady, słaby człowieczek, na którego patrzyłam, mógł być dowódcą wojsk i bóstwem swej ojczyzny. Ale wnet łagodniejsze uczucie zajęło miejsce tego strzelistego zapału, gdyż kiedy mówił o swych cierpieniach, o swych troskach serdecznych i obawach, o swych wielkich nadziejach i swej ciężkiej rozpaczy, nie można było słuchając nie czuć wielkiego współczucia i żywej sympatji.

"Jego łagodna twarz, miękki głos i łagodne manjery harmonizowały w zupełności z takiemi szczegółami.

"W naszem małem miasteczku nie było wielu takich, którzy ośmielili się zbliżyć do wielkiego człowieka, pozostawał więc stosunkowo w spokoju — przynajmniej w ciszy koła domowników naszej rodziny.

"Byłam romantyczną dziewczyną, młodą entuzjastką, której pobłażano wiele. Wkrótce znalazłam sobie niski stołeczek przy jego sofie, i tam co dnia spędzałam wiele godzin. Lubiał on mówić o sobie i może czuł, że nikt nie słuchał go gorliwiej i z taką natężoną uwagą, jak ja; któż jest nieczuły na przyjemność wzbudzania silnych uczuć, wielkiej ciekawości i żywego współczucia? Niektórzy są tacy, i sądzę, że był jednym z tych, którzy znajdują szczególną przyjemność w rozbudzaniu tych uczuć w prostym i niezepsutym umyśle młodzieży, gdzie łączyły się z ciekawością i podziwem.

"Mój wlepiony w niego wzrok i rozpalona twarz tak jasno świadczyły o zajęciu, z jakiem prowadziłam z nim rozmowę, że bez wątpienia skłoniło go to do wyjawienia mi szczegółów, jakich inaczej nie byłby opowiedział. Nie wiele z nich zapomniałam i mogłabym zapełnić księgę, gdybym spisała wszystko to, co pamiętam; ale na razie powtórzę tylko opowieść jego o sposobie, w jaki dostał to futro..."

Dalszy ciąg wspomnienia obejmuje właśnie opowieść o tem futrze i o przejściach Kościuszki w niewoli rosyjskiej. Są to wszystko rzeczy dobrze znane, zbytecznem więc byłoby je powtarza. Wielka szkoda, iż autorka nie sięgnęła raczej do wspomnień o Kościuszce, nieznanych z innych źródeł, zwłaszcza, że chlubiła się taką ich obfitością.

Ale musimy być zadowoleni i z tego, co pozostawiła potomności w tym drobnym szkicu. Najmniejszy bowiem szczegół z życia Kościuszki nie może nam być obojętny.

Odgrzebując z zapomnienia to wspomnienie Amerykanki, musimy jednak zastrzedz się przeciwko jednemu jej zdaniu, w którem powiada: że Kościuszko "miał też liczne słabości natury ludzkiej i próżność była jedną z nich."

Z pewnością, że Kościuszko miał też swoje słabe strony. Był tylko zwykłym śmiertelnikiem, wśród których niemaż doskonałości. Ale próżność była mu obca, jak ogień wodzie.

Przedewszystkiem autorka sama przyznaje mu najrozmaitsze cnoty. Sama uwielbia w nim połączoną wielkość ducha i dobroć serca. Czyż człowiek prawdziwie wielki i dobry, jakim, bez wątpienia, był Kościuszko, mógł być zarazem próżnym? Czyż zarzutowi temu nie przeczy sama autorka, kiedy po opisie swego wyimaginowanego Kościuszki, wspaniałego i pięknego, przedstawia nam niepokaźnego staruszka, złamanego cierpieniami własnemi i ojczyzny?

Autorka przyznaje, że pamięta Kościuszkę jeszcze ze swych lat dziecinnych. Czyż mogło być coś bardziej naturalnego, jak to, że Kościuszko, zawsze miłośnik dziatwy, widząc garnącego się do

siebie podlotka, płacił mu szczerością za szczerość i pokazał mu też list od owej zakochanej damy, nie z próżności, ani z chęci wzbudzenia w dziewczęciu jakichkolwiek mniej szlachetnych uczuć, ale tylko dla rozerwania swego młodego gościa i tylko dlatego, że do listu nie przywiązywał głębszej wartości. W sercu tego człowieka o gołębiej duszy były myśli o miłości, ale innej — tej, która oddała wszystko drugim, która obejmowała cały naród i ludzkość.

Zresztą autorka wyznaje też, iż była romantyczną. Szkic jej zdradza przeciętny talent literacki i przeciętną umysłowość. To tłumaczy, dlaczego posądziła Kościuszkę o próżność.

Dziesiątki świadectw nie z ust podlotków, ale dojrzałych mężów takich, którzy go znali przez lata,świadczą zupełnie przeciwnie, że Kościuszko, przy swej wielkości, był skromnym aż zanadto może. Takim był na każdem stanowisku, o każdej porze swego życia. Dzieje jego żywota mogłyby służyć za wzór skromności. Głosy współczesnych — to jeden zgodny chór podziwu dla jego cnót.

Samuel Richards, towarzysz Kościuszki w West Point, w wspomnieniach swych powiada: "Mieszkałem przez długi czas z Kościuszką w tym samym domku i wkrótce odkryłem w nim wzniosłość umysłu, która już wtedy rokowała wielkie obietnice tych świetnych czynów, jakie miał potem dokonać. Obejście się jego było łagodne, a równocześnie pełne godności." (U. S. Service Magazine, Oct. 1903).

Sławny Henryk Lee, w swych pamiętnikach "Memoirs of the War", zaświadcza, że Kościuszko "był uważany za zdolnego w swym zawodzie i bardzo szanowany za łagodny charakter i ogładę towarzyską."

J. Coxe Barnet pisał o Kościuszce do T. Jeffersona z Paryża, 30 lipca 1817, jako o "wielkim i dobrym człowieku — przyjacielu wolności."

Różnych świadectw o cnotach Kościuszki możnaby przytoczyć bardzo wiele, sięgając chociażby do najwyższych współczesnych postaci amerykańskich. Nikt z nich nie zauważył nigdy w nim próżności.

Najdobitniej zaprzecza nieostrożnemu zarzutowi autorki świadectwo pułk. Wilkinsona, który z Ticonderoga, N. Y., pisał do gen. Gatesa, 22-go maja 1779, wprost dotykając tematu: "Pułk. Kościuszko jest bojaźliwie skromny", i ponownie do tegoż w tymże mniejwięcej czasie: "Pułk. Kościuszko jest skromny w najwyższym stopniu." (M. Griffin, Gen. Thaddeus Kosciuszko).

Słuszność przyznać należy, że jak świadczy cały ton szkicu, pełen pochwały dla Kościuszki, — uwaga o próżności była wynikiem nie złej chęci ze strony autorki, ale jedynie powierzchownej, bo dziecinnej obserwacji.

X

Amerykanin Zdrajcą Polski

(Szkic o Ludwiku Littlepage'u, Sekretarzu Stan. Augusta)

Wśród przelicznej galerji postaci, które odgrywały ważniejsze role w Rzeczypospolitej Polskiej podczas nieszczęsnych lat jej ostatecznego upadku, stała dotychczas w zupełnym cieniu jedna postać, szczególnie dla nas ciekawa.

Odkrycie jej i wydobycie na jaw szczegółów działalności będzie może przykrą niespodzianką. Zawsze bowiem zwykliśmy uważać — razem z Kościuszką — "tytuł Amerykanina za święty", za jednoznaczny z uczciwością i zamiłowaniem wolności. A jednak, wśród szumowin wszelkiego rodzaju, które jak sępy zbiegały się do umierającej Polski, nie brakło i Amerykanina, który pomagał wyrodnym jej synom zabijać wieko do trumny Rzeczypospolitej.

Król Staś miał słabostkę do obcych przybłędów. Nigdy nie brakowało ich na jego dworze. Byle awanturnik, umiejący zręcznie zwrócić na siebie uwagę królewską, znajdował przyjęcie u niego, nierzadko tytuł, order, łaskawy chleb i w dodatku pensje "gratyskowe" za rozmaite, niezawsze nawet uczciwe usługi. Między nimi niejeden był taki, który nie ociągał się brać rosyjskich rubli i pomagać do spychania króla coraz głębiej w hańbę a kraju w niewolę.

W kancelarji królewskiej, czyli w tak zwanym gabinecie, pracowało zawsze sporo cudzoziemców. Ukrywali się w nim zdrajcy, jak radca Boskamp-Lasopolski, powieszony za powstania kościuszkowskiego; jak sekretarz królewski Friese, również godzien szubienicy, jak zapewnia doskonały znawca stosunków za Stanisława Augusta, Tadeusz Korzon. "Jeszcze bardziej zagadkową figurą" od zdrajcy Friesego nazywa Korzon Ludwika Littlepage'a, Amerykanina, również sekretarza królewskiego do szczególnych poruczeń, któremu właśnie pragniemy poświęcić niniejszy szkic. (T. Korzon, Wewnętrzne Dzieje Polski za Stanisława Augusta, tom III, str. 25).

Wiadomości o Littlepage'u w historycznej literaturze polskiej i amerykańskiej są bardzo skąpe. W dziejach rozbiorów Polski jest dotychczas prawie nieznaną postacią. Tajne archiwa carów rosyjskich możeby pozwoliły dokładniej zbadać jego rolę w tej epoce. Littlepage, umierając w Ameryce, polecił spalić prawie wszystkie swe papiery, obawiając się może, aby nie wyszła z nich na jaw jaka kompromitująca go sprawa. Jednakowoż z tego, co zostało po nim w Ameryce, jak i z ułomków wiadomości o nim w źródłowych dziełach historycznych polskich, można zebrać tyle, ile koniecznie trzeba do poznania go bliżej.

Podstawę niniejszej pracy stanowiło dzieło pastora Horacego E. Haydena, "Virginia Genealogies", (Wilkes-Barre, Pa., 1891),

zawierające nieco dat i listów Littlepage'a, przedstawiające go jednak w korzystnem świetle, bez zgłębienia szczegółów jego działalności w Polsce.

Littlepage'a zawdzięcza Polska księciu De Nassau, awanturnikowi najgorszego gatunku, "sławnemu półgłówkowi" — jak go nazywa Kraszewski (Polska w Czasie Trzech Rozbiorów) i "kondotjerowi niemieckiemu" — jak określa go S. Askenazy (Przymierze Polsko-Pruskie.)

Ludwik Littlepage był synem pułk. Jakóba Littlepage'a, właściciela plantacji w powiecie Hanower, w Wirginji, i członka legislatury stanowej. W historji swego stanu ojciec znany jest stąd, że, oskarżony o wybór przy pomocy oszustwa, był celem jednej z mów Patryka Henry, występującego w charakterze adwokata oskarżyciela. Ludwik urodził się 19 grudnia 1762. Ojciec odumarł go bardzo wcześnie. O młodości późniejszego szambelana polskiego nie wiadomo nic prócz tego, że posiadał pewne zdolności poetyckie i w r. 1778 ukończył kolegjum William and Mary. Kiedy na wiosnę następnego roku krewny Littlepage'a, Jan Jay, został zamianowany posłem Stanów Zjednoczonych przy dworze hiszpańskim, opiekun Ludwika, niejaki Benjamin Lewis, postanowił wysłać z nim chłopca, aby przetarł się w świecie, nabrał manjer towarzyskich i przysposobił do służby dyplomatycznej. Skutkiem chorób, Littlepage zjawił się w Madrycie dopiero z końcem 1780 roku.

Pamiętnikarz angielski (Elkanah Watson, Memoir, Londyn, 1857), który zetknął się z nim w Nantes, we Francji, podczas tej podróży, wspomina, że "był to wówczas młodzieniec pięknej, męskiej postawy, o czarnem przenikliwem oku i szczególnym a uderzającym wyrazie twarzy. Mimo młodego wieku (Littlepage liczył wówczas 19 lat) uważano go za cud genjusza i wykształcenia."

J. U. Niemcewicz, który znał dobrze Littlepage'a z polskich czasów przedrozbiorowych, ale nie znał wszystkich jego tajemnic, w jednym ze swych listów do T. Jeffersona z r. 1800 wyraził się o nim, że "był bardzo miłym towarzyszem, pełnym rozumu i wiedzy", choć co do jego charakteru miał pewne zastrzeżenia.

Wprawdzie późniejsze koleje życia nie odkryły żadnej genjalności w młodym Wirginijczyku, niechybnie jednak należał do tych ludzi, którzy łatwo ujmują sobie drugich; miał więc przyjemną powierzchowność, wiele sprytu, wiele ugrzecznienia i innych tanich zalet, dzięki którym mógł później rozbłysnąć jako jeden z głośnych swego czasu rycerzy szczęścia.

Pierwsze półtora roku pobytu Littlepage'a w Madrycie nie zaznaczyły się niczem szczególnem. Jay przyjął go do swego domu jako członka rodziny, skoro jednak młodzieniec oswoił się nieco z nową atmosferą, wnet między nim a starszym krewnym doszło do nieporozumień, naprzód politycznych, potem finansowych. W łonie poselstw Stanów Zjednoczonych w Europie nur-

towały silne niezgody w okresie wojny rewolucyjnej; poselstwo w Madrycie było też sceną ciągłych sporów o kierunki polityczne. Littlepage wmieszał się w nie przeciw Jayowi, chociaż był od niego zależny finansowo, gdyż — wedle umowy z Lewisem — Jay miał wypłacać Littlepage'owi pewne sumy na jego potrzeby, opiekun zaś zobowiązał się zwracać je ze schedy. Młodzieniec, znalazłszy się nagle wśród wielkiego świata Hiszpanji, zaczął dosyć hojnie puszczać pieniądze, których tymczasem Lewis nie mógł zwrócić z powodu trudności wojennych. Nieprzyjaźń między Littlepage'm a Jayem pogłębiała się szybko, aż przemieniła się w nienawiść, która później stała się przyczyną gorszących zajść.

W czerwcu 1781 Littlepage przyłączył się jako ochotnik do wyprawy księcia Crillona przeciw wyspie Minorce i brał udział w oblężeniu portu Mahon, który poddał się Hiszpanom. Był podobno adjutantem Crillona. Ranny odłamkiem bomby podczas ostrzeliwania, wrócił do Madrytu. Po wyleczeniu się z ran, wyruszył ponownie z hiszpańską wyprawą przeciw Gibraltarowi. Gdy działa fortecy zatopiły strzałami jego okręt, omal nie utonął. Wyprawa ta dała Littlepage'owi sposobność poznania księcia Nassau, który odtąd rozciągnął opiekę nad młodzieńcem.

W grudniu 1782 Littlepage wystąpił z armji hiszpańskiej, otrzymawszy na odchodnem osobiste podziękowanie króla Karola III-go. Z Hiszpanji udał się do Paryża, gdzie poznał się z Franklinem. Wspomniany Watson zapewnia, że "w Paryżu i Wersalu obracał się wówczas w pierwszych kołach i ściągał na siebie znaczną uwagę." W czerwcu 1783 odwiedził Londyn, poczem wrócił znów do Paryża. Tam ks. de Nassau namówił go, aby towarzyszył mu w podróży do Turcji jako kapitan francuskiego pułku Royal Allemands, w którym, nawiasem mówiąc, służyli też Polacy, jak późniejsi generałowie w powstaniu Kościuszki: ks. Eustachy Sanguszko, Stanisław Mokronowski, i inni.

Na wschód jechali wolno, drogą na Polskę, jak świadczy list Littlepage'a do Benjamina Lewisa, datowany w Konstantynopolu, 10-go lipca 1784. "Korzyść z ciągłego mieszkania z księciem de Nassau, z którym żyłem w najbliższej styczności od naszego poznania przy oblężeniu Gibraltaru, znacznie zmniejszyła moje domowe wydatki" — pisał w nim — "a moje obecne podróże z nim stanowią niezwykle zajmujący okres życia. Zwiedziliśmy już części Szwajcarji, Cesarstwa (austrjackiego) i część Polski, skąd zbadaliśmy bieg Dniepru aż po Bender i następnie wyruszyliśmy przez Besarabję do Dunaju, który przekroczyliśmy koło ujścia, a po przejechaniu najciekawszych części cesarstwa ottomańskiego, przybyliśmy tu 2-go b. m."

Littlepage dodawał w tymże liście: "Stąd, po wycieczce do Anatolji i starożytnej Grecji, zamierzamy wrócić do Polski na czas przed Sejmem w Grodnie, a po przemieszkaniu jakiś czas w Warszawie, jechać dalej do Rosji."

Rzeczywiście, niedługo potem Nassau i Littlepage wrócili

do Polski i, stosownie do swego planu, byli na Sejmie "ordynaryjnym, sześcioniedzielnym" w Grodnie w r. 1784. Nassau zabiegał na nim o indygenat polski, i sam król polecił nadanie mu go w swem orędziu. Nie obyło się bez przyjęć na dworze Stanisława Augusta i u najpierwszych dygnitarzy Rzeczypospolitej. Wówczas to Littlepage otrzymał propozycję wejścia w służbę dworu polskiego. Zdaje się, że Stanisław August, potrzebując angielskiego pisarza, sam zaprosił układnego młodzieńca do swego gabinetu, ale możliwe, że Littlepage, mając jakiego zręcznego protektora lub protektorkę, może samego Nassau'a, — potrafił się wprosić królowi. W każdym razie Littlepage prędko ujął sobie króla, o czem świadczy fakt, że ten odrazu zrobił go też szambelanem. Odtąd 22-letni Amerykanin popisuje się w Polsce i na szerokim świecie podwójnym tytułem sekretarza i szambelana Jego Królewskiej Polskiej Mości. Ponieważ Littlepage, pełnoletni już, zapragnął przed objęciem nowych obowiązków uporządkować sprawę spadku po ojcu w Ameryce, król udzielił mu jednorocznego urlopu, a nawet, na jego życzenie, zaopatrzył go w list do prezydenta kongresu Stanów Zjednoczonych z prośbą o pozwolenie mu na zaciągnięcie się do służby polskiej. Widocznie Littlepage powiadomił króla, że takie pozwolenie jest mu potrzebne, o ile nie ma stracić obywatelstwa amerykańskiego.

Nie tracąc czasu, świeżo upieczony sekretarz i szambelan ruszył natychmiast w drogę za ocean. Wyjeżdżał pełen najlepszych nadziei na przyszłą swą karjerę i pełen uwielbienia dla Stanisława Augusta, który, rzeczywiście, wedle świadectwa współczesnych, wywierał wielki urok na każdego, kto się z nim spotkał. W lipcu 1785 Littlepage dotarł do rodzinnej Wirginji. Załatwił szybko swe sprawy majątkowe, zaniedbał tylko spłacić swój dług hiszpański u Jana Jaya, podówczas sekretarza stanu. W listopadzie 1785 wybrał się w drogę powrotną do Polski. Jadąc do Nowego Jorku, wstąpił do Mount Vernon, aby odwiedzić Jerzego Waszyngtona, który życzliwie przyjął młodzieńca. Potem zatrzymał się w Waszyngtonie, gdzie doręczył list królewski prezydentowi obradującego właśnie kongresu i — jak gdyby nigdy nic — złożył wizytę Jayowi z prośbą o poparcie jego sprawy u posłów. Jay musiał przyjąć go, przynajmniej z pozoru, grzecznie, skoro za jego to radą i na jego ręce, nadesłał z Nowego Jorku następujący list, (datowany 18 listopada 1785), który miał być pisemnem wyjaśnieniem jego żądania dla użytku kongresu:

"Panie: Poseł Jego Katolickiej Mości (t. j. francuski) doręczy Panu różne moje listy polecające. Proszę je przedłożyć kongresowi... Zachęcony łaskawem zezwoleniem wielkiego i dobrotliwego Króla, który raczył polecić mnie kongresowi, ufam, że prośba, którą do niego zanoszę, nie będzie uznana za natrętną lub zarozumiałą.

"Charakter obywatela Ameryki uważam za najpierwszy z tytułów; służyć mej ojczyźnie jest mojem najgorętszem życze-

niem, zasłużyć na jej szacunek byłoby mi najmilszą nagrodą; ale ponieważ Ameryka, na szczęście, nie nastręcza więcej sposobności do wykazania gorliwości wojskowej, ufam, że Kongres nie uzna mego postępowania za niezgodne z obowiązkiem obywatela Stanów Zjednoczonych, jeśli zawiadomię go, że mam zamiar wrócić do Europy, gdzie kilka następnych lat mego życia, o ile kongres udzieli przyzwolenia, poświęcę służbie monarchy. Imię króla polskiego okrywa dostatecznym zaszczytem tych wszystkich, którzy chlubią się Jego opieką; a sądzę, że mogę być przynajmniej pewien Jego poważania.

"Proszę więc, Panie, abyś urzędowo zawiadomił Kongres, że o ile nie jest to sprzeczne z zasadami konstytucji lub jego postanowieniami, uniżenie proszę go o zaszczycenie mnie listem polecającym, adresowanym do Jego Królewskiej Polskiej Mości...." (Answer to a Pamphlet, Filadelfja, 1786).

Ale Jay uważał chwilę za odpowiednią do zemsty na Littlepage'u. Zatrzymał wszystkie jego papiery u siebie, skutkiem czego kongres odroczył się 22-go grudnia 1785 bez załatwienia sprawy listu do króla polskiego. Littlepage musiał, wobec tego, wybierać się do Europy nietylko bez polecenia kongresu, ale i bez wszystkich swoich świadectw, wysłanych do Jaya jako załączniki. Prośby Littlepage'a o zwrot ich były daremne. Na domiar złego, Jay dowiedział się, że Littlepage wiezie pieniądze, które Patryk Henry, ówczesny gubernator Wirginji, dał mu dla doręczenia we Francji rzeźbiarzowi Houdonowi jako dług stanu za pomnik Waszyngtona, zdobiący dotychczas kapitol w Richmondzie. Postarał się więc czemprędzej o aresztowanie Littlepage'a w jego zajeździe. Przyjaciele wymogli wprawdzie uwolnienie dłużnika z więzienia za poręką, ale Littlepage musiał zostawić wiezione pieniądze jako gwarancję spłaty długu.

Na tem nie skończyła się niezgoda krewnych. Obaj wnet rozgłosili swe osobiste niechęci w gazetach. Nie poprzestając na tem, Jay pierwszy ogłosił drukiem broszurę, w której przedstawił całą swą korespondencję z Littlepage'm z czasów hiszpańskich (Letters being the whole of the correspondence between the Hon. John Jay and Mr. Lewis Littlepage, a young man whom Mr. Jay when in Spain patronized and took into his family. Nowy Jork, 1786). Littlepage, nie pozostając dłużnym, wyzwał Jaya na pojedynek, a gdy ten odrzucił wyzwanie, usiłował napaść go osobiście na ulicy, od czego Jay uratował się ucieczką. W dalszym ciągu swych kroków przeciw Jayowi, wydał broszurę, stanowiącą odpowiedź na pamflet swego dawnego protektora. (Answer to a pamphlet, containing the correspondence between the Hon, John Jay, secretary for foreign affairs; and Lewis Littlepage, esquire, of Virginia, at present chamberlain and secretary of the cabinet of His Majesty the King of Poland, Filadelfja 1786). Obie te broszury, dziś bardzo rzadkie, niezbyt pochlebnie świadczą o charakterach obu bohaterów sporu, przedewszystkiem je-

dnak są poważnym zarzutem przeciw Littlepage'owi. Bądź co bądź, był on obowiązany do wdzięczności i szacunku względem starszego krewniaka, który przyjął go do swego domu, zaopiekował się nim, łożył na jego potrzeby i dopomógł mu do postawienia pierwszych kroków na arenie europejskiej.

Wnet potem wyjechał Littlepage poraz drugi do Europy, gdzie miał spędzić następnych 15 lat swego życia, przeważnie w służbach króla polskiego. Zanim dokładniej roztrząśniemy jego zachowanie się wobec Polski, dajmy naprzód głos samemu Littlepage'owi, który już u schyłku swego europejskiego zawodu tak opowiada o swych losach w liście, datowanym z Altony, 9-go stycznia 1801:

"Dnia 2-go marca 1786 zostałem zaprzysiężony do gabinetu króla polskiego jako jego pierwszy tajny sekretarz z rangą szambelana. W lutym 1787 zostałem wysłany w celu ułożenia traktatu z carycą rosyjską w Kijowie, co doprowadziłem do skutku. W tym samym roku zostałem wysłany jako tajny i nadzwyczajny poseł na dwór Francji, aby pomódz w układach o wielkie poczwórne przymierze, które jednakowoż nie przyszło do skutku. W r. 1778, po moim powrocie z Francji, udałem się do obozu księcia Potemkina, z którym byłem blisko zaprzyjaźniony od czasu pobytu carycy w Kijowie. Było mojem pragnieniem zaraz przyłączyć się do księcia de Nassau, który walczył wówczas z flotą ottomańską, ale książę Potemkin zatrzymał mnie ze sobą podczas swego marszu przez ziemie Nogajskich Tatarów. Przybywszy nad brzegi Limanu, objąłem dowództwo nad dywizją flotyli pod rozkazami księcia de Nassau i uczestniczyłem w jego zwycięstwie nad flotą turecką w samym porcie Oczakowa dnia 1-go lipca starego stylu. W kilka tygodni potem, po powrocie kapitana Paszy (tureckiego) z Warny, otrzymałem dowództwo nad dywizją drugiej flotyli. W r. 1789 zostałem zmuszony do opuszczenia Polski i podróżowania po Włoszech. Wkrótce potem otrzymałem rozkazy, abym udał się do Madrytu w ważnej misji politycznej, którą załatwiłem całkiem pomyślnie. W r. 1790 zostałem odwołany z Hiszpanji i dostałem polecenie czekania na ostateczne instrukcje w Paryżu. Potem odwołano mnie do Warszawy drogą na Berlin, na rewolucję 3-go maja 1791. W r. 1792 120,000 Rosjan wkroczyło do Polski. Zostałem zamianowany generalnym adjutantem króla z rangą generał-majora. Przystąpił on do Konfederacji Targowickiej i w kwietniu 1793 wysłał mnie znowu jako nadzwyczajnego posła do Petersburga, abym starał się zapobiedz podziałowi Polski. Rząd rosyjski zatrzymał mnie w drodze i podział został dokonany. W r. 1794 Kościuszko i Madaliński rozpoczęli nową rewolucję w Polsce. Dnia 17-go kwietnia garnizon i mieszkańcy Warszawy porwali za broń przeciw Rosjanom. Aby ratować życie mego nieszczęśliwego przyjaciela, pana i króla, musiałem stanąć po stronie Polski i ta straszna walka zakończyła się rzezią 10,000 Rosjan.

"Caryca Katarzyna II nigdy nie przebaczyła mi mego zachowania się przy tej sposobności. Była ona tembardziej rozgniewana na mnie, gdy dowiedziała się, że zgodziłem się przyjąć naczelne dowództwo pod rządem rewolucyjnym, chociaż miałem działać przeciwko Prusom. Moja pomoc w odparciu wojsk rosyjskich w szturmie na Wilno również obraziła ją. Krótko mówiąc, zaszedłem tak daleko w rewolucji, że byłbym zaszedł jeszcze dalej, gdybym nie został pobity z moim przyjacielem, księciem Józefem Poniatowskim, bratankiem króla, przez króla pruskiego, dnia 26 sierpnia 1794. Wypadek ten odebrał mi wszelką popularność i niewiele brakowało już aby mnie powieszono, gdyż byłem uważany za kierownika (bitwy) chociaż, na mój honor, książe Poniatowski działał w tym dniu wbrew mojej radzie. Potem król pruski uderzył na nas z siłą trzykroć większą niż nasza, zarówno w ludziach, jak i artylerji, a Kościuszko nie dał nam pomocy, aż byliśmy już beznadziejnie pobici, chociaż ani jego lewe skrzydło, ani środek, nie brały udziału w walce przez cały dzień, oprócz w kanonadzie.

"Po bitwie 26-go sierpnia nie brałem więcej udziału w czynnościach wojskowych aż do szturmu Pragi, który kosztował życie 22,000 Polaków. Dnia 7-go stycznia 1795 król polski został wywieziony przez Rosjan z Warszawy do Grodna. Rozdzielono mnie od niego na wyraźny rozkaz carycy; i równocześnie dano mi poznać, że tylko moje dawne polityczne usługi dla Rosji i moja wojskowa służba w wojnie tureckiej uratowały mnie od podzielenia losu innych naczelników powstania z r. 1794. Po wyjeździe króla wyjechałem do Wiednia, ale natychmiast nakazano mi opuścić tę stolicę, co wywołało publiczny spór między mną a austrjackiem ministerstwem, zakończony ku mojemu zadowoleniu, gdyż Rosja wystąpiła i wymierzyła mi sprawiedliwość. Król pruski, Fryderyk Wilhelm II, później pozwolił mi wrócić do Warszawy, znajdującej się wówczas pod jego władzą, gdzie pozostałem też aż do śmierci carycy Katarzyny II.

"Zostałem wtedy wezwany do Petersburga z królem polskim, ale odmówiłem, póki nie będę wynagrodzony za niedawne ze mną postępowanie. Car odpowiedział, że wszystko to zrobiła jego matka, on zaś nie obraził mnie niczem, nie będzie więc naprawiał krzywd.

"Może byłbym wreszcie pojechał do Rosji, ale przeszkodziła mi w tem nagła śmierć mego przyjaciela, mego pana i więcej niż ojca, Stanisława Augusta, króla polskiego, który zmarł w Petersburgu 12-go lutego 1798. Po tym smutnym wypadku doszło do długiej korespondencji między carem rosyjskim a mną, zakończonej wypłaceniem mi, w bardzo szlachetny sposób, sumy, wyznaczonej mi przez króla polskiego, jako nagrody za moje długie i niebezpieczne służby..."

Powyższy zarys karjery Littlepage'a po r. 1785 jest treścią jego listu do jednego z krewnych, Ludwika Holladaya z Wirginji, który w r. 1800, wobec pogłosek w Ameryce o śmierci sekretarza i szambelana królewskiego, wszczął poszukiwania za nim przez Tomasza Jeffersona.

W ogólnych zarysach Littlepage napisał prawdę o sobie, ale w szczegóły wplótł dużo kłamstw i przesady o ważności swych usług, zamilczał zaś zupełnie o tem, co mogło okryć go niesławą. Skąpe są bardzo dokumenty, któremi zamierzam uzupełnić i sprostować to jego opowiadanie, ale wystarczą na to, by wyświetlić jego rolę w historji Polski i napiętnować go jako szarlatana i zdrajcę.

Nie ma wątpliwości, że Littlepage był sekretarzem w gabinecie Stanisława Augusta, ani też co do tego, że król zaszczycił go tytułem szambelana, szafowanym zresztą na lewo i na prawo. W posiadaniu A. G. Holladaya z Wirginji, potomka Littlepage'a w bocznej linji, znajduje się — a przynajmniej wedle relacji pastora Haydena, znajdował się patent z podpisem Stan. Augusta, datowany w r. 1787 i nadający Littlepage'owi tytuł szambelański. Był też złoty klucz, mający być godłem godności, dar króla. Pomimo wyraźnego w liście zamiaru wyolbrzymienia swych służb polskich i dodania sobie jak największej powagi, zapomniał Littlepage napisać jeszcze Holladayowi, że król nadał mu również order św. Stanisława w r. 1790. Order ten wraz z patentem był też w posiadaniu rodziny Holladay'ów, jak również portret Poniatowskiego, darowany jej przodkowi.

Wszystkie te dary i odznaczenia królewskie, — oprócz wielu innych łask, których "najłaskawszy z królów" nie szczędził Littlepage'owi, dowodzą, że król darzył Amerykanina szerokiem sercem. Przez całą resztę lat swego panowania był zawsze dla niego jednaki. Nie zmienił się i po swej abdykacji, ale aż do śmierci utrzymywał przyjazną z nim korespondencję z Grodna i Petersburga.

Littlepage zajmował niepoślednie miejsce w jego gabinecie. W ciągu następnych lat widzimy go często na rozjazdach za granicą w rozmaitych misjach dyplomatycznych, Stanisław August powierzał mu najtajniejsze swe plany polityczne, jakkolwiek niepraktyczne, daremne i nietrwałe — i miał do niego zupełne zaufanie.

"Littlepage'owi dobrze powiodło się w Polsce" — pisał Tomasz Jefferson z Paryża do dr. J. Currie, 4-go sierpnia 1787. "Ma on urząd, wart, jak powiadają, pięćset gwinei rocznie". (The Writings of Thos. Jefferson, tom VI,) W rzeczywistości suma ta była tylko cząstką tego, co Littlepage co rocznie wybierał ze szkatuły królewskiej i skarbu polskiego.

W liście swym, powyżej przytoczonym, Littlepage podaje, że w lutym 1787 został wysłany w celu ułożenia traktatu z carycą rosyjską w Kijowie i że "doprowadził go do skutku". Jest to wierutne kłamstwo. Littlepage, co prawda, towarzyszył Stanisławowi Augustowi w drodze na pamiętny zjazd kaniowski. J. I. Kraszewski wymienia go jako jednego z członków świty królewskiej. (Polska w czasie trzech rozbiorów). Prawdą też jest, że król wysłał z Kaniowa poselstwo do Katarzyny, która tymczasem zjechała do Kijowa, jednakowoż misja jego była czysto platoniczna — zawiezienie pozdrowień królewskich carycy. Podróż króla do Kaniowa mała na celu zawarcie traktatu z Rosją przeciw Turcji, ale przedłożenie projektu ugody zostawiał sobie król do osobistego spotkania z cesarzową. Jak wiadomo, zignorowała ona projekt królewski. Littlepage, w każdym razie, mógł odgrywać podrzędną rolę w całym zjeździe kaniowskim; nie brał nawet udziału w spotkaniu króla z carycą. Inaczej Stanisław August, wyliczający skrupulatnie wszystkie osoby, przytomne spotkaniu, w relacji do Piusa Kicińskiego, szefa swego gabinetu (z 8-go maja 1787), nie byłby pominął go milczeniem. (Ks. W. Kalinka. Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta).

Littlepage, jeżeli rzeczywiście był wysłany do Kijowa, to chyba w świcie swego rówieśnika, Ks. Józefa Poniatowskiego, podówczas podpułkownika austrjackiego, którego król umyślnie ściągnął z Wiednia, aby go sprezentować carycy. Ponieważ Katarzyna zasiedziała się w Kijowie, król wysłał przodem z Kaniowa Ks. Józefa dla wyrażenia jej swych uszanowań. Prawdopodobnie wówczas Ks. Józef i Littlepage razem brali udział w zabawach i przyjęciach dworu rosyjskiego. Prawdopodobnie też wówczas Littlepage "miał szczęście być przedstawionym Jej Imperatorskiej Mości, która doń nawet przemówić raczyła" — jak pisał później o tem sam król. Książę Józef po miesiącu zmierził sobie życie w atmosferze rozpusty i zdrady i uciekł chyłkiem do Kaniowa z powrotem, a stamtąd zaraz do Austrji, pozostawiając pewnie Littlepage'a na dalsze zabawy z Moskalami.

Być też może, że Littlepage był tym, który zawiózł carycy do Kijowa "życzenia" królewskie, stanowiące niejako preliminarja do propozycyj kaniowskich, ale w takim razie był tylko zwykłym posłańcem, a nie posłem, upoważnionym do rokowań. Niesłusznie zresztą przypisuje sobie zawarcie jakiegokolwiek traktatu, skoro cała ta wyprawa kaniowska króla nie dała nic, prócz trochę pustych obietnic.

Po powrocie do Warszawy "tego samego roku zostałem wysłany jako tajny i nadzwyczajny poseł do dworu francuskiego, aby pomódz w układach o wielkie poczwórne przymierze, które jednakowoż nie doszło do skutku" — pisze Littlepage dalej o sobie.

Stanisław August utrzymywał w Paryżu generała hr. Monneta jako swego agenta dyplomatycznego. Z powodu podeszłego

wieku Monnet oddawna żądał zwolnienia ze swych obowiązków. Król, nie mając na razie nikogo pod ręką, zwlekał. Wreszcie na wiosnę 1787 roku (przed 23 lutym) wysłał z Warszawy następujący list, zwiastujący Monnetowi rychłą zmianę:

"Zawikłane okoliczności, jak również niechęć moja do rozłączenia się z Panem, nie pozwoliły mi wcześniej ustąpić przed niecierpliwością, z jaką prosiłeś mnie pan o następcę. Dzisiaj czynię jej zadosyć, posyłając Panu Littlepage'a, młodego Amerykanina, który mi się ofiarował, a w którym znalazłem gorliwość i zdolności. Jest on pochlebnie znany w Paryżu, a ta okoliczność kazała mi go uważać za stosownego do prowadzenia w dalszym ciągu korespondencji, aż do chwili, gdy będę mógł mieć we Francji ministra. Oddaję go pod pański kierunek i nakazuję postępować według pańskich wskazówek. Jeśli młodość będzie powodem odmówienia mu pewnego stopnia zaufania, to ponieważ mentor, jakiego mu daję, jest znanym, nie długo będzie na nie czekał. To przekonanie było pobudką mego wyboru." (Stan. Poniatowski i Maurycy Glayre, Warszawa, 1901, tom II., str. 57)

Littlepage sam więc narzucił się królowi na stanowisko agenta w Paryżu. Sam też zapewne skłonił króla do odłożenia swego wyjazdu, nie chcąc pominąć wspaniale zapowiadającego się zjazdu w Kaniowie. Wyjechał do Francji dopiero jednak w jesieni 1787-go roku, jak świadczy pozycja w "Rachunkach Kasy J. K. Mości Generalnej a 1 Martii 1787 ad ultimam Februarii 1788." Zapisano tam: "10 listopada 1787 do rąk N. Pana w gotowiźnie oddane na expens podróży J. P. Littlepage do Paryża 300 dukatów." (Korzon, Wewnętrzne dzieje Polski za St. Augusta, tom III).

Jakie miało być to "wielkie poczwórne przymierze", o którem Littlepage wspomina, jako o głównym celu swej misji — trudno wyjaśnić. Szymon Askenazy w swem "Przymierzu polsko-pruskiem" pisze: "Polityka zagraniczna ostatniego króla polskiego w długim, 30-letnim okresie jego rządów, pozostała prawie zupełnie nieznaną. Powód najprostszy. W rzeczywistości nie było jej wcale, bo być nie mogło. Były tylko przygodne, rwące się natychmiast próby, bez konsekwencji i znaczenia. Te porwane próby emancypacji, kruche jak nici pajęcze, te potajemne konszachty zagraniczne prywatnego człowieka raczej niż monarchy... nawiązywane były przez króla dla pobudek najbłahszych, przy lada okazji, przez ladajakich pośredników i również łatwo, jak napoczęte, były odstępowane: zaś najczęściej nie miały innego celu, jak ten, aby przypomnieć, aby podbić w cenie wartość zbyt już lekceważonych, bo zbyt przymusowych usług królewskich dla Rosji..."

A więc, można zupełnie słusznie zlekceważyć tę misję Littlepage'a dla "wielkiego poczwórnego przymierza." Nieco światła na nią a zarazem na powodzenie Littlepage'a w Polsce i plany na przyszłość rzuca jego list do matki w Wirginji, pisany w Paryżu 29-go grudnia 1787, podczas tej jego wyprawy:

"Moje położenie było dotychczas pomyślne i tak przyjemne,

jak tylko pozwalały na to publiczne okoliczności; na prywatne nie mam powodu uskarżać się. Jestem na tym dworze (francuskim) od zeszłego sierpnia, jako poseł króla polskiego; moja płaca jest dostateczna, by utrzymać się wygodnie i nic pozatem, gdyż wynosi tylko tysiąc gwinei, co na mojem stanowisku jest, doprawdy, drobnostką. Jednakowoż, muszę dodać, że hojność króla bynajmniej nie ogranicza się do rozmiarów mej płacy. Równocześnie donoszę, że nie myślę wyrzec się swego rodzinnego kraju. Zaczynam być serdecznie znużony burzliwem życiem, jakie obecnie prowadzę i tęsknię do usunięcia się w zacisze z moimi przyjaciółmi i krewnymi. Równocześnie nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, jak módz polepszyć Twoje położenie. W tym celu spodziewam się, że będę mógł w przeciągu następnego roku powierzyć p. Jeffersonowi (posłowi w Paryżu) conajmniej 600 a może tysiąc funtów szterlingów, które będzie tak łaskaw przesłać p. Holladayowi na kupno małej posiadłości dla mnie; chcę abyś na niej gospodarzyła i czerpała z niej zyski, razem z dochodami z własnego majątku, aż wrócę, o ile to kiedy nastąpi... Bóg tylko zna moją przyszłość, służę dobremu, ale nieszczęśliwemu panu; położenie jego jest obecnie bardziej krytyczne, niż kiedykolwiek przedtem; i albo burza losu musi podnieść go, albo całkiem zmieść. Jeżeli pierwsze, mogę się spodziewać czegoś bardzo znacznego; jeżeli to ostatnie, może kiedy ujrzysz mnie wracającego w całem ubóstwie i poniżeniu niefortunnego polityka... Powróciłem tu właśnie z krótkiej misji na dworze londyńskim. Spodziewam się wkrótce wyjechać do Wiednia, skąd powrócę do Polski. Jeżeli wypowiemy wojnę Turkom, zostanę posłany na dwór rosyjski. Jeżeli nie, wrócę do Francji na przyszłe lato..."

Z wymienionych w liście miejscowości możnaby wnioskować, że do czwórprzymierza, które proponował Stanisław August przez Littlepage'a, miały wejść, oprócz Polski, Anglja, Francja i Austrja. Jakąkolwiek wartość polityczną miał plan króla, o partackim sposobie jego wykonania dostatecznie świadczy powierzenie misji dyplomatycznej 25-letniemu młodzikowi.

Na większą uwagę zasługują szczegóły z prywatnego jego życia, — że powodziło mu się dobrze w służbie polskiej, że wprawdzie pensja nie wystarczała mu prócz opłacenia wygodnego życia, ale król obdarzał go ponadto datkami, — co więcej, spodziewał się nawet wkrótce odłożyć znaczną sumę na zapewnienie sobie wygodnego kąta na starość.

Wszystko to świadczy, że młody Amerykanin prędko wynalazł klucz do miękkiego serca króla i jego szkatuły, z której umiał wyciągać dary, dochodzące zapewne znacznych sum.

Żadną miarą nie można zapisać na dobro Littlepage'a tego, co pisze o nim Jefferson w liście do Jakóba Madisona, datowanym z Paryża, 31-go lipca 1778:

"Littlepage, który tu był jako tajny agent króla polskiego, trochę przeciągnął strunę. Chciał on więcej pieniędzy. Król do-

starczył mu je i to więcej niż raz. Littlepage żądał jeszcze więcej i sądził, że wylicytuje je, gdy powie, że jest wzywany do Ameryki i poprosi o pozwolenie na wyjazd. Wbrew jednak swym oczekiwaniom, dostał urlop, ale udał się do Warszawy zamiast do Ameryki, aby stamtąd przyłączyć się... (następuje tu dłuższa szyfra, widocznie jeszcze mniej pochlebna dla Littlepage'a, gdyż Jefferson podaje po niej zastrzeżenie:) Nie wiem tych rzeczy napewno, ale składam je w całość z kilku doniesień." (The Writings of Thos. Jefferson, red. A. A. Limpscomb, tom VII.)

Stanisław Krzemiński w objaśnieniach do korespondencji Stanisława Augusta i Maurycego Glayre'a, radcy tajnego gabinetu króla i potem agenta dyplomatycznego w Paryżu, (Stan. August i Maurycy Glayre, Warszawa, 1901) wyjaśnia prawdopodobnie to, co Jefferson tak dyskretnie przesyłał Madisonowi. Oto Littlepage'owi prędko sprzykrzył się pobyt w Paryżu i już po kilku miesiącach pobytu zażądał przysłania kogo innego na swe miejsce. Miał on, jak donosił królowi, jechać do swej ojczyzny na zaproszenie generała Waszyngtona. W rzeczywistości zaś pragnął powrócić do Polski i Rosji, dokąd ciągnęło go uczucie dla księżny de Nassau, z domu Barbary Gozdzkiej, która mieszkała w Warszawie, podczas gdy jej mąż walczył przeciwko Turkom na Morzu Czarnem.

Król widocznie całkiem poważnie przyjął prośbę swego amerykańskiego sekretarza o urlop, gdyż Jefferson dodaje w wyżej cytowanym liście, że Stanisław August przysłał zaraz do Paryża innego ze swych sekretarzy. Był to Glayre, bardzo sumienny Szwajcar, jeden z niewielu cudzoziemców w Polsce za Stanisława Augusta, który zostawił po sobie czyste imię.

Zdaje się, że cała wycieczka Littlepage'a do Paryża polegała więcej na intrygach i wesołych zabawach, niż na jakiejś rzeczywistej pracy. Jeżeli mógł z jakiegokolwiek powodu czuć się już znużonym służbą dyplomatyczną, to chyba ze zbytniej huczności rozrywek. Całym owocem pobytu w Paryżu było nastręczenie Jana Paula Jonesa do służby rosyjskiej, ku jego poniżeniu i rychłej śmierci. Littlepage był tym, który urządzał przyjęcia dla spotkania Jonesa z Simolinem, posłem rosyjskim, w celu nakłonienia rodaka, by przyjął dowództwo nad flotą rosyjską przeciwko Turkom.

Wojna rosyjsko-turecka rozpaliła również ambicje Littlepage'a. Niedługo po powrocie do Warszawy, zapewne za zgodą króla, wyjechał do obozu Potemkina, którego poznał przy sposobności pobytu w Kijowie. Oprócz Jonesa zastał tam już swego godnego opiekuna, księcia de Nassau.

Udział Littlepage'a w kampanji pod Oczakowem nie zaznaczył się niczem szczególnem. Kręcił się w świcie Potemkina; godził Jonesa i Nassaua, których wygórowane ambicje wywoływały ciągłe tarcia; dostał wreszcie dowództwo nad oddziałem floty pod Jonesem, ale Potemkin rychło pozbył się go ze swego obozu.

Pod datą 17-go marca 1789 Jefferson pisał z Paryża do nie-

wiadomego adresata w Stanach Zjednoczonych: — "Pan Littlepage powrócił z nad Czarnego Morza do Warszawy, gdzie został doskonale przyjęty przez króla. Widziałem to na piśmie królewską ręką i byłem zadowolony z ojcowskich uczuć (króla) względem niego." Musiał jednak Littlepage znacznie wcześniej znaleźć się na wygodnem łonie swego królewskiego opiekuna, skoro J. P. Jones już 16-go stycznia 1789 mógł donieść z Petersburga Jeffersonowi o jego obecności w Warszawie.

Wnet potem odwróciła się jakoś karta powodzeń Littlepage'a. "W roku 1789 byłem zmuszony opuścić Polskę i podróżować po Włoszech" — powiada w opowieści swego życia. Nie wiadomo nic pewnego, co mogło go zmusić do tego. Zapewne zbyt miękki król nie oddalał go sam od siebie. Ale rok 1789 był to czas szybkich wyzwolin narodu polskiego z pod wpływów rosyjskich. — Obradował już Sejm Czteroletni; obalona została gwarancja rosyjska; zniesiona Rada Nieustająca, znienawidzony twór rosyjski; przygotowywało się już przymierze z Prusami, czyhającemi wówczas na zgubę Rosji; zbliżał się dzień Konstytucji 3-go Maja. Rosja i jej stronnicy tracili szybko grunt pod nogami, a ruch ten był tak silny, że porwał nawet króla. Być może, że Littlepage znalazł się razem z Ponińskim, Branickim i innymi jurgeltnikami rosyjskimi na "liście osób przypozwanych" przed sąd sejmowy. W każdym razie, Warszawa stała się wówczas dla Amerykanina nieprzyjemnym, a może nawet niebezpiecznym terenem, wobec czego opuścił dwór polski i wyjechał zagranicę, aby tam przynajmniej odczekać niepomyślne wiatry.

We Włoszech widocznie doszedł go rozkaz królewski, aby "udał się do Madrytu w ważnej misji politycznej, którą załatwił całkiem pomyślnie" — jak wspomina w przytoczonym liście. Był to niechybnie znowu jeden z tych niedołężnych i dorywczych ruchów politycznych Stanisława Augusta, jak owa pierwsza misja Littlepage'a do Paryża. Historja milczy o nim, a więc, w każdym razie, nie było to nic ważnego.

Pobyt Littlepage'a w Madrycie dał jednak Jerzemu Waszyngtonowi powód do wypowiedzenia charakterystycznego zdania o Polsce i o królu w okresie Sejmu Czteroletniego. Było to z okazji odręcznego listu Stanisława Augusta, który król wysłał do prezydenta Stanów Zjednoczonych przez Littlepage'a.

Dawid Humphreys, ówczesny poseł amerykański na dworze portugalskim, zawiadomił Waszyngtona z Lizbony, 16-go lutego 1791:

"Pan Carmichael (charge d'affaires Stanów Zjednoczonych w Madrycie) doniósł mi, że p. Littlepage podał Panu jasny, ciekawy opis i rozumny pogląd na sprawy północy, w liście, pisanym z Madrytu zeszłego lata i wysłanym równocześnie z listem, pisanym do Pana przez Króla Polskiego jego własną ręką."

Waszyngton nie otrzymał tego ciekawego listu. Dnia 20-go lipca 1791 odpisał z Filadelfji Humphreysowi, że nie dostał nigdy

żadnego listu od Littlepage'a lub od króla. Słowa te poprzedził następującą uwagą:

"Przykład Francji niewątpliwie będzie miał swe wpływy na inne królestwa. Polska, jak donoszą gazety, zdaje się zrobiła wielki i niespodziewany krok ku wolności; co, jeśli okaże się prawdziwe, rzuca duży zaszczyt na obecnego Króla, który wygląda na głównego kierownika tej sprawy." (Life and Times of Dawid Humphreys, by Frank L. Humphreys, N. Y., 1917).

Jest to widocznie zupełnie szczery i swobodny pogląd Waszyngtona na Konstytucję 3-go Maja, gdyż wyrażał go do swego przyjaciela, w liście nawpół prywatnym.

* * *

"W r. 1790 zostałem odwołany z Hiszpanji i dostałem polecenie czekania na ostateczne instrukcje w Paryżu" — pisze dalej Littlepage o sobie. Na te "ostateczne instrukcje" czekał cały rok, zabawiając się tymczasem wesoło za polskie pieniądze. Jednym z dawnych znajomych, którego spotkał na bruku paryskim, był Jan Paul Jones, ale jakże zmieniony! Nie był to już dawny elegant, pogromca serc niewieścich, bohater wojenny, opromieniony sławą i marzący o nowych laurach. Służba rosyjska złamała go zupełnie na duchu i ciele — a Littlepage miał również na sumieniu część winy za ruinę bohatera.

"Potem odwołano mnie do Warszawy, drogą na Berlin, na rewolucję 3-go maja 1791" — opowiada następnie w swej krótkiej autobjografji. Jones jeszcze w liście z 20-go marca 1791 wspominał do Jeffersona, że "kawaler Littlepage bawi tu obecnie w drodze z Hiszpanji na północ", a więc sekretarz królewski musiał dotrzeć do Warszawy tuż przed ogłoszeniem Konstytucji. O ile wzmianka o "zmuszeniu do opuszczenia Polski" w r. 1789 oznaczała wygnanie, widocznie król uznawał, że Littlepage mógł teraz bezpiecznie pokazać się w Warszawie.

Siła wypadków trzymała wówczas Stanisława Augusta przy stronnictwie patrjotycznem. Littlepage musiał iść za swym panem. I rzeczywiście, znajdujemy wzmianki o nim wśród zapisków o działalności patrjotów polskich w dzienniku Bułhakowa, posła rosyjskiego, który siedząc w Warszawie, zepchnięty na szary koniec, szpiegował wszystko co się działo w obozie twórców konstytucji.

Pod datą 5-go grudnia 1791 Bułhakow zapisał: "Wczoraj była znowu konferencja u Piatolego (księdza, światłego i zacnego lektora królewskiego, u którego zwykle odbywały się schadzki działaczy narodowych), na której radzono w sprawach politycznych, o przymierzu (pewnie pruskiem), o ustąpieniu Gdańska... Littlepage, którego wysyłają do Anglji, otrzymał już instrukcję, lecz jest jeszcze chory". (W Kalinka, Ostatnie lata panowania St. Augusta, Kraków, 1891.)

Dnia 28-go marca 1792 Bułhakow wyszpiegował znowu: —

"Gotują się tutaj do wyprawienia Littlepage'a do Paryża a prawdopodobniej do Londynu". (Tamże.)

Littlepage rzeczywiście został wkrótce ponownie wysłany z Warszawy. Dokąd — niewiadomo. I o tej jego misji politycznej milczy historja. Zdaje się, że, bez szkody dla sprawy narodowej, nie wywiązał się pomyślnie za swego posłannictwa, natomiast pewnem jest, że, nie zważając na swój urzędowy charakter, połączył się z armjami koalicji i towarzyszył dawnemu swemu mistrzowi, Nassauowi, faworytowi carycy Zubowowi i Prusakom w "niefortunnym na Francję najeździe, w haniebnej wyprawie do Szampanji." (Askenazy, Ks. Denasów, Wczasy Historyczne, t. II, Warszawa, 1904.)

Na zegarze dziejowym wybiła tymczasem godzina zemsty Katarzyny na Polsce za wszystkie próby zrzucenia przewagi rosyjskiej ostatnich lat. Na skutek wezwania Konfederacji Targowickiej, z początkiem maja 1792 dwie armje rosyjskie wkroczyły do Polski: jedna 32,000-czna pod wodzą Kreczetnikowa i Kossakowskiego na Litwę, druga 64,000-czna pod Kachowskim na Ukrainę. Nastąpiła wojna, przegrana skutkiem małoduszności króla.

Jak podczas niej zachowywał się Littlepage? W autobjografji swej wspomina, że "został zamianowany generalnym adjutantem króla z rangą generał-majora." Nie mając odpowiednich dokumentów, nie możemy zaprzeczyć jego twierdzeniu. Być może, że rzeczywiście awansował na generała polskiego. O nic łatwiej nie było na dworze króla Stasia, jak o tytuł. Ale też, w takim razie, cała rola Littlepage'a w tej wojnie narodu o niepodległy byt skończyła się na pustym tytule. Stanisław August z początku wojny ciągle wybierał się do obozu księcia Józefa, zawsze jednak brakło mu odwagi i silnej woli do uskutecznienia zamiaru. "Generał" Littlepage czekał przy nim na wyruszenie w pole i ostatecznie obaj, nie powąchawszy prochu, zajechali w końcu lipca aż do... Targowicy.

Teraz zaczyna się najciekawszy dla nas okres służb polskich Littlepage'a.

Sam on wspomina tylko krótko o nim, że, po przystąpieniu króla do Targowicy, "w kwietniu 1793 został wysłany do Petersburga, aby starał się zapobiedz podziałowi Polski, ale rząd rosyjski zatrzymał go w drodze".

Dokumenty historyczne opowiedzą nam o wiele więcej o roli szarlatana amerykańskiego w drugim rozbiorze Polski. Przedewszystkiem dajmy głos Sieversowi, nowemu ambasadorowi rosyjskiemu, który w swych pamiętnikach (Drugi rozbiór Polski, Warszawa, 1906) zaznacza, że wkrótce po przyjeździe do Polski poznał się z Littlepage'm. I któż to zarekomendował go ambasadorowi? Nie kto inny, tylko sam Igelstrom, głównodowodzący wojsk rosyjskich w Polsce.

Kiedy Sievers zjechał do Grodna, aby przygotować Sejm roz-

biorowy, Igelstrom listownie doniósł mu z Warszawy, iż król zamierza posłać Littlepage'a do Petersburga. Polecił go przytem "jak najusilniej" posłowi, dodając: "Jest on całkiem naszego systemu. Ma on wszelką władzę nad umysłem króla"...

A więc wyszło szydło z worka!

Igelstrom znał swoich ludzi. Rekomendacja jego jest tak dobitnem świadectwem, że już sama stanowi dostateczną podstawę do napiętnowania Littlepage'a mianem zdrajcy Polski.

Wnet potem, 27-go marca 1793, Igelstrom pisał ponownie z Warszawy do Sieversa: "Mr. Littlepage, którego wam najmocniej polecam, jest całkiem naszego systemu. Wskutek władzy, jaką ma na umysł króla, wydobył od niego w cztery oczy wyznanie, że traktat rozbiorowy z pewnością podpisze i że oprócz niego, nikomu się z tem nie zwierzył..."

Jeżeli Stanisław August powiedział w cztery oczy Littlepage'owi, że podpisze rozbiór Polski, skąd Igelstrom o tem wiedział? Mógł mu powiedzieć tylko jedyny Littlepage, choć przecie król zastrzegał tajemnicę i "choć publicznie dalej oświadczał przy każdej sposobności, że nigdy, nigdy nie podpisze" (R. H. Lord, Second Partition of Poland.) Takimże więc był "tajnym sekretarzem" królewskim, takim urzędnikiem polskim, że czemprędzej wynosił do ambasady rosyjskiej, co wyszpiegował u swego pana? Czyż donosicielstwo takie mogło być bezinteresowne?

Król ociągał się bardzo z wyjazdem do Grodna. Nieszczęśliwy monarcha, niemając dosyć siły moralnej na stawienie otwarcie czoła burzy, chciał przynajmniej jak najbardziej opóźnić dzień swego poniżenia i klęski kraju. Sievers coraz silniej, coraz ostrzej nalegał na niego. Tuż przed wyjazdem Stanisław August chwycił się myśli wysłania Littlepage'a w poselstwie do carycy. Łudził się może i słabą nadzieją odwrócenia zaboru, ale przedewszystkiem chodziło mu o to, aby mu lepszy los, od tego, którym mu zagrożono, wyjednał, i o spłacenie długów. Długi królewskie narosły już do przeszło 33 miljonów złotych i zrobiły go bankrutem. Nikt w Warszawie, ani zagranicą nie chciał mu już nic pożyczyć. Jedynem źródłem dochodu króla były łapówki rosyjskie, jedyną nadzieją poprawy położenia spłata długów przez zaborców.

Przeciw wyjazdowi posła królewskiego gotowała się jednak nieprzezwyciężona przeszkoda. Jego misji oparł się wszechwładny Sievers. Pisał on do Zubowa, ulubieńca carycy: — "Jest najpewniejszą rzeczą, że król postanowił wysłać do Petersburga, jako tajnego agenta, Amerykanina Littlepage, rodzaj faworyta, aby mu wyjednać lepszy los od tego, jaki ja mu gotuję. Że zaś tacy agenci więcej robią złego, niż dobrego, będę się starał stanąć w poprzek tej wyprawie". (Pamiętnik Sieversa).

W przededniu swego wyjazdu z Warszawy wysłał król Littlepage'a do Petersburga z poleceniem, aby wstąpił do Grodna i oddał Sieversowi następujący list:

"Oddawca niniejszego, kawaler Littlepage, ma już zaszczyt być znanym panu osobiście. Spodziewa się on, a ja o to proszę, abyś go pan rekomendacją swoją poparł w Petersburgu. Służył on zaszczytnie przy oblężeniu Oczakowa; w Kijowie miał szczęście być przedstawionym Jej Imperatorskiej Mości, która doń przemówić raczyła; był złączony przyjaźnią z panem Zubowem, z którym odbył ostatnią kampanję nad Renem. Sądzę, że moje zajęcie się nim szkodzić mu nie będzie."

"Sievers" — jak opowiada sam dalej w swoich pamiętnikach — "odesłał natychmiast królowi rekomendowanego z temi słowy:

"Kawaler opowie ustnie przyczyny, dla których mu radzono, aby cokolwiek odłożył podróż swoją do Petersburga. W tej krytycznej chwili rzecz, która go tam wiedzie, mogłaby nie udać się tak dobrze. Co się tyczy rekomendacji, jest mu ona zapewnioną, równie jak i skutek podróży, skoro tylko będzie na to zgoda Imperatorowej. Ośmiela się ręczyć za to z góry.

"Ani król, ani Igelstrom nie wspomnieli już o tem ani słowa" — pisze dalej. "Ażeby jednak Zubow nie zaprosił do siebie niepowołanego negocjatora, Sievers w swoich listach często jeszcze o nim wspomina. Tak, między innemi, pisze, iż król trwa w myśli wysłania do Petersburga swego zaufanego Littlepage'a; że mu to chciał odradzić, oświadczając serjo, iż go nie przepuszczą. Swoją drogą, porozumiewał się Sievers z Repninem (wówczas generał-gubernatorem w Rydze), który odpowiedział, że już pisał do hr. Zubowa w interesie Littlepage'a; czy go przepuścić, czy nakłonić do powrotu, jeżeli przyjedzie do Rygi bez paszportu. Że wie bardzo dobrze, co ta za jeden i myśli, że nawet Imperatorowa go pamięta."

Sievers trzymał obietnicę spłacenia długów jako przynętę dla króla, aby go zmusić do podpisania traktatu rozbiorowego. Wiedział z góry, że przynęta ta poskutkuje, choć król, dotarłszy do Białegostoku, zasiedział się tam i ani rusz nie chciał jechać dalej do Grodna. Littlepage odegrał wówczas rolę pośrednika między swym panem a Sieversem.

"Anglo-amerykański szpieg" — jak go Sievers pogardliwie nazywa — był osobiście interesowany w tem, aby król przyjął warunki rosyjskie. Od pomyślnego bowiem przeprowadzenia drugiego rozbioru zależało zdobycie przez niego wielkiego majątku.

Na trzy dni przed zdradzeniem Igelstromowi wiadomości, że król podpisze rozbiór, Littlepage uzyskał od Stanisława Augusta — prawdopodobnie jako nagrodę za swe starania około rozbioru — następujący dokument w języku francuskim, cytowany przez pastora Haydena (Virginia Genealogies) i znajdujący się w posiadaniu rodziny Holladayów:

"Warszawa, 24 marca, 1793.

"Gorliwość i pilność, jakiemi odznaczałeś się Pan w mojej służbie, pozyskały Ci prawa do mojej wdzięczności, równocześnie z poszanowaniem i dobrą wolą, które zdobyłeś u mnie swemi za-

letami. Jeżeli wszystkie okoliczności, które są Ci znane tak dobrze, jak i mnie, nie pozwoliły mi jeszcze zaspokoić mej chęci zapewnienia Ci fortuny, dostatecznej do zabezpieczenia Ci bytu na wszelki wypadek, nie mniej prawdą jest, że moim zamiarem było i jest jeszcze, aby Ci zapewnić dochód conajmniej z 1200 dukatów, których kapitał ma należeć do Ciebie jako własność i który nie ma być zależny od długości mego życia. Nie mogąc urzeczywistnić tego zamiaru, zwłaszcza w obecnym czasie, pragnę przynajmniej zaznajomić Cię z nim przez to pismo, które zostawiam w Twoich rękach jako pretensję, aby mogło posłużyć Ci za lepszych czasów.

"Stanisław August, król,

"Do pana Ludwika Littlepage'a, kawalera orderu Św. Stanisława."

Nic dziwnego, że Littlepage, mając w ręku taki rewers królewski, zabiegał jak najgorliwiej, aby zapewnić sobie jego zrealizowanie. Że w układach z Sieversem mówił tylko o długach królewskich i swej nadziei na nagrodę za "wierne" służby — z pominięciem starań o odwrócenie rozbioru — świadczy list Sieversa do niego, również ze zbiorów rodziny Holladay:

"Panie: Co spodziewałem się, gdy miałem przyjemność widzieć Pana tutaj i co wówczas panu powiedziałem w sprawie celu Pańskiej podróży do Petersburga, sprawdziło się teraz szczęśliwie dla Twego dobrego króla i jego wierzycieli. Jestem upoważniony przez Jej Imperatorską Mość do przyjęcia planu w sprawie spłaty długów Jego Królewskiej Mości, a tego trudnego zadania podejmuję się z tem większą przyjemnością, gdyż wiem, że bardzo obchodzi sprawiedliwość króla i jego dobroczynne serce i dotyczy fortuny, którą chce Panu zapewnić za Twoje przywiązanie do Jego osoby i wierne służby. Ale za tę znamienną łaskę Jej Imperatorskiej Mości, okazaną Królowi, spodziewam się, że zaufa zupełnie memu honorowi i bezstronności w doprowadzeniu spraw do takiego porządku i końca, aby Mu można zapewnić szczęśliwe i spokojne życie na starość. To powiadam Ci jako Jego przyjacielowi, zapewniając, że Cię szanuję jako takiego i pozostaję, Panie,

"Twym najniższym i najpowolniejszym sługą
"Sievers

"Grodno, 1—12 kwietnia, 1793
"Do kawalera L. Littlepage'a."

Nie o odwrócenie rozbioru chodziło więc Littlepage'owi w tych układach — jak wspomina w swej krótkiej autobjografji. Nie ma tu żadnej o tem wzmianki, jest tylko mowa o judaszowych pieniądzach.

Koniec listu Sieversa jest bardzo charakterystyczny. Ambasador wyraźnie żąda w nim zupełnej uległości króla dla swych żądań, za cenę załatwienia sprawy długów, za cenę "zapewnienia sobie szczęśliwej i spokojnej starości" — a Littlepage'a kusi zło-

tem nie w innym celu, jak w tym, aby za cenę zrealizowania rewersu — użył swej władzy na umysł króla i wymógł na nim uległość.

Littlepage szedł też za radą Sieversa. Nie potrzeba, zaiste, żadnych ponadto dowodów, iż był w tym czasie jednym ze złych duchów, którzy króla, opierającego się jeszcze, zgnębionego ostatkiem wstydu, prowadzili do ostatecznego upadku.

Nie bez powodu Sievers wnet potem obdarzył go smutnym zaszczytem przewiezienia królowi z Grodna do Białegostoku urzędowego zawiadomienia o rozbiorze.

"Bolesno mi, Najjaśniejszy Panie" — pisał w niem podły i fałszywy Sievers, "wyznać Waszej Królewskiej Mości, że Jego obawy o los Polski nieszczęściem się sprawdziły. Wedle rozkazów Jej Imperatorskiej Mości, kazałem doręczyć dzisiaj wspólnie z ministrem pruskim załączoną tu notę z deklaracją, rozstrzygającą losy Rzeczypospolitej... Gdybym nie był natrafił na kawalera Littlepage, aby mu powierzyć doręczenie tych pism, byłem zdecydowany przedsięwziąć sam podróż do Białegostoku, aby Waszą Królewską Mość o wszystkiem uwiadomić, dowieść Mu, ile współudziału, jako człowiek prywatny, biorę w tym wypadku i nakłonić Go do jednego postanowienia, jakie powziąć może, to jest do bezwarunkowej uległości dla woli Jej Imperatorskiej Mości"... (Pamiętniki Sieversa, list z 9 kwietnia, 1793).

A więc Sievers tak dalece polegał na Littlepage'u, że wysyłał go do Białegostoku, pewien, że zastąpi go w zupełności w nakłonieniu króla do uległości!

Stanisław August, choć wiedział dawno, po co ciągną go do Grodna, aż zapadł na zdrowiu ze zmartwienia po odebraniu listu Sieversa. Dnia 10-go kwietnia 1793 pisał ambasadorowi: "List z 9-go kwietnia, który przywiózł Littlepage, oznajmił mi katastrofę Ojczyzny. Przenika mnie ona tak bardzo... że dzisiaj nic innego wyrazić nie umiem, prócz głębokiego uczucia bólu. Ogarnia on zarówno umysł i zdrowie moje."

Akurat tegoż dnia Sievers pisał do Zubowa, że "ze strony króla przewiduje jeszcze dużo podejść i oporu. Wysłanie jego zaufanego Littlepage'a do Petersburga okazuje wyraźnie, że się jeszcze nie pogodził z zupełnie bierną rolą; że jak mu Littlepage, którego bez straty czasu najgrzeczniej zawrócił, dał trochę poznać, rzeczą, która najbardziej cięży królowi i jego stronnikom, są długi królewskie, że po utarciu tej rzeczy król spodziewa się nowego kredytu..."

Tak to więc Littlepage zapobiegał rozbiorowi Polski! List ten jest nowym dowodem, że w układach jego z Sieversem była głównie mowa o pieniądzach.

Dnia 17 kwietnia 1793 Sievers donosił jeszcze Zubowowi: "Mówią, że trwa (król) w zamiarze wysłania swego zaufanego Littlepage'a do Petersburga. Będę próbował mu to odradzić stanowczem oświadczeniem, że go nie puszczą."

I Sievers dopiął swego. Wola ambasadora rosyjskiego była w tych smutnych czasach najwyższem prawem w Polsce. Littlepage nie pojechał do Petersburga, co, zresztą, byłoby bezcelowe. Drugi rozbiór stał się faktem dokonanym. Stanisław August ciężką hańbą ojczyzny i własną okupił spłatę długów przez dwory rozbiorcze.

Spłata ta, choć odwleczona o kilka lat, miała nastąpić na podstawie "Rachunku ogólnego długów królewskich z 1 września 1793, wedle tego co izba skarbowa wykazała" (Pamiętniki Sieversa; Korzon, Wewnętrzne dzieje Polski.) Obok zdrajców Friesego i Boscampa - Lasopolskiego znajdujemy na liście dłużników królewskich i Littlepage'a z następującemi pozycjami:

"Littlepage według rewersu J. K. M. z maja 1793 — 24,000 dukatów, t. j. 432,000 złotych.

"'Item według różnych rewersów J. K. M. w lipcu 1793 r. — 30,000 dukatów, t. j. 540,000 złotych".

Razem więc blisko miljon złotych — sumę, jak na owe czasy, olbrzymią.

Taką cenę dostał Littlepage za swą pomoc w drugim rozbiorze Polski. A że i poprzednio obławiał się dobrze na służbie króla polskiego, świadczy fakt, że we wrześniu 1792 ofiarowywał się z pożyczką 2,000 funtów szterlingów generałowi Lafayette, uwięzionemu wówczas w Austrji. Czyż już sam Jefferson nie zwracał poprzednio uwagi, że Littlepage bezczelnie wyłgiwa pieniądze od króla?

Idźmy dalej w jego karjerze.

Po drugim rozbiorze nastąpiło powstanie Kościuszki. "Aby ratować życie swego nieszczęśliwego przyjaciela, pana i króla, musiałem stanąć po stronie Polski" — opowiada w swym liście z 9 grudnia 1801.

"Musiałem" — a więc nie dobrowolnie, nie pod wpływem uczuć, ale tylko pod przymusem okoliczności stanął po stronie Polski, której przecie był urzędnikiem. Nie miał więc do niej żadnego przywiązania, ani nie poczuwał się do żadnych obowiązków względem niej.

"Musiałem, aby ratować życie króla" — pisze, udając przynajmniej przywiązanego sługę. Jest to jednak kłamstwo. Powstanie kościuszkowskie nie godziło w króla, ale groziło szubienicą zdrajcom, którzy go otaczali. Littlepage "stanął po stronie Polski" przedewszystkiem dlatego, że chodziło tu o jego własne gardło. Nazwisko jego bowiem znalazło się na "czarnej liście" Rady Najwyższej Narodowej, która, obok Kościuszki, stanowiła najwyższą władzę powstania — razem z nazwiskami innych osób z otoczenia królewskiego, podejrzanych o sprzyjanie Rosji.

Kilka lat temu w pismach starokrajskich pojawił się artykuł Tadeusza Dubieckiego, odsłaniający drobny, a nieznany dotychczas epizod z tego właśnie okresu karjery Littlepage'a.

Littlepage, dowiedziawszy się, iż znalazł się na liście sprze-

dawczyków i szpiegów — pisze Dubiecki — "wystosował natychmiast list do Kościuszki, w którym z oburzeniem protestował przeciw obarczeniu go hańbiącemi podejrzeniami. Zwrócił się tam jako obywatel amerykański do amerykańskiego generała i zaklinał go na imię Ameryki, "drugiej jego ojczyzny", by wymierzył mu sprawiedliwość i wyznaczył specjalną komisję, któraby podejrzenia i zarzuty zbadała i w tym celu przejrzała jego korespondencję z królem, a następnie po wykazaniu niewinności, by mu wystawiono odpowiednie zaświadczenie i wydano paszport na powrót do Ameryki.

"Kościuszko, przebywający wówczas z armją w Jędrzejowie, wystosował na list Littlepage'a natychmiast odpowiedź pod datą 28 maja 1794, która w przekładzie z języka francuskiego, w jakim korespondencja ta była prowadzona, brzmiała:

"Nie znam opinji w Polsce co do osoby Pana, wiem natomiast, iż w pańskiej sprawie nie wydawałem żadnych rozkazów; żeby jednak uzyskać odpowiedź na to, o co Pan mnie pyta, uczyni Pan dobrze, zwracając się do Rady Najwyższej Narodowej, która z pewnością nie omieszka wymierzyć Panu sprawiedliwości, a która też lepiej jest w tej sprawie odemnie poinformowana.

"Może Pan być pewny, że nigdy zarządzenie bezwzględne nie uzyska mojej aprobaty."

Tu następuje prześliczne wyrażenie Kościuszki, godne zapisania w sercu każdego Polaka amerykańskiego: —

"Tytuł Amerykanina będzie dla mnie zawsze święty" — powiada Naczelnik Littlepage'owi. (Le titre d' Americain toujors sacre pour moi) "Nie potrzebuje Pan przypominać mi go, aby znaleźć u nas sprawiedliwość. Naród, który walczy o uzyskanie jej od swoich prześladowców, czyżby mógł innym jej odmówić? Ośmielam się więc być tłumaczem zasad, które rządzą i zawsze rządzić będą rewolucją w Polsce — T. Kościuszko."

Jak skończyła się ta sprawa, niewiadomo. Rada Najwyższa Narodowa miała, bez kwestji dosyć powodów do umieszczenia Littlepage'a na liście podejrzanych, ale, ostatecznie, ten zdołał się jakoś wywikłać z trudności. Ba! występuje teraz jako gorliwy patrjota polski. Nazwisko jego z ofiarą 378 złotych polskich na powstanie Kościuszki widzimy na liście niejakiego "Muradowicza, umocowanego od Rady Zastępczej Warszawskiej", wśród innych składek na powstanie, podanych przez T. Korzona (Wewnętrzne dzieje Polski).

"Caryca Katarzyna II nigdy nie przebaczyła mi mego zachowania się przy tej sposobności, gdy dowiedziała się, że zgodziłem się przyjąć naczelne dowództwo pod rządem rewolucyjnym, chociaż miałem działać przeciw Prusom" — pisze dalej Littlepage o swej roli w powstaniu. Nie wiadomo, co bardziej podziwiać w tem zdaniu — czy służalstwo wobec Katarzyny, czy bezczelność kłamstwa o dowództwie. Co Katarzyna miała przebaczać temu człowiekowi, który — z imienia przynajmniej — był sekretarzem

króla polskiego, a nie jej pachołkiem? Tylko w tym wypadku może on mówić o "przebaczeniu" carycy, jeśli miał wobec niej jakie zabowiązania. Czyż nie jest to wyraźne przyznanie się Littlepage'a do zależności od Moskwy?

Pretensje jego do naczelnego dowództwa w powstaniu kościuszkowskiem były chyba obliczone na nieświadomość rodaków w Ameryce. Są one za bezczelne, by zajmować się niemi, poza napiętnowaniem ich jako kłamstwa.

O dalszych swych przejściach w powstaniu opowiada Littlepage jak następuje:

"Moja pomoc w odparciu wojsk rosyjskich w szturmie na Wilno również obraziła ją (carycę); krótko mówiąc, zaszedłem tak daleko w rewolucji, że byłbym zaszedł jeszcze dalej, gdybym nie został pobity z swoim przyjacielem, ks. Józefem Poniatowskim, bratankiem króla, przez króla pruskiego, dnia 26 sierpnia, 1794. Wypadek ten odebrał mi wszelką popularność i niewiele brakowało już, aby mnie powieszono, gdyż byłem uważany za kierownika bitwy, chociaż, na mój honor, książe Poniatowski działał w tym dniu wbrew mojej radzie. Potem król pruski uderzył na nas z siłą trzykroć większą niż nasza, zarówno w ludziach, jak i artylerji, a Kościuszko nie dał nam pomocy, aż byliśmy już beznadziejnie pobici, chociaż ani jego lewe skrzydło, ani środek, nie brały udziału w walce przez cały dzień, oprócz w kanonadzie."

Nie mogąc zaprzeczyć słowom Littlepage'a dokumentami, przypuśćmy, że ze strachu przed szubienicą brał rzeczywiście udział — choć chyba tylko bardzo podrzędny — w walkach o Wilno, i że znajdował się potem w sztabie ks. Józefa przy obronie Warszawy. Bitwa, w której "został pobity ze swym przyjacielem", był to niechybnie nocny atak Prusaków na pozycje ks. Józefa koło Powązek, 26 sierpnia 1794, zakończony zdobyciem Gór Szwedzkich i Wawrzyszewa. Dziwne, że Littlepage, do niedawna niby "naczelny wódz" powstania, przypisuje sobie w bitwie tej rolę wprawdzie "kierownika" ale tylko pod księciem Józefem, który "na jego honor, działał w tym dniu wbrew jego radom." Dziurawy to bardzo honor! Jeżeli Littlepage był kierownikiem bitwy, biografowie ks. Józefa z chęcią odstąpiliby mu już dawno wątpliwy zaszczyt porażki. Faktem jest, że książe Józef nie miał nawet czasu zasięgać rad Littlepage'a podczas ataku Prusaków. Napad był niespodziewany i zaskoczył pozycje polskie podczas nieobecności księcia. Zjawił się on jednak natychmiast po pierwszych strzałach i odrazu rzucił się w wir bitwy, walcząc zapamiętale w szeregach aż do świtu. (S. Askenazy, Ks. Józef Poniatowski.) Jeżeli Polacy nie ponieśli większych strat w tym szturmie, było to jedynie zasługą brawury i porywającego przykładu księcia. Jeżeli Littlepage, mimo swej megalomanji, przyznaje się w liście do pewnej winy klęski, niechybnie umniejsza ją.

Zarzut jego przeciw Kościuszce dowodzi tylko, że człowiek

ten nie lubił Naczelnika. Nawzajem też nie cieszył się jego zaufaniem. Chłodny ton co dopiero zacytowanego listu Kościuszki wskazuje na to wyraźnie. Poznał go widocznie nasz bohater, że nie był to Amerykanin, godzien świętości nazwy rodowej. Jeżeli zaś Kościuszko, choć tak szczerze przywiązany do Ameryki, choć tak serdeczny dla każdego zacnego Amerykanina, od tego jednego trzymał się z daleka — mimo, że miał go w Polsce pod bokiem od lat — już to samo daje dużo do myślenia o tem, co mógł sądzić o Littlepage'u. Sama posada na dworze króla nie odstręczyłaby go od niego. Przecie — chociażby przytoczyć tylko jeden fakt — kilka lat temu witał życzliwie i pomagał ile mógł Janowi Paulowi Jonesowi, chociaż ten obracał się wyłącznie w sferach dworskich podczas pobytu w Warszawie. "Nie znam opinji w Polsce co do osoby Pana" — odpowiadał niedawno Littlepage'owi, a więc ignorował go, choć nietylko nie mógł nie wiedzieć o jego obecności w Warszawie, ale zapewne i stykał się z nim czasami.

Usunięty z wojska, Littlepage, już jako bierny świadek, patrzał na koniec powstania, rzeź Pragi i ostatni rozbiór Polski. Król Stanisław August został wywieziony do Grodna. "Rozdzielono mnie od niego na wyraźny rozkaz carycy; i równocześnie dano mi poznać, że tylko moje dawne polityczne usługi dla Rosji i moja wojskowa służba w wojnie tureckiej uratowały mnie od podzielenia losu innych naczelników powstania 1794-go roku" — pisze Littlepage o sobie. "Moje dawne polityczne usługi dla Rosji!" — oto jest wyznanie wysokiego urzędnika polskiego, godne zestawienia ze słowami Igelstroma: "Jest on całkiem naszego systemu".

"Dawne usługi" uratowały Littlepage'a od prześladowań rosyjskich, ale ostatnie wypadki oderwały go wreszcie od klamki pańskiej, przy której porastał w pierze przez lata. Grunt w Warszawie usunął mu się nagle z pod nóg. Zapragnął powrócić do swej ojczyzny.

Wtedy to zawsze o niego troskliwy Stanisław August, pragnąc przynajmniej w ten sposób ułatwić mu nowe drogi, nadesłał mu z Grodna następujący list polecający, adresowany do Jerzego Waszyngtona, wówczas władającego wolnemi Stanami Zjednoczonemi jako pierwszy ich prezydent:—

"Grodno, 27 kwietnia, 1795.

"Panie Prezydencie Stanów Zjednoczonych Ameryki: —

"Pańskie zachowanie się w wojnie i pokoju już oddawna pobudzało mnie do pragnienia, aby wyrazić Ci wysokie poważanie, jakie żywię dla Ciebie. Nie mogę znaleźć nikogo odpowiedniejszego do zakomunikowania Ci świadectwa moich uczuć szacunku, jak p. Ludwika Littlepage'a.

"Podziwia on Cię, ponieważ zasługujesz na to i kocha Cię, ponieważ okazałeś mu osobiście życzliwość. Bardzo pragnę i proszę Cię, abyś okazał mu jej więcej, tak aby, gdy przyjedzie do

swej ojczyzny, mógł poświęcić jej wszystkie te talenty, któremi natura i doświadczenie wyposażyły go.

"Zna on osobiście niemal wszystkich władców Europy i ich dwory zarówno z podróży, które odbył, jak i z poselstw, które mu polecałem i z których zawsze wywiązywał się z dużym rozumem i sprawnością. Zdobył on poważanie wszystkich dowódców, z którymi był złączony w wojnie od Gibraltaru po Oczaków; i dyplomatów, z którymi stykał się; i tylko z jak najszczerszym żalem patrzę na usunięcie się jego odemnie.

"Gdyby obecne położenie Polski i moje własne były mniej nieszczęśliwe, nigdybym nie zgodził się na to.

"Ale skoro zamyśla wrócić do Ameryki, usilnie pragnę, aby mógł tam znaleźć przyjemny i pewny byt, który pozwoliłby mu użyć wszelkich zdolności, jakie posiada. A ufam, że tak będzie, ponieważ Pan jesteś dobrym znawcą ludzi. Dlatego też dodaję tu jeszcze jedną prośbę w jego sprawie: mianowicie, aby, przy pomocy Pana, otrzymał pozwolenie od Stanów Zjednoczonych na noszenie odznaki mojego orderu św. Stanisława, którą nadałem mu i którą godzien jest nosić dla swych zasług.

"Będzie to przyjemnem dla mnie, że Amerykanin będzie tym który zawiezie oznaki mego szacunku i uczucia pomiędzy swych rodaków, pomiędzy ten naród, który umiał już sobie zdobyć takie poważanie ze strony mieszkańców starej półkuli, który może w tak wielu względach służyć im za naukę i wzór.

"Jak naszczerzej kreślę się, Panie Prezydencie Stanów Zjednoczonych

"Twoim serdecznie oddanym
"Stanisław August, król.

"Do Pana Generała Waszyngtona,
"Prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki."

List ten, bardzo charakterystyczny dla uczuć Stanisława Augusta względem Stanów Zjednoczonych, znajduje się — jak informuje pastor Hayden — w posiadaniu rodziny Holladay. Oryginał jest po francusku, zaopatrzony w pieczęć królewską, odciśniętą w wosku.

Jest to już drugi list, którym ostatni król polski zwracał się wprost do Waszyngtona. Jednakowoż los chciał, że i ten list nie doszedł do rąk największego z Amerykanów. Wbrew bowiem pierwotnym planom, Littlepage zatrzymał się w Europie jeszcze przez kilka lat. Pisze on o swej tułaczce po stracie przytułku u króla: "Po wyjeździe króla (do Grodna) wyjechałem do Wiednia, ale natychmiast kazano mi opuścić tę stolicę, co wywołało publiczny spór między mną z austrjackiem ministerstwem, zakończony ku mojemu zadowoleniu, gdyż Rosja wystąpiła i wymierzyła mi sprawiedliwość. Król pruski, Fryderyk Wilhelm II, później pozwolił mi wrócić do Warszawy, znajdującej się wówczas pod jego władzą, gdzie pozostawałem też aż do śmierci Katarzyny II."

Zaiste, bardzo dziwnie wyglądają te względy dla Littlepage'a ze strony Rosji i Prus, gdy właśnie w tym czasie patrjoci polscy gnili po więzieniach, jęczeli na Sybirze i znosili niedolę wygnania. Littlepage niezadowalał się i tem. W swej bezczelności żądał potem od cara Pawła wynagrodzenia "za niedawne z sobą postępowanie" — za odtrącenie go mimo owych "dawnych usług" — jako ceny przyjazdu do króla, który teraz, opuszczony i w przygnębieniu pędzący ostatki życia, szczególnie tęsknił za jakiemś życzliwszem sercem. Kiedy wreszcie Littlepage zaczynał skłaniać się do wyjazdu do niego, król zmarł nagle w Petersburgu, 12-go lutego 1798. Aż do ostatnich swych dni Stanisław August utrzymywał żywą korespondencję z Amerykaninem, nacechowaną szczerą ku niemu życzliwością.

Równocześnie ze śmiercią króla Littlepage'a spotkało w Warszawie jakieś nieszczęście, jak świadczy list Lafayette'a do niego, datowany z Witmold, 10-go marca 1798: — "List Twój donosi mi nietylko o stracie, którą poniosłeś jako przyjaciel przez śmierć króla polskiego, ale i o przykrem zdarzeniu, dotyczącem Twego osobistego położenia". Zdaje się, że tem przykrem zdarzeniem był jakiś wypadek, lub może pojedynek, w którym Littlepage odniósł pokaleczenia.

W każdym razie była to tylko drobna, przejściowa chmurka, która chwilowo przesłoniła wesoły horyzont życia Amerykanina. Wiadomo z pewnego źródła, że pobyt swój ówczesny w Warszawie spędzał na miłostkach i hulankach, na które czerpał fundusze z zaciągania długów. Gościnę u siebie w domu otworzył mu Berneaux, kupiec i bankier warszawski.

Myśl powrotu do ojczyzny wywietrzała na razie z głowy sekretarza królewskiego. I nie bez ważnego powodu odkładał wyjazd do Ameryki. Czekał bowiem na załatwienie sprawy długów królewskich, z którego spodziewał się zagarnąć owe 54,000 dukatów, wykazane w Rachunku Ogólnym Długów. Spłata ich została uregulowana w drodze dyplomatycznej dopiero w r. 1797 przez konwencję, zawartą między trzema dworami rozbiorowymi. Czyż nie o nią to prowadził niski handel, kiedy król wzywał go do siebie? Podejrzenie to nasuwa się mimowoli, gdyż dopiero po zawarciu konwencji okazał chęć połączenia się ze swym wygnanym i nieszczęsnym dobroczyńcą. Upłynęło jeszcze sporo czasu, nim Littlepage dostał pieniądze od zaborców. Nie dziwota, że otrzymawszy wreszcie "nagrodę za swoje długie i niebezpieczne służby" w Polsce, unosił się potem nad wielką szlachetnością cara Pawła.

Nie był on jedynym, który zarobił grubo na upadku Polski. Niestety, nie wszyscy, którzy obłowili się na jej krzywdzie, byli cudzoziemcami.

Amerykanin tak zahulał się na mogile Polski, że nie miał czasu na korespondencję z krewnymi i przyjaciółmi w Ameryce, gdzie tymczasem wieść o jego wypadku i pokaleczeniach wywołała pogłoskę o jego śmierci. Szwagier Littlepage'a, niejaki Coleman, na

podstawie tych pogłosek, rozpoczął nawet proces spadkowy i zażądał sądownie od jego matki oddania mu części majątku. Wtedy inni krewni zwrócili się do Tomasza Jeffersona, podówczas wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych, z zapytaniem, czy przypadkiem nie wie cokolwiek o sekretarzu króla Stanisława. Jefferson odpowiedział im ze swego Monticello, pod datą 4-go lipca 1800:

"Otrzymałem tylko jeden list od p. Littlepage'a od czasu, gdy wróciłem do Ameryki, a był on datowany w Warszawie, 26 grudnia 1791. Brak dobrej komunikacji, jak i brak spraw, które mogłyby go zająć na ówczesnem jego stanowisku, przeszkodziły mi w napisaniu do niego. Później dostałem wiadomość, zdaje mi się, od generała Kościuszki, że po rozbiorze Polski udał się do Petersburga i otrzymał posadę od cara".

Po tym liście Jefferson zwrócił się pisemnie do Juljana Ursyna Niemcewicza, podówczas zamieszkałego w Elizabeth, N. J., w nadziei, że poeta i żołnierz polski, jako niezbyt dawno przybyły z Europy, będzie mógł udzielić mu jakichś bliższych wiadomości o Littlepage'u dla użytku rodziny. Oryginał ciekawej odpowiedzi Niemcewicza, pisany dosyć poprawną angielszczyzną, jest własnością pastora H. E. Haydena, autora "Virginia Genealogies" Brzmi on:—

"Elizabeth Town, N. J., 7 sierpnia 1800.

"Drogi Panie: — Miałem przyjemność otrzymać list Pana z 23-go lipca i pospieszam dać Ci natychmiast takie informacje o p. Ludwiku Littlepage'u, jakie posiadam obecnie. Skutkiem wypadków w Europie i mego szczególnego położenia, otrzymuję tylko rzadkie i krótkie listy z Polski, w jednym z nich jednak, datowanym 16-go kwietnia 1799, pewna pani, zdając mi sprawę z życia towarzystwa w Warszawie, pisze te słowa: 'Pani S... przebywa również w Warszawie. Pan Littlepage nadskakuje jej; dzieli on, jak dawniej, swój czas między Wenerę a Bachusa'. Znałem bardzo dobrze p. Littlepage'a i wydał mi się miłym towarzyszem i pełnym rozumu i wykształcenia, ale nawet wówczas dla mnie Europejczyka. (Zdanie niejasne. Pastor Hayden przytacza je: "I was very well acquainted with Mr. Littlepage, found him a very pleasant Compagnon and more so full of genius and Information, but even at that time to me the European." Zdaje się, że jest tu coś opuszczone — albo skutkiem uszkodzonego rękopisu, albo umyślnie przez kompilatora — i że to "but" łączy się z jakimś mniej pochlebnym komplementem dla Littlepage'a). Poraz ostatni widziałem go przy oblężeniu Warszawy w r. 1794 w miesiącu lipcu. Po mojem uwolnieniu z więzienia rosyjskiego słyszałem z początkiem r. 1797, że wśród wierzycieli, którzy przedłożyli swe noty komisarzom, mianowanym dla rewizji długów króla polskiego, był i p. Littlepage, który przedstawił swój, wynoszący 10 lub 12 tysięcy funtów szterlingów, ale nie dostał nic. Nie wiem, o ile to jest prawdą, mam tę wiadomość tylko z tego, co ogólnie mówiono. Ponieważ Pan zdaje się żywo zajmować rodziną tego pana, napiszę do Polski, aby do-

stać wszelkie możliwe informacje o p. Littlepage'u. Muszę jednak wprzód ostrzedz Pana, że może upłynąć rok, nim dostanę odpowiedź.

"Wiadomość o mojem małżeństwie jest, Panie, prawdziwa i dziękuję Ci za Twe miłe życzenia. Choć nie z urodzenia, jestem teraz Amerykaninem z uczucia i wyboru; oprócz szczęścia, jakie znajduję w towarzystwie pani Niemcewicz. Rozum wskazuje, że rozsądna wolność i wszystkie te błogosławieństwa, za które walczyłem, lałem krew i cierpiałem, opuściły na zawsze Europę i założyły swe siedlisko w Ameryce. (Dwa ostatnie zdania znowu niejasne w kopji pastora Haydena.) Wspominasz Pan, że spotkałeś osobę, która miała przyjemne wieści z Polski dla mnie, a nie otrzymałem najmniejszej miłej wiadomości z tego źródła. Pragnąłbym bardzo wiedzieć co to za osoba i co to są za wiadomości. Zamierzam wkrótce napisać do pani Bache i proszę pozdrowić ją jak najserdeczniej, oraz doktora. Pozostając teraz w tym kraju, cieszę się miłą nadzieją, że prędzej czy później będę miał sposobność ucieszenia się zajmującem Twem towarzystwem. Pozostaję, Panie, z wyrazami szacunku i przywiązania, które wzbudziłeś we mnie w pierwszej chwili naszego poznania,

"Twój przyjaciel i powolny sługa,
"J. U. Niemcewicz.

"P. S. — Miałem list od jednego z moich przyjaciół w Szwecji, który wzmiankuje, że widział osoby, wracające z Paryża, gdzie spotkały generała Kościuszkę i znalazły go w bardzo dobrym stanie zdrowia. Jeżeli Pan usłyszysz cokolwiek o nim, będę wdzięczny, jeżeli Pan będzie tak dobry i doniesie mi o tem. Spodziewam się, że pani Bache doręczyła Panu mapę Ameryki Aarona Smitha.

"Do P. Tomasza Jeffersona, Wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych, Monticello".

Wnet potem Niemcewicz, dostawszy tymczasem świeże wiadomości o Littlepage'u, pospieszył z podzieleniem się niemi z Jeffersonem. Pisał mu:—

"28-go grudnia 1800, Elizabeth Town, N. J.

"Panie: — Spodziewam się, że list, który miałem zaszczyt napisać Ci, Panie, przed trzema miesiącami z informacjami w sprawie p. Littlepage'a, doszedł do Twych rąk. Pospieszam donieść teraz Panu wiadomość, jaką dostałem dwa dni temu z Polski. Mój przyjaciel pisze, że p. Littlepage zamierza wybrać się do tego kraju i że tylko czeka na wypłatę 9,000 funtów szterlingów, jakich żąda na podstawie pretensyj do zmarłego króla. Rabusie, którzy podzielili się naszą ojczyzną mają zaspokoić jego żądania. Sądzę, że p. Littlepage'a można spodziewać się w ciągu następnego lata. Nim zamknę ten list, pozwól mi, Panie, jako temu, którego jak najżywiej obchodzi dobro Ameryki, abym powinszował Ci tego dowodu zaufania i szacunku, jaki naród Stanów Zj. tak dobitnie okazał Ci,

wybierając Cię na swego pierwszego urzędnika. Pozostaję, Panie, z wielkim szacunkiem

"Twym najpowolniejszym i najuniżeńszym sługą,
"J. U. Niemcewicz.

"Do P. Tomasza Jeffersona,
"Wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych,
City of Washington".

Littlepage był już rzeczywiście na wyjezdnem z Polski, a właściwie był już poza jej granicami, gdy Niemcewicz pisał powyższy list do Jeffersona. Pożegnał Warszawę czołobitnością dla cara Pawła za "łaskę" wypłacenia mu rewersów Stanisława Augusta, co było rzeczywiście dobrodziejstwem dla niego, obdłużonego po uszy.

W liście do niejakiego A. Forheggera z Warszawy pisał Littlepage już z Hamburga 18 października 1800:

"Kawaler Littlepage, były szambelan i poufny sekretarz J. M. Króla Polskiego, opuścił Warszawę 3 b. m. Jego wyjazd został uprzednio ogłoszony w miejscowej gazecie i wszyscy wierzyciele zostali wezwani do przedstawienia się. Pan Littlepage uważał sobie za obowiązek, aby jak najdobitniej i z jak największym szacunkiem przyznać, że ostateczne załatwienie swych spraw zawdzięcza szczególnej łasce J. M. Cesarza Wszechrosji, który ze szlachetnością wypłacił wszystkie pretensje kawalera Littlepage do króla polskiego."

Wypłata ta nastąpiła po całym szeregu listów Littlepage'a do cara, które posłużyły potem wrogom Amerykanina, czy też zwykłym szantażystom — między innymi owemu Forheggerowi — za podstawę do zadenuncjowania go przed Napoleonem i innymi rządami, nieprzyjaznymi Rosji, jako moskiewskiego szpiega. Donosy te wyprzedziły wyjazd Littlepage'a z Polski. Kiedy królewski eksekretarz przybył do Hamburga, zmuszono go czemprędzej do opuszczenia tego miasta. Udał się więc do sąsiedniej Altony.

Tam doszedł go list od krewnego, Ludwika Holladaya, z doniesieniem o procesie szwagra i poszukiwaniach za nim, wszczętych przez Jeffersona. Odpowiedź Littlepage'a, której główną część użyłem za podstawę niniejszego życiorysu, kończy się następująco:

"Przybyłem do Hamburga w końcu zeszłego roku. Zamiarem moim było udać się do Francji lub Anglji, ale znalazłem się w dziwnej niełasce u obu tych sąsiadów.

"Załatwiłem sprawę we Francji, ale jeszcze nie w Anglji. Tamtejsi ministrowie upierają się przy posądzaniu mnie, że zostałem wysłany w tajnej misji przez cara rosyjskiego, który obecnie jest w nieporozumieniu z Anglją. Bóg świadkiem, że sprzykrzyła mi się już polityka europejska. Zamierzałem spędzić zimę w Hamburgu, ale zostałem wypędzony z tego ścieku niesprawiedliwości przez najokrutniejszy spisek na moje życie i majątek. Ten ostatni jest bezpieczny; i gdybym zginął tu pod gościnnym rządem Danji, pozostawię dziewięc do dziesięciu tysięcy funtów szterlingów, tak ulokowanych, że mordercy moi nie będą mogli przeszkodzić w do-

staniu się ich do rąk mej rodziny. Suma ta jest wszystkiem, co uratowałem z ruiny mego majątku w Polsce. Na wiosnę wyjadę do Ameryki albo przez Francję, albo wprost stąd, o ile uniknę sztyletów lub trucizny, któremi tu jestem zagrożony. Zawsze Twój, mój drogi Panie,

Ludwik Littlepage."

Jakoś szczęśliwie uniknął Amerykanin owych "sztyletów i trucizny", skoro jeszcze przez cały rok pozostał w Europie. Przyjechał do swej ojcowizny w Spotsylvania, Va., dopiero z końcem roku 1801, zamierzając teraz w spokoju zażywać owoców swej długiej służby w Polsce. Jednakowoż burzliwe życie europejskie tak podkopało jego zdrowie, że zmarł wkrótce potem, 19-go lipca 1802, w czterdziestym roku życia.

Jako członek loży wolnomularskiej pochowany został z odpowiednimi honorami na cmentarzu masońskim w Fredericksburgu, Va. Na grobie jego położony został kamień marmurowy — wedle pastora Haydena, istniejący jeszcze w r. 1891 — z następującym napisem:

"Tu leżą prochy Ludwika Littlepage'a, który urodził się w powiecie Hanower, w stanie Wirginja, dnia 19-go grudnia 1762, a zakończył życie w Fredericksburgu, 19-go lipca 1802, licząc 39 lat i 7 miesięcy. Zaszczycany przez wiele lat szacunkiem i zaufaniem nieszczęśliwego Stanisława Augusta, Króla Polskiego, zajmował pod tym monarchą, aż do utraty tronu przez niego, najwybitniejsze urzędy, między innymi urząd ambasadora do Rosji. Mianowany przez niego kawalerem Orderu św. Stanisława, szambelanem i poufnym sekretarzem w swym gabinecie, działał jako poseł do szczególnych poruczeń w wielu bardzo ważnych układach. Posiadając talenty, zarówno wojskowe, jak i cywilne, służył z odznaczeniem jako oficer wysokiego stopnia w różnych armjach. W życiu prywatnem był dobroczynny, szlachetny i sprawiedliwy a na rozmaitych publicznych stanowiskach, które zajmował, działał z niezmienną wielkodusznością, wiernością i honorem."

Gdybyż to była prawda!

Niestety — nic w całej 14-letniej karjerze Littlepage'a w Polsce nie usprawiedliwia takiego pochlebnego o nim wspomnienia. Ten "wielkoduszny, wierny i miłujący honor" sekretarz Stanisława Augusta okazał się jednym ze zdrajców Polski, jurgeltnikiem rosyjskim, niskim karjerowiczem, sprzedającym dla tej karjery własny honor i świętość tytułu Amerykanina. Nie wyróżnił się żadnym szlachetniejszym rysem od smutnego tła historycznego, wśród którego wystąpił i działał w ojczyźnie Kościuszki. Nawet swemu dobroczyńcy, królowi, który darzył go, na nieszczęście, ślepem zaufaniem i przywiązaniem — nie dochował powinnej wierności, wynosząc Moskalom słowa, wyciągnięte od niego w poufałości, w sprawach niezwykle ważnych dla króla i kraju. Obsypywany pieniądzmi przez króla, splamił się wzięciem zapłaty od morderców Polski za swe judaszowe usługi — a kto wie, czy już wcześniej nie

był na liście odbiorców pensyj rosyjskich. "Zagadkową figurą" nazywa go krótko T. Korzon w swych "Wewnętrznych dziejach Polski", (tom III, str. 25). Przytoczone dokumenty rozwiewają w znacznej mierze tę zagadkowość. Szarlatan i zdrajca — oto co można z ręką na sercu powiedzieć o Ludwiku Littlepage'u.

Kilka słów charakterystyki Littlepage'a, jedyne jakie natrafiłem w polskiej literaturze historycznej, rzuca historyk polski, Stanisław Krzemiński, w objaśnieniach do listów Stanisława Augusta i Szwajcara, Glayre'a (Stanisław Poniatowski i Maurycy Glayre, Warszawa, 1901, tom I, str. 155):

"Littlepage był jedną z najwstrętniejszych postaci, jakiemi się posługiwał Stanisław August w sprawach osobistych i w niższego rzędu dyplomacji. Raz czepiwszy się króla, nicpoń ten już go nie puścił, dopóki w obrachunku długów królewskich z d. 9 listopada 1793 r., nie wystąpił jako wierzyciel sumy 432,000 złotych, na owe czasy bardzo wielkiej. Podczas Targowicy i sejmu grodzieńskiego służył wiernie ambasadorowi Sieversowi razem z Boscampem i Friesem"...

Surowe bardzo to słowa, ale, niestety, sprawiedliwe.

XI

Poeta amerykański, który zmarł na ziemi polskiej

When o'er the Polish desert's trackless way
Relentless Winter rules with savage sway,
When the shrill polar storms, as wild they blow,
Seem to repeat some plaint of mortal woe,
Far in the cheerless space the traveller's eye
Shall this recording pillar long descry,
And give the sod a tear where Barlow lies—
He who was simply great and nobly wise,
Here, led by patriot zeal, he met his doom,
And found amid the frozen wastes a tomb...

(Z wiersza Heleny Marji Williams na śmierć Joela Barlowa.)

Niechętnie wybierał się Joel Barlow, poseł Stanów Zj. na dworze cesarza Francuzów, w daleką podróż z Paryża do Polski jesienią 1812-go roku. Pominąwszy olbrzymią przestrzeń i zwykłe niewygody drogi, odstraszały go późna pora roku i czasy wojenne. Półmiljonowa armja Napoleona maszerowała właśnie na Moskwę, aby zwycięstwem nad carem Aleksandrem rozszerzyć władzę boga wojny na całą Europę.

Obowiązki służbowe nagliły jednak posła amerykańskiego. Walka między Napoleonem a Anglją naraziła prawa Stanów Zj., jako państwa neutralnego, na niejeden poważny uszczerbek. Blokada Anglji, zarządzona przez Napoleona, jak najdotkliwiej godziła w wolność handlu Ameryki. Francuskie okręty wojenne chwytały amerykańskie statki, naładowane towarami dla Anglji i konfiskowały je jako kontrabandę. Równocześnie surowe ograniczenia zostały nałożone na handel amerykański w portach francuskich. Towary amerykańskie obciążono wysokiemi cłami. Trudnościom tym miał zaradzić poseł Barlow, wszelkiemi siłami starający się o traktat handlowy francusko-amerykański.

Układy o traktat postępowały pomyślnie. Wyprawa przeciw Rosji przerwała je wprawdzie niemal przed samem ukończeniem, ale oto teraz książę Bassano, minister spraw zagranicznych Napoleona, wzywał Barlowa do Wilna celem ostatecznych pertraktacyj. Sam cesarz życzył sobie przeniesienia układów z nad Sekwany nad Wilję.

Chociaż więc niechętnie, ale z nadzieją przysłużenia się ojczyźnie, wyjechał Barlow z Paryża dnia 26 października 1812, donosząc do rządu w Waszyngtonie, że za 15 do 18 dni spodziewa się być na miejscu. Podróż odbywał własnym powozem. Żonę zostawił w Paryżu, a zabrał z sobą jako towarzysza podróży i sekretarza, Tomasza Barlowa, swego ukochanego bratanka, sierotę po oficerze rewolucji amerykańskiej, którym opiekował się iście po ojcowsku.

Zapewne nigdy w swem życiu Barlow nie spodziewał się, że losy tak niespodzianie przerzucą go do Polski, z którą już od dawna łączyły go nici sympatji. Dwadzieścia lat minęło odkąd, oczarowany sławą "najuczeńszego z królów", przesłał ostatniemu monarsze polskiemu swe pierwsze wielkie dzieło poetyckie "Widzenie Kolumba". Było to z początkiem roku 1791. Barlow, wygnany z Anglji za związki ze zbuntowanymi kolonistami amerykańskimi, schronił się do Francji. W Paryżu spotkał się ze swym rodakiem, Ludwikiem Littlepagem, podówczas szambelanem i sekretarzem króla Stanisława Augusta. Za życzliwą poradą Littlepage'a doręczył mu, wracającemu na północ, jeden egzemplarz swego poematu dla króla z listem, wyrażającym uwielbienie dla monarchy, szczerze rozmiłowanego w sztukach pięknych. Poeta-dyplomata zapewne dotychczas z pietyzmem przechowywał wśród swych papierów grzeczny list Stanisława Augusta, którym ten dziękował za dar: —

"Warszawa, 25 maja 1791

"Panie: — Otrzymałem przez p. Littlepage'a pański uprzejmy list razem z "Widzeniem Kolumba"; i nie mniej pochlebiają mi wyrazy listu, jak zachwycam się treścią i pięknością poematu: Jestem bowiem pewny, że nikt nie może go czytać z większem zadowoleniem, niż czynię to sam w obecnej chwili, kiedy jestem zajęty właśnie takiemi samemi sprawami w swym kraju, jakie Kolumb tak pięknie połączył w swem 'Widzeniu". Będę się starał, aby przetłumaczyć je na język polski, i w ten sposób powiększyć liczbę pańskich wielbicieli, do których zaliczam się z wielką przyjemnością,

Stanisław August, król".

List ten z cennych zbiorów dra. Al. Kahanowicza z Brooklyna, naznaczony jest literą L., prawdopodobnie więc wyszedł z pod ręki tego samego Littlepage'a. Odznacza się niezwykle piękną kaligrafją.

Stanisławowi Augustowi, wśród następnych kłopotów państwowych, zabrakło czasu na spełnienie obietnicy zajęcia się sprawą tłumaczenia "Widzenia Kolumba". Dzieło zresztą nie zasługiwało na takie niezwykłe wyróżnienie. Barlowowi jednakowoż pochlebił wysoce list królewski i ośmielił go do dalszej korespondencji z królem. Dnia 20 lutego 1792 wysłał Barlow z Londynu nowy list do Stanisława Augusta, ciekawy przedewszystkiem dlatego, że wyraża poglądy poety amerykańskiego na konstytucję 3-go maja. Pisał w nim:

"Londyn, 20 lutego, 1792.

"Najjaśniejszy Panie!

"Miałem zaszczyt otrzymać list Waszej Królewskiej Mości z 25 maja z. r., w którym W. K. Mość był łaskaw powiedzieć, że postara się, aby mój poemat o stosunkach w Ameryce przetłumaczono na język polski. Wkrótce ukaże się tutaj nowe wydanie tego dzieła, do którego będą dodane wiele wyjaśniających uwag, sam

zaś poemat będzie skrócony i znacznie poprawiony. Jeżeli W. K. Mość jest mniemania, że tłómaczenie będzie zrobione, to pozwolę sobie przesłać W. K. Mości kopję nowego wydania, które będzie mniej błędne a raczej więcej zrozumiałe aniżeli poprzednie.

"Pozwalam sobie skorzystać z niniejszej sposobności i za pośrednictwem ambasadora W. K. Mości, przy tutejszym dworze ofiarować W. K. Mości broszurę, którą niedawno wydałem, o obecnych stosunkach politycznych Europy pod tytułem: "Rada dla uprzywilejowanych stanów etc." Polegając na znanej dobroci charakteru W. K. Mości, tuszę, że W. K. Mość wybaczy mi, że ponownie składam hołd Jego zaletom i Jego talentom. Jestem przekonany, że W. K. Mość jest w Europie znakomitym, jeśli nie jedynym, przykładem członka uprzywilejowanego stanu, który rad zgoła żadnych nie potrzebuje; równocześnie jednak rozważam, że takie własnie osoby prawdopodobnie najchętniej usłuchają tych, których dobre chęci skłaniają do ofiarowania im rad. Cieszę się nie z osobistej wygody i szczęścia W. K. Mości, ale z tego właśnie, że W. K. Mość jest królem w czasach tego groźnego położenia spraw Europy. Na żadnem innem stanowisku nie byłby W. K. Mość oddał tyle usług Swemu narodowi, jak i ludzkości, ani też może na żadnem innem stanowisku W. K. Mość nie byłby narażony na tyle niepokoju i trudności, ile musiał zwalczać przez tyle lat i które W. K. Mość niezawodnie dotychczas otaczają.

"Jak daleko moje ideje o korzyściach owej idealnej reprezentacyjnej rzeczypospolitej oraz moja nienawiść do monarchji (przedstawione w ofiarowanej broszurze) oddalają się od prawdziwych uczuć W. K. Mości, tego powiedzieć nie umiem, pewny jednak jestem, że zgadzamy się w jednym punkcie: — w gorącem pragnieniu pomnażania szczęścia rodzaju ludzkiego. Wobec tego, musimy zgadzać się w serdecznym wstręcie do wszelkiego rodzaju tyranji, pragniemy, by wszyscy ludzie o tyle na równi cieszyli się wolnością, o ile natura i rozdział ludzkich zdolności pozwalają na to, by człowiek zasiadł na tronie swej własnej pracy, bez względu na to, ile przez to ucierpią ci, którzy obecnie są na tronie ciemięstwa i nadużyć.

"Nadzwyczajny i pomyślny sposób, w jaki W. K. Mość niedawno obdarzył Swoją ojczyznę Konstytucją, wywołał mój podziw w niemałym stopniu; i nie mogę powstrzymać się, by nie zaofiarować W. K. Mości moich najlepszych życzeń w sprawie tak ważnej dla ludzkości. Jeśli się rozważy sposób, w jaki ją wprowadzono, burzliwe położenie Rzeczypospolitej, wewnętrzne knowania, przekupstwo oraz rozbrat w Sejmie, nacisk zewnętrznych niebezpieczeństw, tudzież intrygi obcych dworów, — dzieło to wykazuje odwagę i roztropność, szeroki rozum i filantropję, które stawiają je na najwyższy szczebel wśród czynów ludzkich. Co się tyczy zalet Konstytucji, to W. K. Mość zapewne wie, że należy ją rozpatrywać z dwojakiego punktu widzenia, — najpierw jako stosującą się do wielkiego systemu feudalnego arystokracji,

przeważającej w Europie, a następnie jako tyczącą się szczególnego położenia narodu, dla którego ją przeznaczono. Moja znajomość Polski jest zanadto powierzchowna, abym był zdolny ocenić zalety Konstytucji W. K. Mości z tego drugiego punktu widzenia, t. j. jako tyczącą się wewnętrznej sytuacji Rzeczypospolitei. Jest to dla obcego zawsze niebezpieczne, gdy podejmuje się takiego zadania. Sądzę jednak, że W. K. Mości w tym głównym punkcie nie zabrakło mądrości. Sądząc ją atoli z pierwszego punktu widzenia, jako system ułożony dla jednej z umiarkowanych arystokracyj Europy, znajduję w niej wiele rzeczy godnych podziwu. Niewątpliwie W. K. Mość działał jak Solon, i dał narodowi, jeżeli nie najlepsze prawa, które mógł ułożyć, to przynajmniej najlepsze, na jakie okoliczności dozwalały. Dobrze są one obrachowane, by powstrzymać rozrost tyranji, aby stopniowo oświecać ludność, tak, żeby zapobiedz jej powstaniom, i dla pobudzania przemysłu przez ochronę jego; ochrona przemysłu jest twórcą wszelkich zalet i niezawodną rękojmią wewnętrznego spokoju i szczęścia w narodzie. Jeżeli wewnętrzny spokój i szczęście są należycie zabezpieczone, to zewnętrzny i powszechny spokój będzie koniecznem następstwem. Żadne twierdzenie, według mojego mniemania, nie jest prawdziwsze, aniżeli to, że gdyby lud w Europie był oświecony, choćby w umiarkowanym stopniu i miał odpowiedni udział w rządzie — to wojen więcej by nie było.

"Tyranje Europy, czyto cywilne, czyto kościelne, są wszystkie arystokratyczne i feudalne — oparte na systemie, który, w swojem pierwotnem ustanowieniu, był godnym podziwienia, ale wskutek zmiany okoliczności stał się wstrętnym. Arystokracja w czystem, pierwotnem znaczeniu tego słowa, jest bezwątpienia wrodzona człowiekowi, i wszystkie rządy, mniej lub więcej, muszą mieć coś z nią wspólnego; ale powinna to być arystokracja cnót i talentów, a nie dziedziczna duma, głupota i przywara. Aby dojść, jak można najbliżej, do tej doskonałości, powinno się tak często, jak możliwe, odwoływać do sądu wielkiej masy narodu a znajomość rządu względnie własny interes narodu nauczy go i pobudzi, aby wyznaczać na urzędy tylko takich ludzi, którzy posiadają odpowiednie zdolności, by być wykonawcami woli ogółu. Każda ludzka istota interesuje się rządem, pod którem żyje; byłoby pożądanem, aby każda ludzka istota posiadła znajomość własnych spraw. Im bliżej możemy dojść do tej doskonałości, tem lepiej, jakkolwiek nigdy nie można osiągnąć jej całkowicie. Powinniśmy jak można najwięcej pomnażać środki oświaty; skoro ludzie nie nabrali dostatecznego stopnia wiadomości, aby być czynnymi obywatelami, to, w takich wypadkach, niech owa niedostateczność pozostanie tam, gdzie natura ją umieściła, t. j. przy braku zdolności rozumienia prawd, przedkładanych umysłowi. Tacy ludzie, zaiste, nie powinni mieć udziału w rządzie. W dobrze urządzonem społeczestwie nie będą oni nigdy dosyć liczni, aby zaburzać jego porządek. — Obawiam się, że mój list docho-

dzi do nieprzyzwoitej długości, jeśli weźmiemy pod uwagę doniosłość spraw, które zajmują czynne chwile W. K. Mości. Gdybym wiedział, że moje uwagi są dosyć ważne, by uzyskać przebłaganie za moją natrętność, podpisałbym się z takiem zaufaniem, z jaką to obecnie czynię szczerością, kreśląc się, Najjaśniejszy Panie,

"W. K. Mości gorący wielbiciel
"i powolny i pokorny sługa
"J. BARLOW.

"Do J. K. Mości
"Króla Polskiego."

Na tym liście, pochodzącym również ze zbiorów dra. Kahanowicza, prawdopodobnie nie urwała się jeszcze korespondencja między Stanisławem Augustem a Barlowem, gdyż właśnie wyszedł z pod prasy nowy poemat poety p. t. "The Conspiracy of Kings". Wprawdzie treścią jego był atak na koalicję rządów europejskich przeciwko rewolucyjnej Francji, ale poeta wplótł w zakończenie wiersza pochwałę dla Stanisława Augusta, "mędrca z berłem w ręku", i świeżo ogłoszonej przez niego Konstytucji 3-go Maja. Pierwsze wydanie "The Conspiracy of Kings" pojawiło się w Londynie w r. 1792 i niechybnie autor przesłał zaraz swe dzieło ukoronowanemu przyjacielowi, o którym pisał:

"In northern climes, where feudal shades of late
"Chill'd every heart and palsied every state,
"Behold, illumin'd by th' instructive age,
"That great phenomenon, a sceptred sage.
"There Stanislaus unfurls his prudent plan,
"Tears the strong bandage from the eyes of man,
"Points the progressive march, and shapes the way,
"That leads a realm from darkness into day"
(Z "The Political Writings of Joel Barlow", N. Y., 1796.)

Przyjazne usposobienie poety ku Polsce przetrwało jej polityczne istnienie. Pozostało kilka drobnych śladów, wskazujących, że z Polakami w Paryżu — gdzie sam przeżył szereg lat, — utrzymywał życzliwe stosunki nawet i znacznie później. Znał osobiście Kościuszkę i żył z nim zapewne w bliskiej przyjaźń, jak świadczy wzmianka Barlowa w liście do Roberta Fultona, wynalazcy parowca, któremu pisał z Paryża 13 termidora (31 lipca) 1802:

"Mam pojutrze być na obiedzie u państwa Hotingerów na wsi i mam wstąpić po Kościuszkę, który mieszka w połowie drogi".

A więc widocznie byli z sobą na zażyłej stopie.

W "Kolumbiadzie", obszernym, choć niezbyt szczęśliwym eposie rewolucji amerykańskiej, przerobionym z "Widzenia Kolumba", Barlow poświęcił następujący osobny ustęp bohaterowi dwuch światów:

"Tho' Austria's tyrant and the Russian Czar
"To dungeons doom them, and with fetters mar,

"'Fayette, o'er Gaul's vast realm, some light shall spread,
"Brave Kościuszko rears Sarmatia's head..."

Znał Barlow i innych Polaków paryskich. W liście do żony, bawiącej na kuracji w Plombieres, pisał z Paryża 11-go floriala (2 maja) 1802:

"Dziś wieczór jestem zaproszony do pani Merińskiej (?) dla uczczenia rocznicy polskiej konstytucji, która oddawna przestała istnieć."

Nie była więc Barlowowi obcą Polska, do której teraz jechał pospiesznie, aby stawić się czemprędzej w Wilnie i uzyskać podpis Francji na traktacie, tak ważnym dla swej ojczyzny. Dzięki towarzyszącemu mu Tomaszowi Barlowowi przechował się dotychczas w korespondencji ciekawy opis ich podróży, która miała skończyć się tak tragicznie dla poety.

Listy Tomasza, bardzo drobiazgowo opisujące wspólne ich przejścia i spostrzeżenia w niezwykłej chwili dziejowej, zawarte są w dziele: "Life and Letters of Joel Barlow", napisanem przez Karola Burr Todda (Nowy Jork, 1886) i stamtąd wyjęte są poniższe ustępy.

Z Królewca około 11-go listopada 1812 Tomasz Barlow donosił, że przybyli tam "po całodziennej jeździe wzdłuż brzegów Bałtyku... Stryj czuje się zupełnie dobrze i choć jechaliśmy przez większą część czasu od chwili wyjazdu z Paryża, dniem i nocą, sądzę, że żaden z nas nie czuje większego zmęczenia, jak wtedy, kiedyśmy poraz pierwszy weszli do powozu. Prawie nie mieliśmy odtąd dnia bez deszczu, skutkiem którego drogi stały się bardzo złe, a noce ciemne i nieprzyjemne. Powietrze było bardzo umiarkowane i mieliśmy tylko raz przymrozek i lód — w nocy po wyjeździe z Frankfurtu..."

Sam poeta w liście do panny Baldwin, siostry żony, donosił z Królewca 12-go listopada 1812:

"...Gdyby nie moje niezwykłe zdrowie i duch, podróż byłaby straszną. Patrjotyzm mój zmusił mnie do przyśpieszania podróży... Drogi prawdopodobnie nie były nigdy tak zniszczone od czasu wojen Wittekinda i Karola Wielkiego (Barlow postępował drogą armji Napoleona) a ciemniejszych nocy nie zdołałabyś stworzyć, ani też wyprosić z nieba wszelkiemi modlitwami takich nieustannych deszczów. Osiem takich nocy byliśmy w drodze, cztery jedna po drugiej, a potem trzy z rzędu. Przez trzy inne noce byliśmy na postoju, począwszy od północy, a zaraz o świcie ruszaliśmy dalej. Najgorsze było to, że powszechność i wielka ilość błota nie dozwalały mi wychodzić z powozu, aby przejść pod górę lub z góry. Nawet wnętrza stacyj pocztowych, do których wchodziłem raz na dzień dla wypicia gotowanego mleka, były często za brudne dla moich pięknych, czystych butów, których zwykła pozycja na długiej wełnie mojej skóry owczej, rozłożonej na spodzie powozu, wymagała stanowczo utrzymania ich w czystości. Tak więc moje położenie w pięknym, silnym, wygodnym powozie

(który jeszcze ani myśli o rozleceniu się pomimo jedenastu set mil ciągnięcia, szarpania, podskakiwania, kiwania się, kamieni i błota) było monotonne, ale znośne..."

Dnia 20 listopada 1812 Tomasz pisał już z Wilna: "Przybyliśmy tu 18-go, w trzy tygodnie po wyjeździe z Paryża... Pisałem Wam z Królewca, że nie mieliśmy mrozów, ale zaraz tego samego wieczora powietrze nagle zmieniło się i następnego dnia, kiedyśmy wyjeżdżali, ziemia była zamarznięta dostatecznie, by utrzymać nasz powóz. Mróz trwał bardzo silny przez kilka dni i pokrył lodem wszystkie rzeki; ale teraz jest umiarkowany i mieliśmy trochę śniegu. W pierwszym dniu po nastaniu mrozu drogi były pełne grudy, ale wkrótce stały się gładkie, gdyż wielka liczba wozów przejeżdża do armji i od armji; teraz zaś są o wiele lepsze niż przed mrozami... Nasza droga po wyjeździe z Królewca biegła wzdłuż rzeki Pregoli, przez którą przeprawialiśmy się cztery, czy pięć razy. Przejechaliśmy przez Gombin, miejscowość, w której Cesarz zatrzymał się przez dzień lub dwa i wydał kilka rozkazów. Wkrótce po wyjeździe z tej miejscowości, znaleźliśmy się w Polsce, w tej części, która należy do króla Saskiego, i tu zaczynamy uważać różnicę w wyglądzie i zwyczajach mieszkańców. Żyją oni przeważnie w chatach z nieociosanych kłód i zdradzają największe ubóstwo; brak jednak żywności w drodze nie był tak wielki, jak spodziewaliśmy się, gdyż znaleźliśmy wszystko potrzebne do jedzenia i picia. Dotychczas zawsze mieliśmy łóżka, gdziekolwiek zatrzymywaliśmy się na noc, ale teraz zaczynają one być niemodne, wobec czego musimy ścielić sobie legowisko ze słomy, o ile szczęście posłuży nam znaleźć ją gdzie. Przeprawiliśmy się przez Niemen w Kownie rankiem 17-go listopada. Dojechaliśmy do mostu w nocy, a ponieważ rogatka była już zamknięta, musieliśmy spać w naszym powozie na moście. — Most ten jest nowy, zbudowany z drzewa, a wykończono go zaledwo dwa tygodnie temu. Kowno jest pierwszem miastem, które trafiliśmy w Rosji, a raczej w tej części kraju, która należała do Rosji przed obecną wojną. Jest ono pełne żołnierzy, a, oprócz należących do miejscowej załogi, spotkaliśmy wielką liczbę chorych i rannych żołnierzy, wracających z armji. Po drugiej stronie rzeki, między Kownem a Wilnem, kraj jest wszędzie zniszczony i wiele domów leżą w gruzach. Ludność wygląda bardzo uboga i nieszczęśliwa, gdyż chaty jej są tak otwarte, że wystawiają mieszkańców na śnieg i deszcz. Ziemia nie jest uprawna i w części pokryta modrzewiem i sosną. Konie wzbudzają taką samą litość, jak ludzie, gdyż wyglądają jeszcze gorzej i widzieliśmy ich setki leżących bez życia po drogach. Kiedy zbliżaliśmy się do Wilna, widzieliśmy drogę, nieraz na milę długości, zapchaną wozami, naładowanymi odzieżą i żywnością dla armji. Im bliżej miasta, tem ciżba stawała się większą, a po przedostaniu się za bramy, zastaliśmy ulice tak przepełnione wozami, naładowanymi ciężarami, chorymi i rannymi żołnierzami, że o całą godzinę lub dwie spóźni-

liśmy się do zajazdu, w którym stoimy... Wilno liczy około 37,000 mieszkańców i niektóre jego części są porządnie zabudowane, ale zapewnienie sobie środków utrzymania życia jest prawie niemożliwe. Cesarz spodziewany jest tu za kilka dni i jest możliwe, że miasto to będzie jego główną kwaterą podczas zimy".

"Polacy wyglądają na bardzo wesoły i ruchliwy naród, ale nie mają pojęcia jak żyć, a domy ich przedstawiają się nie lepiej, niż szałasy naszych dzikich na zachodzie", pisał znowu Tomasz Barlow 22-go listopada 1812.

"Noszą oni powszechnie długie włosy i brody, ubierają się w skóry wełniane i mają czapki futrzane dziwnego kształtu... Kowno jest znacznem miastem, ale mieszkańcy wyglądają bardzo biednie i nędznie i, razem z chorymi i rannymi żołnierzami, których tu jest pełno, przedstawiają przykry widok. Był to jednak dopiero początek sceny, gdyż potem widzieliśmy takie obrazy nędzy i nieszczęścia, że nawet opis ich przyprawiłby Was o mdłości. Kraj jest wszędzie spustoszony, wiele domów są spalone, inne w połowie pozbawione dachów, a nieszczęśni mieszkańcy są wystawieni na śnieg i deszcz; ale było to jeszcze niczem w porównaniu z widokiem chorych, umierających i zmarłych żołnierzy, jaki mieliśmy w drodze. Co kilka prętów (rods) napotykaliśmy na zdechłe konie, a niektóre padły właśnie i zdechały. Widok biednych żołnierzy, pół nagich, pełzających ku domom i proszących o schronisko, aby mogli umrzeć pod dachem i nie musieli zostawać na ulicy, był wstrząsający, zdarza się to jednak co dzień wzdłuż dróg, a jak mi mówią, nawet w tem mieście. Nigdy dotychczas nie znałem prawdziwej nędzy i nieszczęścia... Wiecie, jak przypuszczam, że Cesarz ustąpił z Moskwy. Rosjanie mają armję po obu jego bokach, i próbują odciąć mu odwrót, ale przypuszczalnie zdoła on ich odeprzeć; na razie jednak wszelka komunikacja między nim a tem miastem jest odcięta".

Dnia 29 listopada 1812 młody Barlow donosił dalej z Wilna: "Jesteśmy w hotelu, który został zarezerwowany dla zagranicznych posłów i gdzie kilku z nich mieszka. Duński poseł, który jest bardzo miłym człowiekiem, mieszka na tem samem piętrze, co my, i jemy przy tym samym stole. Wilno jest o wiele większe i ładniejsze miasto, niż sobie wyobrażałem. Domy są przeważnie z kamienia, a niektóre kościoły są bardzo piękne. Miasto położone jest w dolinie a tuż pod bramami jego płynie Wilja, mała, rwąca rzeka, która dostarcza znakomitych ryb. Wzgórza ze wszech stron są bardzo wysokie, a niektóre są ukoronowane ruinami starych baszt lub obwarowań, co wygląda prawdziwie romantycznie. Ze szczytów niektórych z tych gór przedstawiają się najpiękniejsze widoki, jakie kiedykolwiek widziałem. Widać całe miasto i całą okolicę... Wczoraj kurjer przyjechał od Cesarza; jest on pierwszym od jakich dwuch tygodni. Mamy wiadomość, że cesarz stoczył potyczkę z Rosjanami i że zmusił ich nieco do cofnięcia się; nie mamy jednak szczegółów, choć przypuszczamy, iż otworzył

sobie drogę, tak że przybędzie tu w ciągu tygodnia. Miasto jest już zapełnione wojskiem, tak że nie wiem, co zrobią z pomieszczeniem, gdy główna kwatera zostanie tu założona. Ciżba jest już teraz tak wielka, że ledwo mogę przejść przez ulice, aby nie narazić się na przejechanie, ale z pewnością za kilka dni będzie gorzej. Wojna ta ma być najbardziej niszczącą w dziejach nowożytnych i mógłbym Wam podać niejeden szczegół na potwierdzenie tego. Nie jest tu bardzo zimno, ale wszystko jest pokryte śniegiem, co przypomina mi zimę w Connecticut. Sądzę, że drogi są teraz bardzo dobre i spodziewam się, że nim zepsują się znowu, będziemy gotowi do powrotu."

Sześć dni czekał Barlow na sposobność zakończenia sprawy traktatu. Dnia 4-go grudnia wpadł do Wilna kurjer z wiadomością o klęsce Napoleona nad Berezyną i ucieczce cesarza ku Polsce. Natychmiast poseł amerykański rozpoczął przygotowania do wyjazdu, aby uniknąć cofającej się armji i następujących Rosjan.

Pod datą 13-go grudnia Tomasz pisał do stryjenki, zdaje się, już z Warszawy: "Cesarz przybył do Wilna dnia 6-go grudnia, dzień po naszym wyjeździe. Jest on obecnie w drodze do Paryża, dokąd, jak przypuszczam, przyjedzie przed tym listem, gdyż podróżuje nocą i dniem bez straży. Wyminął nas w drodze i zabawił w Warszawie tylko cztery godziny. Na szczęście, nie pozostaliśmy dłużej w Wilnie, gdyż, wedle doniesień, Rosjanie są już tam a droga między tem miastem a Wilnem nie jest już bezpieczna. Druga noc po naszym wyjeździe z Wilna była najzimniejsza, jaką pamiętam, a jechaliśmy całą noc bez wysiadania z pojazdu; termometr Fahrenheita stał na 13 lub 14 stopniach niżej zera, to jest 45 lub 45 stopni niżej punktu marznięcia. Nigdy jeszcze nie czułem tak siarczystego mrozu jak wówczas; trwało tak przez dwa dni, ale teraz powietrze jest już bardziej umiarkowane. Drogi są obecnie bardzo dobre, gdyż są pokryte śniegiem i gładkie. Przekroczyliśmy Niemen, tym razem w Grodnie, około 150 mil po tej stronie od Wilna, a ponieważ most był zniszczony, musieliśmy przejeżdżać po lodzie."

W parę dni później, 17-go grudnia 1812, Tomasz w liście do panny Klary Baldwin pisał:

"Przypuszczam, że już wiecie, iż przybyliśmy do Warszawy i teraz mogę donieść, kiedy wyjedziemy stąd do Paryża: będzie to jutro rano o godz. 4-tej. Pojedziemy przez Kraków, Wiedeń i Monachjum. Jest to nieco dalsza droga niż północna przez Drezno, ale drogi są o wiele lepsze a okolice ciekawsze, o ile, coprawda, może co kogo ciekawić w temperaturze 12 lub 14 stopni poniżej zera, jak pokazuje mój termometr od wielu dni. Zdaje mi się, że narazimy nasze nosy na odmrożenie, jeżeli wysadzimy je z powodu, aby oglądać okolicę podczas przejazdu. Pan Petry, który tu jest, będzie nam towarzyszył. (Był to urzędnik francuski i przyjaciel Barlowów.)... Ale zamiast opowiadać Wam, co będziemy widzieli, opowiem Wam lepiej, co widzieliśmy... Przeko-

nałem się z doświadczenia, że najlepiej, podróżując w Polsce, mieć lekki powóz, gdyż polskie konie, zwłaszcza na Litwie, nie są większe od szczurów, tak że trzeba znacznej ich ilości, aby mogły ciągnąć powóz. Na dowód prawdziwości tego opowiem, co zdarzyło się nam i duńskiemu posłowi w dniu wyjazdu z Wilna. Mieliśmy wyjechać razem o godz. 9-tej rano i zamówiliśmy konie na tę godzinę, osiem do jego powozu, a sześć do naszego, gdyż jego był cięższy. Duński poseł wyjechał a w kilka minut potem próbowaliśmy ruszyć za nim, ale nasze sześć koni nie mogły wyciągnąć nas z miasta; upadły na ulicę a nasz pocztyljon uciekł. Byliśmy aż do 3-ciej godziny na ulicach Wilna, nim dostaliśmy konie dosyć silne do pociągnięcia powozu. W końcu gubernator miasta przysłał nam 6 dobrych koni od artylerji, i wtedy mogliśmy już bardzo dobrze jechać. O godz. 5-tej, około 10 mil od Wilna, spotkaliśmy posła duńskiego u stóp małego wzgórza; do jego pojazdu było zaprzężonych 13 koni, a mimo to nie mógł ruszyć dalej. Pożyczyliśmy mu jeszcze trzy, co razem robi 16. Dopiero wtedy mógł wydrapać się na wzgórze, a że nie było więcej wzniesień gruntu aż do następnej stacji, podróżował bardzo dobrze... Książę Poniatowski jest tu obecnie, ranny. Dowodził on poprzednio 74 tysiącami ludzi, całą armją polską, z której podobno tylko tysiąc pozostał przy życiu. Widzimy wielu pułkowników, wracających całkiem bez żołnierzy. Ostatnie bitwy koło Berezyny były bardzo krwawe; nie mają one równych sobie w historji nowoczesnych wojen. Francuzi stracili prawie wszystkie konie a większość z nich została zjedzona przez armję. Żołnierze byli bardzo zadowoleni, gdy znaleźli zdechłe konie, takie, które może zdechły z głodu, gdyż mogli je zjeść. Oficerom powodziło się nie lepiej. Słyszałem, jak pewien oficer mówił, że widział żołnierzy, jak wycinali kawałki mięsa z żywych koni, bez zabijania ich, aby je zjeść".

W zbiorach dra. Kahanowicza znajduje się własnoręczny zapisek Joela Barlowa, bez podpisu i daty, dotyczący przejazdu Napoleona przez Warszawę. Ponieważ Tomasz Barlow wspomina, że cesarz wyprzedził ich podczas ucieczki z Wilna, widocznie więc poeta zebrał szczegóły doniesień, otrzymanych z drugiej ręki, i przygotował z nich szkic. Prawdopodobnie zamierzał użyć je do sprawozdania dla rządu w Waszyngtonie.

Epizod, opisany przez Barlowa, jest znany z wielu relacyj współczesnych świadków, jednakowoż, ze względu na jego ważność, jak i na osobę sprawozdawcy, warto powtórzyć notatkę Barlowa. Brzmi ona:

"Po ostatniej krwawej bitwie nad Berezyną cesarz schronił się do czworoboku bataljonu, zasłaniającego go przed kozakami, którzy wszelkiemi siłami starali się wziąć go do niewoli, wrzeszcząc: "Królu francuski, poddaj się". Skoro tylko spostrzegł, że nieprzyjaciel nie może go dosięgnąć, w wielkim pośpiechu i tajemnicy opuścił armję i pojechał w zamkniętej karecie, umiesz-

czonej na saniach, pod nazwiskiem marszałka Duroca. Wysłał kurjera do księcia Bassano w Wilnie, który wyjechał 2 mile na jego spotkanie, na wschód od Wilna.

"Po kilku minutach rozmowy z księciem kazał mu wracać do Wilna, dostawszy od niego eskortę z 4 jeźdźców, z którymi cesarz pojechał dalej przez południowe przedmieście Wilna, omijając samo miasto. Po pierwszym, czy drugim przystanku, gdy zmiarkował, że może uprzedzić wiadomość o swej ucieczce, odprawił eskortę i pojechał dalej przez Kowno do Warszawy, gdzie zjawił się 10 grudnia o 3 po poł. tylko w towarzystwie Caulaincourta i swego mameluka. Tu zatrzymał się i w odosobnieniu zjadł obiad w oberży hotelu Angielskiego. Posłał po prezydenta Rady Stanu, hr. Stanisława Potockiego, po ministra finansów oraz po francuskiego Ambasadora i tak do nich przemówił: "Nikt z nas nie mógł przewidzieć tego smutnego końca wojny, tak świetnie rozpoczętej. Może zasługuję na naganę za wyprawę do Moskwy. Było to wielkie i zuchwałe przedsięwzięcie. Wiem, że od wzniosłości do śmieszności jest tylko jeden krok, potomność mnie osądzi. Nie zostałem pobity przez nieprzyjaciela, ale nie mogłem pokonać żywiołów. W przeciągu kilku dni straciłem 36,000 żołnierza wskutek zimna. Francuskie i niemieckie konie oraz wojsko nie nadają się do tego klimatu. Aż do 6 listopada byłem panem Europy. Obecnie tak nie jest. Przez 12 dni wszelka moja komunikacja z Francją była przerwana. Słyszę, że Moskale knują w Niemczech, we Wiedniu, w Berlinie. Muszę dowiedzieć się, co się tam stało. Moja obecność przy mej armji nie była więcej potrzebna. Obecnie nie jest ona tak wielka, aby moi generałowie nie mogli nią dowodzić. Zatrzymam się godzinę w Dreźnie, by zobaczyć się z Waszym Królem, a potem dniem i nocą będę pędził do Paryża, gdzie wpadnę jak bomba o północy. Następnego poranka zadziwię miasto. Naród zostanie tak oszołomiony moim powrotem, że w Paryżu i całej Francji o niczem innem nie będą mówili i wszystko, co się stało, zapomną. Przygotuję 300,000 świeżego wojska, pomaszeruję na przyszłą wiosnę i zmiażdżę Moskali. Jestem nadzwyczaj zadowolony z polskiego wojska. Żadne inne nie dorównuje mu w odwadze, wytrwałości i karności. Francuska armja straciła swą dyscyplinę. Nie poznaję jej więcej, bo nie jest tem, czem była poprzednio. Możecie polegać na mej protekcji. Nigdy Was nie opuszczę."

"Tego samego dnia o 6 wieczorem cesarz odjechał."

Barlow z bratankiem i Petrym wyjechali z Warszawy dopiero 18-go grudnia. Wnet jednak poeta zaczął zdradzać objawy poważnej choroby. Zimno i trudy pospiesznej podróży przyprawiły go o zapalenie płuc. W Żarnowcu, w ziemi kieleckiej, stan poety stał się tak groźnym, że towarzysze podróży postanowili zatrzymać się i wezwać pomocy lekarskiej. Gościnny dom miejscowy udzielił Amerykanom schronienia. Wezwano lekarza, otoczono chorego wszelką możliwą pomocą. Było to jednak wszystko już spóźnione i daremne. W kilka dni potem, dnia 26-go grudnia 1812 (a nie

24-go, jak podają bjografie amerykańskie), Barlow wyzionął ducha na ziemi polskiej.

Szczegóły śmierci poety podaje list Klary Baldwin do żony prezydenta Madisona, datowany z Paryża 16-go lutego 1813, widocznie na podstawie ustnej relacji Tomasza Barlowa:

"Cierpienia jego po wyjeździe z Wilna od silnego mrozu, wielkich mas śniegu i z braku choćby lichej chaty jako schroniska na nocleg, zmusiły go do ciągłej podróży i żywienia się w tym czasie zmarzłym chlebem i picia zamarzniętego wina, — rozmiary listu nie pozwalają mi na opisanie wszystkiego; tylko nieliczne natury, niezwykle silne, mogłyby to znieść bezkarnie. Choroba zmusiła go do zatrzymania się w Żarnowcu, koło Krakowa, w Polsce, i tu, poraz pierwszy od czasu wyjazdu z Warszawy, znalazł dobry dom, dobre łóżko, grzeczną i troskliwą rodzinę, oraz wszelkie wygody, jakich wymagało jego położenie, z których braku musiał podróżować, choć nie mógł; było to jednak zapóźno; choroba okazała się zapaleniem płuc, które oddawna opanowało jego organizm i ostatecznie, po kilku dniach cierpienia, położyło kres jego pożytecznemu życiu. Było pragnieniem i zamiarem Tomasza Barlowa, który był z nim, aby zabalsamować ciało i przewieźć je do Ameryki przez Gdańsk, lub zabrać je z sobą; ale los zrządził inaczej. Kozacy zajmowali okolicę, którą pustoszyli ogniem i mieczem, nie oszczędzając ani wieku, ani płci, ani stanu, i Tomasz spodziewał się pojawienia ich w każdej chwili. Pozostanie dłużej zagrażało jego życiu a góry śniegu uniemożliwiały mu wywiezienie ciała z sobą. Z największem więc niebezpieczeństwem i trudnością sam uciekł ze służącym..."

Pogrzebem Barlowa zajęła się prawdopodobnie gościnna rodzina polska. Ciało autora "Kolumbiady" spoczęło na cmentarzu w Żarnowcu. Kosztem wdowy wzniesiony został potem nagrobek kamienny.

Pragnąc dowiedzieć się o obecnym stanie grobu Barlowa, odniosłem się z zapytaniem do Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Bohaterów z siedzibą we Lwowie. Poszukiwania, jakie towarzystwo to podjęło, były zrazu bez wyniku. Z pomnika nie było już śladu oddawna. Jednakowoż wytrwała praca p. Marjana Webera, prezesa, i p. Józefa Białynia Chołodeckiego, wiceprezesa Towarzystwa, została wkońcu uwieńczona pomyślnym skutkiem. Przy pomocy władz miejscowych w kruchcie kościoła żarnowieckiego po prawej stronie przy głównem wejściu znaleziono tablicę pamiątkową, prawdopodobnie też ufundowaną przez wdowę, z następującym łacińskim napisem:

"Joel Barlow plenipotens Minister a Statibus unitis Americae ad Imp. Gallorum et Reg-Italiae Itinerando hicce obiit 26. Decembris 1812 Annos Natus 56". (Joel Barlow, pełnomocny minister Stanów Zj. Ameryki przy cesarzu Francuzów i królu Włoch, zmarł tu w podróży 26 grudnia 1812, przeżywszy 56 lat.)

W księgach parafjalnych przechował się następujący "akt zejścia" Barlowa:

"Roku 1812 dnia 26-go miesiąca grudnia o godzinie pierwszej popołudniu. Przed Nami księdzem komendarzem Parafji Żarnowieckiey, Urzędnikiem Stanu Cywilnego Gminy Miasta Żarnowca Powiatu Pileckiego w Departamencie Krakowskim stawili się Urodzony Jegomość Pan Jan Blaski pocztmayster Y Burmistrz policyi Gminy Żarnowieckiey w Żarnowcu zamieszkały lat trzydzieści y sześć liczący y Idzi Baiorkiewicz na gospodarstwie dwóch kwart roli osiadły w Żarnowcu zamieszkały lat trzydzieści trzy liczący y oświadczyli Nam, iż dnia yak wyżey Miesiąca y roku bieżącego o godzinie dwunastey w południe w domu pod Liczbą jeden Umarł Jaśnie Wielmożny Pan Joel Barlow Minister pełnomocny od Stanów Amerykańskich przy Cesarzu Francuzów y Królu Włoskim podrużuiący z Warszawy do Paryża lat pięćdziesiąt sześć liczący Syn niewiadomych rodziców, a Mąż Jaśnie Wielmożney Małgorzaty z Baldwinów w Mieście Amerykańskim Ridgefild zwanym zamieszkały. Poczym Akt ninieyszy po przeczytaniu Onego stanowiącym wraz z Świadkami podpisaliśmy. Xiądz Stanisław Boiarski Urzędnik Stanu Cywilnego Jan Blaski świadek Idzi Baiorkiewicz świadek".

Pomnik na grobie Joela Barlowa, wedle opowiadań starych mieszkańców, rozsypał się przed 50 laty, wobec czego dokładne oznaczenie miejsca grobu jest trudne, tembardziej, że w ostatnim pół wieku trzykrotnie nawożono ziemią błotnisty cmentarz w celu podwyższenia tegoż powierzchni. W miejscu, gdzie spoczął Barlow, grzebano już i innych zmarłych. Jednakowoż Polskie Tow. Opieki nad Grobami Bohaterów i miejscowe władze, przy pomocy starych mieszkańców, zdołały z możliwą dokładności oznaczyć miejsce grobu.

* * *

Jesienią 1813-go roku wdowa z siostrą i Tomaszem wróciła do Stanów Zjednoczonych i zamieszkała w Kaloramie, siedzibie poety pod Waszyngtonem. Na posiadłości tej zbudowała grobowiec rodzinny, w którym niedługo później sama spoczęła. Miejsce na prochy poety pozostało w nim próżne. Ani dzieła literackie, ani tragiczna śmierć w służbie narodowej nie uratowały go od zwykłej kolei ludzkiej — zapomnienia.

Utworów jego, które ongiś wywoływały zachwyt ostatniego króla polskiego, dzisiaj już nikt nie czyta. Śmiertelne szczątki poety pozostały w dalekiej ziemi polskiej — i o nich zapomniała potężna i bogata jego ojczyzna.

XII

Ameryka a Powstanie Listopadowe

Dzisiaj przy pomocy telegrafu bez drutu otrzymujemy depesze z Europy w ciągu niecałej minuty.

Ale rok 1830-ty nie należał jeszcze do wieku elektryczności.

Wiadomości wędrowały wtedy powoli, z ust do ust, tygodniami i miesiącami, nim obeszły dokoła glob ziemski.

To też pierwsza wieść o nocy listopadowej w Warszawie i wybuchu powstania polskiego przeciw Rosji nadeszła do Ameryki dopiero w pierwszych dniach lutego 1831, a więc w przeszło dwa miesiące po wypadku.

Przywiózł ją do Nowego Jorku z Anglji okręt pocztowy "Sovereign" pod kapitanem Champlin.

Pierwsze wiadomości, jakie publiczność amerykańska czytała o powstaniu, były to przedruki z gazet londyńskich. Przedruki te były pełne życzliwości i entuzjazmu dla sprawy polskiej — bo gdzież ona nie wzbudzała wówczas współczucia? Toć nawet poeci niemieccy piali hymny pochwalne na cześć Białego Orła i polskich żołnierzy!

Ale najżywsze i najszczersze sympatje wzbudziły wieści te, poza Francją, chyba tylko w Ameryce.

Gazety ówczesne są tego dowodem. Cieszyło je każde zwycięstwo polskie, smuciło każde niepowodzenie. Wzdychały o nowych Kościuszków i Sobieskich, a ciskały gromy na "kałmuckiego zbója" z iście republikańskiem oburzeniem. Z zapałem raz po raz zapewniały, że Polska jest najbliższą sercu Amerykanów i unosiły się nad bohaterstwem armji polskiej.

"Zwycięstwo Polaków będzie tryumfem wolności" — zapewniał naprzykład "New York Whig", porównując wodzów powstańczych do Waszyngtona. Wtórowały "Whigowi" inne gazety, skwapliwie objaśniając swych czytelników, jak należy wymawiać nazwiska polskie. Najwięcej trudności pod tym względem zdawał się przedstawiać Skrzynecki.

"Mniejsza z tem, czy wymawia się Skrejenetski, czy Skershenetski, czy Skrinyetski", rozstrzygała spór jedna z gazet — "dość, że nazwiska polskie kończą się niebiańsko (tj. na ski, sky—niebo) i znamionują podobłoczny pęd narodu".

Nazwiska moskiewskie padały ofiarą zupełnie przeciwnych uczuć. Tak naprzykład jeden z dzienników nowojorskich nadał Dybiczowi Zabałkańskiemu po jego ucieczce za Bug wcale trafnie i dowcipnie dobrany nowy przydomek: "Za-bug-run-across-ski".

Poezja również stanęła na usługi zapału amerykańskiego dla powstania i z niejednej pożółkłej i spleśniałej karty starych czasopism przemawia do nas strofami, czasem silnemi, częściej skromnemi, nieraz nawet zalatującemi wierszoklectwem, zawsze jednak miłemi nam w swem uniesieniu dla Polski.

Sama obfitość informacyj o powstaniu w prasie amerykańskiej świadczy o wielkiem niem zainteresowaniu, gdyż całemi szpaltami podawano relacje o wypadkach w Polsce, pomimo bardzo skromnych rozmiarów ówczesnych gazet.

Informacje te obejmowały obszerne sprawozdania z bitew i wydarzeń w Warszawie, przeważnie na podstawie prasy polskiej, raporty wodzów polskich, odezwy rządu narodowego, wyjątki z listów prywatnych, życiorysy wodzów i cywilnych kierowników powstania.

Mimo braku jakichkolwiek udoskonaleń prasowych, informacje te są tak dokładne, że pod tym względem współczesna prasa amerykańska ani się do tamtej nie umyła. Ze starych roczników któregokolwiek ówczesnego dziennika amerykańskiego możnaby odtworzyć niemal kompletną historję powstania listopadowego.

Żywe uczucia, wyrażane przez prasę, podzielali także obywatele.

Świadczy o tem chociażby rezolucja, uchwalona przez radę aldermanów miasta Nowy Jork w dniu 23-go maja 1831, po otrzymaniu wiadomości o rozbiciu korpusów Dybicza przez Skrzyneckiego pod Dobrem i świętnem zwycięstwie Dwernickiego pod Stoczkiem. Rezolucja ta brzmi:

"Ponieważ dzielna obrona praw przez obywateli Warszawy i armję polską wywołała uczucia najgorętszego podziwu w każdym wolnym i kochającym wolność człowieku; przeto

"Uchwalamy, aby powinszowania w imieniu naszego miasta zostały złożone Warszawie i bohaterskiej armji, która ją broniła— z zapewnieniem, że nasze życzenia ich ostatecznego zwycięstwa są jak najgorętsze i najszczersze; że nie zapomnieliśmy, iż szlachetny Pułaski oddał życie za nas w naszej walce o wolność, a czcigodny Kościuszko znalazł między nami tymczasowy przytułek, gdy uszedł z uciskanej Polski."

Zapał dla sprawy polskiej ogarniał nowojorczan. Polska była na ustach wszystkich. "New York Whig" z dnia 24-go maja 1831 — a więc już w następny dzień po uchwale rady miejskiej — zamieścił odezwę gromadki gorętszych polonofilów, krótką, ale dostatecznie odzwierciadlającą nastrój chwili:

"Sprawa, za którą walczy dzielny naród polski, zbyt żywo przemawia do uczuć Amerykanów a ostatnie świetne zwycięstwa, które uwieńczyły jego święte wysiłki, wywołały taki dreszcz radości w naszem mieście, że, zdaniem niżej podpisanych, usprawiedliwia to potrzebę publicznej manifestacji naszych uczuć. Dlatego też niżej podpisani ośmielają się prosić wszystkich tych współobywateli, którzy zechcieliby zjednoczyć się z tym wyrazem publicznego głosu, aby zebrali się w Merchants Exchange w poniedziałek wieczór o godz. 7:30".

Odezwę tę podpisali: Nathaniel Prime, poważny pastor presbiterjański; John Duer, późniejszy naczelny sędzia najwyższego sądu stanu Nowy Jork; James G. King, filantrop, kupiec i prezy-

dent kolei New York and Erie; oraz Richard M. Lawrence, Ino Griswold, Jon. Goodhue, Elisha Tibbits, F. Sheldon, M. C. Patterson, Charles H. Russell, George Griffin, John Rathbone, jr., R. Riker, David B. Ogden i B. Rolinson, wybitni mieszkańcy Nowego Jorku.

Z nieznanych powodów odezwa ich nie wywołała iskry czynu a przynajmniej nie zdołała zapoczątkować demonstracji na większą skalę. Tak przynajmniej sądzićby można z listu do redakcji "New York Whig" z dnia 17 czerwca 1831.

"Każdy okręt" — pisze anonimowy autor listu, podpisany Civis — "przywozi nam świeże nadzieje na ostateczny tryumf sprawy polskiej. Wedle ostatnich doniesień, armja rosyjska znajduje się w pełnym odwrocie a dzielni Polacy ścigają ją. Widzimy całe pułki składające broń, a sprawę wolności zataczającą coraz szersze kręgi, nietylko od bieguna do bieguna (gra słów: "not only from Pole to Pole"), ale i między samymi Rosjanami. A jednak wielkie miasto Nowy Jork dotychczas nie dało publicznego wyrazu swej radości — liczni jego mieszkańcy nie powstali i nie podnieśli radosnego okrzyku. Z pewnością, że mamy środki do tego. Czyżby brakło nam woli? Czyż nie współczujemy z tym bohaterskim narodem, który teraz stoi wobec świata, pozbawiony wszelkiej pomocy, w obronie swych praw — w obronie swej świętej i drogiej wolności? Gdybyśmy przeciwnie czuli, nie bylibyśmy patrjotycznymi synami Nowego Amsterdamu, którzy współczują, którzy cieszą się wspólnie z nieszczęśliwą Polską i są gotowi nazwać braćmi jej synów. Dlaczego nie wykażemy naszego ducha publicznego — dlaczegoż nasi przywódcy śpią w tej chwili działania? Niechaj obudzą się ze swego letargu, niechaj zwołany zostanie wiec publiczny, niechaj każdy dobry obywatel przyłączy swój głos do głosu powszechnej radości ze szczęśliwego wyzwolenia Polski z rąk bezdusznych barbarzyńców".

Piękny, wzruszająco piękny list. Ale i on przebrzmiał, zdaje się bez silniejszego echa. Nowy Jork, bez wątpienia, kochał wówczas Polskę i łowił ciekawem uchem wieści z nad Wisły. Ale potrzebował, widać, silniejszego bodźca, aby wyrwać się z odmętu powszednich zajęć i poświęcić trud Polsce.

Uczucia jednak nie gasły. Na dorocznym bankiecie obywatelstwa w Dniu Niepodległości, wśród wielu innych zwykłych toastów, nie zapomniano o poświęceniu osobnego toastu Polsce. Wzniósł go radny miejski Strong w słowach: "Na cześć Polski, kraju bohaterów, ojczyzny dzielnych — oby promień wolności, rozniecony przez Kościuszkę, rozświecił drogę jego walecznym ziomkom do zwycięstwa i sławy!"

Podobnie w innych miastach amerykańskich wiwatowano w tym dniu na cześć Polski. W Buffalo, N. Y., obywatele po paradzie zebrali się w Buffalo House i na bankiecie, nieodłącznym przy takiej uroczystości, wśród toastów na cześć Waszyngtona, prezydenta Stanów Zjednoczonych, armji i floty, świeżej rewolu-

cji francuskiej, wznieśli też toast na cześć narodu polskiego: "Oby zwycięstwo uwieńczyło jego walkę za świętą sprawę wolności!" Jednym z wiceprzewodniczących bankietu buffaloskiego był Millard Fillmore, późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych.

"United States Telegraph" z 19-go lipca 1831 podaje opisy uroczystości 4-go lipca 1831 w rozmaitych miejscowościach. Prawie żadna z tych celebracyj narodowych nie obyła się bez toastu na cześć Polski. I tak, na bankiecie w Columbia, S. C., toast wychwalał dzielność Polaków a powstanie uznawał za słuszną sprawę. W Richmond, Va., toast na cześć "dzielnych Polaków" opiewał: "Sprawa ich jest chwalebną sprawą wolności i praw człowieka — muszą oni zwyciężyć!" W Lexington, Ky., toast brzmiał: "Na cześć ojczyzny Kościuszki, szlachetnie walczącej przeciw armjom tyranji, ożywia ją duch wolności i ostateczny tryumf musi być jej!"

Na zakończenie roku szkolnego w Kolegjum Waszyngtona, Harlehigh Buckland z East Windsor, Conn., wygłosił mowę p. t. "The Prospects of Poland".

Boston, Ateny amerykańskie, pierwszy z miast Unji zdobył się na czyn dla Polski może niekoniecznie praktyczny, ale, w każdym razie, wielce wymowny. Młodzież bostońska postanowiła ofiarować armji polskiej sztandary w dowód swych dla niej uniesień.

Inicjatywa w sprawie daru wyszła od bostońskiego Towarzystwa Młodzieży na licznem zebraniu jego w dniu 13-go czerwca, 1831. Po mowach na cześć Polski i Polaków zebrani, wśród ogólnego zapału, przyjęli jednogłośnie następujące rezolucje:

"Postanawiamy, że, jako ludzie wolni i jako Amerykanie, pragniemy gorąco obalenia despotyzmu i rozszerzenia się wolności po całym świecie; że uważamy każdy krok, zdobyty przez zasady wolnościowe, jako nowe zabezpieczenie istniejących wolnych urządzeń, i że wierzymy, iż prawdziwa kultura, pomyślność i szczęście całego społeczeństwa są nieodłącznie zależne od wolnej formy rządu.

"Postanawiamy, iż uznajemy wielką zasadę, uświęconą krwią naszych przodków, iż wola narodu powinna być prawem kraju; że nie uznajemy żadnego prawa, jak tylko takie, które wypływa z dobrowolnej zgody albo sprawiedliwego podboju narodu dla ograniczenia władzy zwierzchniczej lub wykonania jej przez inne narody; i że uważamy panowanie, rozciągnięte przez Rosję nad Polską, zarówno w swem pochodzeniu jak i w swem trwaniu za zbrodnicze pogwałcenie przyrodzonego i krajowego prawa, bezprzykładne w dziejach nowoczesnych.

"Postanawiamy, że serdecznie czcimy pamięć służby rewolucyjnej synów Polski dla naszej ojczyzny; i że, pobudzeni tem uczuciem, wobec ostatnich walk i obecnego położenia Polaków, uważamy za wskazane wyrazić nasze współczucie dla ich cierpień — nasze przywiązanie dla ideałów, za które walczą — i, bez

względu na wynik, nasz podziw dla ich wielkodusznej obrony swych swobód. A że jesteśmy przekonani o stosowności wysłania jakiegoś dowodu tych uczuć,

"Dlategoteż, postanawiamy, iż Komitet z 50-ciu, który ma składać się z młodzieży ze wszystkich ward miasta, zostanie wyznaczony celem zebrania składek na zakupno Dwuch Sztandarów z odpowiednimi dodatkami, i że sztandary te możliwie najprędzej będą wysłane z odpowiednim adresem do narodu polskiego; że pojedyńcze ofiary mają być ograniczone do 50 centów; że adres ten ma być przygotowany wedle polecenia obecnego zebrania i że zebranie to ma być ponownie zwołane gdzie i kiedy powyższy Komitet wyznaczy."

W trzy miesiące potem sztandary były już gotowe i z początkiem września odbyła się ceremonja poświęcenia ich. O ile wnioskować można z opisów ówczesnej prasy, był to jeden z najuroczystszych dni i z pewnością największa demonstracja na cześć Polski w historji starego Bostonu.

Bataljon lekkiej piechoty i dwie kompanje armji Stanów Zjednoczonych pod komendą kapitana Fraziera poprowadziły niezwykle tłumny pochód obywateli od State House przez główne ulice miasta do Faneuill Hall, bostońskiej "kolebki wolności". Tam w szczelnie przepełnionej hali, która zdołała pomieścić zaledwie część pochodu, rozpoczął się obchód. Otworzyła go Brigade Band odegraniem pieśni patrjotycznych, poczem doktór Beecher, pastor zboru przy ul. Hanover, ojciec głośnej autorki "Chaty Wuja Toma", wygłosił inwokację. Główną mowę wypowiedział Josiah Quincy, jr., syn prezydenta uniwersytetu Harvard. Odczytano następnie przygotowany przez młodzież adres do narodu polskiego oraz list Komitetu do gen. Lafayette z prośbą, aby zechciał być pośrednikiem w przesłaniu Polakom tych dowodów sympatji.

Dwie oryginalne ody do narodu polskiego, napisane specjalnie na tę okazję, wygłosili autorzy ich, Benjamin Bussey Thatcher, zmarły przedwcześnie historyk i poeta, i panna Leslie, poetka.

"Poland wakes from slavery's charm;
"Poland lifts up her ancient arm;
"In her heroes' every vein
"Poland's life blood burns again!" — brzmiał refren wiersza młodego poety, w takt którego biły w ów dzień dzielne serca bostończyków.

Po obchodzie na hali tłumy wyległy na ulicę State i tam przy odpowiednich honorach i wśród niemilknących okrzyków widzów sztandary zostały wręczone wojsku na przechowanie aż do czasu wysyłki ich do Europy.

"Rzadko kiedy" — pisał redaktor dziennika "Boston Patriot" w dniu 13-go września 1831 — "widzieliśmy liczniejsze i tak wzorowe co do porządku zebranie, jak wczorajsze. Faneuill Hall nigdy jeszcze nie była tak przepełniona a mów słuchano z zajęciem. Mowa pana Quincy była bardzo chwalona i żałujemy, że

byliśmy jednym z tysięcy, którzy już nie mogli zdobyć dostępu do hali".

"Jeden z tych sztandarów" — wedle opisu współczesnej prasy — "jest z niebieskiego, a drugi z białego jedwabiu. Drzewca są z drzewa klonowego (American bird's eye maple), pięknie polerowanego, jeden zakończony złotym orłem, drugi zaś halabardą z błękitnej stali. Chwasty sztandarów wyglądają bardzo bogato, gdyż są zrobione z czystego złota.

"Niebieski sztandar ma oryginalne malowidło Hubbarda, które alegorycznie przedstawia powstanie polskie. Młodzieniec polski w mundurze ułana stoi na skale wolności z trójkolorową flagą. Zraniwszy smoka ucisku, odrzuca swą szablę i wyciąga rękę po miecz, który mu podaje anioł wolności, pojawiający się w chmurach wśród błysków chwały. W oddali widać burzę i wściekłość, towarzyszące rewolucjom, a z chmur wystrzela piorun i uderza w smoka. U góry obrazu ukazuje się ptak wolności, niosący pergamin z datami rewolucji w Polsce i Ameryce. Dokoła obrazu są marmurowe tarcze z nazwiskami bohaterów powstania polskiego. Na górnej wstędze są następujące łacińskie słowa: "Deo jurante non timendum" — ("Gdy Bóg pomaga, nie należy obawiać się niczego") i angielskie: "W dowód podziwu dla bohaterów, którzy wskrzesili sławę swego kraju."

"Na przeciwnej stronie niebieskiego sztandaru główny obraz stanowi scena przeprawy Waszyngtona przez rzekę Delaware z napisem łacińskim: "Parbius auspiciis parsit fortuna" ("sprawa wasza ta sama, niech skutek będzie ten sam"). Obraz ten jest otoczony wieńcem laurowym, tworzącym szeroką jednolitą ramę, połączoną łańcuchem jedności. U góry jest orzeł polski, trzymający herb Polski, z którego zwieszają się w kształcie medaljonów portrety Kościuszki, Waszyngtona i Lafayette'a, otoczone sztandarami Polski, Ameryki i Francji. Napis na dole brzmi: "Dzielnym synom Polski od młodzieży bostońskiej."

"Biały sztandar, wykonany również przez Hubbarda, przedstawia boginię wolności w swym wozie, dzierżącą w ręku różdżkę wolności, którą niby prowadzi gwiazdę swobody na wschód. Cały ten obraz odpowiada napisowi, który widoczny jest na chmurach: "Afflictis sidus amicum" ("uciśnionym gwiazda przyjazna".) Wóz wolności ciągną trzy orły: Polski, Ameryki i Francji, — przynależność ich narodową wskazują szarfy, przytwierdzone do woza, które ponadto tworzą sławny trójkolor. Na przeciwnej stronie białego sztandaru jest scena wojenna, przedstawiająca śmierć księcia Józefa Poniatowskiego w bitwie pod Lipskiem. Orzeł u góry, w aureoli chwały, trzyma dwa sztandary z narodowemi hasłami Polski i Ameryki, połączone innym napisem, na którym są ostatnie słowa bohaterskiego księcia: "Il vaut mieux mourrir avec honneur que de se rendre" ("lepiej jest umrzeć z honorem niż poddać się".) Obraz otoczony jest tarczami z nazwiskami bohaterów rewolucyjnych, naprzemian polskich i amerykańskich.

Na zwoju, który tworzy podstawę ornamentów, jest angielski napis: "Ofiarowany przez młodzież Bostonu, w Stanach Zjednoczonych Ameryki, bohaterskim Polakom Anno Domini 1831."

W społeczeństwo amerykańskie, tak przeniknięte zapałem dla Polski, padła tymczasem odezwa Coopera i Amerykanów z Paryża. Rozszerzona przez prasę po całym kraju, dała inicjatywę do organizacji praktycznej pomocy dla powstania.

Jakób Fenimore Cooper, sławny powieściopisarz amerykański, przyjaciel Adama Mickiewicza, stał się jednym z najgorliwszych pracowników dla sprawy polskiej a — dzięki sławie i popularności, które go wówczas opromieniały — i najskuteczniejszym jej apostołem wśród Amerykanów. Bawiąc wówczas z rodziną w Europie, za namową generała Lafayette, przyczynił się do założenia Polsko-Amerykańskiego Komitetu w Paryżu.

"New York Whig" donosi, że stało się to na zebraniu kolonji amerykańskiej w domu przy Rue Richelieu w sobotę, 9 lipca, 1831. Obecnych było 87 osób. "Pan Jakób Fenimore Cooper z Nowego Jorku został powołany na przewodniczącego a pan J. A. Washington z Północnej Karoliny został wyznaczony sekretarzem. Przewodniczący krótko przedstawił cel zebrania, poczem rezolucje zostały wniesione przez pana A. Stewarta z Nowego Jorku, przewodniczącego komitetu, wyznaczonego umyślnie w tym celu na poprzedniem zebraniu, odbytem w tem samem miejscu po uroczystościach Czwartego Lipca. Wszystkie te rezolucje zostały uchwalone a mianowicie:

"Postanawiamy, że współczujemy z narodem polskim w jego cierpieniach i że podziwiamy jego bohaterską odwagę i stałość, z jaką walczy o swe przyrodzone i święte prawa przeciw olbrzymiej potędze swych nieprzyjaciół.

"Postanawiamy, że ma być zebrana składka wśród Amerykanów, przebywających obecnie w Paryżu na pomoc tych dzielnych ludzi.

"Postanawiamy, że przewodniczący ma być uprzejmie proszony, aby zaprosił generała Lafayette, iżby zechciał być pośrednikiem w przesyłce pieniędzy zebranych w Paryżu i w Ameryce na skutek tego zebrania, na ręce odpowiednich władz polskich.

"Postanawiamy, że ma być wystosowana odezwa w sprawie Polaków do narodu amerykańskiego w imieniu tego zebrania; że ma być zatwierdzona przez podpis przewodniczącego i sekretarza; i że tysiąc jej kopji ma być wydrukowanych i rozesłanych po Ameryce.

"Postanawiamy, że protokół tego zebrania, odpowiedź gen. Lafayette'a i lista ofiarodawców z sumą zebraną w Paryżu mają być dołączone do tej odezwy i również rozesłane.

"Postanawiamy, że pan Washington z Północnej Karoliny, pan Claibourne z Luizjany i p. Hallowell z Pennsylwanji mają tworzyć komitet dla przyjmowania naszych ofiar i składania ich na ręce generała Lafayette.

"Postanawiamy, że zebrani podziwiają i pochwalają gorliwość doktora Pawła F. Eve z Georgji, który poświęcił swą osobę, swe zdolności i swój czas sprawie polskiej.

"Następnie uchwalono kilka rezolucyj w sprawach zwykłych, a wśród nich podziękowanie dla urzędników zebrania, poczem zebranie odroczyło się sine die."

Generał Lafayette z największą gotowością przyłączył się do uchwał Amerykanów i gorącem słowem poparł odezwę o składki, ułożoną przez Coopera.

Skutek jej był niemal natychmiastowy. Nowy Jork pierwszy zabrał się do pracy w myśl wskazań rodaków paryskich.

W poniedziałek wieczór, dnia 5-go września 1831, wedle relacji gazet nowojorskich, w hali Clinton odbyło się zebranie obywateli w sprawie pomocy dla Polski. William A. Duer, prezydent kolegjum Columbia, został wybrany przewodniczącym a dr. Samuel Akerly i A. O. Dayton mianowani sekretarzami.

P. Fessenden — wedle sprawozdania ówczesnych gazet — wypowiedział odpowiednie przemówienie i na jego wniosek przewodniczący odczytał odezwę Amerykanów w Paryżu do narodu amerykańskiego. Następnie uchwalono rezolucję: "iż zebrani z przyjemnością wysłuchali odezwy rodaków z Paryża w sprawie byłej republiki polskiej".

Potem p. Hoxie odczytał odezwę komitetu obywateli, którzy zwołali zebranie. Odezwę zatwierdzono.

Po mowie p. Pattersona uchwalono następujące rezolucje, wniesione przez niego:

"Postanawiamy, że patrzymy z podziwem na bohaterskie ofiary i wysiłki, czynione obecnie przez naród polski i że rycerska pomoc, udzielona ojcom naszym w wojnie za naszą własną niepodległość przez dzielnych synów tego narodu, daje im szczególny tytuł do naszej sympatji i do takiej pomocy, jaką zgodnie z prawem i patrjotyzmem możemy udzielić.

"Postanawiamy, że Generalny Komitet Wykonawczy dla pomocy narodowi polskiemu ma być mianowany na miasto Nowy Jork i że następujące osoby mają składać ten Komitet:

"Jonathan Goodhue (jeden z najpoważniejszych ówczesnych kupców amerykańskich), James G. King, (znany już nam z pierwszej odezwy), Curtis Bolton (wpływowy kupiec), H. Booraem, Saul Alley, Preserved Fish (bogaty kupiec), Cornelius W. Lawrence, John Harris, Issac Hone, John Haggerty (redaktor i historyk), Wm. L. Stone (późniejszy poseł St. Zj. na dworze holenderskim), Joseph Hoxie, Stephen Allen, M. C. Patterson, John C. Halsey, M. M. Noah (żyd, autor sceniczny, jeden z najpopularniejszych wówczas ludzi w Ameryce), Peter Sharpe, Francis Olmstead, M. G. Benjamin, George Rogers, M. M. Quackenbush, Hamilton Fish (gubernator stanu Nowy Jork w r. 1849-1851, sekretarz stanu w gabinecie prez. Granta), Jeremiah Dodge, Chas. H. Hall, Benj. M. Brown, Wm. Edwards, W. W. Chester, Geo. Griswold

(wybitny kupiec), Zebedee Ring, O. M. Lownds, Chas. Oakley, Samuel Clarke, Jacob Acker, Wm. M. Benjamin, J. M. Bradhurst, Andrew Sitcher, George D. Strong, Wm. A. Duer (prezydent kolegjum Columbia), Samuel Akerly, Aaron O. Dayton, Elijah T. Pinckney, Richard Ray Ward, Mordecai Myres, Alexander M. Muir, Robert C. Sands (literat i redaktor) i E. M. Berryman.

"Postanawiamy, że wspomniany komitet ma wybrać własny zarząd i wedle swego uznania mianować nowych członków; że ma zbierać subskrypcje i ofiary i te wysyłać naszemu rodakowi, generałowi Lafayette, który podjął się pośrednictwa w przesyłce amerykańskich darów dla narodu polskiego; że Komitet jest upoważniony do wezwania obywateli tego stanu i innych stanów Unji do współpracy i do wysyłki swych ofiar przez wspomniany Komitet, lub wprost przez generała Lafayette i do przyjmowania ofiar w towarze lub produktach, celem zamiany ich w razie, gdyby to było wskazane, na gotówkę, wedle swego uznania; i że Komitet ma mieć ogólną władzę czynienia wszystkiego, co ma pomódz do osiągnięcia celów tego zebrania.

"Postanawiamy, że wspomniany Komitet ma utrzymywać protokóły ze swych posiedzeń i ogłaszać je na publicznych zebraniach, lub postarać się o ogłaszanie ich w jednej lub więcej gazetach.

"Postanawiamy, że chociaż mamy wielką nadzieję, iż dzielni Polacy zwyciężą w tej nierównej walce i zdobędą niepodległość, to jednak, jeżeli niezbadana Opatrzność pozwoli na ich pognębienie, wspomniany Komitet w tym wypadku (od którego niech Bóg ustrzeże) ma użyć ofiary i dary, jakie będzie miał w ręku, na pomoc dla ofiar wojny w Polsce."

P. Krzysztof C. Rice przemówił potem do zebranych z uczuciem i w rozrzewniający sposób, wśród oklasków licznych słuchaczy.

Po nim p. Stone wniósł następujący wstęp i rezolucje:

"Ponieważ zebrani zostali zawiadomieni, że dr. Samuel G. Howe, wybitny przyjaciel Greków w ich ostatniej walce o wolność, znajdujący się obecnie w drodze do Francji, jest całem sercem po stronie sprawy, dla której zwołane zostało niniejsze zebranie, i ponieważ patrjota ten wyraził chęć zastosowania się do wszelkich życzeń swych współobywateli amerykańskich z Nowego Jorku, przeto

"Postanawiamy, że dr. Samuel G. Howe ma być wydelegowanym przez ten wiec jako poseł do Warszawy, gdzie wręczy prawomocnemu rządowi polskiemu ozdobny odpis naszych obrad i naszej odezwy, należycie stwierdzone przez urzędników.

"Postanawiamy, że protokół tego wiecu ma być ogłoszony we wszystkich dziennikach z podpisami przewodniczącego i sekretarzy."

Wedle opisu "Hampden Journal and Advertiser" (Springfield, Mass.) z 14 września 1831, wiec ten był "jednym z najwięk-

szych i najpoważniejszych, jakie kiedykolwiek odbyły się w Nowym Jorku, a każde zdanie, życzliwe Polakom, było witane z największym zapałem."

Dzielny doktór Howe nie zdołał wykonać polecenia rodaków nowojorskich. W dniu bowiem, w którym odbywało się powyżej opisane zebranie, Paskiewicz gotował się już do generalnego szturmu na Warszawę a w trzy dni potem odebrał ją z rąk zdrajcy Krukowieckiego.

Treść odezwy, uchwalonej na wiecu i nawiązanej do odezwy Coopera, była następująca:

"Współobywatele!—

"W chwili, kiedy stosownie do patrjotycznych postanowień części naszego obywatelstwa, Komitet wyznaczony w tym celu, miał zwrócić waszą uwagę na prawa wielkiego narodu, który postanowił zostać wolnym albo też zginąć z pomiędzy narodów świata,—głos naszych rodaków z poza Atlantyku odezwał się do was w słowach, które możemy tylko powtórzyć, — i argumentami, niepokonanymi w swej sile, zaapelował do waszego rozsądku i do waszych uczuć jako obywateli amerykańskich.

"Na głos ten odpowie każda pierś amerykańska. Powstawszy do walki za święte prawa, za które nasi ojcowie walczyli, pozostawiając nam jedyny doskonały wzór ich słusznej i mądrej ochrony — Polacy są obecnie w nieszczęściu i agonji, z których muszą wyjść wolnymi, albo też muszą zginąć. Wśród nas płonie Znicz, z którego chwytać będą święty płomień, aby nim rozgrzać swe złamane serca i rozpalić ognie na swych, zbeszczeszczonych obecnie, ołtarzach. Wiemy teraz, że pomoc, jaką możemy dać, będzie można skutecznie użyć i jest rzeczą bardzo ważną, abyśmy jej udzielili. Honor, patrjotyzm, religja zabraniają nam dłużej ociągać się z nią. Jeżelibyśmy obojętnie patrzyli na tę potrzebę i czekali, aż byłoby zapóźno, pozostałoby to plamą na naszym charakterze narodowym i ojczyzna nasza okazałaby się niegodną swych bohaterów. Historja potępiłaby nas jako wyrodnych. Pomnik, jaki wdzięczność nasza poświęciła Pułaskiemu, który padł, zatykając nasze sztandary na wałach Savannah, i pomnik na wzgórzu w West Point, który przypomina naszej rycerskiej młodzieży, że grunta szkolne zostały uświęcone stopami Kościuszki — pomniki te, przywodząc na pamięć chwalebne związki przeszłości w przeciwieństwie do niesławnej apatji teraźniejszości, musiałyby wywołać rumieniec wstydu na każdej szlachetnej twarzy. Przeciwnicy swobód obywatelskich w Europie wydrwiliby płytkość naszych frazesów, a słowa "jestem obywatelem amerykańskim" przestałyby być tytułem do poszanowania wśród narodów.

"Rodacy! Nie chcemy dodawać bezużytecznych słów do tej odezwy naszych przyjaciół i braci, którzy są blisko widowni tej wielkiej walki, wzbudzającej wszystkie nasze sympatje. Pierwszą zasadą, jaka jest w was wpajana, — z którą raczej przychodzicie

na świat — jest ta, że bunt przeciw tyranom jest posłuszeństwem względem Boga. Gdziekolwiek człowiek opiera się niesprawiedliwości i woła o swe prawa, wasze serca i modlitwy są przy nim. Bez jakiegokolwiek pogwałcenia traktatów, możecie teraz, w tej nagłej potrzebie, użyczyć swego moralnego poparcia dzielnemu ludowi, którego byt narodowy jest zagrożony. Możecie teraz wspomódz go swem bogactwem. Obywatel dwuch światów, wasz własny Lafayette, ofiarowuje się być posłańcem waszych uczuć i rozdawcą waszych dobrowolnych ofiar. Będzie to jeden z najszczytniejszych tryumfów długiego życia wielkiego apostoła wolności w starym świecie, oddanego wiernie swej służbie, gdy czcigodne jego ręce będą mogły wręczyć te dowody waszej filantropji tym, dla których są przeznaczone. Ożywią one na nowo ramię wojownika i dzięki wam, będzie on mógł walczyć tem skuteczniej. Oko matrony, zajętej smutnym, ale świętym obowiązkiem opatrywania ran syna-żołnierza, rozświeci się radością, gdy zobaczy waszą pomoc. A jeżeli — co oby Bóg dał — ojczyzna Kopernika, Sobieskiego i Kościuszki, przybrana w suwerenność i niepodległość, zajmie znowu swe miejsce między narodami, będziecie mogli dodać jeszcze jeden liść wawrzynu do swej historji i przekazać nową chlubę swej pomyślności.

"Potrzeba nie pozwala na zwłokę. Albowiem, gdy my wyrażamy swe sympatje słowem a nie czynem, dzielni mężowie przelewają krew i giną a rodziny ich cierpią okropności wojny, nędzę i choroby. Nie pozwólcie przeminąć złotej chwili sposobności."

A choć ta "złota chwila" miała przeminąć już bardzo szybko, gorętszych słów nie wyrwałaby z serca nowojorczan nawet sprawa własnej ojczyzny...

Jako miejsce składania ofiar w gotówce wyznaczone zostało biuro adwokata Jakóba Kinga, skarbnika Komitetu Wykonawczego, znajdujące się p. n. 42 ul. Wall, a ofiary w odzieży i innych rzeczach miały być składane u p. Curtisa Boltona, kupca, p. n. 38 Exchange Place.

Odezwy Komitetu, rozesłane po kraju, wywarły taki skutek, że już w parę dni potem Komitet Wykonawczy mógł wysłać parowcem "Rhone" 20,000 franków do Paryża, na ręce generała Lafayette.

Na posiedzeniu, odbytem w środę, 7-go września 1831, w Clinton Hall, pod przewodnictwem Williama A. Duera, prezydenta kolegjum Columbia, i pod sekretarjatem Aarona O. Daytona, Komitet uchwalił następujące rezolucje, przedstawiające plany dalszej pracy:

"Postanawiamy, że panowie James L. Curtis, William W. Holly, John R. Hedley, Jacob S. Bogert, Henry Wells (założyciel American Express Co.) William J. McNeven (głośny patrjota irlandzki) i Charles Town mają być przydani do Komitetu.

"Postanawiamy, że następujące subkomitety są mianowane dla poszczególnych ward miasta celem zbierania ofiar na rzecz

Polaków i że mają one prawo dobierania nowych członków; że poleca się tym subkomitetom, aby dla ułatwienia zbiórki podzieliły swe wardy na odpowiednie okręgi i że są proszone, aby zebrane sumy składały u skarbnika głównego Komitetu i aby zdawały sprawę ze swej działalności na każdem posiedzeniu tegoż Komitetu:

"Pierwsza warda: — Jonathan Goodhue, Curtis Bolton, Mathew C. Patterson, Wm. L. Stone, Aaron O. Dayton.

"Druga: — Peter Sharpe, Saul Alley, W. M. Benjamin.

"Trzecia: — Francis Olmstead, Wm. A. Duer, Isaac S. Hone.

"Czwarta: — John Haggerty, Geo. Griswold, George Douglas, James L. Curtis.

"Piąta: — Robert C. Cornell, John C. Halsey, Robert C. Sands.

"Szósta: — Cornelius W. Lawrence, Geo. D. Strong, Alexander M. Muir, J. M. Bradhurst, Andrew Sitcher.

"Siódma: — Joseph Hoxie, Zebedee Ring, Oliver M. Lownds, Preserved Fish.

"Ósma: — Hendrich Booraem, Mordecai Myers, E. M. Berryman, Benjamin M. Brown, Mordecai M. Noah, Samuel Y. Clark, William Edwards.

"Dziewiąta: — R. R. Ward, James G. King, Charles Oakley, George Rogers, John Harris.

"Dziewiąta: — Elijah T. Pinckney, Stephen Allen, M. M. Quackenbush.

"Jedenasta: — Jacob Acker, Ezra Weeks, Hamilton Fish.

"Dwunasta: — Charles H. Hall, William W. Holly, John R. Hedley.

"Trzynasta: — Jeremiah Dodge, Samuel Akerly, Jacob S. Bogert.

"Czternasta: — William J. McNeven, Charles Town, Meigs D. Benjamin, W. W. Chester, Henry Wells."

Na temże posiedzeniu wybrany został komitet korespondencyjny z profesorem Duerem na czele. Komitet miał zająć się wysyłką odezw po wszystkich częściach Stanów Zjednoczonych.

Pierwszą ofiarą, jaka wpłynęła na rzecz Polaków z poza granic miasta, była suma 248 dolarów, zebrana przez kadetów Akademji Wojskowej w West Point. Miasto Seneca Falls, N. Y., nadesłało też wnet potem przeszło setkę dolarów.

E. Simpson, zarządca teatru Park w Nowym Jorku, złożył ofiarę $104.25, jako dochód z jednego z przedstawień tragedji "The Gladiator", pióra dra. Birda z Filadelfji. Prolog sztuki, liczący około 60 wierszy, zawierał piękny ustęp o Polsce, który wzbudzał wiele entuzjazmu wśród publiczności.

Czyż równie wymownym dla ówczesnych nastrojów nie jest list kapitana A. Degraw, jaki pojawił się w "New York Whig" 3go września 1831?

"Panowie redaktorzy!" — pisał on. — "Stosownie do życzenia komitetu zebrania, zwołanego przez moich pasażerów na po-

kładzie okrętu w sprawie cierpiącej Polski, przesyłam do ogłoszenia w piśmie poniższe rezolucje, życząc jak najserdeczniej, aby przykład ten znalazł naśladowców w całym naszym wielkim i szczęśliwym kraju.

"Przebieg zebrania był następujący: Pan P. O'Hagan z Nowego Jorku zwrócił uwagę pasażerów parowca "Swan", jadącego z Nowego Jorku do Brunswick, na położenie Polaków. Po wyjaśnieniu celu zebrania, następujące rezolucje zostały wniesione i jednogłośnie przyjęte:

"1. Postanawiamy, że całem sercem współczujemy z narodem polskim w jego cierpieniach za sprawę wolności i podziwiamy bohaterstwo, jakie wykazał w walce o swe prawa.

"2. że wysoko cenimy cele zebrania naszych rodaków w Paryżu w dniu 9-go lipca i wierzymy, że głos ich nie przejdzie bez echa w żadnym zakątku kraju.

"3. że teraz zostanie zebrana składka w nadziei, że za naszym przykładem pójdą wszyscy podróżni w całej Ameryce i że ten skromny początek przyniesie wielkie wyniki ogólne.

"4. że komitet z trzech, złożony z panów Moncure'a Robinsona z Wirginji, Stephana Baldwina z Pennsylwanji i Dawida Hoffmana z Baltimore, zbierze projektowaną składkę i odda w ręce kapitana Degraw celem złożenia jej w ręce osób, wyznaczonych w Nowym Jorku, do przesyłki razem z innemi ofiarami na ten sam cel.

"5. że kapitan Degraw jest proszony, aby proponował urządzenie podobnych zebrań na pokładzie swego okrętu innym podróżnym.

"Pan Abraham Payne z wyspy Madeira przemówił potem do zebranych w gorących i silnych słowach i zakończył swe znakomite uwagi wręczeniem nam jako daru na fundusz dla Polaków beczki swego najlepszego wina Madeira ze składu w Baltimore. Dochód z tego daru zostanie wręczony p. Hoffmanowi dla Polaków. Sternik, maszynista i trzej marynarze parowca 'Swan' złożyli trzy dolary.

"Wedle powyższej rezolucji, zebrano wśród podróżnych 56 dolarów."

Sympatje dla Polski znachodziły więc szeroki i coraz szerszy odgłos. Odbiły się one echem i w Waszyngtonie, gdzie, jak donosi "United States Telegraph" z 25-go października 1831, odbyło się zebranie "iicznych i poważania godnych" obywateli w celu rozważenia sposobów niesienia pomocy Polsce. Przewodniczącym tego wiecu był Jerzy Washington Custis, przybrany syn "ojca narodu", a sekretarzował Jeremjasz Elkins. O. Hagean, wysłannik komitetu pomocy Polsce w Filadelfji, wygłosił główną mowę, przyjętą oklaskami. Jerzy Washington Young, P. O. Hagean i A. W. Preuss zostali wybrani poborcami ofiar dla Polski.

W środę, 26-go października 1831, odbył się znowu wiec w City Hall w Waszyngtonie. "Hampden Journal and Advertiser"

(Springfield, Mass.) z 16-go listopada 1831, opisuje ciekawy i piękny epizod z tego wiecu:

"Kilku mówców przemawiało do zebranych, niektórzy z nich bardzo wymownie, a wszyscy ze skutkiem, gdy podniósł się pułk. Lichmanowski (Lehmanowsky) i oświadczył, że jest Polakiem z pochodzenia, ale ma zaszczyt być obywatelem Stanów Zjednoczonych. Wyobraźcie sobie mężczyznę herkulesowej postawy, o śmiałem, szczerem zachowaniu się starego żołnierza, przemawiającego do licznego zgromadzenia, wśród którego jest wiele dam. W wymowie jego czuć tylko tyle obcego akcentu, aby przypomnieć wam, że to Polak wstawia się za nieszczęśliwą, bohaterską Polską. Łzy powoli kapią po jego twarzy, gdy mówi:

"Widziałem wiele nieszczęść w swojem życiu, ale nigdy nie płakałem nad niemi. Teraz nie mogę wstrzymać się od łez, gdyż przemawiam za sprawą swej ojczyzny do mieszkańców miasta, noszącego imię Waszyngtona i w jego to imieniu proszę was, pomóżcie sprawie wolności! Bóg mi świadkiem, że, gdyby kiedykolwiek wolność mojej przybranej ojczyzny została zagrożona, wyleję ostatnią kroplę swej krwi w jej obronie! Tak jest, a i ten chłopak będzie walczył za Amerykę!"

"Przy tych ostatnich słowach, podniósł w górę swego syna, dzielnie wyglądającego chłopca lat około 10-ciu. Wszystko to może wyglądać na papierze jako nic szczególnego, ale wrażenie na zebranych było jakby od prądu elektrycznego. Nastąpiły długie, głośne i serdeczne oklaski."

"Zauważyliśmy, że publiczne wiece zostały zwołane w rozmaitych częściach kraju w celu wyrażenia współczucia Polakom i zebrania pomocy dla ich chwalebnej walki o wolność" — donosiła "Springfield (Mass.) Gazette" w artykule redakcyjnym z 5-go października 1831. "Dobrzy mieszkańcy Bostonu wysłali im dwa sztandary, zaopatrzone w odpowiednie godła, i zdobyli się na bardziej praktyczne objawy swej sympatji. Cztery czy pięć tysięcy dolarów zostały zebrane w Nowym Jorku. Wiec publiczny odbył się w powiecie Berkshire, na którym uchwalono szereg rezolucyj, wyrażających współczucie Polakom i polecających, aby w każdem mieście tegoż powiatu zwołano wiece na ich korzyść. Kiedy Grecja walczyła o wyzwolenie się z pod jarzma tureckiego, nie było prawie serca w tym kraju, które by nie biło współczuciem dla niej i wysyłano okręt za okrętem, naładowane obfitemi darami, złożonymi przez dobroczynnych Amerykanów. Cierpienia Polaków, zdaje się, nie doszły jeszcze do tego stopnia, co Greków. Powodzenie ich dotychczasowe przeszło najśmielsze oczekiwania ich przyjaciół i objawiają ducha, godnego następców i potomków Sobieskiego, Kościuszki i Pułaskiego. Jeżeli jest jaki naród na powierzchni ziemi, któremu należą się sympatje narodu amerykańskiego, w którego uczucia, nadzieje, radości i dążenia możemy wczuć się z zapałem pokrewnych sobie i przyjaciół — są nim Polacy. Wyczekują oni od nas współczucia i pomocy. Dali oni nam

dobrowolnie swe usługi i swą krew w wojnie rewolucyjnej, i ufamy, że sprawa ich wywoła większe zainteresowanie w sercach Amerykanów i że zainteresowanie to objawi się namacalnymi dowodami życzliwości. Upływa prawie pół wieku, odkąd ten dzielny niegdyś naród został pokonany i rozebrany przez mocarstwa świętego przymierza. Walczy on teraz o byt jako wolne i niepodległe państwo. Jakikolwiek będzie wynik tej walki, nie wolno znowu powiedzieć:

"Sarmatia fell, unwept, without a crime".

Nie poprzestawali Amerykanie na słowach współczucia i na ofiarach pieniężnych. Gorętsi pragnęli oddać nawet ofiarę krwi i życia za uwielbianą sprawę polską. Ruch ochotniczy ogarnął zwłaszcza południe, które zawsze górowało rycerskością nad przemysłową północą i ze szczególną czcią przechowywało tradycje bohaterskiej śmierci Pułaskiego.

"W Filadelfji kilku młodzieńców zgłosiło się na ochotnika i są gotowi wyruszyć do walki z nieprzyjaciółmi Polski i wolności" — donosiła "Springfield (Mass.) Gazette" z 5 października 1831. W Nowym Orleanie sporo młodzieży zgłosiło się na ochotnika do armji polskiej. Jednym z najwcześniejszych ochotników był najwybitniejszy poeta amerykański Edgar Allan Poe, który w liście z 10-go marca 1831 do niejakiego pułk. Thayera pisał (wedle dzieła o Poem Mary E. Phillips):

"Panie:—

"Nie mając żadnych węzłów, łączących mnie z krajem rodzinnym, ani projektów, ani przyjaciół, mam zamiar wyjechać do Paryża celem otrzymania, za pośrednictwem markiza Lafayette, polecenia do armji polskiej. W wypadku, gdyby Francja interwenjowała w sprawie Polski, byłoby to do urzeczywistnienia. Celem tego listu jest prośba o pomoc, jaką mógłby mi Pan dać. Świadectwo moich studjów w West Point jest wszystkiem, na co mogę się powołać. List do kogoś w Paryżu lub do markiza byłby łaskawością, którejbym nigdy nie zapomniał.

"Z wyrazami szacunku, posłuszny sługa,

"EDGAR POE".

Ale przedostać się z Ameryki do Polski w owej dobie nie było z wielu względów, rzeczą łatwą i dlatego tylko chyba bardzo nieliczne jednostki mogły stąd przedrzeć się do powstania — o ile wogóle ktokolwiek zdołał to dokonać.

Jedynym, zdaje się, Amerykaninem, który brał czynny udział w powstaniu listopadowem, był doktor Paweł Fitzsimmons Eve, który przebywając wówczas w Europie, rzucił wyższe studja lekarskie i wstąpił do armji polskiej, dosługując się w szeregach powstańczych stopnia majora i krzyża zasługi.

Trudności nie odstraszały jednak gorętszej młodzieży amerykańskiej.

"New York Whig" z dnia 26-go października 1831 roku podaje ciekawy artykuł o ochotnikach, świadczący, że mimo wszelkiej życzliwości dla Polski, rozważniejsi niepochwalali tego ruchu.

"Widzieliśmy doniesienia w gazetach" — pisał ten dziennik, "że w Filadelfji i dalej na południu robione są starania celem zebrania ochotników, którzyby udali się do Polski i ofiarowali swe służby tamtejszym patrjotom. Nie wiedzieliśmy jednak, że podobne wysiłki robione są i w naszem mieście, aż dziś rano zobaczyliśmy wiadomość o tem w Journal of Commerce. Jakkolwiek czcigodne jest uczucie, które dyktuje te wysiłki, sposób, w jaki wyraża się, jest nielegalny i nie powinien być tolerowany. Jeżeli jednostki pragną wyjechać do Polski i porwać za broń za sprawę wolności, mają do tego pełne prawo; ale nie powinny zaciągać ochotników i organizować się tutaj w tym celu. Zresztą, jak pisze Journal, nie mogą oni spodziewać się przybycia na miejsce wojny prędzej, jak za dwa lub trzy miesiące, o ile nie natrafią na żadne przeszkody. A tymczasem wojna, jak są powody do przypuszczania, zakończy się. Następnie, jak spodziewają się oni przyłączyć do armji polskiej, jeżeli Prusy stanowczo odmówią im pozwolenia na przemarsz a oba brzegi Wisły są zajęte przez wojska rosyjskie? Możnaby wyliczyć i inne trudności, jeżeli powyższe nie wystarczają. Wogóle sądzimy, że im prędzej projekt ten zostanie zaniechany, tem lepiej".

Wojna polsko-rosyjska miała się już rzeczywiście ku końcowi. Dnia 8-go września Krukowiecki poddał Warszawę. Wiadomość o tem dostała się do Ameryki w pierwszych dniach listopada i to dzięki tej okoliczności, że jeden z podróżnych na okręcie miał "świeżą" gazetę angielską.

Ówczesny "New York Courier and Enquirer" tak o tem donosi: "Angielski okręt "Arkwright" przybył wczoraj wieczorem z Dundee (w Szkocji), skąd wyjechał 24-go września. Udało się nam otrzymać od jednego z pasażerów jedyną świeżą gazetę, jaka była na okręcie, mianowicie "Dundee Courier" z 20-go września, który zawiera żałobną wiadomość o poddaniu Warszawy Rosjanom. Kapitan "Arkwright" opowiada, że kiedy wyjeżdżał z Dundee miał trzy gazety londyńskie, które zawierały potwierdzenie tej wieści, ale rozdał je na wyspach Orkney, dokąd zawinął z okrętem".

Wieść o upadku Warszawy wywołała w Ameryce silne wrażenie, ale po tylu świetnych zwycięstwach oręża polskiego brano ją zrazu za fałszywą. Nawet giełda w Nowym Jorku nie wierzyła gazecie, przywiezionej przez owego podróżnego. Potwierdzenia rychło jednak nadeszły.

"The cause of Poland is lost" — zanotował krótko w swych komentarzach wielomowny zwykle co do Polski "Buffalo Patriot", gdy otrzymał tę smutną wiadomość.

A potem szpalty gazet podawały urywane wieści o ostatnich walkach, o znęcaniu się zwycięzców nad Polską, o okrucieństwie władz pruskich nad powstańcami i o wyjściu tysięcy na tułaczkę.

Ale były to już wiadomości coraz krótsze i rzadsze, jak gdyby z zamilknięciem ostatnich odgłosów wojennych Polska przestała obchodzić szeroki świat.

Jeszcze tylko tu i ówdzie kołatało się imię Polski wśród objawów życia publicznego. Szczery głos współczucia dla niej podniósł gubernator stanu Nowy Jork, E. T. Throop, w swem orędziu do legislatury z dnia 3-go stycznia 1832. Zaraz na wstępie powiedział w niem:

"Jako ludzie i republikanie nie możemy obojętnie patrzeć na walki o wolność, gdziekolwiek one są, czy w starym, czy w nowym świecie — w klasycznej Grecji, bohaterskiej Polsce, czy też wzdłuż brzegów Orinoco lub La Platy. Ale nad zburzonemi nadziejami Polski ubolewamy szczególnie. Nie możemy zapomnieć, że jej dzielni synowie, ożywieni najczystszą miłością wolności i uważający tyranję, gdziekolwiek by ona była, za wspólnego wroga, walczyli przeciw niej w naszych szeregach i przelewali swą krew w naszej obronie. Szlachetny i rycerski ten naród w tych dniach swej klęski ma nasze braterskie współczucie".

Kiedy zaś Buffalo w dniu 22-go lutego 1832 obchodziło rocznicę urodzin Waszyngtona i obywatele okazję tę uczcili nowym bankietem, wśród szeregu toastów zapito też toast poetyczny na cześć Polaków, wołając o zemstę na tyranów:

"Czyliż już niebo nie posiada gromów
"Potężnych gniewem, by ciemięzców rozbić
"Tego dzielnego i świetnego ludu?"

Wraz z upadkiem powstania, upadła jednak ofiarność amerykańska na rzecz Polski. Właściwy cel składek zniknął bowiem. Walka, przykłady bohaterstwa, poświęcenia polskie wywoływały zapał, chęć czynu i porywy wojenne. Ameryka w tym okresie na wszystko niemal dla Polski była gotowa. Ale niedola i nędza rozbitków mogły wzbudzić już tylko litość.

Nawet i te ofiary, które zdołano zebrać w Ameryce pod wpływem odezwy cooperowskiej, przyszły zapóźno, by mogły wesprzeć upadajace powstanie. Generał Kniaziewicz w liście do Coopera, datowanym w Paryżu, 21 października 1831, pisał:

"Panie! Generał Lafayette poinformował nas właśnie, że otrzymał 20,000 franków od obywateli Nowego Jorku, jak i szlachetny dar od sławnej Akademji Wojskowej w West Point, przeznaczone na podtrzymanie sprawy Polski. Pokazał nam również dwa sztandary, które młodzież Bostonu ofiarowała naszym dzielnym obrońcom. Ta znaczna pomoc — ten dowód pamięci rodaków Waszyngtona dla rodaków Kościuszki — nadeszły na nasze ręce, niestety, zapóźno..."

Wzruszającą ceremonję wręczenia tych sztandarów rozbitkom z armji polskiej opisał pięknie w liście do przyjaciela Samuel F. B. Morse, wynalazca telegrafu, który przebywając wówczas w Paryżu i pracując w Komitecie Amerykańsko-Polskim, odczuł głęboko tragizm narodu polskiego.

Na miesiąc przed tym rozrzewniającym obchodem, dnia 28-go października 1832, Amerykanie paryscy, na zaproszenie generała Lafayette, zebrali się ponownie dla wyboru komitetu, który zająłby się rozdawnictwem darów amerykańskich pomiędzy nieszczęśliwych uchodźców polskich, napływających coraz liczniej do Paryża. Zebraniu przewodniczył Cooper, sekretarzem był Edward S. Gould, dziennikarz i dramaturg amerykański. Następujących wybrano na członków z prawem kooptacji:

J. F. Cooper, W. Selden (jeden z najzasłużeńszych lekarzy amerykańskich), Henry Brevoort (bogaty kupiec nowojorski), B. Curtis, F. Carnes, S. F. B. Morse, (wynalazca telegrafu), dr. MacDonald, dr. Gerhard, R. Emerson (filozof i poeta), E. Gould, W. H. Draper, J. Stoddard, A. S. Norwood, C. W. Pennock, J. T. Adams, dr. Paul, dr. Frick, J. Lane, dr. Dubois.

Przewodniczącym komitetu został dr. Samuel G. Howe.

'Komitet ten", donosi stary "New York Whig", "wydał drugą odezwę do rodaków w Ameryce, wzywając ich do dalszych składek na pomoc dla wygnańców polskich. W odezwie swej podaje słowa Lafayette'a, że dary amerykańskie, przy odpowiednim rozdziale, będą bardziej użyteczne dla sprawy polskiej teraz, po upadku powstania, niż w czasie walki. Zostaną one użyte na pomoc dla wygnańców polskich, którzy przekraczają granicę Francji boso i o głodzie i o kiju żebraczym dążą do Paryża."

"Polacy przybywają tu gromadami codzień i ulice pełne są ich smutnych twarzy" — donosił Natan P. Willis, poeta amerykański, w korespondencji z Paryża, pod datą 11 lutego 1832, do tygodnika "New York Mirror". — "Biedacy! Nędza dusi ich niemiłosiernie. Publiczna dobroczynność dla uchodźców została już dawno wyczerpana i najbardziej bohaterskie serca polskie, straciwszy wszystko prócz życia w daremnej walce, giną z głodu na ulicach. Przypadkiem zbliżyłem się do pewnego znanego liberała, jednego z tych ludzi, którego dumni mogą prosić o wsparcie bez poniżania się, i od niego dowiedziałem się szczegółów, które poruszyłyby serce kamienne. Fikcyjne cierpienia 'Tadeusza z Warszawy' są niczem w porównaniu z rzeczywistą nędzą, jaką znoszą tu codziennie ludzie, niemniej szlachetni jak bohater tej powieści. Lafayette, jak mnie zapewniano, obdłużył swój dochód kilkuletni na pomoc dla nich; i żadne miłosierdzie nie mogłoby być lepiej użyte, jak składki na Polaków, ginących z głodu w tych bezdusznych miastach."

Ale nieszczęśni wygnańcy polscy nie kwapili się zbytnio po pomoc obcą i "z wdzięcznością, ale i z dumną ufnością we własne siły" — wedle słów samego Coopera i świadectwa doktora Howe— odmawiali przyjęcia jej. Wówczas Komitet Amerykańsko-Polski wysłał doktora Howe z pieniądzmi do Polaków, internowanych przez Prusy. Misja jego jednakowoż zawiodła częściowo, z powodu brutalności władz pruskich. Dr. Howe zaledwo dotarł do internowanych Polaków, gdy został sam uwięziony i wydalony z Prus.

"Zdanie sprawy z czynności Komitetu Narodowego Polskiego od 9 lutego 1831 do 15 kwietnia 1832" (Paryż, 1832) — pisane przez Joachima Lelewela — wspomina o tej misji Howe'a: — "Komitet narodowy... udał się do komitetu amerykańskiego, aby chciał swoich udzielić funduszów na sprowadzenie żołnierzy polskich z Niemiec. Jakoż komitet amerykański wysłał swego prezesa Howe z sumą 20,000 franków i w tęż drogę komitet narodowy poruczone sobie 12,000 wyprawił... Howe miał przez Prusy przejeżdżać. Dlatego... zboczył z drogi i puścił się do Gdańska i do Elbląga. Widok opłakany naszych żołnierzy, z niedawnego morderstwa napełniających lazarety, wzruszył do żywego duszę republikanina. Jął się żwawo i otwarcie krzątać około rozdawania pomocy, która słabo dolegliwą niedolę koić mogła, szukać środków wyzwolenia niegodnie dręczonych. W tym celu pospieszył do Berlina; tam uwięziony pod pozorem, że się tylko za Amerykanina podaje; zkąd po kilkutygodniowej niewoli do granicy Francji odstawiony, udaje się do Ameryki. Wydał on i zostawił w Prusiech 15,000 franków, a reszty 1,000 do Metz oddał, 5,000 komitetowi amerykańskiemu do Paryża odesłał. Rzadkie jego dla sprawy ludzkości, dla sprawy naszej poświęcenie się i narażenie się, najwyższą wzbudza w każdym Polaku wdzięczność, a ściąga nań błogosławieństwo tych, których miał sposobność choć na chwilę pocieszyć..."

Serdeczna życzliwość Ameryki dla sprawy polskiej nie została pominięta i w następnem "Zdaniu sprawy z czynności Komitu Narodowego Polskiego od 15 kwietnia do końca września 1832" (Paryż, 1832). Po opisie zabiegów komitetu i ich wyników w innych krajach, Lelewel "z pewną dumą przerzuca się na drugą półkulę ziemi, gdzie odgłos bohaterstwa polskiego, przedzierając się przez europejskie, hiszpańskie, francuskie lub angielskim językiem mówiące kolonje, dochodzi rodowitych Indjan, kochać niepodległość umiejących i cenić poświęcenie się tych, co się o nią dobijają. Dzienniki miejscowe ogłaszały z jakim entuzjazmem sprawa nasza w Nowym Orleanie widzianą była. Dotąd ten zapał nie ustaje. Gotuje się młodzież luizjańska do boju na ziemi naszej skoro się działanie na nowo rozpocznie. Z tymi oświadczeniami odbiera stamtąd Komitet listy. Mieliśmy tam naszych ziomków, którzy byli naocznymi świadkami najżywszych wzruszeń, które są jedną z najpiękniejszych nagród za poświęcenie się nasze w sprawie ojczystej! Los nam w usiłowaniu naszem okazał się tym razem przeciwnym, ale poruczył nam na świat cały misję wielką, którą jeśli godnie dopełnimy, nie mniej się ojczyźnie zasłużymy, jak walcząc za nią na własnej ziemi.

"Udowadniając swe uczucia, mieszkańcy Ameryki, krajów meksykańskich z Tampiko przysłali składkę na potrzeby tułactwa naszego na ręce Lafayette'a i Komitetu Centralnego. Dziękował im Komitet Centralny, a Narodowy, uwiadomiony o tem, nie zaniedbał 28 kwietnia swoich słów do Tampiko przesłać."

Dalszy ciąg tegoż "zdania sprawy", jak i następne dokumenty dotyczą planów masowego przeniesienia się emigracji polskiej z Francji do Ameryki. Emigracja ta za jedno ze swych przykazań narodowych uważała wiarę w rychłe nowe powstanie i, stosownie do tego, uznawała konieczność pozostawania jak najbliżej ojczyzny. Jednakowoż przykrości, doznawane ze strony rządu francuskiego, zrodziły rychło pomysł gromadnej wędrówki za morze. Nie przyszło do niej nigdy, ale dokumenty pozostały jako ciekawy dowód uczuć dawnej emigracji polskiej we Francji dla Ameryki.

Pisał więc dalej Lelewel:

"Mieszkańcy Zjednoczonych Stanów Ameryki Północnej w ciągu naszej walki przedsiębrali biedz w pomoc sprawie naszej, i poczęli zbierać składki, którymi komitet amerykański w Paryżu dysponował, już po upadku naszym. Składki te przerwały się na wiadomość ustania ostatnich usilności naszych. Lud, przywykły cenić pracę i zdolności, nie widział już potrzeby dostarczania funduszów, gdzie robota ustała. Gościnny na swej ziemi, otwiera obszerne role, pracowitemu i przemyślnemu, łatwego zarobku. Nie ma u niego stojącej militarki (t. j. stałego wojska), którąby wielotysiączne ręce od roli, od warsztatu, od rzemiosła i innych odrywała zatrudnień. Rola, warsztat, handel, rzemiosło i wszelkiego rodzaju praca, zajmuje rodowitego mieszkańca i przybysza z Europy, a tułacz prześladowanego narodu, nie pod innym by warunkiem schronienie znajdował. Objaśniał nas w tem w Ameryce znajdujący się ziomek nasz Józef Hordyński listami swymi i inni stanu tamtego kraju świadomi. Pojedyńczo puszczają się z tułactwa swego niektórzy ziomkowie nasi, inni proponują całkowitą emigrację i opuszczenie Europy, a myśli w tej mierze od rodaków rozważane, nie mogły być Komitetowi Narodowemu obojętne. Przemyślał coby miał w tej mierze przedsię brać i ażeby nie był bezczynny, wydarzyła mu się do tego szczególna sposobność.

"Wspomniany w poprzednim zdaniu sprawy Amerykanin Howe, którego zacna gorliwość w sprawie żołnierzy naszych w Prusiech, naraziła go na prześladowanie rządu pruskiego i więzienie, zasługiwał na szczególną w narodzie naszym pamięć i czułość. Wyraził to komitet narodowy w piśmie umyślnie na ten koniec 18 kwietnia do Howe'a wygotowanem, które Howe sobie właściwem sercem przyjmując, na nie odpisał: ofiarując się wprzódy być w sprawie naszej posłannikiem do ojczyzny swej. Niegodziło się propozycji tej Komitetowi odrzucać.

"Przekonani jesteśmy, równie jak Howe, że wynoszenie się nasze za morze, a tembardziej aż do Ameryki, jest niezgodne ze sprawą ojczyzny naszej, szkodziłoby nawet odrywając jej od posług, do jakich jej niedole powołują: bo oddalenie się podobne jest rzeczywistem expatriowaniem się, które przez pojedyńcze niektóre osoby podjęte, nierzuca plamy na nikogo; w masie dopełnione, byłoby prawdziwem odbieżeniem i opuszczeniem sprawy

narodowej. Wszakże rozważając co u nas nad Wisłą zaszło, wpatrując się w stan Europy i krainy, w której schronienie znajdujemy, przejmuje pewien rodzaj trwogi w niepewnej przyszłości. A w zmiennych losów ludzkich kolejach, gdzie wtedy przed prześladowaniem, przed pościgiem, przed zawziętym wrogiem naszym, schronienia szukać będziemy? Czy to pojedyńczo uchodzić zniewoleni, czy na dalsze tułactwo w masie wyparci. Przydać jeszcze potrzeba, że w dniach owych, w których w komitecie odezwanie się do Ameryki postanowione było, położenie Europy, a nadewszystko Francji, tak zagrożone, bądź wewnętrznem wstrząśnieniem, słusznej zdawało się wymagać przezorności i ostrożności. Temi niepewności pobudkami powodowany Komitet, na przypadek nieprzewidziany, który bodaj nigdy sprawy naszej w tak odległe nie wypychał strony, w tak dalekie nie zawieszał czasy: z pismem swojem udał się do rządu Stanów Zj. Półn. Ameryki i prezydenta jej Jacksona, wystawując powody, obawę przypadku, a pytając jakbyśmy tam przyjęci byli, prosząc oraz o zabezpieczenie przybycia w te krainy wolności. Załączył do tego odezwę do ludu Stanów Zj. i umocował do działania w tym przedmiocie 10 czerwca wygotowanym Howe'a, polegając na jego znanem do sprawy naszej przywiązaniu i w działaniu szczerości; prosząc go, aby czyniąc do prezydenta Jacksona kroki, dał pismom naszym należytą publikę i o rezultatach misji swojej nas zawiadomił. Ze swej strony Lafayette przesłał Howe'owi stosowne pisma wspierające krok nasz. Puścił się z tem poleceniem Howe do Ameryki..."

Memorjał polski, który komitet powierzył Howe'owi, również ułożony przez Lelewela, brzmiał następująco:

"Komitet Narodowy Polski do Jacksona, Prezydenta Zjednoczonych Stanów Ameryki.

"Polacy wyparci ze swej ojczyzny, której ich ofiary i wytężenia od zamachów zdrady i strasznych następstw zdobyczy ocalić nie mogły, prześladowani przez przysięgłych nieprzyjaciół wolności, nie uniósłszy nic ze swego kraju krom niedoli i nadziei, z ufnością udają się do rządu szczęśliwego ludu Ameryki, którego mądre instytucje głębokie w ziemię zapuściły korzenie i wydały piękne owoce wolności towarzyskiej, idącej pospołu z wolnością.

"Europa zna nasze prawa i różne losu koleje. Jej ludy w drodze do ogólnej emancypacji, witały każde nasze zwycięstwo głosem radości, bolały nad naszemi klęskami. Ojczyzna Waszyngtona, czcząc zawsze pamięć mężnego Pułaskiego i cnotliwego Kościuszki, poklaskiwała naszym ostatnim usiłowaniom; i ani ogromny przestwór oceanu, ani powaby błogiego bytu, nie odwiodły jej szczęśliwych synów od niesienia nam pomocy. Co wszystko obok przekonania dopełnionej powinności jest dla nas powodem, że się odzywamy do ich uczuć narodowych, mogących jedynie ulżyć cierpienia wielkiego niegdyś i wolnego, dziś z pod praw wyjętego narodu.

"Dziewięć miesięcy niepodległości, do której dała hasło noc 29 listopada 1830 roku, przeminęło w krwawych zapasach z potę-

żnym nieprzyjacielem, posiadającym wszelkie środki materjalnej przewagi, wspieranym przez sprzymierzeńców, którzy wspólnie z nim należeli do zbrodniczych rzeczypospolitej rozbiorów, i przez tajemnych w kraju naszym agentów. Polska padła ofiarą spisku królów.

"Jej wojska rozdzielone, żeby z każdej strony stawić czoło nieprzyjacielowi, mając do walczenia z przemagającemi siłami, wzrastającemi co chwila, i którym aby na niczem nie zbywało, obmyślali nieżyczliwi sąsiedzi, zmuszone były schronić się do kraju, który dawniej był polskim, nim się stał łupem najezdników. Francja obojętnie na tę walkę patrzała. Łudzony próżną nadzieją utrzymania pokoju, powodowany mylną polityką na powolności i koncesjach opartą, rząd francuski wzgardził dawną dwuch narodów przyjaźnią, potargał braterskie ich związki, wyparł się nareszcie, że Polska wstrzymała zamach despotów północy przeciw zasadom, uświęconym w rewolucji lipcowej. Polska ujarzmiona nie może się szczycić polityczną egzystencją, rządzona cała ukazami wbrew zobowiązaniom i traktatom, jakie przed siedemnastu laty jej ciemiężcom narzucić się podobało. Polacy wywołani z państw świętego przymierza, mają do wyboru pomiędzy śmiercią, więzieniem, lodami Syberji, a wygnaniem i stratą majątków. Szczątki wojowników, których po dopełnionych mordach na bezbronnych braciach, chciano skłonić do przyjęcia zdradnej amnestji, poszli na wygnanie wraz z członkami sejmu i rządu rewolucyjnego, żeby myśleć nad sposobami dźwignienia upadłej ojczyzny, bo jakkolwiek wielka być może jego niedola, nigdy w sercu Polaka nie wygaśnie skryta nadzieja tryumfu jego sprawy i odzyskania całej, wolnej i niepodległej Polski. Szukali oni bezpiecznego przytułku, tam gdzieby mogli nad wspólną sprawą pracować i swą narodowość ocalić i przechować.

"Stała przyjaźń, wspomnienie przeszłej sławy i nieszczęść dzielonych w różnych epokach z francuzkim narodem, rzetelne usługi kilkakrotnie Francji wyświadczone, uroczyste zaręczenia, wyrzeczone w chwili, kiedy inne państwa milczały, przez naczelnika rządu i reprezentantów narodu: że narodowość polska nie zginie, wskazywały Francję jako kraj jedyny, w którym Polak spodziewał się znaleźć gościnność i wsparcie, gdzie miał nadzieję swą narodowość przechować i przygotować drogi wskrzeszenia ojczyzny.

"Rozprószenie członków byłego rządu i izb sejmowych nieobiecywało prędkiego ich zebrania się w liczbie prawem przepisanej dla obradowania. Nieobecność reprezentacji narodowej w tak stanowczej chwili nastręczyła ziomkom, którzy naprzód do Paryża przybyli, myśl wybrania z pośród siebie Komitetu Narodowego. W miarę jak się pomnażała we Francji liczba tułaczów, Komitet wchodził z nimi w stosunki i w ich imieniu przemawiał; i w tym-ci to charakterze czyni niniejszą odezwę do prezydenta i do rządu Zjednoczonych Stanów Ameryki.

"Lud francuzki przyjął z zapałem swym nieszczęśliwych braci. Ufni jego szlachetnym uczuciom i uroczystym władz przyrzeczeniom, spodziewaliśmy się znaleźć tu przytułek w niedoli, tudzież zapewnienie pewnego rodzaju politycznego bytu. Takie były nasze nadzieje, gdyśmy ku Francji zmierzali. Lecz rząd głuchy zawsze na sprawiedliwe żądania polskich tułaczów, rozwinął przeciw nim system prześladowania, który potwierdziły obie izby, przyjmując prawo 9 kwietnia o cudzoziemcach, wymierzone szczególniej przeciw Polakom, których pod dowolność rządu oddaje.

"Polityczny horyzont w Europie coraz bardziej się zachmurza i Francja przez drażnione fakcje wewnątrz szarpana, może paść łupem zewnętrznej napaści. W takim razie, Polacy zostaliby pozbawieni i tego niepewnego przytułku.

"Przejęty najwyższą boleścią na widok obecnego położenia swych ziomków, nie mógł Komitet Narodowy nie wziąć pod ścisłą rozwagę ich przyszłego losu, nie mógł się nie zająć obmyśleniem środków bezpieczeństwa w przypadku, gdyby powyższe prawo ekscepcjonalne miało być do skutku przywiedzione, lub gdyby Polacy stać się znowu mieli ofiarą mylnej polityki. Wiedzą oni dobrze o trudnościach i niebezpieczeństwach spotkać ich mających, gdyby zmuszeni byli opuścić gościnną ziemię Francji. Zatrwożeni o swą przyszłość, podnoszą wzrok ku Zjednoczonym Stanom, nie tając wszakże jakby im przykro było szukać schronienia w tak dalekim kraju, gdzie na czas dłuższy wygnańcami pozostać by musieli. Lecz z drugiej strony ich umysł republikański oddychając powietrzem wolnego lądu, czerpałby niejaką pociechę w nieszczęściu. Śmieją sobie pochlebiać, że rząd Stanów Zjednoczonych Stanów nie zawiedzie ich nadziei i tego wysokiego mniemania, jakie w starym świecie o jego godności i wspaniałomyślności powzięto i że jego dostojny prezydent, podniesiony do tego znamienitego zaszczytu wolnemi głosy współobywateli, dzieląc ich uczucia, raczy łaskawie wysłuchać wezwań rozbitków narodu ugniecionego ciężarem najsroższych nieszczęść.

"Odebraliśmy już niewątpliwe dowody życzliwości Amerykanów. Dnia 4 lipca 1831 roku, w rocznicę ogłoszenia niepodległości Stanów Zjednoczonych, obywatele tej rzeczypospolitej w Paryżu obecni, zgromadzeni pod prezydencją pana Fenimore Coopera, znaczną składkę na korzyść sprawy naszej zebrali. Pan Samuel G. Howe przywiózłszy dla nas dwie chorągwie i dodatkowe patrjotyczne dary, utworzył tu w Paryżu amerykańsko-polski komitet pod swoją prezydencją i generała Lafayette.

"Tyle współczucia okazanego dla sprawy polskiej każe nam mieć nadzieję, że rząd Stanów Zjednoczonych nie odmówi nam także swej pomocy, jeśli by Polacy bezprzykładnem w dziejach świata zrządzeniem, prześladowani w Europie, znaleźli się w smutnej konieczności odbycia ostatniej do drugiej półkuli pielgrzymki, zażądają wtedy gościnności od ludu Stanów Zjednoczonych, gdzie nieszczęście zawsze ma pewny przytułek. Liczba naszych

rodaków wynosi od dwuch do trzech tysięcy. Bezbronni i wszelkich pozbawieni zasiłków, narażeni być mogą na niebezpieczeństwo w żegludze; sądzimy przeto rzeczą nieodzowną uwiadomić o tem rząd i prosić od niego pomocy.

"W takim stanie rzeczy, wiedzieć im jak najrychlej należy: jak dalece polegać mogą na wsparciu i opiece Zjednoczonych Stanów, jakie będą wymagane warunki od tych, coby chcieli szukać w rzeczypospolitej schronienia, jakie ich być mają z nią stosunki i powinności, i jak dalece mogłaby być zapewniona ich narodowość, bez naruszenia instytucji i interesów krajowych. Chcieliby także wiedzieć, czyli rząd zapewni im bezpieczne przebycie oceanu przez dodanie straży w czasie żeglugi dla odwrócenia niebezpieczeństw, jakieby im inaczej zagrażać mogły.

"Takie są żądania, które Komitet Narodowy poważa się przełożyć najwyższemu naczelnikowi Stanów Zjednoczonych. Poczytujemy sobie za nader szczęśliwą okoliczność, że nasze uczucia i życzenia przedstawione mu będą przez czcigodnego obywatela Doktora Howe, który przez swą gorliwość i świeże poświęcenie się w sprawie naszej, nowych nabył praw do wdzięczności.

"Paryż, dnia 9 maja 1832 roku

"Joachim Lelewel,
"Antoni Hłuśniewicz,
"Józef Zaliwski,
"Leonard Chodźko,
"Antoni Przeciszewski,
"Erazm Rykaczewski,
"Michał Stube,
"Edward Wodziński."

Powierzona również Howe'owi odezwa Polaków do narodu amerykańskiego, rozgłoszona przez niego w pismach, była następującej treści:

"Komitet Narodowy Polski do ludu Zjednoczonych Stanów Ameryki Północnej.

"Amerykanie!

"Wśród rewolucyj mających w ośmnastym wieku zmienić postać starej Europy i nowego świata, Polska jedna z pierwszych podniosła oręż za wolność i niepodległość. Opuszczona od wszystkich, walczyła przez pięć lat przeciw obcej napaści. Szczęśliwa, silnie wsparta pomocą wywołaną przez Lafayette'a, Ameryka Północna wyszła z tryumfem. Niezapomnieliście, że synowie Polski uświetnili swemi czynami pola bitew waszych, i miasta West Point i Savannah szczycą się dziś pomnikami, wzniesionymi na cześć Kościuszki i Pułaskiego.

"Od tej epoki wzrastaliście w zamożność, potęgę i pomyślność, gdy tymczasem Polsce, za każdem nowem usiłowaniem dźwignienia się z upadku, cięższe i sroższe jarzmo tłoczono. Znacie, obywatele, nasze nieszczęścia. Ziomkowie wasi, zgromadzeni w Paryżu, uczcili Polskę, tworząc dnia 4 lipca 1831 roku komitet

amerykańsko-polski, który tak hojnie zasilaliście waszymi darami. Żołnierz polski, wyparty z ojczyzny, błogosławił wasze imię, gdy rodak wasz, Samuel G. Howe, przyjaciel naszej świętej sprawy, dostawszy się na miejsce jego męczarni, rozdzielał pomiędzy nieszczęśliwych grosz, pochodzący z waszych patrjotycznych składek.

"Obarczeni niedolą, lecz z nadzieją w sercu, tułacze polscy zwrócili oczy ku Francji. Sądzili, że w niej wytchnienie i drugą znajdą ojczyznę, jaką im wskazywały zdala wyświadczone Francji usługi. Jakoż przybywszy na jej gościnną ziemię, spotykali tkliwą sympatję ludu francuskiego. Rząd króla-obywatela wyznaczył fundusz na ich utrzymanie, lecz obok tego nie omieszkał przepisać im warunków, niezgodnych z ich charakterem, sprawą i narodowością. Dręczeni srogą co chwila odnawiającą się niepewnością, poddani pod samowolne rozporządzenie Allien-billu, uchwalonego w obu izbach i potwierdzonego przez tegoż króla-obywatela 21 kwietnia, niemając znikąd pociechy ani zapewnienia przyszłości i narodowego bytu, podnosimy głos do narodu, który tak dobrze pojął wolność i niepodległość, i w którego jest mocy udzielić jedno i drugie uciśnionym i z opieki państwa wyzutym.

"Nie zabraknie Polakom stałości i cierpliwości. Potrafią wytrwać do końca. Lecz sądzą, że nabyli prawa do względu przyjaciół wolności, chcących ją trwałą i niewzruszoną uczynić.

"Waszem, obywatele Zjednoczonych Stanów i waszych liberalnych instytucyj wysokiem powołaniem jest wywrzeć wpływ zbawienny na nieustalone jeszcze losy starego lądu. Polacy gotowi są odpowiedzieć godnie waszemu wezwaniu. Chorągwie, któreście nam przysłali, powiewać będą na czele naszych zastępów. Wielkie imiona Waszyngtona, Kościuszki i Lafayette'a przewodniczyć będą naszemu wskrzeszeniu.

"Lecz gdyby w obecnem położeniu Europy a mianowicie Francji, zagrożonej nową koalicją świętego przymierza, mściwe ramię wroga dotknąć nas miało w teraźniejszem schronieniu, wtedy ostatnie nasze nadzieje uniosą się do waszej bogatej i cudownej krainy. Jużeśmy w tej mierze uczynili odezwę do waszego dostojnego prezydenta, którą powtórzymy do kongresu narodowego, gdy ten zwołanym będzie.

"Do odpowiedzi na te żądania Polacy rozprószeni po Europie zastosują dalsze swe kroki, jakie im od momentu opuszczenia ujarzmionej ojczyzny, ich honor i narodowość wskazały.

"Paryż, dnia 31 maja 1832

"Prezes — Joachim Lelewel,

"Członkowie — Walenty Zwierkowski, Leonard Chodźko, Antoni Hłuszniewicz, Antoni Przeciszewski, Erazm Rykaczewski, Józef Zaliwski

"Sekretarz — Walerjan Pietkiewicz

"Podskarbi — Karol Edward Wodziński".

Dr. Howe starał się jak najsumienniej wywiązać z poleceń, danych mu przez Polaków. Z Londynu, podczas drogi powrotnej z Europy do Ameryki, pisał Komitetowi Narodowemu dnia 22 maja 1832:

"Panowie!

"Napróżnobym starał się wyrazić uczucia, jakie wznieciło we mnie pismo Wasze z dnia 20 kwietnia, pełne dobroci i względów dla mnie. Gdyby nawet moje starania i usługi miały tę wagę, jaką do nich przywiązujecie, jużbym miał więcej jak dostateczną nagrodę, odbierając tyle dowodów szacunku od tak szanownej reprezentacji polskiego narodu.

"Miło mi będzie być oddawcą odezwy Waszej do prezydenta Zjednoczonych Stanów, lubo wolałbym, aby do kongresu podaną była.

"Być jednak może, że jeszcze kongres zgromadzonym zastanę i, w takim razie, odezwę Waszą nie omieszkam złożyć w Waszyngtonie.

"Śmiem także prosić, abyście mi pozwolili ogłosić ją drukiem w Ameryce, jeżeli by prezydent z tem się ociągał, ponieważ tam najwięcej na sympatji ludu liczyć należy. Szczęściem, u nas naród nie przestaje na wynurzeniu swych uczuć, lecz ich razem rządowi udzielić umie.

"Nie daj Boże, aby rząd nasz dał się wciągnąć w niecną politykę, która splamiła w Europie charakter naszego wieku; nie daj Boże, aby niczem dotąd nieskalana tarcza naszego młodzieńczego narodu, skazić się miała choćby pośrednim udziałem w najczarniejszej politycznej zbrodni, lub nikczemnem opuszczeniem nieszczęśliwych jej ofiar.

"Bądźcie pewni, że nie napróżno odwoływać się będziecie z Europy do Ameryki; bądźcie pewni, że tam, gdzie chorągiew narodowa jest chorągwią ludu, i gdzie rząd niczem innem nie jest, tylko jego organem: że tam głos i wołanie ludu wysłuchanem będzie.

"Przyjmijcie życzenia pomyślnego skutku Waszej pięknej sprawy, oraz zapewnienie prawdziwego szacunku,

"Samuel G. Howe."

Broszura "Całoroczne trudy Komitetu Narodowego Polskiego" (Paryż, 1833) podaje piękny, jeden z późniejszych listów Howe'a, donoszący o nieudałych wynikach jego zabiegów, aby zająć Amerykę sprawą Polaków. List jest zwrócony do Karola Edwarda Wodzińskiego, podskarbiego Komitetu, z którym utrzymywał dłuższą korespondencję. Nosi datę: Boston, 4 listop. 1832.

"Obywatelu! — pisał Wodzińskiemu. —

"Winienem Ci odpowiedź na dwa odebrane od Ciebie listy, której dotąd, mimo najlepszej chęci, wyprawić nie mogłem. Odezwa Waszego Komitetu do ludu Stanów Zjednoczonych, powtórzona przez wszystkie niemal dzienniki, znalazła echo w całej naszej krainie; ze smutkiem wyznać muszę, że szczere usiłowa-

nia moje nie mogły dotąd wywołać wolnego objawienia publicznej ekspresji tego interesu, tej sympatji, jaką cały lud Ameryki czuje, lecz nie wyraża. Pochodzi to z dwuch przyczyn. Ludu naszego trudno napoić przekonaniem, że jego usiłowania mogą wpłynąć korzystnie na oddalenie obecnej niedoli, lub złagodzenie następnych cierpień, które los zdaje się gotować dla biednej Polski. Mówią: Czujemy nieszczęścia Polski i dałby Bóg, abyśmy je złagodzić mogli, ale to dziś jest niepodobnem i nasza kraina nic zrobić nie może, coby odwróciło Rosję na chwilę od uskutecznienia jej piekielnych zamiarów. Jest to w części prawdą. Prawdą dlatego, że wszyscy już nabyli smutnego przekonania, iż w dyplomacji skargi ludzkości, wołanie sprawiedliwości i cierpienia serca nie mają posłuchania. Rządy dzisiejsze podług jej zasad postępujące, popełniają bezkarnie zbrodnie, któreby w indywiduach nacechowane były piętnem okrucieństwa, niesprawiedliwości i hańby. Gdyby człowiek jaki patrzał obojętnie na zbójcę mordującego niewinne i bezsilne dziecko, jego obojętność nie byłażby nazwana nikczemnością i nieludzkością? Tak jednak postąpiły wszystkie rządy dzisiejsze w zapasach Polski z Rosją i żaden z nich nie protestował nawet przeciw pogwałceniu najświętszych praw ludzkości; to ich milczenie zostanie na zawsze hańbą naszego wieku.

"Drugą przyczyną nie objawiania się tego ogólnego uczucia naszego ludu jest wielkie zajęcie się zbliżającym się wyborem prezydenta, wyborem, od którego, wyznać trzeba, zależeć będzie utrzymanie lub utrata najważniejszych zasad, stanowiących szczęście oświeconej rzeczypospolitej.

"Wszyscy tu jesteśmy w oczekiwaniu postępu wydarzeń, które nakoniec muszą wyswobodzić Europę z haniebnego jarzma, w jakie dotąd wprzężona, a oczekiwania nasze tem są żywsze, że, zdaniem naszem, w rozwiązaniu tej wielkiej kwestji leżą przyszłej Polski nadzieje i losy. Wiesz, iż myśl emigracji Polaków do naszej krainy uważałem zawsze za ostatnią z myśli, jakie Polak mieć powinien. Ameryka jest straconą nadzieją Polski i żadnemu z Twoich rodaków nie należy się u nas osiedlać, aż chyba zgaśnie wszelka nadzieja odrodzenia ojczyzny. Jam, z mojej strony, tej nadziei nie stracił. Widzę najmniej dziesięć miljonów ludzi, których serca biją głośno, biją patrjotycznie i biją dla Polski. Takiej narodowości krew bitew nie zaleje, pożar wojen nie spali, wszelkie prześladowania Rosji zniszczyć nie zdołają. Wkrótce ogłoszę w "North American Review" moje uwagi o przeszłym, teraźniejszym i przyszłym losie Polski, w których usiłuję dowieść, że nadzieja zmartwychwstania Waszej ojczyzny codzień zbliża się do urzeczywistnienia. Cierpię z Wami, lecz nie rozpaczam, i wierz mi, że sprawą polską ciągle się zajmować nie przestanę. Chciej mi udzielać bez przerwy wiadomości o wszystkiem, co się w Waszej emigracji, w Waszej ojczyźnie dzieje. Przysyłaj, jak dotychczas, wszystko, co o Waszej sprawie z druku wyjdzie

przez P. E. i spodziewaj się wkrótce odebrać odemnie paczkę pism różnych. W ostatnim liście wspominasz mi, że jeden z Twoich przyjaciół (Straszewicz) żądał mieć mój portret; jest-li to żart, czy prawda?... Nie sądź, że to pytanie robię w zamiarze przysłania, gdyż dotychczas ani nikt mego portretu nie zdejmował, anim nic takiego nie zrobił, żeby podobizna mych rysów mogła uczynić przyjemność komukolwiek, prócz moich przyjaciół, i nie mam nadziei, abym mógł co kiedy uczynić. Bóg wie, że najgorętszem życzeniem mego serca było i będzie zawsze ulżenie nieszczęść, ciążących nad ludzkością, ale dobre moje chęci nie są wsparte ani przez talenty, ani przez inne środki. Jeśli Twój przyjaciel istotnie nie żartuje, powiedz mu, że się omylił, powiedz, że od żadnego z Polaków nic mi nie należy się nad to przekonanie, żem zawsze usiłował być choć w małej cząstce użytecznym sprawie Waszej krainy, która jest krainą mego serca, krainą serca każdego, kto się człowiekiem nazywa.

"Spodziewam się częstych od Ciebie listów i mam nadzieję, że się z sobą kiedyś spotkamy; jeśli słońce oświaty i wolności nie zajdzie w Europie, pod wałami Warszawy, — lub, jeśli ciemności przemogą na czas jakiś, w nowej Warszawie, zbudowanej na równinach Ameryki.

"Przypomnij mnie naszym przyjaciołom i przyjm braterskie pozdrowienie.

"Samuel G. Howe."

Nie tylko lud amerykański nie zdobył się na "wolne objawienie publicznej ekspresji" wobec odezwy Komitetu Narodowego Polskiego, ale i prezydent Jackson zbył milczeniem memorjał polski. W każdym razie niema żadnych śladów, aby Komitet dostał nań odpowiedź — chociażby tylko konwencjonalną.

Zresztą przychylnej odpowiedzi nie można było się spodziewać. Wzięcie powstańców polskich pod urzędową opiekę przez rząd Stanów Zjednoczonych byłoby niechybnie uważane w Petersburgu za akt nieprzyjazny względem Rosji. Nie mógł więc rząd waszyngtoński narażać się potężnej wówczas Rosji dla gromadki wygnańców polskich.

Zresztą do planowanej masowej emigracji polskiej za morze nie doszło wówczas wcale.

Jedyny wyjątek stanowił przyjazd trzech okrętów wojennych austrjackich z 235 powstańcami do Nowego Jorku w roku 1834. Ci jednak nie przybywali z własnej woli, ale deportowani przemocą przez rząd austrjacki, który wyrzucił ich na bruk metropoli amerykańskiej na dalszą tułaczkę i niedolę...

Jednem z rzadkich już wówczas ech tej krótkotrwałej epoki amerykańskich sympatyj dla Polski był ustęp z mowy księdza Karola Konstantego Pise, Włocha amerykańskiego i kapelana senatu Stanów Zjednoczonych, wygłoszonej do izby delegatów w Annapolis, Md., dnia 4-go lipca 1833, z okazji rocznicy niepodległości Ameryki. (Catholics and the American Revolution, by Martin I. J. Griffin, Philadelphia, 1911).

"Obok Lafayette'a" — mówił ks. Pise — "pamięć innych cudzoziemskich bohaterów nasuwa się nam na oczy: czyż czas kiedy przyćmi chwałę, która rozświetla nazwiska Rochambeau'a i Chastelluxa; D'Estaigne'a, De Grasse'a, lub De Barrasa i Kościuszki — Kościuszki, który walczył od Hudsonu do Potomaku, od Atlantyku do jezior Kanady — Kościuszki, który, wedle słów Niemcewicza, wygłoszonych na obchodzie żałobnym w Warszawie, 'cierpliwie znosił niezmierne trudy, zdobył nieśmiertelną sławę i — co jest nieskończenie cenniejsze w jego mniemaniu — pozyskał wdzięczność oswobodzonego narodu. Amerykański sztandar powiewał nad fortami w Stanach Zjednoczonych i wielkie dzieło owobodzenia było ukończone, zanim zgodził się wrócić do swej rodzinnej Polski' — i

'Freedom shrieked when Kosciuszko died!'...

"Polska, ojczyzna Kościuszki, od niepamiętnych wieków kraj katolicyzmu, i gniazdo ducha wolności. Jej imię jest równoznaczne z patrjotyzmem, wielkodusznością i sławą i klęskami. Nie mogąc znieść niewoli, wije się pod ciemięstwem; zrodzona do swobody, przykuta jest do wozu despotyzmu. Powstała w swem oburzeniu, z duchem, który nie znosi jarzma, z duszą, która zrywa swe pęta, i z sercem, które pęka pod tyranją — spróbowała zostać wolną. Ale jej wysiłki zostały zduszone przez macki Rosji; chmary niewolników i kozaków rzuciły się na jej doliny, jak szarańcza na Egipt. Lewiatan Północy pożarł nadzieje swobód polskich. Najdzielniejszy z narodów jest w kajdanach — ten, którego ramię zawsze wyciągało się z pomocą sprawie wolności, padł. bez nadziei zmartwychwstania, w grób ucisku.

"Her fathers were among the brave and free,
And good as free, and virtuous as brave,
Spirit of Sobieski, rise!—to thee
Poland appeals! rise from thine honored grave!
As the pennons of thy country vave
O'er her bright spears and lances, point again
To glory's pillar reared on Chocim's plain.
Sons of brave Poland! turn your eyes to where
Your Sobieski paused to send to heaven
For his dear country and her sons this prayer:
'To thee be liberty forever given'."

XIII.

Dr. Paweł Fitzsimmons Eve,

Uczestnik Powstania Listopadowego

O świcie dnia 3-go listopada 1877-go roku w Nashville, Tenn., zmarł nagle, w drodze do chorego, doktor Paweł Fitzsimmons Eve, jeden z najznakomitszych ówczesnych lekarzy amerykańskich, profesor uniwersytetów, autor licznych dzieł lekarskich i swego czasu jeden z nielicznych a kto wie, czy nie jedyny ochotnik amerykański w polskiem powstaniu listopadowem.

Śmierć jego okryła żałobą nietylko naukowy świat amerykański, ale i szerokie koła narodu.

"Nazwisko jego przetrwa na zawsze w rocznikach amerykańskiej chirurgji" — wedle słów żałobnej rezolucji kolegjum medycznego Nashville, w którem dr. Eve ostatnio przed śmiercią zajmował katedrę profesorską. "Pamiętać go będą przez całe życie tysiące czułych i wdzięcznych serc pacjentów, studentów, kolegów i przyjaciół; mnogie rzesze chrześcijan wszelkich wyznań wspominać go będą w swych dziękczynnych modlitwach; przyszłe pokolenia czcić będą jako wielkiego i mądrego apostoła sztuki leczniczej, gdyż przez 71 lat swojego pożytecznego życia był ciągle posłańcem pokoju i miłości, zawsze niezmordowanym, zawsze chętnym, zawsze zapominającym o sobie a nigdy nie zapominającym o swem powołaniu".

Nazwisko to pamiętać powinni także Polacy.

Dr. Paweł Fitzsimmons Eve urodził się w Forest Hall, nad rzeką Savannah, blisko Augusta, Ga., dnia 27-go czerwca 1806, jako najmłodszy z 11-ga dzieci kapitana okrętowego Oswella i Aphry Ann Eve. Ukończywszy Franklin College (obecnie uniwersytet Georgia) w r. 1826 ze stopniem bakałarza sztuk, udał się do Filadelfji, gdzie, stosownie do ówczesnego zwyczaju, zaczął praktykować na lekarza w biurze dra. C. D. Meigsa, równocześnie zaś studjował medycynę na uniwersytecie Pennsylvania. W. r 1828 opuścił ławę uniwersytecką ze stopniem doktora medycyny.

Młody lekarz przez rok prowadził własne biuro w Augusta, Ga. Gdy ojciec umarł mu w lecie 1829, dr. Eve wybrał się w drogę do Europy, aby poświęcić się wyższym studjom chirurgji pod okiem powag lekarskich starego świata.

Po krótkim pobycie w Londynie przybył do Paryża w lutym 1830 r. i przez 18 miesięcy słuchał wykładów sławnych francuskich chirurgów.

Tam w Paryżu doszły go wieści o wybuchu powstania listopadowego w Warszawie, o późniejszych zapałach i porywach, zwycięstwach i niepowodzeniach polskich. Pod ich wpływem, pod wpływem tradycyj narodowych o Pułaskim — którego imię szczególnie było czczone zawsze w południowych stanach amerykańskich — pod wpływem wreszcie swego szlachetnego serca, dr. Eve z zapa-

łem zaprzągł się do pracy dla sprawy polskiej. Nieznane są, niestety, szczegóły jej, ale zapewne musiał złożyć wiele poświęceń na ołtarzu ojczyzny Pułaskiego, skoro kolonja amerykańska w Paryżu na zebraniu swem w dniu 9-go lipca 1831 rezolucją wyraziła mu swe uznanie za gorliwość w następujących słowach:

"Postanawiamy, że zebrani podziwiają i pochwalają gorliwość doktora Pawła F. Eve z Georgia, który poświęcił swą osobę, swe zdolności i swój czas sprawie polskiej."

Na zebraniu tem zorganizowany został Amerykańsko - Polski Komitet dla niesienia pomocy powstańcom polskim. Dr. Eve był jednym z jego założycieli i najgorliwszych pracowników.

Wnet potem rewolucja lipcowa wstrząsnęła Paryżem. Stary i despotyczny król Karol X. został zmuszony do abdykacji po trzydniowych walkach na barykadach. Bruki paryskie znowu zabarwiły się krwią. Dr. Eve wierny swemu powołaniu lekarza, wziął zawodowy udział w rewolucji, niosąc niezmordowanie pomoc rannym i cierpiącym.

Pod wpływem wypadków paryskich w młodym doktorze dojrzało postanowienie wyjazdu na pole walki w Polsce. Pojechał zaofiarować swe usługi rządowi powstańczemu, aby — jak sam powiadał — "odwdzięczyć się Polsce za bohaterskiego Pułaskiego, który zginął podczas oblężenia Savannah w naszej własnej wojnie rewolucyjnej."

W drodze do Warszawy natrafił jednak na nieprzewidzianą przeszkodę. Fałszywy rząd pruski zatrzymał go w Berlinie jako podejrzanego. Dopiero przy pomocy listów od generała Lafayette'a i Amerykańsko - Polskiego Komitetu w Paryżu, szczególnie zaś dzięki wstawiennictwu doktora Karola Fryderyka Graffego, lekarza królewskiego, zdołał uzyskać pozwolenie na dalszą podróż do Polski.

Rząd powstańczy przyjął go z otwartemi rękoma i przydzielił zrazu do służby szpitalnej. Za gorliwość w spełnianiu obowiązków i w uznaniu wybitnych zdolności wnet potem dr. Eve został mianowany lekarzem polowym 15-go pułku piechoty w randze majora i szefem ambulansów w dywizji generała Turny. Złoty krzyż zasługi został mu również przyznany na polecenie szefa służby medycznej. Podczas szturmu i zdobycia Warszawy, 7 i 8 września, 1831 r., dr. Eve nie był w stolicy. Wkrótce potem wraz z resztkami armji polskiej przekroczył granicę pruską i po złożeniu broni został internowany przez Niemców w obozie pod Wieruszowem, na granicy polsko - pruskiej. Z niewoli wybawiła go cholera, którą wojska rosyjskie przyniosły do Polski, a stamtąd rozniosła się wówczas po całym świecie. Zwolniony po 30-dniowem uwięzieniu, dr. Eve wyjechał, chory jeszcze, do Paryża w październiku i tam przez kilka tygodni leczył się i wypoczywał. Dnia 1-go stycznia 1832 r. wsiadł na okręt w Hawrze i po 53 dniach uciążliwej podróży przyjechał do Nowego Jorku.

Dalsze swe życie dr. Eve poświęcił w zupełności zawodowi profesorsko - lekarskiemu. Zorganizował Medyczne Kolegjum Georgia i od r. 1832 do 1849 zajmował w niem katedrę profesora chirurgji, odbywszy przytem służbę w wojnie meksykańsko - amerykańskiej. W r. 1850 powołano go na katedrę chirurgji w uniwersytecie Louisville, Ky., jednakowoż ze względu na zdrowie żony, która wnet potem zmarła, ustąpił po jednym kursie. W r. 1851 został profesorem na uniwersytecie Nashville i przez 10 lat wykładał na nim chirurgję. Po wybuchu wojny domowej zaofiarował swe usługi rządowi Stanów Skonfederowanych i został mianowany naczelnym lekarzem w armji generała Józefa E. Johnstona. Z upadkiem Nashville stracił wszystko, co posiadał, wyratowawszy z pogromu tylko torbę z narzędziami chirurgicznemi. Przez następne lata wojny pracował przeważnie po szpitalach wojskowych, z wytrwałością znosząc ciężkie trudy swego zawodu.

Po wojnie dr. Eve wrócił do Nashville. Sława jego jako chirurga i profesora była już wówczas tak wielka, że Kolegjum Medyczne Missouri, pomimo ostrej powojennej nienawiści dzielnicowej, nie zawahało się powołać go na katedrę chirurgji w r. 1868. Niedługo jednak bawił dr. Eve na północy. Ostry klimat tamtejszy nie służył mu, w r. 1869 wrócił więc na uniwersytet Nashville, gdzie już prawie aż do śmierci pozostawał.

Wiele innych amerykańskich uczelni ubiegało się o posiadanie go wśród swych profesorów. Dr. Eve, ciągle pracując nad rozszerzeniem zakresu swej wiedzy, sześciokrotnie jeszcze wyjeżdżał na studja do Europy. Podczas jednego z tych wyjazdów uczestniczył w wojnie włosko - austrjackiej w r. 1859, również zawodowo.

Swej pracy pedagogicznej nie ograniczał do wykładów szkolnych, ale też zasłynął jako autor dzieł i artykułów lekarskich, z których wiele dotychczas posiadają wartość naukową. W różnych okresach czasu redagował czasopisma lekarskie. Karjerę swą publicystyczną rozpoczął tuż po powrocie z Polski dwoma artykułami o cholerze, która właśnie szła wtedy z Europy na Amerykę.

Dr. Eve był żonaty dwukrotnie — w r. 1832 zaślubił Sarę L. Twiggs, z którą miał nieżyjącego już syna i córkę, Annę L. Stevenson, żonę pierwszego prezydenta kolei Nashville and Chattanooga. W styczniu 1852 r. ożenił się powtórnie z Sarą A. Duncan, córką pastora z Południowej Karoliny, która przeżyła go o 20 lat i zmarła w r. 1897, pozostawiając troje dzieci — synów Duncana i Pawła F. Eve, oraz córkę Sarę, zamężną następnie za Edwardem Drane z Clarksville, Tenn.

Obaj synowie szlachetnego doktora poszli śladem ojca i — dzisiaj już siwi starcy — są bardzo wybitnymi lekarzami i profesorami uniwersyteckimi w Nashville, Tenn.

Pragnąc zdobyć nieco więcej wiadomości o doktorze Eve, zwróciłem się listownie do starszego jego syna, dr. Duncana Eve, profesora chirurgji na wydziale medycznym uniwersytetu Vanderbilt. Czcigodny starzec z największą uprzejmością służył mi informa-

cjami o życiu ojca, niestety jednak, wiadomości jego o polskiej służbie rodzica były również skąpe. Poniżej przytaczam wyjątek jednego z jego listów, który rzuci pewne światło na stanowisko bohatera niniejszego szkicu wobec Polski:

"Pamiętam bardzo niewiele z przeżyć mojego ojca w armji polskiej i pruskiem więzieniu. Opowiadał nieraz o swych ciężkich przejściach podczas niesienia pomocy Polsce, ale byłem wówczas małym chłopcem. Są to już tak dawne czasy, że w pamięci mojej pozostało tylko bardzo mało szczegółów z jego życia w tym okresie.

"Uczucia mojego ojca, wiem o tem dobrze, były zawsze po stronie Polski. Uważał on Polaków za niewinnie prześladowanych, a postępowanie potężnych państw, przeciw którym musieli walczyć, potępiał jako największy gwałt.

"Z przykrością muszę donieść, że po śmierci ojca, siostra moja, zamieszkała podówczas w Nowym Jorku, otrzymała w spuściźnie złoty krzyż polski i zgubiła go. Nigdy potem nie słyszeliśmy nic o nim. Siostra ogłaszała o zgubie odznaki, która była nam bardzo drogą pamiątką, ale nie dowiedzieliśmy się już nic o niej.

"Żal mi, że nie mogę udzielić bardziej szczegółowych wiadomości i pozostaję

"z szacunkiem,

Duncan Eve.

"Nashville, Tenn., 16 października, 1925."

Nazwisko doktora Pawła F. Eve — to nowa nić, łącząca Polskę i Amerykę, a tem piękniejsza, że uwita z porywu szlachetnego serca "wysokiego amerykańskiego doktora" — jak go żartobliwie nazywał wielki lekarz francuski Velpau ze względu na potężny wzrost.

"Był to mąż, który przerastał wszystkich współczesnych na polu medycyny", pisze o nim jego bjograf, R. A. Halley (w "American Historical Magazine", paźdz. 1914) — "mąż, który przez niestrudzoną czynność swego długiego żywota był wzorem dla drugich, jak wysoko wznieść się może prawdziwa zasługa; mąż, który wywarł swój wpływ na całą nowoczesną medycynę. Również wzorowym był w prywatnem życiu lekarskiem. Dla niego nie stanowiło różnicy, czy chory mieszkał w pałacu, czy ubogiej chacie. Zawsze był gotów nieść pomoc cierpiącym; a sam fakt, że cierpieli, wystarczał mu, by wysilić całą swą wiedzę. Zmarł na posterunku pracy..."

Życzliwa pamięć bliźnich — to najpiękniejszy pomnik, jaki doktor Eve zostawił po sobie. Niechaj ten krótki szkic będzie mu choć tymczasową podzięką rodaków Pułaskiego za wierną i ofiarną służbę dla Polski.

XIV.

Samuel F. B. Morse,

Wynalazca Telegrafu, Przyjaciel Polski

Jednym z najserdeczniejszych przyjaciół sprawy polskiej w okresie powstania listopadowego był Samuel Finley Breese Morse, sławny wynalazca telegrafu. Sztuka była tym pośrednikiem, który zbliżył go przypadkowo do Polaków. Wrażliwość i szlachetność duszy Amerykanina dokonały reszty — otworzyły na oścież jego serce dla Polski.

Morse był przedewszystkiem artystą i to jednym z najlepszych amerykańskich malarzy i rzeźbiarzy. Fizyką w młodości swej zajmował się tylko pobieżnie. Kiedy w listopadzie 1829-go roku, już jako 39-letni mężczyzna, wyjeżdżał z Nowego Jorku na studja malarskie do Włoch — ani przeczuwał, że nie sztuka piękna, ale ścisła wiedza będzie polem, na którem nazwisko jego rozbłyśnie niezniszczalną zasługą.

Po krótkim pobycie w Anglji i Francji przyjechał do Rzymu w lutym 1830, aby skopjować arcydzieła Rafaela i innych mistrzów włoskich. Wieść o powstaniu listopadowem w Polsce musiała zapewne odrazu zrobić i na nim wrażenie i wywołać przychylne uczucia dla Polski. Spotkanie w Rzymie z Polakami skłoniło artystę do wynurzenia tych uczuć w liście do braci Sydneya i Ryszarda, wydawców tygodnika "Observer" w Nowym Jorku, z którymi żył zawsze w przykładnej miłości braterskiej. List ten datowany w Rzymie, 15-go kwietnia 1831, jak i wszystkie poniżej podane, z wyjątkiem jednego, pochodzi z dzieła Samuela Irenaeusa Prime'a "The Life Samuel F. B. Morse" (New York, 1875).

"Słyszeliśmy ostatnio o nieszczęściach Polaków", pisał w nim Morse. "Co za szlachetny naród! jak zasługujący na wolność! Muszę Wam opowiedzieć o ciekawem zdarzeniu, jakie miałem w związku z Polską. Było to w drugiej połowie czerwca zeszłego roku, właśnie, gdy kończyłem przygotowania do podróży do Neapolu, kiedy jeden z tych wspaniałych księżycowych wieczorów, tak częstych we Włoszech, skusił mnie do odwiedzenia jeszcze raz ruin Kolosseum. Byłem nieraz w Kolosseum w towarzystwie, ale teraz chciałem pójść sam — pragnąłem nacieszyć się, ile możności, jego samotnością i uroczystym majestatem, bez przeszkody ze strony drugich. Była godzina 11-ta, gdy opuściłem swe mieszkanie i nikt o tej godzinie nie szedł po pustych ulicach Rzymu. Od Corso aż do Forum wszystko było tak ciche, jakby w opuszczonem mieście. — Ruiny Forum, świątynie i kolumny, łuk Tytusa i olbrzymie arkady świątyni pokoju zdawały się spać w grobowym spokoju powietrza. Jedynym głosem, który dochodził do moich uszu, był stuk moich kroków. Szedłem powoli, przystając od czasu do czasu i wsłuchując się w ciszę, rozkoszując się głębokim spokojem i uroczystem, czystem światłem, tak odpowiedniem do tej przebrzmiałej świetności,

jaka mnie otaczała. Kiedy zbliżyłem się do Kolosseum, krzyk sowy i odpowiadające mu echo przerwały ciszę na chwilę i znowu wszystko zapadło w spokój. Dotarłem do wejścia, przed którem przechadzał się samotny szyldwach z bronią, błyszczącą w świetle księżyca. Zatrzymał mnie z miejsca i powiedział, że nie mogę wejść do wnętrza. Zapytałem dlaczego? Odpowiedział, że ma rozkaz nie wpuszczać nikogo. Rzekłem mu, że wiem lepiej, iż niema takiego rozkazu, iż został tam ustawiony dla ochrony zwiedzających, a nie dla zabraniania im wejścia i że wejdę. Widząc moją stanowczość (gdyż wiedziałem z doświadczenia, że pobudką jego było wymuszenie pieniędzy), zmiękł w tonie i prosił, abym zaczekał, aż będzie mógł zawiadomić sierżanta warty. Na to zgodziłem się i podczas jego nieobecności grupa mężczyzn zbliżyła się również do wejścia. Jeden z nich, zasłyszawszy moją rozmowę z szyldwachem, odezwał się do mnie. Przypuszczając, że jest cudzoziemcem, zapytałem go, czy zna język angielski. Odpowiedział z lekkim akcentem "tak, trochę; czy jesteś pan Anglikiem?" — 'Nie', odparłem. 'Jestem Amerykaninem ze Stanów Zjednoczonych', 'Naprawdę?' powiedział, 'tem lepiej' i wyciągając swą dłoń, uścisnął serdecznie mą rękę, dodając: 'Mam wielki szacunek dla pańskiego kraju i znam wielu pańskich rodaków'. Wspomniał wówczas doktora Jarvisa i p. Coopera, powieściopisarza, z których ostatni, jak powiedział, cieszy się wielkim szacunkiem w Europie, a nigdzie większym, jak w jego kraju, Polsce, gdzie jego prace są popularniejsze, niż Scotta, a talent jego uważany jest za równy, jeśli nie za większy od tegoż. Ten przypadkowy wstęp o przedmiotach literatury dostarczył nam dostatecznego tematu do rozmowy wśród rozmyślań nad wspaniałemi ruinami, po których drapaliśmy się po powrocie szyldwacha. Pytałem go o literaturę polską, a zwłaszcza, czy żyją teraz jacy wybitni poeci. Odpowiedział: 'Tak, panie, na szczęście, podróżuję w towarzystwie najsławniejszego naszego poety, Meinenvitcha' (tak podane w bjografji Prime'a) ; o ile go zrozumiałem, poeta ten był jednym z przechadzających się w innej części ruin. Zajęci rozmową, wyszliśmy z Kolosseum i zwolna postępowaliśmy ku miastu. Powiedziałem mu o głębokiem zajęciu, z jakiem o Polsce myślą w Stanach Zjednoczonych, i że o jej bohaterach mówimy z taką samą czcią, jak o naszych własnych. Jako o dowodach tego szacunku powiedziałem mu o pomniku, wzniesionym przez kadetów z West Point, naszej szkoły politechnicznej, ku czci Kościuszki. Wiadomość ta widocznie wzruszyła go silnie; wziął mnie za rękę i zawołał z wielkim zapałem i dobitnie: 'My także, panie będziemy wolni; czas ten nadchodzi; my także będziemy wolni, moja nieszczęsna ojczyzna będzie wolna'. Było to jeszcze przed rewolucją we Francji.

Gdy doszedłem do ulicy gdzie mieliśmy się rozstać, wyjął swój notatnik i podszedłszy pod lampkę, płonącą u stóp Madonny, blisko Piazza Colonna, prosił mnie, abym wpisał w nim swe nazwisko obok nazwiska innych Amerykanów, które przechowywał w

swej książce. Uczyniłem zadosyć jego prośbie. Żegnając się ze mną powiedział: "Będzie to jedno z najmilszych moich wspomnień z Rzymu, że ostatnią noc, spędzoną w tem mieście, spędziłem w Kolosseum w towarzystwie Amerykanina, obywatela wolnego kraju. Jeżeli pan kiedy odwiedzisz Warszawę, proszę zapytaj o księcia —; będę niezmiernie szczęśliwy zobaczyć go'. W ten sposób rozszedłem się z tym ciekawym Polakiem. Że zapomniałem nazwisko polskie, słyszane tylko raz, nie uważacie chyba za nic nadzwyczajnego. Muszę Wam powiedzieć jeszcze dalszy ciąg. Kiedy wybuchła rewolucja polska, jakież było moje zdziwienie, gdy znalazłem poetę Meinenvitcha i księcia, którego nazwisko wyglądało podobne do tego, które mi wówczas powiedział i przy którem była uwaga 'który właśnie wrócił z Włoch', wśród pierwszych członków tymczasowego rządu! Kiedy pierwsza wiadomość o rewolucji w Polsce doszła do Włoch, było niezwykle ciekawem patrzeć na silne uczucia i entuzjazm, jakie ożywiały Polaków, bawiących z wizytą we Włoszech. Spotkawszy się, obejmowali się, a z policzków spływały im łzy i ślubowali sobie wzajemnie, że wrócą natychmiast do domu, aby walczyć za ojczyznę. Pewni Anglicy, moi przyjaciele, odwiedzili dwuch polskich szlachciców, z których jeden jest artystą. Obaj pakowali się do drogi do domu, choć nie posiadali nic prócz zapału, co mogliby oddać dla sprawy swej ukochanej ojczyzny. Przy pożegnaniu Anglicy wyrazili nadzieję, że spotkają się kiedyś znowu. 'Nie, nie', odparli, "nigdy w świecie, jedziemy umrzeć za nasz kraj; spotkamy się w niebie!"

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tym, którego Morse spotkał w ruinach Kolosseum, był Antoni Edward Odyniec, a owym "Meinenvitchem" nasz Adam Mickiewicz, podróżujący wówczas po Włoszech. Świadczą o tem słowa Polaka, przytoczone przez Morsego, iż "podróżuje w towarzystwie najsławniejszego polskiego poety" i wzmianka, że spotkanie to, zdarzyło się w ostatnią noc, spędzoną przez nich w Rzymie. Mickiewicz z Odyńcem akurat spędzali z końcem czerwca 1830-go roku kilka dni w "wiecznem mieście" w przejeździe z Neapolu na północ Włoch. Odyniec w liście do Ignacego Chodźki, datowanym z Rzymu, 30-go czerwca, godz. 12 w nocy, notuje: "Ultima dies! Słyszę echo zegaru bijącego północ. A więc początek jutra; a jutro koniec pobytu w Rzymie... Z wieży Kapitolińskiej rano, a w Kolosseum przy świetle księżyca wieczorem, pożegnaliśmy Rzym i Romę..." (A. E. Odyniec, Listy z Podróży, t. IV).

Mimo swej drobiazgowości w listach, Odyniec nie wspomina nic o spotkaniu z Morsem, które musiało być niechybnie dla niego niezwykłem zdarzeniem. Wyraźnie jednak pisze, że ostatni wieczór spędził z Adamem w Kolosseum przy świetle księżyca. Jest to dostateczny dowód, że oni to byli przygodnymi znajomymi Morsego. Książęcy tytuł, z jakim Polak przedstawił się Morsemu, jest dodatkowym tego dowodem, gdyż Odyniec wywodził się z kniaziowskiego rodu.

że Morse zapomniał nazwisko polskie, słyszane tylko raz, nie było rzeczywiście nic dziwnego. Zapomniał je jednak tak zupełnie, że mylnie potem wziął Mickiewicza i Odyńca za członków rządu narodowego. Zapewne nazwisko Mickiewicza pomieszało mu się z nazwiskiem Niemcewicza lub Wincentego Niemojowskiego, posła i jednego z pięciu członków rządu. Owym zaś księciem, którego nazwisko wydało mu się podobnem do zasłyszanego pod Kolosseum, był, jak sam później wyjawił, Michał Radziwill, naczelny wódz armji polskiej po złożeniu dyktatury przez Chłopickiego.

W jesieni 1831-go roku Morse, ukończywszy swe studja artystyczne w Rzymie, wyjechał do Paryża, aby kopjować arcydzieła sztuki w Luwrze. Zetknął się tam ze swymi rodakami, którzy utworzyli już Polsko - Amerykański Komitet i pracowali nad zjednaniem pomocy dla powstania. Morse odrazu przystąpił do współpracy z nimi.

W kilka dni po przyjeździe donosił swym braciom w Ameryce pod datą: Paryż, 18-go września 1831:

"Wczoraj wczesnym rankiem odwiedziłem generała Lafayette. Służący powiedział mi, że generał musi wcześnie odbyć zebranie z polskim komitetem i wyraził obawę, że nie przyjmie mnie. Jednakże posłałem swój bilet i służący wrócił natychmiast z oznajmieniem, że generał pragnie widzieć mnie w swym gabinecie. Poszedłem za nim przez pokoje i znalazłem się w gabinecie. Generał był jeszcze nieubrany, ale ze swą charakterystyczną grzecznością podbiegł naprzód i chwytając mnie za obie ręce, powiedział z wielką serdecznością, jak bardzo cieszy się moim bezpiecznym powrotem z Włoch i moim doskonałym wyglądem. Następnie prosił mnie, abym usiadł i bez żadnej ceremonji zaczął poufale wypytywać mnie o podróż itp. Rozmowa jednak wnet zeszła na najważniejszą wiadomość dnia — na los Polski, gdyż wieść o upadku Warszawy nadeszła właśnie w depeszy telegraficznej. Zapytałem go, czy jest jeszcze jaka nadzieja dla Polski. Odpowiedział: 'O, tak! sprawa ich nie jest jeszcze rozpaczliwa; armja ich jest bezpieczna; ale zachowanie się Francji, a szczególnie Anglji, było bardzo małoduszne i godne nagany. Gdyby rząd angielski okazał choćby najmniejszą chęć zgody na ostre wystąpienie z Francją na rzecz Polaków, byliby zdobyli niepodległość'. Generał wygląda lepiej i młodziej niż zwykle... Siedziałem z nim 10 lub 15 minut a potem pożegnałem się, gdyż uważałem za grzech zabierać więcej czasu człowiekowi, oddanemu wielkim planom dobroczynności...

"Wiadomość o upadku Warszawy wywołała w Paryżu wrażenie większe, niż jakikolwiek inny wypadek od czasu procesu byłych ministrów."

Następny "polski" list Morsego, nieogłoszony dotychczas nigdzie drukiem i pochodzący z prywatnych zbiorów dra. Aleksandra Kahanowicza z Brooklyna, jest wzruszającym opisem ceremonji wręczenia rozbitkom polskim dwuch sztandarów, przywiezionych przez dra. Samuela G. Howe jako dar od młodzieży bostoń-

skiej. List, adresowany do De Witt Bloodgooda w Albany, N. Y., również serdecznego przyjaciela Polski, nosi datę: Paryż, 17 grudnia, 1831 i brzmi:—

"Paryż, 17 grudnia 1831.

"Mój drogi Panie!..... W każdą środę wieczorem Amerykańsko-Polski Komitet zbiera się u p. Coopera, gdzie w naszych naradach bierze udział również i gen. Lafayette. Muszę Panu opisać nasz obchód rocznicy Powstania Polskiego. Było to wieczorem 29 listopada, kiedy — jako Komitet Amerykański — otrzymaliśmy zaproszenie, aby zebrać się z Polskim Komitetem Narodowym i z Francusko-Polskim Komitetem. Zebraliśmy się w sali Wielkiego Komitetu przy ul. Tarenne; sala była udekorowana chorągwiami Polski, Francji i Stanów Zjednoczonych i pomiędzy temi ostatniemi odznaczały się dwa sztandary z Bostonu, które tegoż wieczora miały być wręczone, niestety! nie mężnym Polakom w Warszawie, lecz smutnej garstce wypędzonych i skazanych na wygnanie patrjotów Polski, reprezentujących najlepszych i najszlachetniejszych z Jej synów. Zebrało się więcej aniżeli 60 tych walecznych mężów, szlachta, uczeni, literaci, artyści, oraz oficerowie i żołnierze, dzielni, słońcem opaleni zwycięzcy w 20 bitwach. Była to rocznica ich Powstania, nie zaś ich Niepodległości, a ten dzień zeszedł nie na wolność ich Ojczyzny, lecz na kajdany, świeżo włożone na ich Naród. Nie zdziwi się więc Pan, że okazja ta była smutną a nie wesołą. Niemożliwem było bez wzruszenia patrzeć na takie zebranie. Na każdej twarzy można było widzieć zadumę i posępność. Mimo, że zeszli się na wspólne zebranie, widocznem było, że każdy z nich wszedł tylko sam w siebie; każdy zdawał się być prawie zupełnie pogrążony w świecie swoich własnych myśli, a ściśnięte usta, ściągnięte brwi oraz spuszczone i w jeden punkt patrzące oczy mówiły, gdzie i jak ich myśli były zajęte. Przyczyny tego smutku nie potrzeba szukać daleko: "Serce zna swoją własną gorycz"; a w zebraniu tego rodzaju nie było ani jednej osoby, którąby nie miała na sercu jakiegoś przygniatającego ją ciężaru, lub pełnej goryczy pamięci o ojcach, braciach, synach, których krew lała się za wolność ich Ojczyzny, a lała się daremnie i jeszcze nie zaschła na rodzinnej niwie; jak i pamięci o matkach, siostrach, żonach, wdowach, sierotach, pozostałych na opiece ich bezlitosnego wroga, podczas gdy oni sami, ich prawni opiekunowie, są wygnani z ziemi, za którą walczyli, wyzuci z domów, rodzin i niepodległości, obecnie tułacze w obcym kraju, przyjęci przez obcych do domu i żyjący z ich łaski. Nie potrzeba długo zastanawiać się, by odgadnąć wątek myśli, do którego takie fakty prowadzą, żeby zdać sobie sprawę ze smutku walecznych Polaków. Wprawdzie były chwile, kiedy ich zamyślone miny okazały ożywienie i pałały wrodzonym im entuzjazmem; a było to, kiedy wchodził do sali brat-Polak, którego ostatnio może widzieli w swym własnym, drogim kraju, u boku którego może walczyli, o los którego byli niepewni, mając co do losu jego większą obawę niż nadzieję; tymczasem tu znaleźli się,

zbiegli i bezpieczni, a radość i wdzięczność na chwilę rozświecały ich twarze, gdy ściskali się, i — obyczajem swego kraju — całowali jeden drugiego. Podobne to było do radości tych, którzy podczas burzy, od rozbicia się i fal morskich uratowali się na skałę, jak jeden i drugi z ich towarzyszy podróży powiększa tę melancholijną grupę, a wtedy przemijający błysk wdzięczności oświeca ich twarze, aby — niestety — szybko ustąpić zbierającym się myślom o tych, którzy zginęli w falach. Nigdy nie okazali większej radości, jak przy wejściu p. Chodźki. Znakomity ten Polak, który tyle swojego czasu poświęcił służbie swej Ojczyzny, został przez tutejszy rząd aresztowany kilka dni temu pod zarzutem spiskowania i wtrącony do więzienia; ten krok bardzo zdziwił nas wszystkich, a nasz Komitet nabawił trochę kłopotu, ponieważ był on pewnego rodzaju łącznikiem pomiędzy nami i innymi komitetami. Gdyśmy czekali na naszego przewodniczącego, wielka część naszej rozmowy tyczyła się jego; nikt nie umiał wytłumaczyć jego aresztowania. Wtem powstał ruch w kierunku drzwi i ukazał się gen. Lafayette w mundurze Polskiej Gwardji Narodowej, wprowadzając p. Chodźkę, dopiero co uwolnionego, także w pełnym uniformie polskim. Wielkie było zdziwienie, a przywitanie, które nastąpiło, było w wysokim stopniu ożywione. Dłuższy czas upłynął, nim życzenia i wyjaśnienia skończyły się; wśród oklasków gen. Lafayette objął przewodnictwo. Po jego prawicy siedział p. Niemojowski; po lewej stronie dr. Howe. P. Niemojowski był ostatnim prezydentem Polskiego Rządu w Warszawie, naczelnikiem kraju w jego ostatnim śmiertelnym wysiłku, a teraz był tutaj, przewodnicząc małej garstce współziomków, którzy zdołali uciec przed ruiną ojczyzny. Nie można sobie wyobrazić odpowiedniejszego wyrazu twarzy i całej powierzchowności, dostosowanych lepiej do nastroju owego wieczora, jak głowa i powierzchowność, jaką posiada ten szlachetnego serca Polak; wzniosłe czoło, głębokie, rozumne oko, orli nos, usta, które — zdaje się — nie mają uśmiechu, są rysami twarzy, na której nigdy przedtem nie widziałem tak doskonałego wyrazu szlachetnego smutku — smutku, który nie wykazuje słabości charakteru — smutku, wywołanego głębokiem odczuwaniem krzywd jego Ojczyzny, niewoli jego kraju — ale smutku, chronionego przed słabością charakteru przez ciągłe wpływy wrodzonej uczciwości, przez rzetelną słuszność sprawy jego Ojczyzny. Gen. Lafayette, przemówił do zebranych Komitetów. Po generale zabrał głos dr. Howe, wręczył Polskiemu Komitetowi sztandary z Bostonu i odczytał kilka ustępów z adresów, wykazujących sympatję narodu Stanów Zjednoczonych dla Polski. Następnie powstał znakomity Lelewel, rektor Wszechnicy Warszawskiej, ten, któremu Polacy przypisują honor, że jest głównym kierownikiem Powstania, na którego głowę naznaczono cenę, a który po upadku Warszawy prawie cudem zdołał uciec z sieci, rozstawionych, by go złapać; wygłosił mowę pełną wielkich uczuć, wśród której ofiarował generałowi Lafayette kokardę zrobioną z dekoracji pierwszego sztandaru, zdobytego na Ro-

sjanach w ostatniej wojnie. Po p. Lelewelu nastąpił p. Le Mercier, poeta, który odczytał krótki wiersz, przyjęty żywymi oklaskami, poczem posiedzenie zamknięto. W niektórych francuskich gazetach mylnie podano, a ta omyłka mogła dojść i do Ameryki, że Komitety wydały z tej okazji publiczny obiad dla Polaków; nie mówiąc już o nietakcie, gdyby ludziom w ich położeniu zaproponowano zabawę, co byłoby tem samem, co okazanie współczucia świeżo osieroconym tem, że się ich prosi na bal; już przez same względy na nasz charakter jako komitety dobroczynne, nie mogliśmy użyć żadnej części tej dobroczynności na taki cel. Jako Amerykanie i jako Francuzi moglibyśmy pod innymi warunkami i za inne środki wydać dla nich obiad, lecz okazja była zanadto smutna dla podobnego kroku; porządek wieczoru był taki, jak Panu opisałem; była to chwila wzruszającego a równocześnie i melancholijnego znaczenia. Pomiędzy członkami Francuskiego Komitetu było kilku znakomitych mężów o nazwiskach, które Panu zapewne są znane, jak gen. Lamarque, Odilon Barrot, hr. Lasterye etc. etc.

"Czy czyta Pan kiedy gazetę mego brata N. Y. Observer? Zauważyłem, że opublikowali niektóre z moich listów z Włoch; pomiędzy nimi jest jeden, w którym opisałem wywiad z polskim księciem w Kolosseum na krótko przed moim wyjazdem z Rzymu do Neapolu, a którego nazwisko zapomniałem, bo tylko raz mi je wymienił. Jest on przyjacielem p. Coopera i od tegoż dowiedziałem się, jak się nazywa; był to ks. Radziwiłł.....

"Pański przyjaciel i powolny sługa na zawsze,

"Samuel F. B. Morse."

Szlachetny artysta oddał się całą duszą sprawie polskiej i niesieniu pomocy uchodźcom polskim. Większość wieczorów zimy 1831-1832 spędzał na posiedzeniach Polsko - Amerykańskiego Komitetu razem z gen. Lafayettem, Jakóbem Fenimore Cooperem i innymi jego członkami. W marcu 1832 r. pisał znowu do braci o gwałcie prusaków na doktorze Howe:

"P. Rives, nasz poseł, otrzymał wiadomość z Berlina, że Dr. S. G. Howe, któremu nasz komitet zlecił misję dobroczynną, został aresztowany przez rząd pruski i wtrącony do więzienia w tem mieście. Dr. Howe miał powierzone sobie 20,000 franków na ratunek nieszczęśliwych Polaków i zamiary jego i pobudki nie miały żadnego charakteru politycznego, ale były tylko wykonaniem dobroczynnych zamiarów ofiarodawców w Stanach Zjednoczonych. List z Berlina, pisany przez p. A. Brisbane'a i odczytany mi właśnie przez p. Rivesa, podaje, że Dr. Howe jest w odosobnionem więzieniu i nikomu nie wolno porozumiewać się z nim. P. Brisbane udał się do ministra sprawiedliwości, ale ten okazał się nieustępliwym i objawił wielką irytację w tej sprawie. P. Cooper i ja byliśmy właśnie u p. Rivesa, który zaraz podjął starania o uwolnienie Dr. Howe'a. Złożyliśmy w ręce p. Rivesa protokoły z posiedzeń komitetu, aby je przedłożył baronowi Wertherowi, tutejszemu posłowi pruskiemu; wśród nich jest kopja zlecenia dla Dr. Howe'a, aby udowodnić mu,

że misja doktora nie była polityczną. Mamy nadzieję, że te wyjaśnienia zostaną niezwłocznie wysłane do Berlina i spowodują natychmiastowe jego uwolnienie.

"17-go marca. — Wczoraj wieczorem odbyliśmy nadzwyczajne posiedzenie naszego komitetu, aby rozważyć, co możnaby zrobić dla uwolnienia Dr. Howe. Z radością mogę powiedzieć, że tutejsze władze pruskie zachowywały się grzecznie i działały szybko. Kurjer został wysłany do Berlina i spodziewamy się, że po wyjaśnieniu tutejszego poselstwa sprawa zakończy się i wyjaśni szybko i pomyślnie.

"6-go kwietnia. — Dr. Howe, jak dowiadujemy się, został uwolniony w Berlinie, ale ma być odstawiony przez policję do granicy Francji. Postępowanie przeciw niemu było gwałtem i rząd ten nie odważyłby się obejść z obywatelem innego kraju w tak bezceremonjalny sposób."

Aż do ostatka swego pobytu w Paryżu Morse nie ustawał w pracy na rzecz Polski, o czem świadczy jego korespondencja z Lafayettem, z której przechowało się tylko kilka listów, gdyż artysta większość rozdał przyjaciołom jako autografy. Jeden z tych listów, datowany z Paryża 11-go września, 1832, donosi o planach emigracji Polaków z Francji do Stanów Zj.

"Mój drogi Panie" — pisał Lafayette. "Widziałem Polaków, którzy chcą jechać do Stanów Zjednoczonych. Jest ich dwudziestu i spodziewają się dostać okręt, który przewiezie ich za opłatą 300 franków od osoby. Sądzą oni, że dostaną tę sumę, albo większą część jej od francuskiego komitetu; ale, o ile dojadą do Nowego Jorku, czy myśli Pan, że znajdą środki utrzymania do czasu znalezienia miejsca, na którem mogliby założyć własną kolonję? Czy sądzi Pan także, że grunta w stanie Ohio, lub gdzieindziej mogłyby im być nadane lub czy znajdą w sympatji Stanów Zjednoczonych nieco kapitału, aby mogli utworzyć osadę? Musimy mieć silną nadzieję tego, nim zachęcimy ich do emigracji, do której mają wielką ochotę..."

Ukończywszy wreszcie swe studja malarskie, Morse przygotowywał się do opuszczenia Paryża. Lafayette tuż przed jego wyjazdem, 27-go września 1832, ze swej siedziby z La Grange żegnał go serdecznie: "Polegam na Tobie wiele, mój drogi Panie, że naszym przyjaciołom w Stanach Zjednoczonych przedstawisz należycie stan rzeczy w Europie... Co można powiedzieć o Polsce i położeniu jej bohaterskich, nieszczęśliwych synów, wiesz dobrze, gdyż byłeś wytrwałym i gorliwym członkiem naszego komitetu."

Dnia 1-go października 1832 Morse wsiadł w Hawrze na okręt do Stanów Zjednoczonych. Podczas tej to drogi w głowie jego zrodził się pomysł telegrafu, który rozgłosił jego imię.

Jeszcze w rok potem, kiedy Morse pędził nędzny żywot w Nowym Jorku, nie mogąc sztuką zarobić na utrzymanie, Lafayette zawiadomił go o stanie spraw polskich w Paryżu. "Nie słyszę o naszym znakomitym przyjacielu p. Cooperze"—pisał mu z La Grange

5 listopada 1833. "Powiedz mu, że Chodźko, nie mogąc wyjechać od nas i udać się do Montauban, uprzedził swe przepowiednie i zażądał paszportu na wyjazd z Francji do Anglji. Nie wiem gdzie jest teraz. Kilkakrotnie mówiłem a ostatnio pisałem do Dwernickiego. Pozostałość długu francuskiego, należnego komitetowi amerykańskiemu, nie została jeszcze załatwiona i zapłacona. Chodźko musi być bardzo nieszczęśliwy. Za kilka dni, gdy udam się do miasta, dowiem się więcej..."

Na tem urywają się znane ułomki korespondencji Morsego w sprawie Polski. Późniejsze swe życie artysta poświęcił wyłącznie wynalazkowi telegrafu. Nowe pole zajęcia pochłonęło zupełnie jego niewyczerpaną energję. Imię Polski tymczasem coraz bardziej znikało z polityki międzynarodowej. W późniejszej korespondencji Morsego głucho już o niej. Ale George Iles, jeden z jego bjografów, (Leading American Inventors, New York, 1912), zaświadcza, że "Morse był człowiekiem o wierności uczuć". Można więc wierzyć, że jak ongiś w pamiętnym roku 1831-ym, do śmierci gotów był powiedzieć o Polsce: "What noble people; how deserving of their freedom!"

XV.

"Poland Est a Bas!"

(Listy Natana Parkera Willisa)

"Poland est a bas!" — "Polska upadła!"

Była to pierwsza wiadomość, która powitała Natana Parkera Willisa, poetę amerykańskiego, kiedy stanął u brzegów Hawru po przebyciu Atlantyku u schyłku roku 1831-go.

Opromieniała go już sława najpopularniejszego z literatów amerykańskich. Przyćmili go wprawdzie później inni współcześni pisarze, ale z początkiem trzeciego dziesiątka lat 19-go wieku, — choć dopiero wyszedł z ław uniwersyteckich — był najgłośniejszym z nich.

Podróż jego miała cele wyłącznie literackie. "New York Mirror", cieszący się wówczas opinją jednego z najpoczytniejszych amerykańskich tygodników literackich, wysłał go jako korespondenta dla zbierania opisów i wrażeń w Europie. Było to pole literackie najodpowiedniejsze dla talentu Willisa. To też podróż przyniosła mu nietylko jeszcze większy rozgłos, ale i znaczne dochody.

Dzięki zajmującemu opowiadaniu, zręcznym spostrzeżeniom i żywym opisom listy odrazu zdobyły sobie wielką poczytność w Ameryce, a potem w Anglji. Około 500 współczesnych gazet przedrukowywały je chciwie z "New York Mirrora". Kilkakrotnie potem ukazywały się w formie książkowej p. t. "Pencillings by the Way" i uznane zostały przez krytyków za jedno z najlepszych jego dzieł.

O znaczeniu ich w literaturze amerykańskiej pisze bjograf Willisa, Henry A. Beers (Nathaniel Parker Willis, Boston and New York, 1885): " Tysiące Amerykanów odbierały wrażenia z Europy przez nie; i mimo wszystko, co następnie napisali wygodniej podróżujący i wykształceńsi obserwatorzy, zachowują swą przedziwną świeżość i przedstawiają dzisiejszemu czytelnikowi jasne obrazy zewnętrznego życia Europy w czasie, kiedy para jeszcze nie udostępniła pobocznych dróg do wszystkich krajów".

Sąd ten był wypowiedziany blisko pół wieku temu. Dziś po stu latach narodzin listów nie można by go powtórzyć w całej rozciągłości. "Pencillings by the way" zeszły w zapomnienie, ale tem ciekawsze będzie przytoczenie z nich ustępów, które mimo ubiegu czasu nie straciły "swej przedziwnej świeżości", a zawsze będą miały znaczenie dla naszego Wychodźtwa.

Listy pokrywają okres czasu od końca 1831-go do początku 1845-go roku. Było to już po powstaniu listopadowem, ale że Europę, a zwłaszcza Francję, zalewały właśnie rozbitki z armji powstańczej, przeto w listy Willisa wplotło się sporo wspomnień, sporo ech tej pamiętnej walki, która widocznie silnie oddziałała też na wrażliwą, niemal kobiecą duszę poety.

Rozbitkowie polscy są tematem, do którego Willis wraca raz po raz w swych pierwszych listach z Paryża, pisanych od końca 1831 do kwietnia 1832-go roku. Poniższe wyjątki są wedle zupełnego ich wydania z r. 1853, siódmego z rzędu, (Pencillings by the Way; written during some years of residence and travel in Europe, by N. Parker Willis, Auburn, Rochester 1853).

Słowa Willisa, poświęcone Polakom, stanowią miłą pamiątkę sympatyj poety i Amerykanów dla sprawy polskiej w okresie powstania listopadowego. Czytały je ongiś tysiące jego rodaków. Do dziś, choć już zapomniane, choć straciły na aktualności, są ciekawym przyczynkiem do historji stosunków polsko - amerykańskich.

* * *

"Poland est a bas!" — Smutną tę wiadomość w pomieszanej angielszczyźnie i francuzczyźnie posłyszał Willis od praczki francuskiej, która w dzień po przyjeździe do Hawru przyszła na pokład okrętu, dopytując się o bieliznę do prania.

"Wcześnie rano", — opowiada o tem zdarzeniu — "jakaś kobieta weszła do kabiny, klepiąc drewnianemi trzewikami i patosem o mieszaninie francuskiego i angielskiego — praczka — uszlachcona błotem po kolana, ale w czepku i chustce, które mogłyby przynieść fortunę nowojorskiej modniarce. Ciel! co za grzeczność! i co za białe zęby i co za wytworny szereg papilotów, ułożony w dokładnie równoległych linjach na jej białych skroniach brunetki.

"Quelle nouvelle!" — zapytał kapitan.

"Poland est bas!", odpowiedziała ze wzrokiem bohaterki cierpienia, godnym królowej tragedji, opłakującej utratę tronu. Francuski charakter, tym razem, nie zdawał się przesadzać. Wiadomość zasmuciła nas wszystkich. Szkoda! szkoda! że wielki świat chrześcijański mógł patrzeć się i widzieć, jak ten sławny naród został pokonany w jednej z najszlachetniejszych i najrozpaczliwszych walk o wolność, jakie ziemia widziała! Jakąż sposobność straciła przez to Francja do odbicia podwójnej pieczęci prawdy i chwały na swym świeżo osiągniętym tryumfie nad despotyzmem..." (List III-ci).

Drogę z Hawru do Paryża odbył Willis pocztą w towarzystwie dwuch mężczyzn, z których jeden był śpiewakiem, drugi podał się za dyplomatę francuskiego. Z tym ostatnim nawiązał rozmowę, która uprzyjemniła mu drogę. Francuz miał mu o czem opowiadać: "Wracał on z Litwy, dokąd został wysłany przez francuski komitet z bronią i pieniędzmi dla Polski", wiózł więc najświeższe wiadomości z pola walki. (List IV).

Był to zapewne jeden z 20 oficerów francuskich, których komitet Lafayette'a wysłał do Polski pod koniec powstania osobnym okrętem z Hawru, naładowanym bronią, amunicją i przyborami lekarskiemi. Statek miał zawinąć do Połągi, ale nim dobił do celu, Warszawa tymczasem upadła. (Lubomir Gadon, Emigracja Polska, Kraków 1901).

W Paryżu Willis odrazu wszedł między Amerykanów, czynnych w Polsko - Amerykańskim Komitecie. Jakób Fenimore Cooper, Samuel F. B. Morse, Dr. Samuel G. Howe, główni pracownicy Komitetu, byli jego najbliższymi przyjaciółmi. Z głębokiem współczuciem pisał Willis o rozbitkach polskich, napływających do Paryża:

"Polacy przybywają tu gromadnie codzień i ulice pełne są ich smutnych twarzy. Biedacy! Nędza dusi ich niemiłosiernie. Publiczna dobroczynność dla uchodźców została już dawno wyczerpana i najbardziej bohaterskie serca polskie, straciwszy wszystko prócz życia w daremnej walce, giną z głodu na ulicach. Przypadkiem zbliżyłem się do pewnego znanego liberała, jednego z tych ludzi, którego dumni mogą prosić o wsparcie bez poniżania się, i od niego dowiedziałem się o szczegółach, któreby poruszyły kamienne serce. Fikcyjne cierpienia 'Tadeusza z Warszawy' są niczem w porównaniu z rzeczywistą nędzą, jaką znoszą tu codziennie ludzie, niemniej szlachetni, jak bohater tej powieści. Lafayette, jak mnie zapewniano, obdłużył swój kilkuletni dochód na pomoc dla nich; i żadne miłosierdzie nie mogłoby być lepiej użyte, jak składki na Polaków, ginących z głodu w tych bezdusznych miastach.

"Słyszałem właśnie, że Chodźko, Polak wybitnego talentu i nauki, który oddał cały swój majątek i energję na rzecz ostatniej rewolucji, został wczoraj wieczorem aresztowany razem z ośmioma swymi rodakami, jako podejrzany przez rząd". (List V.)

"Dziś przy śniadaniu" — donosił w jakiś czas potem — "spotkałem Joachima Lelewela, sławnego uczonego i patrjotę polskiego. Wszedłszy między rewolucjonistów i wychodźców od czasu przyjazdu do Paryża, często słyszałem jego nazwisko i z wielką przyjemnością i ciekawością czekałem na spotkanie się z nim. — Pisma jego są z zapałem podziwiane przez jego rodaków. Był on rektorem uniwersytetu, uwielbianym przez tę wrażliwą część ludności — studentów Polski, a śmiały i wzniosły ton jego patrjotycznych zasad nadał, jak mówią, pierwszy i najsilniejszy rozpęd nieszczęśliwej walce, jaka właśnie ukończyła się. Lelewel wywarł na mnie silne wrażenie. Odmiennie od większości Polaków, którzy są prości, atletyczni i o żywej cerze, jest on suchy, przygarbiony i blady, i, gdyby nie ogień i stanowczość jego oczu, jego niepewny chód i nieśmiałe obejście się możnaby wziąć niemal za bojaźliwość. Postawa jego, rysy i zachowanie się przypominają bardzo Percivala, amerykańskiego poetę, chociaż różnica ich zajęć umysłowych wybija się na ich twarzach. Lelewel wygląda jak człowiek z natury skromny, unikający zgiełku, o zrezygnowanym spokoju męczennika. Najsilniej z twarzy jego przemawia wytrwały zapał. Oczy jego są szczególnie błyszczące, ale spokojne i zwykle zwrócone w dół — wargi jego są silnie zaciśnięte, ale bez wysiłku — a głos jego jest prawie grobowy, tak jest niski i spokojny. Nigdy nie wychodzi ze swego melancholijnego nastroju, chociaż jego rodacy-uchodźcy, jeśli tylko nie jest mowa o Polsce, mają wszelką żywość Francu-

zów i zdają się łatwo zapominać o swych nieszczęściach. Milczał on, chyba, gdy do niego mówiono, i zachowywał się jak człowiek, który zatapia się w swych myślach, nie przypuszczając, aby go obserwowano. Czułem, że pozyskuje coraz bardziej moje serce. Nigdy w swem życiu nie widziałem człowieka, któregoby całe zachowanie się i charakter były tak wolne od samo-świadomości lub pretensyj, któryby wyglądał mi tak pełen spokojnego, wzniosłego i niezwyciężonego bohaterstwa męczennika..." (List VII.)

Prześladowania Polaków przez rząd Ludwika Filipa, "króla-obywatela", nie-cieszącego się sympatją narodu, wywołały tak wielkie oburzenie wśród Paryżan, że zaczęli dawać mu upust w demonstracjach ulicznych. Willis miał sposobność być świadkiem jednej z takich demonstracyj, skierowanej niezbyt szczęśliwie ku osobie zdrajcy powstania.

"Spędziłem cały dzień wśród tłumu paryskiego" — opowiada. "Przybycie generała Ramoriny i kilku jego towarzyszy z Warszawy, dało malkotentom dobrą sposobność do wyrażenia swego niezadowolenia z postępowania rządu; i, pod pozorem publicznego powitania tego wybitnego Polaka, zgromadzili się w olbrzymiej liczbie przy Port St. Denis i bulwarze Montmartre. Był to wypadek bardzo podniecający. Kawalerja wystąpiła i patrolowała ulice kompanjami, atakując tłum, gdziekolwiek trafiła na opór; wojska linjowe maszerowały tam i z powrotem po bulwarach, ustawicznie rozdzielając masy ludu i zabraniając komukolwiek stać w miejscu. Sklepy były wszystkie zamknięte w przewidywaniu zaburzeń. Studenci próbowali skupiać się i stawiali opór rozkazom żołnierzy, o ile stać ich było na odwagę; i od południa aż do nocy wszystko zapowiadało starcie..." (List IX.)

W jednym z następnych listów opisuje Willis ciekawe zdarzenie: "Niedawno byłem na obiedzie z redaktorami Revue Encyclopedique z okazji ich miesięcznego zebrania. Jest to rodzaj klubowego obiadu, na który dostojni współpracownicy Revue zapraszają raz na miesiąc wszystkich wybitnych cudzoziemców, jacy przypadkowo znajdują się w Paryżu. Zaproszenie swe zawdzięczałem prawdopodobnie tej okoliczności, że mieszkałem z Drem. Howe, który jest uważany tu za organ zasad amerykańskich i który dzięki swej sile charakteru zdobył stopień szacunku i wybitności, nie często osiągany przez cudzoziemców. Było to najciekawsze zebranie, jakie kiedykolwiek widziałem. Była około setka gości, z których dwudziestu lub trzydziestu byli wybitnymi Polakami, przybyłymi niedawno z Warszawy. Gen. Ramorino i Langermann zostali posadzeni obok prezesa, a inny generał, którego nazwisko jest tak trudne do zapamiętania, jak jego twarz trudna do zapomnienia, i który sławny jest z tego, że ostatni zeszedł z pola walki (zapewne gen. S. Różycki) siedział tuż obok głównego miejsca. Obok niego był generał Bernard i Dr. Bowring (Anglik, tłumacz poetów polskich) razem z sir Sidneyem Smithem (generałem angielskim), pokrytym orderami z każdego zakątka świata, oraz pre-

zydent Kolumbji. Po zwykłych daniach francuskiego obiadu, prezes p. Julien, czcigodny mężczyzna o białych jak śnieg włosach, przemówił do zebranych. Wyraził on swe zadowolenie z zebrania, ze zwykłemi grzecznościami powitania i w gorący sposób starej francuskiej szkoły grzeczności; potem zaś, urwawszy na chwilę i zniżywszy swój głos, którego miarowy spadek był bardzo wzruszającym, — spojrzał dokoła po Polakach i zaczął mówić o ich kraju. Każdy ruch przy stole natychmiast uciszono, — goście pochylili się naprzód, niektórzy z nich podnieśli się nieco, aby lepiej słyszeć; głos starca drgał i spadał coraz niżej; Polacy opuścili swe głowy na piersi i całe towarzystwo przejęło się silnem wzruszeniem. Nagle sposób jego mowy zmienił się dobitnie, że zdawałby się może przedramatyzowanym, gdyby go nie usprawiedliwiło silne podniecenie mówcy. Mówił on z oburzeniem o rosyjskiem barbarzyństwie względem Polski — zapewnił wygnańców o silnem współczuciu, odczuwanem przez wielkie masy narodu francuskiego dla ich sprawy, i wyraził silną wiarę, że walka jest jeszcze nieskończona i że jest już bliski czas, kiedy, z Francją u boku, Polska powstanie i będzie wolna. Skończył wśród burzliwych oklasków i wszyscy Polacy, znajdujący się w pobliżu, ucałowali starca, zwyczajem francuskim, w oba policzki.

"Po tej mowie nastąpiło kilka innych z podobnym skutkiem. Dr. Bowring odpowiedział pięknie, po francusku, na pochwały, jakie oddano jego staraniom w kwestji reformy w Anglji. Cezar Moreau, wielki nauczyciel i założyciel Academie d' Industrie, zapowiedział wcale dobitnie kilka bardzo przewrotowych zmian, wodząc dokoła swemi pięknemi oczyma marzyciela, jak gdyby widział 'naprzód padające cienie' przyszłych wypadków; potem zaś powstał mówca, którego niezapomnę nigdy. Był to młody szlachcic polski, lat około dziewiętnastu, którego niezwykła piękność i pełen zapału wyraz twarzy zwrócił odrazu moją uwagę w salonie jeszcze przed obiadem. Postać jego była szczupła i kształtna — oko jego i usta pełne piękności i ognia a jego zachowanie się miało spokojną, wrodzoną wyższość, która wyróżniłaby go wszędzie. Walczył on odważnie w powstaniu i jeden z mówców już poprzednio wspomniał o nim. Podniósł się skromnie i jakby nieco niechętnie i podziękował za dobre życzenia dla swej ojczyzny w języku pełnym elegancji. Potem zaczął mówić o nieszczęściach Polski i wnet rozpalił się; wymowa jego stała się pełną jak najżywszej powagi i siły. Żaden mówca nie wzruszył mnie nigdy więcej — zdawało się, jakby był nieświadom wszystkiego, oprócz wspomnień, dotyczących przedmiotu mowy. Oczy jego naprzemian zalewały się łzami, to znowu rzucały gromy oburzenia, a jego delikatne, uduchowione usta igrały całą gamą zmiennych uczuć; gdyby który rzeźbiarz mógł uchwycić ich wyraz, zostałby nieśmiertelnym. Nie mogę nie pisać o nim z najwyższemi pochwałami, gdyż wszyscy obecni byli tak oczarowani jak ja. Trudno dziwić się rozpaczliwemu charakterowi próby odzyskania wolności kraju, gdy się widzi takie okazy jego miesz-

kańców. Widziałem setki Polaków wszelkich warstw w Paryżu, a jeszcze nie spotkałem się z twarzą choćby o przeciętnej tępocie wśród nich.

"Zapewne wiecie z gazet, że kilkutysięczny oddział Polaków ustąpił z pod Warszawy po przegranej i schronił się do lasów północnych Prus. Złożyli oni broń na uroczystą obietnicę króla, iż otrzymają wszelkie prawa pruskich poddanych. Jednakowoż uznał on za stosowne złamać swe słowo i kazał im wynosić się z powrotem do Polski. Odmówili oni i zostali otoczeni przez żołnierzy pruskich, którzy otrzymali rozkaz strzelania do nich. Żołnierze nie chcieli jednak strzelać, a Polacy, korzystając z tej sympatji armji, przeszli przez szeregi pruskie i uciekli do lasów, gdzie, wedle ostatnich doniesień, zbroją się w pałki, gotowi bronić się do ostatka. Następstwem powrotu ich do Polski byłoby nic innego, jak natychmiastowa zsyłka na Sybir. Komitety polski, amerykański i francuski, z generałem Lafayette na czele, uchwaliły większą część swych funduszów wysłać dla tego oddziału i nasz rodak, Dr. Howe, podjął się niebezpiecznego i trudnego zadania przewiezienia pieniędzy. Wyjechał on z Paryża do Brukseli z listami od generałów polskich i poleceniami Lafayette'a do wszystkich komitetów polskich w miejscowościach, przez które miał przejeżdżać, aby wszystkie swe fundusze składały w jego ręce. Jest to dzielny człowiek i jeżeli kto, to tylko on zdoła wykonać tę misję. Jednakowoż naraża się na wielkie niebezpieczeństwo. Niech go Bóg prowadzi!" (List XII.)

W opisie promenady w Tuilerjach, zawartym w dalszych listach, nie pominął Willis Polaków i skreślił krótkie sylwetki ich serdecznych przyjaciół, powieściopisarza Jakóba Fenimore Coopera i malarza Samuela F. B. Morsego. Wśród różnobarwnego tłumu "ci wolno kroczący mężczyźni o brunatnych wąsach i w czamarach są to uchodźcy polscy. Ten niski, gruby, ruchliwy mąż przed nami jest generałem — sławnym z tego, że był ostatnim, który poddał się na ostatniem polu walki krótkiej wojny. Jego piękna twarz jest pełna stanowczości i, odmiennie od reszty rodaków, wygląda jeszcze niepokonany i pełen dobrej myśli. Przechadza się tu codzień przez godzinę lub dwie, wywijając laską dokoła palca i myśląc widocznie o wszystkiem, z wyjątkiem swej klęski... Tu zaś nadchodzą dwaj nasi rodacy, których ciągle widać razem — Cooper i Morse. Ten w niebieskim surducie, zapiętym pod szyję i w kapeluszu zasuniętym na oczy, jest Cooper. Co za różnica między twarzami obu tych ludzi! Morse ze swą łagodną, szczerą i szlachetną twarzą, istny obraz dobroci i serdeczności, Cooper zaś o wzroku posępnym i niemal rozbójniczym, z brwiami ściągniętemi nad oczyma i ostro zasysowanemi ustami, zaciśniętemi w wyrazie złego humoru i zamknięcia się w samym sobie. Twarze te nie są jednak równie sprawiedliwe względem swych właścicieli. — Morse jest wszystkiem, na co wygląda, ale rysy Coopera krzywdzą go stanowczo. Szczycę się reputacją, jaką ten wybitny nasz rodak ma jako dobroczyńca. Nieszczęścia uchodźców wolnościowych wzbudzają współczucie

szczególnie u Amerykanów a niestrudzona hojność p. Coopera jest faktem powszechnie znanym i chwalonym..." (List XIV.)

"Świat promenadowy bawi się obecnie codziennem pojawianiem się w Tuilerjach pewnej damy polskiej, przybranej w polski strój narodowy, ozdobiony orderem zasługi, nadanym za odwagę pod Warszawą. Nie jest ona bardzo piękną, ale nosi ładną czapkę wojskową wcale z wdziękiem; a jej drobna stopa i pełna pierś są, doprawdy, zachwycające w butach i czamarze. Twarz jej jest bardzo wyrazista i dobroduszna, o cerze, która nieco zatraciła swą delikatność skutkiem nowego trybu jej życia. Włosy jej są krótko obcięte i zaczesane w górę po bokach, małą zaś szpicrutę nosi ze zręcznością, która całkowicie zabrania próby uchybienia jej. Zwykle widać ją spacerującą bardzo wolno pomiędzy dwoma studentami politechniki, którzy zdają się bardzo ją uwielbiać. Zauważyłem, że generałowie polscy kłaniają się jej z wielkim szacunkiem, gdy przechodzi, a dotychczas nie mogłem dowiedzieć się dokładnej jej historji." (List XV.)

Nawiązując do okoliczności, że dorożkarz, który go odwiózł, miał przy surducie wstążkę Legji Honorowej, pisał: "Widać tu mężczyzn wszelkich klas z barwną wstążeczką u klapy, wyróżniających się jako bohaterowie trzech dni lipcowych (t. j. rewolucji paryskiej z lipca 1830). Polacy, oraz Francuzi i Anglicy, którzy walczyli dzielnie pod Warszawą, noszą również odznakę, która z pewnością wzbudza poszanowanie u przechodniów ulicznych. Jest tu kilku bardzo młodych mężczyzn, prawie chłopców, którzy chodzą po Paryżu z tą ostatnią odznaką na swych piersiach i z wszelkiemi objawami, że jest to wszystko, co wynieśli ze swej nieszczęśliwej ojczyzny. Polacy przybywają tu teraz ze wszech stron. Spotykam czasem w towarzystwie sławną hrabinę polską, (zapewne Klaudynę Potocką), która straciła cały swój majątek i musiała uciekać za swe przywiązanie dla sprawy. Ludwik Filip stworzył pułk z tych uchodźców i posłał ich do Algieru. Nie pozwala żadnym liberałom na przebywanie w Paryżu, o ile może temu zapobiedz."

Po lekkim ataku cholery, która panoszyła się wówczas w Europie i przygasiła wesołe życie towarzyskie w Paryżu, Willis wyjechał 16-go kwietnia 1832 do Włoch. Na tem właściwie kończą się jego wspomnienia o powstańcach polskich, chociaż w pismach jego pozostało jeszcze kilka oderwanych wzmianek o Polakach.

We Florencji, gdzie zatrzymał się na czas dłuższy, był stałym bywalcem na sobotnich przyjęciach w domu księcia Stanisława Poniatowskiego, bratanka Stanisława Augusta, tego właśnie, któremu król usiłował zapewnić następstwo tronu po sobie. Ks. Stanisław prowadził dom na wielką skalę i posiadał cenne zbiory sztuki.

"Jednym z najgościnniejszych domów tutaj" — pisał Willis w liście XLVI — "jest dom księcia Poniatowskiego, brata bohatera polskiego" (zapewne miał na myśli księcia Józefa, którego Stanisław był bratem, ale tylko stryjecznym). "Książę ma dużą rodzinę i jego wieczory są zapełnione wszystkiem, co jest piękne i wybitne.

Jest to czcigodny, siwowłosy starzec, liczący może 70 lat, bardzo lubiący popisywać się angielszczyzną, której nauczył się zagranicą, jak rzadko kto, z czego zdaje się być nieco próżny. Powitał mnie jak najserdeczniej jako Amerykanina i powiedział, że kocha nasz naród..."

W przeszło dziesięć lat potem, w lecie 1845, poeta wybrał się do Niemiec dla poratowania zdrowia. I wtedy, mimo choroby, nie przestał pisać listów z podróży, choć te już nie dorównywały wartością literacką dawnym "Pencillings by the Way". Wyszły one p. t. "Invalid Rombles in Germany" (Auburn, Rochester, N. Y., 1853) i w rozdziale IV-tym, przy opisie Lipska, zawierają wspomnienie o księciu Józefie:

"Zaraz po lewej stronie mostu, na wewnętrznym brzegu Elstery od strony miasta znajduje się piękny ogród, poświęcony — za pieniądze — pamięci Poniatowskiego. Za wejście liczą sześć srebrnych groszy. Naprzeciw miejsca, gdzie utonął dzielny Polak, jest rodzaj małej świątyni, w której pokazują jego siodło, jego autograf, jego biust, kilka rytowanych podobizn i szkielet konia, z którym utonął. W innej stronie ogrodu jest mały pomnik, wzniesiony przez towarzyszów broni na miejscu, gdzie znaleziono jego zwłoki w cztery dni po bitwie. Został on trzykrotnie zraniony w ciągu dnia i był prawdopodobnie już wyczerpany, gdy dotarł do rzeki, gdyż inaczej trudnoby uwierzyć, by nie zdołał przepłynąć wąskiego strumienia. Siedział on jednak na cudzym koniu, gdyż jego własny został pod nim zabity, a koryto rzeki pełne było walczących mas ludzkich, zapędzonych do niego po zniszczeniu mostu. Krótkie wspomnienie, zawieszone na ścianie koło jego pamiątek, opowiada, że proszono go, aby po otrzymaniu ran złożył dowództwo i wycofał się z pola walki a odpowiedź Poniatowskiego była zarazem ostatniemi słowami jego: — 'W ręce moje złożono honor Polaków, oddam go tylko memu Bogu!' Jak dziwnie porywający jest podziw, którym darzymy tego rodzaju bohaterstwo! A jednak jest ono łatwiejsze, niż wiele innych czynów ludzkich, których nie cenimy zbyt wiele..." Powszednia to filozofja, ale Willis nie odznaczał się wielką głębią myśli. Świadczy o tem także i to, że "Poniatowskim" nazywany był ulubiony kucyk dzieci Willisa w jego posiadłości Idlewild, nad Hudsonem (niedaleko West Point), gdzie poeta przeżył ostatnie lata życia (1853—1867).

Dla uzupełnienia obrazu stosunków Willisa z Polakami, dodać jeszcze należy, że podczas pobytu w Anglji w latach 1834—1836 zetknął się znowu z nimi. Ciekawy jest wyjątek z listu LXXIV. z "Pencillings by the Way", zanotowany w Londynie pod datą 22-go lutego 1835: —

"Spędzam tydzień w domu wiejskim, gdzie obecnie rozgościli się panna Jane Porter, panna Pardoe i hrabia Krasiński. Panna Porter jest jedną z sławnych bohaterek, postarzała się — ale jest jeszcze ładną i szlachetną ruiną piękności. Panna Pardoe liczy dziewiętnaście lat, ma jasne włosy, jest sentymentalną, ma najmniej-

sze nogi i najlepiej tańczy walca z kobiet, które widziałem, ale pozatem nie jest piękną. Polski hrabia pisze życiorys swej babki, którą, jak sądzę, silnie przypomina swą osobistością. Jest to, mimo wszystko, doskonały towarzysz."

Obie wspomniane Angielki były gorącemi przyjaciółkami sprawy polskiej. Panna Porter była autorką głośnej powieści "Tadeusz z Warszawy", dedykowanej Kościuszce. Panna Julja Pardoe, poetka, opiewała wierszem powstanie listopadowe. "Polskim hrabią" był Walerjan Krasiński, polski agent dyplomatyczny w Londynie podczas powstania, który potem zasiedział się w Anglji i tam opracował swą historję reformacji w Polsce i inne dzieła.

W dzienniku, który Willis prowadził przez rok pobytu w Anglji, znajduje się zapisek pod datą 7-go lipca, 1835, że jadł obiad w towarzystwie niejakiego "Vodiskiego" — zapewne Edwarda Wodzińskiego, skarbnika Polskiego Komitetu Narodowego w Paryżu.

Drobna ta notatka zamyka dzieje sympatyj Willisa dla Polski i jego stosunków z Polakami.

XVI.

Powstanie Listopadowe w Poezji Amerykańskiej

Rok 1831 był rokiem największej popularności Polski wśród narodów świata. Powstanie listopadowe porwało serca ludów i natchnęło poetów pieśniami podziwu dla bohaterstwa Polaków.

Mogłaż Ameryka milczeć wówczas?

Sercem wtórowała wybuchom zapału polskiego, radosnym okrzykom zwycięstw, a potem rozpaczy i nędzy rozbitków polskich.

Z uczuć tych powstały piosenki, skromne przeważnie, nieraz nie wyrastające ponad wierszokletyzm — ale wszystkie one są nam dzisiaj drogą pamiątką przeszłości.

W starych księgach czasopism amerykańskich z okresu powstania listopadowego można znaleźć wcale pokaźną ilość ulotnych wierszy i wierszyków na cześć Polski. Żadna bowiem obca sprawa nie rozbudziła nigdy tylu sympatyj w narodzie amerykańskim, co powstanie listopadowe.

Był to, zaprawdę, jedyny okres, kiedy Polska była "w modzie" w Stanach Zjednoczonych, kiedy jej imię było na ustach wszystkich Amerykanów.

Poezja nie kłamie. Jest ona zawsze niechybnym objawem uczuć i mnogość wierszy o Polsce dowodzi powszechności sympatyj dawnej Ameryki dla naszej sprawy.

Większość tych wierszy obiegła anonimowo dzienniki i tygodniki amerykańskie, niektóre w wielokrotnych przedrukach.

Wszelkie braki, które mogłaby im wytknąć krytyka literacka, zastępuje i wynagradza w nich w zupełności — stokroć cenniejsze nad świetność formy — żywe, choć proste, uwielbienie dla ojczyzny bohaterów z Olszynki i z pod Grochowa.

Kilka wierszy w niniejszym zbiorze są niewątpliwie pochodzenia angielskiego. Sądzę, że, mimo tego, mają one tu prawo obywatelstwa przez przedruk, nieraz bardzo liczny, w czasopismach amerykańskich, co niezbicie dowodzi, iż odpowiadały uczuciom Amerykanów.

THE AUTOCRAT'S PRAYER

(Autor nieznany. Z "Buffalo Journal and General Advertiser" z dnia 22-go czerwca 1831. Zaopatrzony uwagą, iż treść odnosi się do "chełpliwego manifestu Mikołaja I-go ze stycznia 1831".)

Europe! hear the voice that rose
From the chief of Freedom's foes —
When he bade war's thunders roll
O'er the country of the Pole —
To his Cossacks on parade,
Thus the Calmuck robber said —

"Mine the might, and mine the right,
Stir ye, spur ye to the fight —
Bare the blade and strike the blow
To the heart's core of the foe —
Slaughter all the rebel bands
Found with weapons in their hands —
On! — the holy work of fate,
Russia's God will consecrate.

"T'is decreed that they shall bleed
For the dark and trait'rous deed —
Poles! to us by conquest given:
Ye provoke the wrath of Heaven —
Therefore purging sword and shot
Use we must and spare you not —
Guardian of our northern faith
Guide us to the field of death!

"E'er we've done, many a one
Shall weep they ever saw the sun —
Rouse the noble in his hall,
To a fiery festival —
Dash the stubborn peasant's mirth
Drown in blood his alien hearth —
Babes, or mother, never falter —
Spear the priest before the altar —
Onward and avenge our wrong! —
God is good, and Russia strong!"

THE POLE'S GOOD NIGHT

(Autor nieznany. Z "Niagara Courier", Lockport, N. Y., z dnia 28-go czerwca 1831. Przedruk z "New York American".)

A song, a song for Poland,
A cup of festive wine,
Though pledged by many a breaking heart,
Still strong for thee and thine.
With smiling lip and calm smooth brow,
Our fate hath taught the art,
From ev'ry loved one, round us now,
In soldier guise to part.

The homes, the homes of Poland —
The mountains, and the plains,
The rivers, and the free wild woods,
The slaves who burst their chains —
The mother's sacred love — the tears
That weep the hero's fall —
The memory of our better years —
Fill high, to one and all.

The sword, the sword for Poland —
The keenest and the best;
But fling away the coward shield,
And bare the warriors breast.
As gaily to the battle ground,
As to a banquet — on!
There's music in the trumpet sound,
Fill high — though hope be gone!

The cross, the cross for Poland!
Aye, honest hearts and true,
Have boldly dyed the peaceful robe
In glory's sanguine hue.
Beam, holy cross of conquering fame,
That led one Constantine,
But tremble thou of recreant name
Before the bannered sign.

Good night, good night to Poland —
To-morrow's sun may rise
To see us rest on mother earth,
Beneath our own blue skies:
And welcome, welcome, if the strife
Be won, to make thee free!
Fill, to the last dear throb of life,
Oh, Poland! — all for thee.

PARAPHRASE OF LORD BYRON'S DESTRUCTION OF SENNACHERIB

(Autor nieznany. Z "Buffalo Journal and General Advertiser" z 13 lipca 1831. Przedruk z "Badger's Weekly Messenger". Poprzedzony następującą uwagą: "Poniższa przeróbka niemal sprawdziła się w klęskach, poniesionych przez armję rosyjską w Polsce. Może w mądrej Opatrzności Króla Królów klęska armji Dybicza okaże się w końcu tak zupełna, jak Sennacheryba").

The Russian came down like the wolf on the fold,
And his cohorts were gleaming in purple and gold;
And the sheen of their spears was like stars on the sea,
When blue waves roll nightly on deep Galilee.

Like the leaves of the forest when summer is green,
That host with their banner at sunset were seen;
Like the leaves of the forest when autumn hath blown,
That host on the morrow lay withered and strown.

For the angel of war spread his wings on the blast,
And breathed in the face of the foe as he pass'd;
And the eagles of Russia felt death in the chill,
And their hearts but once heaved and forever grew still.

And there lay the steed with his nostril all wide,
But through it there roll'd not the breath of his pride;
And the foam of his gasping lay white on the turf,
And cold as the spray of the rock-beating surf.

And there lay the Cossack distorted and pale,
With dew on his brow and the rust on his mail;
And the tents were all silent, the banners alone,
The lances unlifted, the trumpets unblown.

And the widows of Moscow are loud in their cry,
For the frost-bitten honors of Zabalkansky*) ;
And the might of the Russian, unsmote by the sword,
Hath melted like snow in the glance of the Lord.

*) W oryginale Abalkansky (przydomek Dybicza).

TO THE POLES.

(Podpisany literą "H". Z "The New England Magazine", Boston, Mass., z lipca 1831).

Brave sons of Sarmatia, to battle advance!
Confide in your swords, and despise craven France!
Shame wither the wretch that would parley or yield,
Or die on his bed, could he fall in the field!

The Cossack our dwelling may pillage and burn,
But his numbers we scorn, as his master we spurn; —
Fight now — let him see his Borysthenes never!
Die now — or live bondsmen henceforth and forever!

Lo! roused by the summons of trumpet and drum,
From kingdom and province, from exile we come.
And welcome to us would our burial be
In a trench, could our country be rescued and free.

Leave the hall and the bower — leave palace and cot —
Let the bride be forsaken — affection forgot —
All, all but the last and the holiest flame,
That burns for our country in sorrow and shame.

From the slumber of years, fallen Poland, awake,
The Russian to smite while his fetters you break;
No truce with the hordes of the czar let there be,
Till we shall be slaughtered, or Poland be free.

When freedom contends, there is hope for the brave;
If he fall, there is Poland to weep o'er his grave;
Then with Heaven above us, and green graves below,
On, Poland, to victory! Death to the foe!

AUX POLONAIS

(Francuski wiersz podpisany literami "A. P." Z "The United States Telegraph," Washington, D. C., z 18-go sierpnia 1831. Poprzedzony uwagą: "Specjalnie dla United States Telegraph."

Pologne! Que ta gloire aux siecles avenir
Resplendisse a jamais et qu'um grand souvenir
D'un cercle radieux unisse avec la France
Belges et Polonais sous la meme vaillance!

Quel prodige a produit l'esprit de liberte!
Dans trois jours, Charles dix fut vaincu, detrone!
Bruxelles, c'est Paris! le Hollandais succombe;
La liberte' recoit un nouvel Hecatombe!
Toi, Varso! que le Kzard sous sa chaine accablait,
Tu la romps a l'instant et le Russe est defait!
C'est envain qu'il envoit ses puissantes arme'es,
La liberte, le fer les ont exterminees!
Les lauriers de Diebitsch sout restes au Balcan;
Ce colosse si fier, rentre dans la neant!
Sparte, renait en toi, Leonidas respire!
Mourir pour la patrie est le plus beau delire!
La Pologne en tout temps montra de nobles coeurs;
Mais, elle n'ent jamais plus braves deffenseurs!
Du grand Napoleon ils partagaient la gloire;
Ils furent ses soutiens au champ de la victoire;
Du sein de immortels son genie en courroux;
Commande aux vrais Francais de combattre pour vous!
Ils entendront sa voix, laur valeur heroique
Vaincra ces Rois jaloux du pouvoir despotique!

Mais, quel autre prodige eclate à tous les yeux,
S'ils revoyaient le jour que diraient nos ayeux?
Un meme esprit conduit la France et l' Angleterre,
Ces grandes nations ne se font plus la guerre!
Leurs Rois sout liberaux! le peuple obtient ses droits!
Ces deux Rois citoyens reforment par les lois!

TO THE POLES

(Autor nieznany. Z "New York Mirror" z 27-go sierpnia 1831)

Success attend ye in each fight,
Heroic battlers for the right;
Your tyrant foes are swarming round
To sweep ye from the earth,
And render desolate and bare
The land that gave ye birth;
The savage monarch thought his power
Could crush ye like a feeble flower;
But he has learn'd ere this, I ween,
A patriot's strength to know,
And seen how those could stand who dared
To strike a patriot's blow.
His brutal hirelings have been sent
To graves without a monument:
Numbers have fled before a few,
Like ships before the blast;
The brows of Russian conquerors
Have been with gloom o'ercast:
Brave Poles! in vain ye have not bled,
Your plains are thick with Russian dead!

Fight on! fight on! undaunted band,
For your own dear devoted land;
Your wives shall hurry ye away,
Unto the scene of blood,
Your sires shall bless ye as ye go,
Because your cause is good!
Your very babes, from terror freed,
With tiny voice shall cry "God speed",
And all who love ye as they ought,
Shall say, "Fight on! fight on!"
There's nought but life that can be lost,
But freedom may be won!
Your deeds shall be for history's boast,
Each Pole shall be himself a host,
And strive as only those can strive
Who look behind, and see
Wives — children — all depending on
Their acts of bravery,
And crying out, "save us, oh, save,
From tyrants sterner than the grave!"

Then look before on threat'ning ranks
Assembled to destroy
The sources that to them are full
Of purest, holiest joy;
And then exert their ev'ry nerve
Those holy sources to preserve.

But if it is your fearful fate
To fall beneath the despot's hate,
Whose only rule of right is might,
And power his only aim —
He who deserves each freeman's scorn,
Whose glory is his shame,
He then will see no chains can bind
What he must hate — a patriot's mind —
His pow'r can never make ye own
His title to be just,
He cannot at his footstool bid
Your lips to kiss the dust:
No! rather would ye choose your doom
A martyr's glory, and his tomb!

THE POLE'S ADIEU

(Autor nieznany. Z "Buffalo Journal and General Advertiser" z 7-go sierpnia 1831.)

Star of my soul, farewell!
I go to death and danger, —
I haste to meet in conflict fell
The proud invading stranger.

I leave thee, love, to save
The land we dearly cherish,
To break the yoke that binds the brave,
To rescue or to perish.

Star of my soul! Thy light
No more will shine before me;
The flame of war glares redly bright,
Destruction hovers o'er me.

Yet mourn not, love, for me,
Remember, though we sever,
The patriot brave who falls will be
With glory crowned forever.

POLAND SHALL BE FREE!

(Autorem jest Dr. Robert Montgomery Bird, jeden z najwybitniejszych dramaturgów amerykańskich, twórca powieści "Nick of the Woods," (Duch Puszczy), do dziś stanowiącą najpopularniejszą lekturę wśród młodzieży w Polsce. Urodzony 1806, umarł 1854. Jest to wyjątek z prologu 5-aktowej tragedji Birda "The Gladiator", osnutej na tle powstania Spartakusa. Wystawiona poraz pierwszy w teatrze Park w Nowym Jorku 27-go września 1831. Odrazu zdobyła duże powodzenie. Wielki zapał wśród publiczności wzbudzał poniższy ustęp prologu o Polsce. Z "New York Mirror" z 8-go października 1831.)

A cry for freedom! every heart is stirr'd,
When peals from earth to heaven that glorious word;
It rises now, from glory's ancient home,
To shame the vassal fears of Christendom;
Chains for the brave? Back to your land of snows —
Not Rome at Thrace, you strike at Polish foes;
A nation's voice — it rings along the sea —
Death to the tyrant, Poland shall be free!

THE DYING POLE

(Wiersz podpisany literą "S". Z "Godey's Lady's Book", Philadelphia, sierpień 1831.)

I stood and gaz'd on the dying man,
As he struggled hard for life —
Of his country's host he had led the van,
Till the close of that noble strife.

He lay on his back in a pool of gore
That had well'd from his wounded side —
But his eye was bright as it gleamed before,
Mid the surge of the battle's tide.

The current of war has swept along,
But the wind as it whistled by,
Bore on its pinion the shout of the strong,
And the voice of victory.

It came on the breeze, that thrilling sound,
And he knew that the field was won —
He sprang like a fawn from the gory ground,
And was darting wildly on —

But he gasp'd as he sunk on the gory sod,
And his voice was faint and low;
"Beloved Poland" — "my soul to God" —
"My curse to my country's foe".

'Tis done! — and no more those lightning rays
Illuminate the eye of the dead —
'Tis o'er! — and the curse of the dying weighs
Like lead on the foeman's blade.

POLAND

(Autor podpisany pseudonimem "A Voyager." Wiersz zamieszczony w "United States Telegraph". Washington, D. C., 28-go października 1831 z uwagą: "Napisany w początku powstania")

Wild hordes of the Volga.
Your coming we greet;
We have drums here a'larum
As loudly shall beat;
A signal hath sounded;
A spirit gone forth,
And burns, as of yore,
In the breast of the North.

The time was when Poland
Was mighty, was free;
Unstruck was her banner,
Unbent was her knee:
In the tourney of nations,
Still shiver'd recoil'd
The spear from her 'scutcheon,
Unriven, unsoil'd.

But empires were banded
To spoil, to divide;
And brave men submitted
Where cowards had died.
Her sceptre was broken
And shar'd — and her name
Lay a shadow — a blank
On the record of Fame.

Then her mighty went forth,
On wave, and on shore,
Through blood, the red flag
Of some chieftain still bore;
Where liberty's drum beat,
Where, true to its roll,
Flash'd, fiercest and foremost
The sword of a Pole.

We follow'd the star
Of the Corsican forth,
O'er the sands of the desert,
The snows of the North;
From its dawn to its zenith;
Nor waver'd the while
Till it sank — like a sun —
O'er his desolate isle.

He was brave and was noble;
The sword and the hand
Of the Pole were still wielded
In victory's van:
He saw it, and lov'd us
And left on record
His own deathless fame
To that hand and that sword.

Though true to his cause,
To our birth we were true
The sign*) in our banner,
The hearth where we grew.
We had hop'd, should his arm
'Gainst the tyrant prevail,
He might think of the friend
Of the Victor and Gaul.

He fell, and fell with him
The hopes we had nurs'd;
A meteor flame, that
But dazzled and burst.
Then we sat down in silence,
And look'd to the Power,
With whom Kings are as slaves,
Thrones, the things of an hour.

It came, like the earthquake —
Unhop'd for, unseen:
And liberty burst from
Her slumber again;
A Heaven-sent spark,
A spell-breaking word —
It spoke — and she woke with
Her hand on her sword.
Wild hordes of the Volga!
Your coming we greet;
We have drums here a'larum
As loudly shall beat:

Bold freeman to follow,
Bold chieftains to lead,
And hands that can struggle,
And hearts that can bleed.

*) "Cowards fight where brave men despair".

TO POLAND ON THE DEATH OF DIEBITSCH

(Wiersz prawdopodobnie angielskiego pochodzenia. Autor nieznany. "Niagara Courier", Lockport, N. Y., podał go 13-go czerwca 1831 jako przedruk z "The Liverpool Courier.")

Rejoice not for the soldier dead,
Who rests upon his broken shield;
Rejoice — not for his cohort fled,
When Freedom's banner led the field;
But that the despot and the slave
Hath found a lazar's loathsome grave.

He fell not by the patriot sword,
Forged from the freeman's broken chain,
He fell not by the victor's sword,
Upon the blood-ensanguined plain;
His doom was borne upon the blast,
The' avenger was his God at last.

Then let thy gallant sons rejoice,
Europe approves the great design;
Freedom hath spoken, and her voice
Stern in its majesty divine,
Proclaims that all, who dare like thee —
Need only will it — TO BE FREE.

Shrink not from the Cosack lance,
Boldly meet the unequal foe,
Firmly your native ranks advance,
Though native blood around you flow.
Let Poland be one glorious grave
Ere she again becomes a slave.

ODE ON THE DEDICATION OF POLISH STANDARDS

(Autorem jej jest Benjamin Bussey Thatcher, poeta amerykański, urodzony w roku 1809, zmarły w roku 1840. Thatcher wygłosił ją osobiście podczas uroczystości dedykacji sztandarów, sprawionych przez młodzież bostońską dla armji polskiej. Wiersz pojawił się w "New York Whig," 15-go września 1831, z następującą uwagą: "Wręczenie sztandarów bataljonowi wojska w Bostonie, jako przedstawicielowi Polaków, było ciekawem zdarzeniem. Był wielki pochód świecki i wojskowy, mowa p. Josiaha Quincy, syna, w imieniu młodzieży, dwie oryginalne ody, jedna p. B. B. Thatchera, druga panny Leslie, odczytanie adresu do narodu polskiego i listu do Lafayette'a, które mają towarzyszyć sztandarom. I olbrzymi tłum widzów."

Freedom! Freedom! — hear the shout
O'er the wide seas sounding out!
The trumpet of the battle calls,
To arms! to arms! — the banners wave
For the last onset of the brave;
From the mountain and the moor,
On the farthest Danube's shore, —
From the Deserts of the north,
Where the blue Elbe rushes forth —
Poland wakes from slavery's charm;
Poland lifts up her ancient arm;
In her heroes' every vein,
Poland's life blood burns again.

Aye, and the ashes of her dead
Stir in their green and glorious bed;
Their spirits breathe upon the gale —
The fearless host who dared in fight,
Of old, the Moslem's myriads might.
The war-cry and the conqueror's hymn
Rouse them in their dwelling dim,
And they rise once more to feel,
In their sons, the tyrant's steel,
Poland wakes, etc.

On! On! Then, noble band!
Bare the breast, and nerve the hand!
And throw the worthless scabbard by!
Ye shall not lose at least your fame;
Ye shall not fall without a name
To reach the stars amid the sky;
And your blood, that cannot die —
Ah! many a day, on many a field,
The martyr's harvest it shall yield.
Poland wakes, etc.

On! — o'er the bones that moulder round
Praga's crimson battle-ground —
On! for the living and the loved;
Ye shall need no other mail,
To make the Russian eagle quail;
For the bride and for the sire,
By your old home's roofless fire,
On! On! — O noble band,
Bare the breast and nerve the hand!
Poland wakes, etc.

POLISH SONG

(Autor nieznany. Z "Godey's Lady's Book", Philadelphia, vol. 3, 1831.)

Hark! The sounding bugle's voice,
Peals its loud war - minstrelsy,
Sons of patriot sires rejoice,
In Liberty!

Now the stars of Freedom shine —
Storms of dark oppression flee —
Gallia! — every praise be thine,
For Liberty!

Onward — hear ye not the chains
Worn by you in slavery? —
While the life-blood swells your veins
Shout — Liberty!

Spirits throned in yonder sky,
Scourges once of tyranny —
Hear with joy your thrilling cry
Of Liberty!

Gory rivers now may flow,
Welcome death, or victory!
Nations will applaud the blow
For Liberty!

Onward then and freedom claim —
Poland! — Let the watch-word be
Now another — prouder name
For Liberty!

WHO ARE THE FREE?

(Wiersz razem z nutami pojawił się w "New York Mirror", 25-go lutego 1832. Słowa i muzykę ułożył J. A. Wade, muzyk angielski, specjalnie dla "Mirrora." Wiersz poprzedza uwaga: "Z Polskich Melodyj")

Who are the free?
Who are the free?
Slaves beneath their chains may be;
The thunder's sound is strongly bound
Before it burst to liberty!
Freedom's a passion of the mind,
'Tis not to earth or air confined;
'Twill struggle more the more you bind:
Who are the free?
Who are the free?

Where are the free?
Where are the free?
On hill, in glen, or desert sea?
Perhaps they sleep
In dungeons deep —
But still their dream is liberty!
A battle-plain may be a slave's —
A prison-ship may ride the waves —
There are two places — HEARTS AND GRAVES!
Where are the free?
Where are the free?

Then we're the free,
We are the free; —
For, though in chains or liberty,
Our hearts and souls
Have no controls,
But scorners to the last will be! —
We may be robb'd of freedom's right —
We may be slain in freedom's fight —
But, still against the despot's might
We are the free!
We are the free!

RISE, WHITE EAGLE, RISE!

(Wierszyk z bezimiennej nowelki p. t. "Julia, the devoted to Poland", osnutej na tle powstania listopadowego i wydrukowanej w "Lady's Amaranth", Filadelfja, tom III, nr. I. Wierszyk jest śpiewem żołnierzy polskich maszerujących na pole walki. Oryginalny druk w zbiorach Dra. Aleksandra Kahanowicza z Brooklyna).

Rise, White Eagle, rise!
Shake from thy stainless breast
The black plumes of the foe,
Who comes to spoil thy nest;
Rise, White Eagle, rise,
And bid the ruddy tide of vengeance flow!

THE LAST TEN OF THE FOURTH REGIMENT

(Znany wiersz Niemca Juljusza Mosena, w tłumaczeniu Jakóba Freemana Clarke, pastora unitarjańskiego w Bostonie, ur. 1810, zmarłego 1888. Ze zbioru "Poems of Places", Boston 1878, zredagowanego przez H. W. Longfellowa, który podał go w dziale "Russia").

A thousand soldiers knelt in Warsaw's square,
The solemn oath of battle sternly taking;
They swore, without a shot, the foe to dare,
With bayonets' point their deadly pathway making.
Beat drums! march on, and let our country tell
That "Poland's Fourth" will keep its promise well.

So said, and bloody Praga saw it done.
Right where the foe in thickest mass was rushing,
We charged, and not a comrade fired his gun,
But each with deadly bayonet on was pushing.
Praga shall tell how, mid the blackened air,
Poland's "Fourth Regiment" was bleeding there.

When, from a thousand throats of fire, the flame
At Ostrolenka on our columns failing
Mowed down our ranks, we broke our way, and came
With the sharp bayonet's point their heart appalling.
Let Ostrolenka, joined with Praga, say
That "Poland's Fourth" has kept its vow to-day.

Yes, many manly hearts then sank to rest,
To the war-fiend a noble offering bringing;
Yet to his oath each man was true, and prest
On to the end, still to his weapon clinging;
Yes, with unloaded gun and steady eye,
Poland's "Fourth Regiment" marched on to die.

O, woe to us! woe to our land forlorn!
O, ask not whence or how this misery came!
Woe, woe to every child in Poland born!
Our wounds break open when we hear her name.
They bleed afresh, but most our hearts are wrung
When "Poland's Fourth" is named by any tongue.

And ah! dear brothers, who to death have gone,
But, dying, from our souls shall perish never;
We, who still live, with broken hearts move on,
Far from our homes, the homes now lost forever;
And pray that God in heaven may quickly send
The last of "Poland's Fourth" a blessed end.

From Poland's confines, through the misty air,
Ten soldiers come, and, crossing Prussia's border,
The sentry challenges with, "Who comes there?"
They stand in silence. He repeats the order.
At last one says, "Out of a thousand men
In "Poland's Fourth" we are the only ten".

THE LAST TEN OF THE FOURTH REGIMENT
(Druga wersja)

(Tłumacz nieznany. Z bardzo rzadkiej i ciekawej rozrzutki, której jedna kopja znajduje się w posiadaniu Dra. Aleksandra Kahanowicza z Brooklyna, druga w Boston Athenaeum. Składa się ona z czterech stron, zawierających trzy utwory: The Last Ten of the Fourth Regiment, The Brave Polander in Siberia i The Exile of Poland. Zdobią ją trzy ryciny. Obrazek nad tym wierszem przedstawia ostatnich dziesięciu czwartaków, przekraczających granicę pruską. U góry orzeł polski trzyma wieniec z napisem "The Last Ten of the Fourth Regiment". Otaczają go lance i sztandary. Po bokach mniejsze wieńce, połączone wstęgami, i napisami: "Praga" — "Ostrolenka". Data wydania nieznana, prawdopodobnie około roku 1834.)

A thousand gallant sons of Warsaw kneeled,
And swore to fire no shot upon the field;
But when again the savage foe they met,
To die, or conquer with the bayonet.
But ah! the friends of freedom now lament
The fate of Poland's brave fourth regiment.

Fierce was the contest — bloody was the fray,
When Prague beheld our heroes win the day;
What desperate deeds of valour there were done!
By bayonet alone the field was won!
And Prague beheld, with stern astonishment,
The gallant deeds of our fourth regiment!

When with a thousand guns, the inveterate foe,
Near Ostrolenka, laid our heroes low;
We well knew where to find his crafty heart,
And with the bayonet nobly play'd our part;
Yes, Ostrolenka saw that great event,
The gallant deeds of our fourth regiment.

Though many a gallant soldier bit the dust,
No shot was fired — in heaven we placed our trust;
And still we strove, till Vistula's pure flood
Bore to the ocean rippling waves of the blood!
There was the richest blood of Poland spent,
There bled the hearts of her fourth regiment!

Poland was lost! — o'rwhelm'd with endless woe;
Ask not from whence she felt the fatal blow:
Her gallant sons and daughters now must mourn,
And weep for joys that never can return.
But ask whose hearts with keenest pangs were rent,
Who bled the freest? her fourth regiment.

Adieu, ye gallant souls, who bravely fell,
Your deeds of glory history shall tell;
We still survive — deprived of all but fame,
Without a home, a country, or a name;
With bleeding hearts, by cureless sorrows rent,
A remnant of the brave fourth regiment.

All that remain are ten brave grenadiers,
Who cross, in sullen silence, the frontiers,
Of Prussia's realm — all smarting with their wounds!
What charm arrests them? hark! the watchword sounds!
Behold! for freedom, home and country rent,
The last ten of the brave fourth regiment!

THE BRAVE POLANDER IN SIBERIA

(Z tejże rozrzutki. Autor nieznany. Wiersz zdobi obrazek, wygnańca polskiego na Sybirze).

In Siberia, in Siberia,
The exile is a slave
And all its frozen regions
In but one wintry grave.

In Siberia, in Siberia
The spring has but one day,
And hour completes the summer,
The rest is winter's sway.

In Siberia, in Siberia,
The lingering bitter cold
Is worst than fires infernal,
As we are often told.

In Siberia, in Siberia,
No hopes the soul elate,
Both grief and joy are torpid,
The exiles' dreadful fate.

In Siberia, in Siberia,
Is heard no friendly voice,
Nor do affection's kisses
E'er make the heart rejoice.

In Siberia, in Siberia,
Far from children, wife and home,
With silent grief despairing,
The hapless exiles roam.

In Siberia, in Siberia,
Is heard no tuneful lay,
And exiles seldom witness
The cheering solar ray.

In Siberia, in Siberia,
A thousand gallant Poles,
In slavery now are weeping
With anguish in their souls.

In Siberia, in Siberia,
A thousand Poles will die,
And stones will weep with sorrow
While tyrant's eyes are dry.

THE EXILE OF POLAND

(Z tejże rozrzutki. Autor nieznany. Nad wierszem obrazek, przedstawiający słaniającego się żołnierza polskiego. Postać kobieca podaje mu kij wędrowny do ręki. W oddali krzyż z orłem polskim i napisem: "For the Land of our Fathers". Za chmurą ukazuje się kotwica nadziei. Pod obrazkiem nuty.)

Far from thee, dearest land of my fathers,
Far from thee, noble friend, we must fly,
Who have sworn, with our patriot brothers,
To preserve you from fetters, or die.
We were firm, when the foe was before us,
Tho' our blood flowed in streams on the sod;
Yet the banner of triumph was o'er us,
And we gave all the glory to God.

'Twas of thee that I thought in the battle,
While our heroes were bleeding so free,
And amid the loud musketry's rattle
All my thoughts were still fixed upon thee.
Ah! that youth who was wounded and falling
Was his mother's support and her stay,
And the fate of that sire is appalling
For his children are orphans to-day.

When the foeman his prowess exerted,
And his victims were heap'd on the plain,
Gracious heaven his plans disconcerted,
And preserved us to meet him again.
Fickle fortune but smiled for a season,
Freedom's banner in vain was unfurl'd,
For the foeman resorted to treason,
And Poland was swept from the world.

But the spirit of Freedom ne'er slumbers,
And the Poles will ne'er stoop to the yoke,
Though their tyrants may crush them by numbers,
Yet their courage can never be broke.
We were not born for slaves, and we never
Will relinquish our freedom and right,
So our country is not lost for ever,
For our faith and our hopes are still bright.

Noble friend, fare you well, and all others,
Who may yet in dear Poland remain,
Do not weep nor lament for your brothers,
For we yet shall embrace you again.
Noble France will with kindness receive us,
While in God we deposit our trust;
And though humbled, He never will leave us,
Till our Poland is raised from the dust.

POLAND

(Autor nieznany. Z "The Old Countryman and Scotch, English, Irish, Welsh and Colonial Mirror", New York, 26 stycznia 1832. Podany jako przedruk "z gazety z South Carolina". Oryginalny druk w zbiorach Dra. Aleksandra Kahanowicza z Brooklyna).

Daughters of Poland, we weep for you now!
Ye are fallen, ye are fallen, and your children must bow
Once more to the yoke, call no more on the brave,
Whose arms are now bound in the chain of the slave.

Daughters of Poland! The cup of your woe
Was filled — but, oh God! it does now overflow
With the blood of the victims on Liberty's grave —
May it cry unto Him, who is mighty to save!

Daughters of Poland! none, none would befriend you!
Even Christians looked on, nor would fly to defend you!
Let them weep you now! Let them mingle their tears
Unto Him who afflicts, let them join in your prayers.

Daughters of Poland! whose hopes are laid low
And who gaze in despair on the carnage and woe,
Which has stained and has clouded your land and your sky,
God wipe for you, daughters, the tear from each eye!

Daughters of Poland! whose jewels are given
In vain, you have still the bright jewel of Heaven;
Make an offering of that — send your prayers yet above
God bless for you, daughters, that incense of love.

DIRGE

(Z "New York Mirror", 10 marca 1832. Treścią wprawdzie dotyczy powstania kościuszkowskiego, ale powstał niewątpliwie pod wpływem zapału dla sprawy polskiej w okresie powstania listopadowego. Poprzedzony krótkim szkicem o autorce, Sarze Ludwice P. Smith, z-domu Hickman, urodzonej 13-go czerwca 1811 w Detroit, gdy dziadek jej, gen. maj. William Hull, był gubernatorem terytorjum. Zmarła 12 lutego 1832, przeżywszy 20 lat. Współczesna krytyka chwaliła jej utwory. Geneza wiersza jest następująca, wedle "New York Mirror": — "Dirge" był jednym z ostatnich jej utworów, napisanym na prośbę jednego z przyjaciół, który pracował nad powieścią, osnutą na tle historji polskiej. Wedle jego pomysłu, kiedy Kościuszko padł pod Maciejowicami, w Warszawie rozeszła się pogłoska o jego śmierci. Autor chciał w utwór swój wpleść hymn śpiewany przez zakonnice w nocy pod wpływem żałobnej wieści. W kilka dni potem pani Smith dostarczyła przyjacielowi następujący wiersz, "pełen wymownej piękności".)

Through Warsaw there is weeping,
  And a voice of sorrow now,
For the hero who is sleeping
  With death upon his brow;
The trumpet-tone will waken
  No more his martial tread,
Nor the battleground be shaken
  When his banner is outspread!

Now let our hymn
Float through the aisle,
Faintly and dim,
Where moon-beams smile:
Sisters, let our solemn strain,
Breathe a blessing o'er the slain!

There's a voice of grief in Warsaw,
The mourning of the brave,
O'er the chieftain who is gather'd
Unto his honor'd grave;
Who now will face the foeman?
Who break the tyrant's chain?
The bravest one lies fallen
And sleeping with the slain.
Now let our hymn
Float through the aisle
Faintly and dim,
Where moon-beams smile:
Sisters, let our dirge be said
Slowly o'er the sainted dead!

There's a voice of woman's weeping,
In Warsaw heard to-night,
And eyes close not in sleeping,
That late with joy were bright;
No festal torch is lighted,
No notes of music swell,
Their country's hope was blighted
When that son of freedom fell!
Now let our hymn
Flow through the aisle,
Faintly and dim
Where moon-beams smile:
Sisters, let our hymn arise
Sadly to the midnight skies!

And a voice of love undying,
From the tomb of other years,
Like the west wind's summer sighing
It blends with manhood's tears;
It whispers not of glory,
Nor fame's unfading youth,
But lingers o'er a story
Of young affection's truth.

Now let our hymn
Float through the aisle,
Faintly and dim
Where moon-beams smile:
Sisters, let our solemn strain
Breathe a blessing o'er the slain!

EUROPE, A POLITICAL SKETCH

(Jest to wyjątek z poematu pod powyższym tytułem, pióra Karola Owena Apperly, zdaje się, Anglika, wydany w Londynie i Nowym Jorku w r. 1834. Główny ustęp dotyczy powstania listopadowego. Autor oburza się w nim na Rosję za ciemiężenie Polski, a na inne mocarstwa europejskie za pozostawienie Polaków bez pomocy. "The American Quarterly Review" (Filadelfja, marzec—czerwiec 1834) w recenzji dzieła pisze: "Gromy p. Apperly są tak tępe i zostały wystrzelone z tak słabego łuku, że wątpimy, by mogły zadać choćby jedną ranę tym, przeciw którym są zwrócone. Broń Boże, nie myślimy ganić p. Apperly za tak odważne porwanie się na przedmiot, na którego należyte ujęcie trzebaby goryczy Byrona lub satyry Cervantesa. Pobudki jego były dobre; żałujemy tylko, że siły mu nie dopisały. Serce jego, gdy pisał ten poemat, było w należytem miejscu, ale gdzie miał głowę, trudno powiedzieć." "Review" cytuje następujący wyjątek na dowód nieudolności autora, którą Polak może szczerem sercem wybaczyć:)

Oh Europe! land of pride and chivalry,
How deeply doth this deed reflect on thee!
Staining thy later annals with a crime,
That would have shamed the dark and olden time;
Then chief and monarch roamed o'er earth and main
To plant the cross on Asia's arid plain;
And though we smile at their mistaken zeal,
Their noble daring who can help to feel?
Now sinks a great and ancient state, whose name
Is dear to liberty, renowned by fame,
And none befriend her; but the great and free,
Beholding this, permit it still to be.
Yet let us censure justly: it was not
The nations, but their chiefs, who thus forgot
Their faith, their honors, and Sarmatia's woes,
And coldly saw the tragic drama close.
Seek the Hungarian by the Danube's wave,
And ask him: 'Hadst not thou an arm to save?'
And he will mention Sobieski's name,
And sadly speak of gratitude and shame.
From hence unto the sunny vales of France
And as her sons in martial pride advance,
Stand thou before the deep and lengthened line,
And say: "Did Poland fall with will of thine?"

The answer that shall burst upon thine ear,
Would startle tyrants where they by to hear.
Then cross the wave to Europe's western isle,
Whose name has often checked a despot's smile:
Go to some open heath upon a day,
When Britons freely met their wants to lay
Before their Senate, and observe them near
When the Poles' wrongs are mentioned — see and hear
The feelings which shall animate them then,
And know the same hold sway over mount and glen.
Yes, there were willing hearts and ready hands,
More than enough to drive those Cossack bands
Back to their native forests: freemen stood
Prepared for freedom's fight on land or flood,
As stands the steed impatient for the course
Proud of his speed, and conscious of his force;
But they, who should have given the words: "On, On!"
Were silent, and the goal was thus not won."

THE CHIVALRY OF THE POLES

(Jest to wyjątek z poematu Stefana Greenleaf Bulfincha, poety amerykańskiego, ze zbioru "Poems", wydanego w Charleston, S. C., w r. 1834. Poemat nosi tytuł "Chivalry". Ustęp o Polakach jest dziesiątą zwrotką. "Rycerz i mędrzec", o którym autor wspomina w drugiej jej części jest to gen. Lafayette, serdeczny przyjaciel Polski we Francji.)

But hark! across the ocean's wave
There comes a deepening cry.
On Poland's plains the steadfast brave
Hopeless their fallen land to save,
Beneath its ruins die.
Where Europe, is the spirit fled
That burned within thy glorious dead!
A noble nation sinks oppressed,
And not a lance is laid in rest,
Nor waves the breeze a single crest,
To aid the valiant and the free
In their high strife for liberty.
Morn, France, the glory clouded o'er,
And Thou, too, of the sea-girt shore!
Oh, had you flags together waved,
Your voice in thunder spoke,
The thanks of that brave nation saved
Had forth in transport broke.
Your chiefs, the theme of song sublime,
Had won the praise of future time.

Bright rose the star, and Europe glowed
Exulting in its kindling ray,
And despots trembled as it rode
Triumphant on its heavenly way.
But clouds have dimmed its path of light,
And darkly close the shades of night.
Yet no! The star of Chivalry
Steadfast, though dimmed, can never die.
Still many a pure and fearless mind
Its bright remembrance holds enshrined.
And many a clear, far-searching eye
Pursues its distant course on high.
Still lives the warior-sage, who led
Our hosts, in Freedom's earlier day;
And still fresh laurels crown his head,
And glory, ne'er to fade away.
Hero of nations! o'er thy grave,
When sinks at last the exhausted flame,
As bend in tears the good and brave,
And faltering bless thy honoured name,
The star of Chivalry shall pour
The spirit of its light and power,
And souls that never felt before
Shall own the influence of the hour.
But ere 'tis thine, loved chief, to rest
Within thy country's grateful breast,
Oh, may thy calm, benignant eye
Catch the full light of liberty,
And strength be given thine aged ear
Glad Europe's triumph-shout to hear!

THE EXILED POLANDER

(Podpisany literą "T." Z "The Philomathesian", tom I, nr. 10, z kwietnia 1834. Oryginalny druk w posiadaniu Dra. Aleksandra Kahanowicza.)

"Strangers, I know you not,
But you are human beings; — For the love of God
Let a poor exile and a wanderer sit
Beneath your happy roof, and rest awhile,
And drink a cup of water, for the sun
Is dry and withering to my little strength,
And thirst and tiresome weariness and grief
Press heavily upon me, and my head
Is racked with pains; so take a stranger in
And hear his tale of woe".

How sweet it is to know, to feel we have
The power to heal the wounds which sorrow makes;
To bind the broken heart; to deck the brow
With smiles, where grief and sallow misery
Had long communed. Oh! 'tis a happy thing
To be benevolent, to plant the rose,
The thornless rose where thistles only grew,
And smooth away the rugged path of life.
The stranger finished his repast,
And from the bounteous table he arose,
And as the grateful tear moistened his eyes,
His heart broke forth: "God bless the holy deed". —
For hunger too had preyed upon his strength,
And wrung from him full many a bitter tear.
Musing awhile he sat, and then he spoke
The sad and fearful story of his wrongs;
And as he spoke the silent tear coursed down
His manly cheek, for death was in the tale.

"Yours is a happy, a thrice happy land!
Your home is bliss by day, and in the night
You seek your couch, and feel secure from harm;
And your dear offspring — they too seek their rest,
And no dark dreams of bloody Cossacks break
Their sweet repose. Alas! for my dear home,
For poor unhappy Poland! She too once
Could boast of peace and harmony; she too
Once could smile away the day, and night
Was not all terror, nor was the fair moon
Which Nature formed to deck night's loveliness,
The lamp whose light but pointed out the place
There dwelt a friend to Poland. Oh! great God!
But Thou art good, and kind, and merciful,
And just in all Thy ways, and I submit.

"I had a sweet, a lovely home,
'Twas not a splendid pile of chiseled stone,
Upreared amid a crowded bustling street;
But a low dwelling in a peaceful vale,
Where from the world and all its pomp and pride,
I lived retired. Nature dressed up the scene
In her own imagery. The tall old trees
Waved their green foliage as the breeze went by;
The mountain's summit caught the morning smiles,
And the last ray of sunbeam lingered there,
As if it still would gaze on the pure scene.
A crystal streamlet murmured from its base,
And the Vistula rolled its waters by
In silence, and in grandeur. There I lived,
And with my dear Saloni life was sweet,

And worth preserving. But the spoiler came,
And dashed the cup forever from my lips.

"It were a long, a tedious tale to tell
Of all the wrongs which Poland had endured.
The haughty Russian trampled on all right.
Justice had fled the land. The laws of God
And human nature were but words to them;
And words ne'er bound a tyrant or his clan,
When "plunder" was their watchword and their motto.
I saw our dearest rights plucked, one by one,
I heard deep groans and sighs ascend amid
Those scenes where joy and peace were wont to reign;
And my blood boiled indignantly, and then
A patriot band stept forth to rescue her,
And hurl defiance to the haughty Czar.
Great God! could I stand tamely still and see
My country's struggle and not join the cause?
I pressed my dear Saloni to my heart,
And my sweet babes, (forgive the starting tear,)
And then commended them to God, and flew
To my dear country's rescue. Then it was
That freedom struggled fierce with tyranny.
And then it was that Poland stood alone,
And Europe gazed with cold indifference on her,
And no kind sympathetic hand was raised
To shield her from the Czar's indignant rage.
One time I thought her cause would raise up armies,
That the first spark that kindled into blaze
Would soon relume the porch of freedom's temple
And gather in her Votaries. But — oh! Shame!
Deep, crimson, everlasting shame be theirs,
The crowned ones, who could thus sit and see
The land of Kosciusko drenched in blood,
And lift no helping hand to save the blow!

"We fought our country's battles long and well;
And Prague and Warsaw saw their fields heaped up
And cumbered with the hordes of Nicholas.
But what could single handed Poland do
Against the force of all the Russians? Fight!
Say you? She did! But every battle field
Saw some brave champion of Freedom fall,
And none stood to replace him, for she put
Her every effort forth when first she stood
Unshackled and alone. We saw our hope
Of succour from a foreign land cut off.
We sent forth every appeal for help
Which honor, or which sympathy could urge;
And like an echo from a cliff they turned,

And brought us no assistance. Thus it was
That grief and black despair came over us.
Our every stay was gone. Warsaw had fallen,
And in her walls were let loose fire and death,
And, lo! the aged sire, the sleeping babe,
The fairy form of youth and innocence,
And manhood's sterner features were sent down
From health and life to death's still cold embrace.
And then the Cossack hordes spread o'er the land,
And woe and bloodshed followed in her train.
'Twas then I thought of my sweet home, and then
I flew away, as the wind flies, to where
My peaceful cottage stood. But ah! too late!
My humble dwelling lay a smoking heap,
And all around was silent as the grave.
I raised my voice amid the awful stillness,
And called aloud on her who erst was wont
To welcome me with the joy, my own Saloni.
And from the silent graves there came no sound,
But the faint echo of my questioning.
In agony I sought to find some trace,
Some token of their fate; and by the fount,
Oh! God of Heaven! her bloody mangled corpse
Lay black and festering in the noonday sun!
Her form of loveliness was gashed and torn,
And cold and stiffened, and her eyes were sunk,
Those ruby lips were swollen and terrible. —
I made her a low grave beneath an elm,
And lay her there in silence and alone;
And, as the clods fell heavily upon her,
I cursed my hapless fate, and wept aloud;
And no one heard my wailings, but my God.
And where were my dear offsprings? they were gone,
And ere three months were told, the tidings came
That they, with thousand other wretched Poles,
Were to be sent away into the gloom,
The everlasting frost and dreariness
Of cold Siberia, there through future life
To make atonement for a nation's sin
In struggling to be free. And where was I?
Alone and desolate, prescribed man.
My dearest earthly ties were torn asunder;
My hope, my comfort mouldering in the grave;
My children, all defenseless, far away,
Without a father or a mother's care,
To smooth the bed of sickness, or of death.

"I took a sad farewell of the green hills
And flowery vales of my own native home,

And sought within this happy land, to end
My few remaining days. Peace I shall find,
And plenty; but my joy and happiness
Are done on earth. The grave enshrouds the form
Of her who blest my youth, and in the grave,
And in that untried land beyond, is placed
My only, my last hope for every bliss".

THE POLISH BOY

(Wiersz literatki amerykańskiej Anny S. Stephens, ur. 1813, zmarłej 1866. Najpopularniejszy z pomiędzy amerykańskich wierszy o Polsce. Ze zbioru "Shoemaker's Best Selections, No. 2," Filadelfja, 1874.)

Whence come those shrieks so wild and shrill,
That cut like blades of steel the air,
Causing the creeping blood to chill
With the sharp cadence of despair?

Again they come, as if a heart
Were cleft in twain by one quick blow,
And every string had voice apart
To utter its peculiar woe.

Whence came they? from yon temple, where
An altar, raised for private prayer,
Now forms the warrior's marble bed
Who Warsaw's gallant armies led.

The dim funereal tapers throw
A holy luster o'er his brow,
And burnish with their rays of light
The mass of curls that gather bright
Above the haughty brow and eye
Of a young boy that's kneeling by.

What hand is that, whose icy press
Clings to the dead with death's own grasp,
But meets no answering caress?
No thrilling fingers seek its clasp.
It is the hand of her whose cry
Rang widly, late, upon the air,
When the dead warrior met her eye
Outstretched upon the altar there.

With pallid lip and stony brow
She murmurs forth her anguish now.
But hark! the tramp of heavy feet
Is heard along the bloody street;
Nearer and nearer yet they come,
With clanking arms and noiseless drum.
Now whispered curses, low and deep,
Around the holy temple creep;
The gate is burst; a ruffian band
Rush in, and savagely demand,
With brutal voice and oath profane,
The startled boy for exile's chain.

The mother sprang with gesture wild,
And to her bosom clasped the child;
Then, with pale cheek and flashing eye,
Shouted with fearful energy,
"Back, ruffians, back! nor dare to tread
Too near the body of my dead;
Nor touch the living boy; I stand
Between him and your lawless band.
Take me, and bind these arms, these hands,
With Russia's heaviest iron bands,
And drag me to Siberia's wild
To perish, if't will save my child!"

"Peace, woman, peace!" the leader cried,
Tearing the pale boy from her side,
And in his ruffian grasp he bore
His victim to the temple door.
"One moment!" shrieked the mother: "one!
Will land or gold redeem my son?
Take heritage, take name, take all,
But leave him free from Russian thrall!
Take these!" and her white arms and hands
She stripped of rings and diamons bands,
And tore from braids of long black hair
The gems that gleamed like starlight there;
Her cross of blazing rubies, last,
Down at the Russian's feet she cast.
He stooped to seize the glittering store; —
Up springing from the marble floor,
The mother, with a cry of joy,
Snatched to her leaping heart the boy.
But no! The Russian's iron grasp
Again undid the mother's clasp.
Forward she fell with one long cry
Of more than mortal agony.

But the brave child is roused at length,
And, breaking from the Russian's hold
He stands, a giant in the strength
Of his young spirit, fierce and bold.
Proudly he towers; his flashing eye,
So blue, and yet so bright,
Seems kindled from the eternal sky,
So brilliant in its light.
His curling lips and crimson cheeks
Foretell the thought before he speaks;
With a full voice of proud command
He turned upon the wondering band:
"Ye hold me not! no! no, nor can;
This hour has made the boy a man.
I knelt before my slaughtered sire,
Nor felt one throb of vengeful ire.
I wept upon his marble brow,
Yes, wept! I was a child; but now
My noble mother, on her knee,
Hath done the work of years for me!"
He drew aside his broidered vest,
And there, like slumbering serpent's crest,
The jewelled haft of poniard bright
Glittered a moment on the sight.
"Ha! start ye back? Fool! coward! knave!
Think ye my noble father's glaive
Would drink the life blood of a slave?
The pearls that on the handle flame
Would blush to rubies in their shame;
The blade would quiver in thy breast
Ashamed of such ignoble rest.
No! thus I rend the tyrant's chain,
And fling him back a boy's disdain!"

A moment, and the funeral light
Flashed on the jeweled weapon bright;
Another, and his young heart's blood
Leaped to the floor, a crimson flood.
Quick to his mother's side he sprang,
And on the air his clear voice rang:
"Up, mother,up! I'm free! I'm free!
The choice was death or slavery.
Up, mother, up! Look on thy son!
His freedom is forever won;
And now he waits one holy kiss
To bear his father home in bliss,
One last embrace, one blessing, — one!
To prove thou knowest, approves thy son,

What! silent yet? Canst thou not feel
My warm blood o'er thy heart congeal?
Speak, mother, speak! lift up thy head!
What! silent still? Then art thou dead!
— Gread God, I thank thee! Mother, I
Rejoice with thee — and thus — to die".
One long, deep breath, and his pale head
Lay on his mother's bosom, — dead.

THE POLISH CHILDREN

(Autorką wiersza jest Julja Pardoe, poetka angielska, zmarła w r. 1882. Z "New York American" 31 grudnia 1833. Jako motto wiersza podany jest następujący wyjątek z listu: "Ostatnim djabelskim ciosem polityki rosyjskiej jest upijać dzieci skazanych Polaków, aby śpiewały idąc do kopalń syberyjskich."

Forth went they from their father-land,
A fallen and fettered race,
To find upon a distant strand
Their dark abiding-place.
Forth went they — not as freemen go,
With firm and fearless eye:
But with the bowed down mien of woe,
As men go forth to die.

The aged, in their silver hair;
The young, in manhood's might;
The mother, with her infant care;
The child in wild affright —
Forth went they all — a pallid band,
With many an anguished start:
The chain lay heavy on their hand,
But heavier on their heart!

No sounds disturbed the desert air,
But those of bitter woe,
Save when at times re-echoed there
The curses of the foe.
When, hark! another cry pealed out —
A cry of idiot glee,
Answered and heightened by the shout
Of the fierce soldiery.

'T was childhood's voice — but ah! how wild,
How demon like its swell!
The mother shrieked to hear her child
Give forth that soulless yell!

And fathers wrung their fettered hands,
Beneath this maddening woe;
Whilst shouted out those infant bands,
The chorus of the foe!

And curses deep and low were said,
Whose murmur reached to heaven;
And sighs were heaved, and tears were shed,
And women's hearts were riven;
While, all forgetful of their woes,
The children onward trod,
And sang — and their young voices rose
A vengeance cry to God!

THE POLISH EXILE

(Wiersz bezimienny, prawdopodobnie angielskiego pochodzenia. Podany w "The Niagara Courier", Lockport, N. Y., 3 września, 1834, jako przedruk z "Liverpool Courier.")

Forced from home to desert lands,
From wife and children dear,
To roam along Siberia's sands
And forests dark and drear;
'Mid rocks with horror deep imbued,
Where music wakes not solitude.

The impulse of the exile's soul
Pervades the howling wind:
His country's wrongs in visions roll
Across his tortured mind:
For her slain sons he fain would weep,
But tears of anguish spring to deep.

His fancy hears the clarion's sound,
That call'd him to the field,
And haunts the blood — stain'd battle ground,
Where Poland's fate was sealed;
Where freedom's sword was lifted high,
To fell the strength of tyranny.

Oppression's power may chain
His form in bondage down;
But freedom in his heart can reign,
And wear her golden crown,
Until the chainless spirit flies
To other realms beyond the skies.

POLAND

(Autor podpisany literą "L." Z "The Dartmouth", czasopisma studentów kolegjum Dartmouth, Hanover, N. H., kwiecień 1841. Oryginalny druk w zbiorach Dra. Aleksandra Kahanowicza.)

They tell thee that "thy sons are dead
Upon the battle field,"
That "freedom fell when valor bled,
And conquered, thou must yield."
But let not tyrant hearts forget,
That, though thy plains with blood are wet,
'Twas shed for liberty —
And now, though none to help remains,
A voice cries from those crimson plains,
"Poland shall yet be free".

Yes, let them revel in their might,
And say that thou art not —
The echoing shout of freedom's fight
Can never be forgot,
The very winds of heaven shall tell
How Poland's sons for freedom fell,
And shout her battle cry,
Her mountains, and her hills shall be
Her standards — bright clouds floating free
Her banners in the sky.

The streams, that from her burial plain
Rush rapidly along,
Shall to the nation yet proclaim
The story of her wrong,
The voice of desolation's gale,
Shall yet make coward despots quail
Before its fearful breath,
And freemen yet shall draw the sword,
With "vengeance" for the rallying word,
And "liberty or death!"

Though tyrants are your masters now,
Sons of the slaughtered free,
Baptized with freedom's sacred vow,
Their slaves ye cannot be!
But soon shall burst those infant hands
Their fetters, as they grasp the brands
Already stained with gore —
And injured Poland, trampled long,
Shall echo with one triumph song
When battle's clash is o'er.

POLAND

(Wiersz Anny L. Snelling, poetki amerykańskiej. Z "The New World", Nowy Jork, 15 stycznia 1842.)

The war note has ceased — and no bugle is sounding,
O'er Podolia's bright plains, where so lately it rung;
Where, where are the hearts that so widely were bounding?
And of Love, Hope, and Liberty, joyously sung?

O'er their homes the proud banner of Russia is waving!
The willow now bends o'er the heads of the brave;
And the billows away from their country, are bearing
The hearts she has exiled — but could not enslave!

Yes! their souls, like that ocean, no tyrant can fetter!
Let him bring forth his tortures — they fear not to die;
But Poland's brave sons never stooped to disgrace her,
On their brows shall the brand-mark of shame never lie.

And can hope in such souls be extinguished or dying?
No! though darker and darker the tempest may lower
O'er the land where their forefather's ashes are lying,
And the conqueror treads in his insolent power;

Yet a voice from the Exile, in wilds shall be stirred!
It shall rouse the free hearts 'mid Siberia's snows;
On Columbia's shore shall the echo be heard,
The war cry of "Freedom" and "Death to our Foes!"

From the Danube's blue wave, from the Elbe's farthest bound,
From Praga's proud arches, now shrouded in gloom;
The blood of the martyr cries out from the ground,
Let that cry then, brave Poles, seal the conqueror's doom.

And will not Columbia assistence too render?
Shall the land where Kosciusko for liberty bled;
And Pulaski, oppression's foe, fought to defend her,
Feel the sin of ingratitude rest on her head?

She feels for thy wrong — and she welcomes thee, stranger!
Here free and in safety, she offers the rest;
Till thy country's foes see, spite of hardship and danger,
That the spirit of Freedom still glows in thy breast.

THE FUGITIVE POLE

(Wiersz podpisany literą "P." Z "The Dartmouth", czasopisma studentów kolegjum Dartmouth, Hanover, N. H., z września 1843. Oryginalny druk w zbiorach Dra. Aleksandra Kahanowicza.)

O'er the stormy skirt of his conquer'd land
A Polish warrior passed;
The sabre was broken that arm'd his hand,
And the red drops ebbing fast;
And he wept as he paus'd on the rocky strand,
And aside his helmet cast.

And the sea-breeze lifted his matted hair,
As he looked on the broad blue main —
That look! 'twas the last of a soul's despair,
And he wept like a child again.
"Sarmatia!" he cried "of the Brave and the Fair"
Thou art drench'd with life's red rain!

How oft the maidens of Warsaw wept,
Presaging this fatal day; —
O, God! while the mercy hath silent slept,
A kingdom hath passed away!
The sword of the pagan hath o'er it swept,
And the steeds of Finland Bay.

Then a light broke down from a veil of clouds
And fell on the deep hush'd sea,
Disclosing a ship with her gallant shrouds
And her pennant flutt'ring free,
And her decks were moving with noiseless crowds,
As she near'd the sheltering lee.

Athwart the wave like a meteor's spark
Shot a boat with muffled oar,
And bore him off to the emigrant bark,
To visit his land no more, —
When the morning came with its singing lark,
'Twas a dim speck seen from the shore.

A child next day by the ocean strayed,
To gather the stranded shell,
And its blue eye fell on a broken blade,
That some hand had wielded well,
And deep in the sand where the fragments laid
Was written the word — "Farewell".

MOTTO

(Autor nieznany. Jest to motto z artykułu gen. Kaspra Tochmana "Polish Revolution of 1830", w "The Democratic Review", Nowy Jork, styczeń 1846. Oryginalny druk w posiadaniu Dra. Aleksandra Kahanowicza.)

Tell the northern madman Poland must be free;
A Coeur de Lion to his inmost soul
Is each true Pole — and all the world shall see
That every freeman is at heart a Pole.

AN EXILE FROM POLAND

(Poemat napisany przez Ringgolda McCay, wydany w Nowym Jorku w r. 1877. W przedmowie autor przedstawia genezę poematu. Opowiada, że w swej rodzinnej mieścinie w Georgia zapamiętał z młodych lat postać cudzoziemca, miłej powierzchowności i doskonałego muzyka, który osiadł w miasteczku, aby w niem szukać ciszy i zapomnienia. Cudzoziemiec i autor, wówczas 10-letni chłopiec, zaprzyjaźnili się wkrótce. Nieznajomy bawił go powieściami o swym kraju rodzinnym, wreszcie, czując w nim przyjazną duszę, opowiedział mu o swej przeszłości. Treść poematu stanowią tragiczne dzieje cudzoziemca, wygnańca polskiego, potomka wybitnego rodu. Bohater poematu zabił ojca, zdrajcę ojczyzny, w walce o ocalenie przed jego zemstą żony, zaślubionej potajemnie. Poniższy wyjątek przedstawia pierwsze spotkanie Polaka z autorem:)

His soul-lit eyes, his head's fine pose,
That kept its hauteur 'mid its woes,
His smooth white brow, his wealth of hair,
Combined to make a picture rare.
Beside me lay a history brief
Of Kosciuszko — Poland's chief:
As on the title fell his eye,
He took the volume, with a sigh,
Saying that he too came away
From that fair land one luckless day.
This did my interest quick inspire,
And from that hour fast friends we were;
As days and weeks passed slowly by,
Still stronger grew this friendly tie.
His conversation had a charm
That chained my thoughts, dispelled alarm,
And let my boyish fancy on
Amid the wrecks of ages gone.
He was versed in all his country's lore,
And from his lips I learned far more
Than Poland's history revealed
Of camp and court and tented field.

With history and with legend too
His mind was stored, and to my view
He spread in panoramic show
Transporting scenes of long ago!
At twilight in the Autumn weather
We often sat for hours together
And he would tell me of his home,
Its lovely grounds, its halls, its dome;
And how, when he was but a child,
Proud warriors stern, and maidens mild,
Would meet within his father's gate
And talk of Poland's hapless fate;
And tell how once her flag unfurled
In splendor to the admiring world,
Where now the Austrian's banner waves
Above her noble warriors' graves!

POLAND'S DIRGE

(Tłumaczenie znanego wiersza Wincentego Pola "Lecą liście z drzewa", dokonane przez Dra. Teodora Bakera. Z "Schirmer's Library of Musical Classics, vol. 249, Chopin's Polish Songs", Nowy Jork, 1897. Zawiera też niemieckie tłumaczenie. Druga angielska wersja tego wiersza, pióra Pawła Sobolewskiego znajduje się w jego "Poets and Poetry of Poland".)

By the storm they breasted
Ev'ry leaf is wrested.
Now a birdling only
In the tree sings lonely:
O native land! thy furrows
Native blood doth redden,
Woeful are thy sorrows,
By foes art thou downtrodden.
All thy towns are wasted,
Silent all thy waters,
From the foe detested
Fled thy helpless daughters.
Harvest — blades are gleaming,
But in battle-surges;
And thy harvest teeming
Sinks 'neath hostile charges.
How thy sons, o Warsaw,
Gather'd round thy banner,
Bidding fear defiance,
Choosing death, ay, death before dishonor!

Thou hast seen them bleeding,
Thou hast seen them dying,
Summer's glow unheeding,
Winter storms defying,
Fighting on and falling,
Till not one was left thee,
Till a yoke enthrolling
E'en of hope bereft thee!
Are they dead and sleeping,
Or beset by dangers,
Or forlornly weeping
In a land of strangers?
For the world betray'd them,
A by God forsaken,
Cruel Fate hath led them,
Cruel foes o'ertaken.
O, unhappy Poland! unhappy Poland!
O Poland! O Poland!
Might thy sons returning,
Once again possess thee,
Joy would banish mourning!
By their arms defended,
Freedom ne'er should perish,
All thy woes were ended,
Thou fair land we cherish!
Yet they ne'er shall hail thee,
Who from hence departed,
Only dirges tell thee
How thou art deserted.
Ay, and ages thrilling
Shall repeat their story,
Of those heroes telling
Who were Poland's glory!

XVII.

"Za Wolność Naszą i Waszą"

(O Pułk. Szulcu, Męczenniku Za Wolność Kanady)

Gdzież nie płynęła krew nasza? Gdzie nie ginęli nasi za wspólne ideały wolności? Zaprawdę, niemaż chyba kraju na globie ziemskm, nie uświęconego krwią polskich męczenników.

Żyli, pracowali, walczyli i oddawali życie za obce sprawy. Po iluż z nich zostały jedynie nieznane groby i zapomnienie!

Ot tu, opodal nas, jedna z takich zapomnianych mogił bohatera-Polaka, a któż o niej wie, kto o niej wspomni, kto nad nią łzę uroni, kto ją okrasi kwieciem?

Mogiła to Gustawa Szulca, Polaka-Amerykanina, który poświęcił się dla sprawy wolności Kanady. Dzieje jego tragiczne, to dzieje jednego z tych, którzy ongiś robili z Polski nazwiska "pacierz, co płacze, i piorun, co błyska".

* * *

Niedołężny król francuski, Ludwik XV, zrzekł się praw do Kanady na rzecz Anglji traktatem z r. 1763. Była to wówczas kolonja czysto francuska. Rząd angielski próbował ją zrazu forsownie angliczyć, ale okoliczności zmusiły go do umiarkowanej polityki. Tak zwany Quebec Act z r. 1774 zapewnił Francuzom swobody językowe i religijne.

Wnet potem rewolucja amerykańska wypędziła ze Stanów Zjednoczonych tysiące torysów, lojalnych dla Anglji, którzy, szukając nowych siedzib pod flagą brytyjską, zaczęli osiadać w Kanadzie, w dzikich dotychczas puszczach na zachód od rzeki Ottawa. Byli to tak zwani United Empire Loyalists, którzy z czasem utworzyli arystokrację prowincji. Po nich rząd angielski osiedlił tu wielu swych weteranów wojen napoleońskich. Emigracja ekonomiczna ze Stanów Zjednoczonych ściągnęła też liczne zastępy angielskich osadników. W ten sposób w Kanadzie powstały obok siebie dwa skupienia osadnicze, odmienne nietylko narodowością, ale i religją. Na skutek żądań angielskich osadników, przywykłych w Stanach Zjednoczonych do samorządu, parlament angielski w r. 1791 podzielił Kanadę na dwie prowincje — Dolną, francuską, dzisiejsze Quebec, i Górną, angielską, dzisiejsze Ontario. Obie prowincje otrzymały pierwsze instytucje samorządowe. Konstytucja jednak prowincjonalna, choć pozornie liberalna, w rzeczywistości nie dawała żadnych swobód. Błędy jej ciężko odbiły się wkrótce na losach kolonji.

Akt z r. 1791 nadawał wprawdzie mieszkańcom obu Kanad zgromadzenia ustawodawcze, wybierane na szerokich zasadach, ale — z drugiej strony, uzależniał całe ustawodawstwo i cały kierunek spraw prowincyj od woli gubernatora. Zależny tylko od rządu angielskiego, odległego o tysiące mil, mógł gubernator kontrolować w zupełności działalność zgromadzenia przez jego izbę wyższą, mianowaną przez siebie i zależną tylko od siebie.

W rzeczywistości był to despotyzm, ubrany w pozory demokratyzmu. Zrazu nowy ustrój zadowalniał mieszkańców. Ale z czasem w obu Kanadach błędy jego zaczęły wydawać plon.

W Dolnej Kanadzie wyrosła klika urzędnicza, złożona z Anglików, chciwa własnego zysku, pełna nienawiści ku Francuzom. Klika ta zmonopolizowała dla siebie wszystkie urzędy. Między większością francuską a mniejszością angielską powstała przepaść i ciągła a coraz ostrzejsza walka o supremację. Wzajemna nienawiść była tak wielka, że wszelkie stosunki towarzyskie między Francuzami a Anglikami w Dolnej Kanadzie były niemożliwe. W ulicach dzieci obu narodowości toczyły ze sobą bójki. "Dwa narody walczyły ze sobą w łonie jednego państwa", określił krótko i trafnie sytuację lord Durham, wysłany z Anglji dla zbadania jej w roku 1838.

Nie lepiej działo się i w Górnej Kanadzie. Zapanował tam despotycznie możnowładczy "związek familijny" — Family Compact — rekrutujący się przeważnie z owych arystokratycznych United Empire Loyalists. "Familja" była zmorą prowincji. Zagarnęła ona w swe ręce kontrolę nad całem życiem publicznem. "Sądy, urzędy, wyższe stanowiska w rządowym kościele i wielka część zawodu prawniczego są zapełnione zwolennikami tego ruchu" — raportował lord Durham w r. 1839 o stosunkach w Górnej Kanadzie. "Przez nadanie i kupno pozyskali oni prawie wszystkie grunta prowincji, leżące odłogiem; są wszechwładni w bankach i aż do niedawna dzielili między sobą wszystkie urzędy wpływowe i intratne."

"Większość ludności w Górnej Kanadzie" — pisze J. C. Dent, historyk powstania kanadyjskiego (The Story of the Upper Canadian Rebellion, Toronto, 1885) — "musiała przez wiele lat poddawać się zdzierstwu mniejszości. Zmuszano ją do składania danin na utrzymanie kościoła anglikańskiego, z którego nauką nie sympatyzowała. Setki mieszkańców jęczały pod nadużyciami wydziału gruntowego. Wszelkie ważniejsze drogi do władzy i majątku były zamknięte dla większości. Kiedykolwiek było opróżnione jakie stanowisko zaszczytne lub zyskowne, zapełniano je z pomiędzy ciemięzców. Prowincja podlegała władzy wojskowych wicegubernatorów, którzy nie znali naszych miejscowych urządzeń, ani nie sympatyzowali z niemi, a byli tylko narzędziami w rękach rządzącej fakcji. Czysto wewnętrzne sprawy kolonji podlegały często interwencji ministra kolonji, odległego o tysiące mil, i zwykle posłusznego sługi wicegubernatora, który nawzajem spełniał rozkazy 'familji'. Prawo głosowania nie dawało dostatecznego zabezpieczenia przeciw tym nadużyciom, gdyż zwycięstwo w wyborach nie miało żadnego znaczenia. Urzędnicy wykonawczy nie byli odpowiedzialni przed opinją publiczną i mogli pozostawać na urzędach wbrew przeważnej większości przeciwnych głosów w zgromadzeniu."

Nieudolność wicegubernatorów niejednokrotnie przyczyniała się do pogorszenia tych opłakanych stosunków, które musiały wywoływać coraz silniejsze niezadowolenie. W obu prowincjach po-

wstały stronnictwa reformy. W Dolnej Kanadzie skupiło się ono z czasem około osoby Ludwika Józefa Papineau, w Górnej zaś na jego czoło wysunął się William Lyons Mackenzie.

Zwiększająca się samowola klik rządzących doprowadziła do kryzysu w r. 1837 i natchnęła skrajniejszych zwolenników reformy myślą zbrojnego powstania. Niechybnie zrodziła się ona pod wpływem niedawnego powstania w Grecji i jeszcze świeższego powstania listopadowego w Polsce. Górno-Kanadyjczycy zapragnęli niepodległości na wzór Stanów Zjednoczonych. Francuzi kanadyjscy postanowili zrzucić jarzmo angielskie i stworzyć z Dolnej Kanady francuskie dominium.

Przywódcy obu stronnictw patrjotycznych nie dorośli jednak do wysokości zadania. Tak Papineau, jak i Mackenzie byli doskonałymi mówcami, umieli oddziaływać na masy i z pewnością mieli szlachetne zamiary, ale ani jeden, ani drugi nie miał w sobie cnót męża stanu i wodza, które muszą się jednoczyć w kierownikach powstania. Dotyczy to szczególnie porywczego Mackenzie. Ani jeden, ani drugi nie potrafili nawet przygotować należycie powstania, choć porozumieli się co do równoczesnego uderzenia na ciemiężców. Spokojniejsi reformatorzy zaraz z początku odsunęli się od ruchu zbrojnego. Regularne wojska angielskie i milicja rozpędziły nielicznych powstańców w kilku potyczkach. Zaraz po pierwszych klęskach obaj przywódcy uciekli czemprędzej z Kanady. Mackenzie schronił się do Stanów Zjednoczonych, Papineau nie oparł się aż we Francji.

Ruch rewolucyjny w Kanadach tlał jeszcze przez jakiś czas. Nie obeszło się przytem bez ostrych represyj ze strony zwycięskich rządów. W obu prowincjach zaczęły pracować szubienice i zapełniły się więzienia.

Mackenzie, witany w Stanach Zjednoczonych jako bohater walki o wolność, zaczął agitować za zorganizowaniem akcji zbrojnej ze Stanów dla wspomożenia ruchu patrjotów kanadyjskich. — Przesadnie zapewniał on, że byle zbrojny oddział zdoła porwać masy Kanadyjczyków do rewolucji i przechylić szalę zwycięstwa na słuszną stronę. Amerykanie ówcześni silnie nienawidzili Anglję. Wychowani w tradycjach wojny rewolucyjnej, w żywej jeszcze pamięci mieli wojnę z r. 1812. Młody naród amerykański, upojony własną wolnością, odczuwał żywo wszelkie ruchy wolnościowe w świecie. Powstanie greckie wywołało w nim najsilniejsze współczucie. Powstanie listopadowe wyciskało ognie zapału i łzy żalu z ócz młodzieży amerykańskiej. Oto teraz dwie sąsiednie prowincje angielskie chwyciły za broń, aby wydrzeć swobodę z rąk tego samego ciemiężcy, który ongiś dusił trzynaście kolonij. Nic więc dziwnego, że wieści o powstaniu w Kanadzie wywołały entuzjazm i sympatję w całych Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza na pograniczu.

"W Middleburg, Burlington, w St. Albans, Buffalo, Albany, Troy, Rochester i prawie wszystkich miastach i miasteczkach w

stanach, graniczących z Kanadami" — opowiada jeden ze świadków tych wypadków (E. A. Theller) — "odbywały się wiece, na których uchwalano rezolucje, wyrażające jak najgorętsze sympatje i poparcie dla sprawy patrjotów. W miejscowościach, bliższych granicy, żadne względy na politykę państwową lub konieczność tajemnicy nie mogły zapobiedz czynnej pomocy dla powstańców. — Gromadzono pieniądze, żywność, amunicję i odzież. Organizowano oddziały ochotnicze i wyznaczano komitety do rozdziału tych zapasów."

Zdarzyło się tymczasem, że milicjanci kanadyjscy, przedostawszy się na południowy brzeg rzeki Niagara, koło Buffalo, spalili amerykański parowiec "Caroline". Był to otwarty gwałt, który omal nie wywołał wojny. Sprawił on, w każdym razie, jeszcze większe podniecenie umysłów w Stanach Zjednoczonych. Prezydent Van Buren próbował wpływać uspokajająco proklamacjami i przy pomocy wojska wstrzymywać zapędy gorętszych przyjaciół wolności kanadyjskiej. Stan umysłów był taki, że zarządzenia Van Burena pozbawiły go wszelkiej popularności w kraju.

Ruch pro-kanadyjski przybierał szybko coraz większe rozmiary. Wzdłuż całej granicy od Vermont po Michigan i w innych częściach kraju powstały setki "Lóż Strzeleckich", tajnej organizacji, o tajemniczym rytuale i stopniach, wzorowanej na lożach wolnomularskich. Celem jej było "wyzwolenie brytyjskich kolonji z brytyjskiej niewoli". Główna siedziba lóż znajdowała się w Cleveland. W czasach największego rozkwitu liczyły przeszło 15,000 członków. Należeli do nich najpoważniejsi obywatele amerykańscy, sędziowie, urzędnicy miejscy, stanowi i federalni, nawet duchowni i wiele porywczej młodzieży.

Dzięki tym "lożom" przez cały rok 1838 na pograniczu kanadyjsko-amerykańskiem trwała wojna podjazdowa. Oddziały ochotników amerykańskich raz po raz w różnych punktach wpadały do Kanady w nadziei podsycenia tlejącego powstania. Jednakowoż i ten ruch był dorywczy. Brakło mu spoistości i kierownictwa. Wojska angielskie łatwo rozpraszały napastników, karząc surowo ujętych.

Dni 16-go września 1838 odbył się w Cleveland zjazd wygnańców kanadyjskich i przywódców "lóż". Powzięto na nim szereg uchwał, które miały zaradzić bezplanowym metodom dotychczasowej walki i zamienić wojnę podjazdową w wielki najazd Kanady. Ułożono nawet konstytucję dla projektowanej republiki kanadyjskiej i plan "Republikańskiego Banku Kanady" z miljonowym kapitałem na sfinansowanie wojny. Wybrani zostali wodzowie zamierzonej wyprawy.

Wszystkie te wypadki nie mogły ujść uwagi wychodźców polskich, jacy wówczas zamieszkiwali Stany Zjednoczone. W czyich sercach wysiłki patrjotów kanadyjskich mogły znaleźć serdeczniejszy oddźwięk, jeżeli nie w sercach Polaków, pozbawionych własnej ojczyzny i świeżo zgnębionych przemocą rosyjskiego tyrana? Por-

wać za oręż i spieszyć walczącym na pomoc, mogło w sumieniach ich być jedyną odpowiedzią, godną imienia Polaka.

Historja "Lóż Strzeleckich" nie jest dotychczas znaną szczegółowo. Niewiadomo więc dokładnie, jaki udział wzięli Polacy w ich krótkotrwałem życiu. Wiadomo tylko, że byli także ich członkami.

Ruch ten sięgnął nawet poza Atlantyk i wzbudził w emigracji polskiej w Anglji i Francji podobne uczucia. I tam znalazła się garść ochotników polskich, choć nigdzie nie brakło przeciwników ruchu, którzy wylewali kubły zimnej rozwagi na zapaleńców. Zwyczajem emigracji popowstaniowej z r. 1831, odrazu ci ostrożni okrzyknęli, że werbunek do ochotniczych szeregów kanadyjskich prowadzą szpiegowie carscy.

Bardzo charakterystyczny w tej mierze jest głos "Kroniki Emigracji Polskiej", wydawanej w Paryżu (z marca 1839). "Niedawno powstawaliśmy z oburzeniem" — pisała — "na zamiary niektórych ziomków w Anglji zaciągania się pod sztandary kanadyjskich powstańców. Rozumieliśmy, że dość było wytknąć niepolityczność tej myśli i jej powinowactwo z zamiarami Moskwy, żeby ją na zawsze w niektórych miałkich głowach wytępić. Dochodzą nas, niestety, wieści, że tak zgubne projekty nie ustają, pomimo, że naczelnik powstania Kanady, p. Papineau, schronił się już do Francji. Pan Strangways, sekretarz wydziału spraw zagranicznych, przywołał niedawno do siebie ziomka naszego S. chcąc dowiedzieć się od niego o prawdzie. Na jego zapewnienie, że żaden z rozsądnych Polaków w tak zgubnych dla Polski a nawet bezowocnych dla Kanady zamiarach udziału brać nie myśli, zacytował mu p. Strangways nazwiska: Kczewskiego i Golejewskiego. Okazało się, że są to ludzie wykreśleni z listy płacy przez Tow. Literackie Polskie za złe sprawowanie się. Ta ostatnia okoliczność będzie jeszcze jedną przestrogą dla emigracji."

Odnośnie do "złego sprawowania się" owych Kczewskiego i Golejewskiego, organizatorów polskiego ruchu zbrojnego na rzecz Kanady w Europie, należy ubocznie wspomnieć, iż sądy emigracji polskiej z r. 1831 można przyjmować tylko z ogromną ostrożnością. Wzajemne szkalowanie nawet najzasłużeńszych było wśród niej na porządku dziennym.

Polacy w Stanach Zjednoczonych, którzy ulegali wówczas wpływom emigracji we Francji, byli też rozdwojeni w poglądach na powstanie kanadyjskie, ale nie ulega wątpliwości, iż większość szczupłego wychodźtwa stała po stronie powstańców, zwłaszcza, że podniecał ją do tego nastrój społeczeństwa amerykańskiego.

Jednym z najgorętszych zwolenników wolności kanadyjskiej stał się Gustaw Szulc, 31-letni oficer armji polskiej z r. 1831, żyjący na tułactwie w Nowym Jorku. Na jakiej podstawie J. C. Dent w "The Story of the Upper Canadian Rebellion" nazywa go "Niles Gustaf Schobtewiski von Schoultz" — niewiadomo. To pewna, że Szulc nie mógł mieć imienia Niles, a pełne nazwisko jego mogło

brzmieć Skoblewski-Szulc lub Szablewski-Szulc lub tym podobnie. Historycy powstania kanadyjskiego piszą go zwykle krótko "Von Schultz" z kilkoma odmianami pisowni. L. Gadon w "Emigracji Polskiej" (Kraków, 1901) wylicza kilku polskich żołnierzy-emigrantów Szulców we Francji, czy amerykańskim Szulcem był który z nich, trudno poznać.

Szulc odbył jak najchwalebniejszą służbę dla ojczyzny w powstaniu listopadowem. Donald M'Leod, Szkot kanadyjski, generał-major "patrjotycznej armji Górnej Kanady", który znał go osobiście, podaje w swych wspomnieniach (A Brief Review of the Settlement of the Upper Canada, Cleveland, 1841), że Szulc walczył pod generałem Umińskim i odznaczył się w bitwach pod Jabłonną i Wawrem. Za bohaterstwo w tej ostatniej bitwie, kiedy to podobno cały pułk rosyjski zabrał do niewoli, gen. Skrzynecki miał zamianować go pułkownikiem. Trudno stwierdzić dokładność informacyj M'Leoda, ale zachowanie się Szulca w powstaniu kanadyjskiem dostatecznie odsłania, że była to natura, stworzona na miarę bohatera. M'Leod zapewnia, że posiadał duży zasób wiedzy wojskowej, posiadał ujmujący charakter i "był ceniony przez wszystkich, którzy go znali."

Czas osiedlenia się Szulca w Ameryce jest nieznany. Przybył tu zapewne niedługo po upadku powstania, gdyż pamiętnikarze powstania wspominają, iż kiedy oddawał się sprawie Kanady, był wcale zasobnym człowiekiem. Może to być świadectwem jego pracowitości i obrotności, a w każdym razie dowodzi, że musiały w tym człowieku przeważać szlachetne popędy, skoro dla obcej sprawy gotów był wyrzec się wygodnego i bezpiecznego bytu. I nietylko bytu. Szulc właśnie w tym czasie zamierzał wstąpić w związek małżeński. Narzeczoną jego była młoda i piękna Amerykanka z Salina, N. Y.

"Von Schultz, Polak, który ongiś stał w zbrojnych szeregach swych rodaków, walczył za wolność swej ojczyzny i był świadkiem jej śmiertelnych agonji w nieszczęsnej Warszawie — jej stolicy i niegdyś szczęśliwem gnieździe rodzinnem swych przodków — schronił się do naszej ziemi wolności, naszego przytułku dla uciśnionych i wygnanych" — pisze o Szulcu entuzjastycznie inny jego przyjaciel, E. A. Theller, Irlandczyk kanadyjski, który był generałem brygady w ochotniczej armji kanadyjskiej (Canada in 1837-1838, Filadelfja, 1841). "Znalazł tu wszystko, o czem jego gorąca i zapalna wyobraźnia mogła marzyć; mając majątek na swe usługi i ciesząc się błogosławieństwami społecznemi, zgodnemi ze swemi pojęciami, mógł żyć swobodnie i znowu być szczęśliwym. Zbyt prędko dzieje krzywd kanadyjskich znalazły oddźwięk w jego współczującej piersi i znowu przed oczyma stanęła mu Polska, wijąca się pod stopą ciemięzcy. Żył teraz na ziemi swobody, która stała się nową jego ojczyzną. Widział jak na sąsiedniem wybrzeżu bezdomni i uciemiężeni błądzą, odarci, podobnie jak on, ze swych przyrodzonych praw i upadający pod ciężarem smutku, prześlado-

wań, głodu i biedy. Ich jęk boleści rozpalił jego pierś. Pośpieszył więc im na pomoc. Odszukawszy kryjówki patrjotów, ofiarował im swe usługi i swój majątek. Jego szlachetne zachowanie się, męska postawa, bystrość umysłu i wymowa zapewniły mu wdzięczne przyjęcie."

Szulc zgłosił się nie tylko sam. Zdaje się, że założył polską "Lożę Strzelecką" w Nowym Jorku. M'Leod opowiada, że zaraz po zjeździe w Cleveland zaofiarował swe służby generałowi Bierce, naczelnemu dowódcy strzelców, "razem z oddziałem wygnańców polskich." Bierce przyjął chętnie propozycję i nadesłał Szulcowi polecenie, aby przyłączył się do "zachodniej dywizji", mianując go równocześnie pułkownikiem "patrjotycznej armji Górnej Kanady".

"Po otrzymaniu tego listu" — opowiada dalej M'Leod—"dzielny Polak zebrał swych ochotników i wyruszył z nimi, aby połączyć się z generałem Bierce."

Szulc "przywdział rynsztunek i usłuchał rozkazu wodzów" — mówi E. A. Theller. "Razem z nim poszli jego wybrani podwładni, ci, którzy znali go i kochali."

Powyższe świadectwa towarzyszów broni Szulca dowodzą udziału innych Polaków w zamierzonej wyprawie. Jak wspomniałem, dokładniejsze skreślenie ich uczestnictwa jest niemożliwe z braku dokumentów "Lóż Strzeleckich".

Była to jesień 1838-go roku. Wygnańcy kanadyjscy i "strzelcy" krzątali się żywo nad wykonaniem planów wkroczenia do Kanady z liczną armją i podniecenia upadającego powstania. "Z początku listopada", opowiada Dent, "powstańcy zaczęli zbierać swe siły w znacznej liczbie w Oswego, Sackett's Harbor, French Creek, Ogdensburg i innych miejscowościach wzdłuż rzeki św. Wawrzyńca. W Syracuse, Watertown i innych miastach, dalej od rzeki położonych, również panowała ożywiona działalność wśród przyjaciół sprawy kanadyjskiej i posłańcy ciągle przebiegali między tymi punktami a granicą. Było jasnem, że knuje się jakiś ruch przeciw Kanadzie i władze prowincjonalne zostały ostrzeżone na czas."

Na rzecz wyprawy zebrano znaczne sumy pieniędzy i zakupiono kilka tysięcy karabinów razem z odpowiednią ilością amunicji i zapasów. Wynajęta została znaczna liczba parowców, które miały przewieźć nieprzyjacielską siłę na terytorjum Kanady.

Jednakowoż z wielkiej chmury zrobił się mały deszcz. Gdy nadeszła chwila wyruszenia w pole, zamiast spodziewanych tysięcy, tylko setki ochotników ze Stanów Zjednoczonych stanęły w szeregach. Drobne te oddziały uderzyły tu i ówdzie i zostały z łatwością pokonane. Podobnie zawiodły obietnice Mackenziego co do ludności kanadyjskiej. Nielicznie tylko łączyła się ona z wyprawami amerykańskiemi, które zresztą ani liczbą, ani organizacją, ani doborem dowódców nie mogły rokować przedsięwzięciu powodzenia.

Szulca i jego oddział nie odstraszyły niepowodzenia i chwiejność drugich. W drodze na pole walki w Górnej Kanadzie, zetknął

się on z oddziałem niejakiego Birge'a z Cazenovia, N. Y., który jako generał i dowódca "wschodniej dywizji", zażądał od Szulca, aby ze swymi ludźmi przyłączył się do uplanowanej przez siebie wyprawy na Prescott, miasteczka nad rzeką św. Wawrzyńca, leżącego naprzeciw Ogdensburga, N. Y. Birge przypuszczał, że z małą swą armją zdoła zająć pobliski Fort Wellington, obsadzony tylko słabą załogą i z fortu tego opanować Górną Kanadę. Plan był dobry i Szulc zgodził się towarzyszyć Birge'owi. Przyłączyli się do wyprawy i inni dowódcy ze swymi oddziałami.

W niedzielę rano, dnia 11-go listopada, część wyprawy Birge'a wsiadła w Oswego, N. Y., na pasażerski parowiec "United States", kursujący między Oswego a portami nad rzeką św. Wawrzyńca. Powstańcy byli przebrani za podróżnych, a broń i amunicję wieźli ukryte w skrzyniach i beczkach, aby nie wzbudzać podejrzenia władz amerykańskich. W drodze jeden z rzekomych podróżnych ugodził się z kapitanem statku, że weźmie na liny dwa żaglowce z pobliskiego portu, naładowane towarami, przeznaczonym do Ogdensburga. Gdy wszystkie trzy statki znalazły się znowu na rzece wnet z pod pokładów pojawili się zbrojni powstańcy. Ładunkiem żaglowców byli bowiem ukryci ochotnicy wraz z zapasami wojennymi. Jednym żaglowcem dowodził Szulc, drugim niejaki Johnson, czy Johnston, partyzant kanadyjski.

Ochotnikom nie trudno było zmusić kapitana do uległości swym rozkazom. Nastąpiła rada wojenna dowódców, podczas której Szulc przedstawił plan działania, chwalony przez wszystkich historyków powstania. Radził on, aby całą ekspedycję skierować prosto do celu wyprawy, do Prescott, i natychmiast po przybiciu do brzegu, wysadzić wszystkich na ląd; potem, pozostawiwszy dostateczną straż przy statkach, podzielić resztę na trzy oddziały; jeden z nich miał obejść miasto od północy; drugi od południa. Sam Szulc wybrał sobie najtrudniejsze zadanie, gdyż chciał ze swym oddziałem przemaszerować przez środek miasta. Wszystkie trzy oddziały miały połączyć się między Prescott a Fortem Wellington i uderzyć wspólnie na słabo obsadzony fort, który Szulc spodziewał się zdobyć bez większego wysiłku. Statki, zbrojne w działa, miały tymczasem pozostać w porcie Prescott dla ochrony tyłu armji i zabezpieczenia jej komunikacji z amerykańskim brzegiem.

Plan Szulca był możliwie najlepszym. W razie pomyślnego wykonania zapewniał wyprawie opanowanie miasta, fortu i rzeki i stworzenie silnej podstawy operacyjnej. Przewaga liczebna i nieprzygotowanie załogi w Forcie Wellington przechylały szanse zwycięstwa na stronę wyprawy. W razie zaś niepowodzenia, plan zapewniał drobnej armji odwrót do Stanów Zjednoczonych.

Ch. Lindsay w życiorysie Williama L. Mackenziego (Toronto, 1908) ubolewa, że "główni oficerowie wyprawy sprzeciwiali się planom Szulca, choć przewyższał ich wszystkich zdolnościami i odwagą". McLeod podaje, że "znakomitym" jego planom sprzeciwiał

się głównie gen. Birge, który chciał przed przybiciem do brzegu kanadyjskiego zawinąć wprzód z parowcem do Ogdensburga, rzekomo aby zabrać zgromadzonych tam ochotników.

Nadarmo Szulc przedstawiał, że zatrzymanie się ekspedycji na amerykańskim brzegu wywoła zwłokę i zagrozi powodzeniu napadu; że zwróci uwagę władz Stanów Zjednoczonych i zmusi je do interwencji, a przedewszystkiem, że wywoła dezercję wśród świeżego i niewypróbowanego ochotnika.

Większość rady poszła za zdaniem Birge'a. Szulc musiał uledz przeważającemu zdaniu.

O północy żaglowce zostały odczepione od parowca i skierowały się prosto na Prescott, parowiec zaś podążył do Ogdensburga, dokąd zawinął w poniedziałek rano, 12-go listopada.

Stało się wówczas to, przed czem Szulc ostrzegał. Tchórzostwo obleciało drobną armję i rozbiło ją. Generał Jan Ward Birge, naczelny wódz wyprawy, ogłosił się nagle chorym i usunął się zupełnie od wszelkich działań. "Choroba" wodza udzieliła się odrazu innym oficerom i żołnierzom.

"Historja" — pisze gen. E. A. Theller — "zapisała niewiele przykładów takiego niezdecydowania się, tchórzostwa i wiarołomstwa, jakie należy zapisać ku hańbie przynajmniej dwuch osobników, wyższych rangą od umęczonego Szulca. Jeden z nich nazywał się J. Ward Birge, drugi pułk. Eustus. Pierwszy miał dowodzić wyprawą, drugi był jego zastępcą w dowództwie. Obaj wyglądali na dzielnych i dobrych oficerów, póki nie wysadzili Szulca i jego ludzi w kraju nieprzyjacielskim, obiecując, że wrócą ze statkami i przewiozą na to samo miejsce pozostałą siłę, dwie trzecie liczby tych, którzy zgłosili się do walki. W drodze do Ogdensburga, Birge, znajdujący się na pokładzie "United States", zachorował lub też udał chorobę; jaką wymówkę miał drugi, niewiadomo; przy lądowaniu obaj tak się ukryli, że ochotnicy nie wiedzieli gdzie są i odmówili udania się na drugi brzeg rzeki bez dowódcy. Żołnierze stracili ducha i postanowili zaniechać przedsięwzięcia, aż znajdą się jacy lepsi i godniejsi zaufania oficerowie, którzyby ich poprowadzili naprzód."

Na dobitek nieszczęścia, Johnson najechał swym żaglowcem na mieliznę już blisko Prescott. Lindsey, zięć W. L. Mackenziego, który mógł mieć dobre wiadomości o całej tej nieszczęsnej ekspedycji, podnosi w bjografji teścia zarzut, że Johnson, również straciwszy ducha, umyślnie unieruchomił swój statek. Oddział jego rozbiegł się podobnie jak Birge'a.

Stało się tak, że do Prescott dobił tylko sam Szulc na swym żaglowcu "Charlotte of Toronto", razem z garścią swoich ochotników. Nie wiedząc jeszcze nic o zdradzie dowódców i rozsypce głównego oddziału, całą uwagę skierował na zadanie wysadzenia swych ludzi na ląd. Widząc, że wybrzeże w Prescott jest obsadzone zbrojnymi lojalistami, zawiadomionymi o gotującym się napadzie, odbił ponownie na rzekę, aby poszukać dogodniejszego miej-

sca do lądowania i rozpoczęcia działań zaczepnych. O milę i pół w dół rzeki znalazł doskonałą pozycję. Niedaleko od brzegu a tuż przy głównej drodze ze wschodu na zachód stał opuszczony wiatrak z kilkoma domami. Wiatrak był potężną budowlą kamienną, o murach grubych na kilka stóp. Domy były też silne i z kamienia. Budynki były jakby przygodną fortecą, z której zbrojny oddział mógł panować nad rzeką, drogą i szeroką okolicą. Był to tak zwany Windmill Point.

W ciągu poniedziałku co odważniejsi z rozprószonych oddziałów Birge'a i Johnsona przeprawili się przez rzekę i przyłączyli się do garści straceńców, przywożąc zarazem wieści o zdradzie dowódców i rozsypce towarzyszy. Ale Szulc nie dał się tem zachwiać w postanowieniu walki za sprawę, która była mu świętą.

Siły jego nie przenosiły 170 głów. Wśród szczupłego oddziału byli zapewne Polacy, których ożywiał ten sam zapał dla ideałów wolności, co i młodego dowódcę. Przeważała zresztą w tej garstce młodzież amerykańska, nie brak było i kilkunastoletnich wyrostków.

Nie tracąc czasu, Szulc zajął wiatrak i sąsiednie budynki i zaraz zaczął wzmacniać swe stanowisko przez szańce. Mimo pierwszych zawodów, młody wódz był dobrej myśli. Spodziewał się, że wylądowanie jego oddziału stanie się hasłem powstania dla okolicznych mieszkańców. Tak zapewniali go zbiegli patrjoci kanadyjscy; w tem przekonaniu działały loże strzeckie; tak zresztą zapewniało Szulca jego własne przekonanie. Bohater polski, przejąwszy się optymizmem emigracji polskiej po r. 1831 w udział ludu polskiego w nowem powstaniu, nie wątpił, że byle zjawi się wśród uciemiężonych Kanadyjczyków ze zbrojnym oddziałem, a chwycą gromadnie za broń.

Wedle poprzedniego porozumienia między miejscowymi przywódcami a kierownikami wyprawy, zajęcie fortu Wellington i wywieszenie na nim trójkolorowej flagi republiki kanadyjskiej miało być sygnałem dla okolicznych ochotników, aby zbierali się i spieszyli do fortu, gdzie miała być gotowa broń dla nich. Szulc ze swą drobną siłą nie mógł ważyć się sam na atak na fort, czekał więc, umacniając się przy wiatraku. Rozsypka strzelców pokrzyżowała plany i utrudniła porozumienie. W najlepszym nawet razie, pomoc ze strony Kanadyjczyków mogła być tylko nieznaczna, gdyż powstanie nigdzie nie było należycie przygotowane.

Upływały więc Szulcowi godziny, a miejscowych powstańców darmo wyglądał. Część ochotników, pozostałych w Ogdensburgu, zdołali wprawdzie po wielu zabiegach ściągnąć żaglowiec Johnsona na głęboką wodę i przywlec w pobliże Windmill Point, ale na tem skończyła się ich pomoc dla Szulca. Na rzece pojawił się angielski uzbrojony parowiec "Experiment", który zaczął ostrzeliwać statki wyprawy, nie wyrządzając jednak zbyt wielkich szkód. Pierwsze strzały w tragicznej walce już padły.

Pierwsza noc na ziemi kanadyjskiej przeszła gromadce na niespokojnem wyczekiwaniu jutra. Nie przyniosło ono nic pomyślnego. We wtorek rano pułkownik armji amerykańskiej, Worth, wysłany przez władze Stanów Zjednoczonych dla dopilnowania neutralności amerykańskiej, przeprawił się z żołnierzami z Ogdensburga ku drugiemu brzegowi rzeki św. Wawrzyńca i zajął wszystkie statki wyprawy, a wraz z niemi wszystkie niemal zapasy, w tem pięć armat, kilkaset karabinów i strzelb, amunicję, mąkę, mięso i inne wiktuały. Szulc znalazł się w ten sposób nie tylko odcięty od odwrotu, ale i bez potrzebnych zapasów, prócz tych, które zdołał wyładować na brzeg.

"Kiedy w poniedziałek w nocy generał (Birge) nie zjawił się, ani nie przysłał nam żadnych posiłków" — opowiada sam Szulc w liście pisanym przed śmiercią, 1-go grudnia 1838, do swego przyjaciela, J. R. Parkera z Oswego, N. Y. — "i kiedy nikt z mieszkańców, ani regularnych żołnierzy nie przyłączył się do nas, ludzie nasi, w liczbie około 170, prosili mnie, abym objął dowództwo i przeprowadził ich z powrotem do Stanów Zjednoczonych. Nie mieliśmy wówczas ani jednej łodzi do użytku a angielski parowiec 'Experiment' czuwał pilnie na rzece. Wybrałem silne stanowisko, które umożliwiłoby nam obronę przez jakiś czas przeciw przeważającej sile nieprzyjaciela, a byłem pewny, że tymczasem z amerykańskiego brzegu zostaną wysłane łodzie nam na pomoc."

Zawiódł się jednak dotkliwie. Gen. Birge jakby zupełnie zapomniał o Szulcu i jego oddziale. Nie uczynił nic, aby wzmocnić go lub, póki był jeszcze czas, pomódz mu do wydobycia się z matni, w którą go sam zapędził.

Ale upadek ducha wobec niebezpieczeństwa nie leżał w naturze Polaka. Przyparty zewsząd do muru, postanowił zginąć z honorem. Niemal równocześnie z wojskiem amerykańskiem koło Windmill Point pojawiła się angielska flotyla, która zaczęła ostrzeliwać wiatrak. Kule z armat drobnego kalibru odskakiwały jednak od silnych murów budowli. Szulc odpowiadał okrętom wytrwale ze swoich polowych dział. Po jakimś czasie od strony lądu nadciągnęła milicja kanadyjska i regularne wojsko, aby uderzyć na szczupłą garstkę. O spotkaniu, jakie nastąpiło, opowiada M'Leod:

"Szulc ruszył naprzód i zakrzyknął na swych ludzi, aby szli za nim. Wszyscy ochotnie usłuchali rozkazu. Anglicy tymczasem obszedłszy dokoła przez las, rozbiegli się w tyraljerce na zoranem polu, gdzie zajęli pozycje i zaczęli strzelać. Patrjoci odpowiadali im z zabójczym skutkiem. Anglicy próbowali kilkakrotnie atakować, ale za każdym razem zostali odparci. Usiłowali oni schronić się za budynki, ale wyparto ich stamtąd z wielkiemi stratami. W końcu zajęli stojącą w pobliżu stodołę, ale oddział patrjotów uderzył na nich pomimo ognia, podpalił stodołę i zmusił ich do odwrotu. Po trzech kwadransach zażartej walki, Anglicy cofnęli się, zostawiając patrjotów panami pobojowiska."

Cała bitwa wtorkowa, wedle relacji Szulca trwała od godz. 7-ej rano do 3-ej po południu. Owe trzy kwadranse dotyczą widocznie tylko ataku wojsk lądowych.

"Z początku bitwy wtorkowej" — pisze dalej M'Leod — "Anglicy, wedle własnych urzędowych sprawozdań, mieli 500 regularnych żołnierzy i milicję. Siły patrjotów wynosiły zaledwo 160 ludzi, zdolnych do broni. Straty Anglików wynosiły w tym dniu, wedle zaprzysiężonych zeznań podczas sądu wojennego, który sądził jeńców — 182 zabitych, prócz rannych. Straty patrjotów wynosiły 7 zabitych i pewną liczbę rannych."

Cyfry te są niepewne. Każde niemal źródło podaje je inaczej. Prawdopodobnie jednak M'Leod przesadza liczbę poległych Anglików. J. C. Dent, bardzo nieprzychylnie usposobiony do patrjotów amerykańskich, usiłuje nawet przedstawić tę pierwszą bitwę jako porażkę Szulca, faktem jest jednak, niezaprzeczonym nawet przez niego, że straty wojsk angielskich były znaczniejsze niż Szulca i że Anglicy, mimo swej znacznej przewagi, cofnęli się z pola walki. Straty Szulca w zabitych i rannych były niewielkie — wedle jego rachuby, 30 zabitych i rannych, — natomiast dotkliwszą stratą dla szczupłej gromadki bojowników wolności było wzięcie 32 towarzyszy do niewoli przez Anglików.

Z Ogdensburga całej tej walce przypatrywały się tłumy mieszkańców i setki ochotników z rozbiegłych oddziałów Birge'a i Johnsona. Niektórzy z nich, zachęceni śmiałym oporem i powodzeniem partyzantów, próbowali jeszcze przepłynąć w łodziach na drugi brzeg, ale odpędziła ich angielska flotyla. Inni bezczynnie patrzeli z bezpiecznego miejsca na bitwę.

Pomimo pierwszego zwycięstwa, pułkownik Szulc nie łudził się co do ostatecznego wyniku nierównej walki. Niechcąc narażać swych ludzi na pewną a bezowocną śmierć, wysłał pod osłoną nocy posłańca na brzeg amerykański z prośbą o nadesłanie łodzi dla wycofania ekspedycji. Posłaniec przeprawił się szczęśliwie na belce, ale tchórzliwi wodzowie wyprawy znowu nie uczynili nic dla straceńców, oprócz obietnic.

Gdyby Szulc był podobnym tchórzem, mógłby jeszcze ratować się i uchodzić do Stanów Zjednoczonych. Ale myśl taka nie przeszła mu ani przez głowę. M'Leod opowiada, że gdy go w tę noc z wtorku na środę namawiano do ucieczki, odpowiedział:

— "Póki jesteśmy zdolni do boju, nie możemy naszych rannych zostawić na rzeź bez okrycia się hańbą".

Los rannych towarzyszów broni leżał mu, rzeczywiście, na sercu. W środę, 14-go listopada, korzystając z nieczynności Anglików, którzy tymczasem ściągali posiłki, polecił wynieść rannych na brzeg i z niepokojem oczekiwał na przybycie obiecanego statku z Ogdensburga. Żaden jednak nie zjawił się. Trzeba było odnieść rannych z powrotem do zabudowań koło wiatraka, gdzie leżeli bez opatrunku i bez pomocy lekarskiej.

Środa i część czwartku, 14-go i 15-go listopada, przeszły oblężonym dosyć spokojnie. Ale już w czwartek po południu Anglicy, poczuwszy się znowu na siłach, zaczęli ostro napierać na garstkę mężnych. Uporczywe walki trwały przez dłuższy czas. Szulc wychodził z nich obronną ręką, odpierając ataki przeważających sił.

W czwartek w nocy od strony amerykańskiej zbliżył się parowiec ku Windmill Point. Był to obiecany statek, który miał zabrać straceńców i przewieźć ich z powrotem do Stanów Zjednoczonych. W szeregi Szulca wstąpiła otucha. Przecież nie zapomniano o nich! Młody dowódca polecił przedewszystkiem wynieść rannych, aby ich pierwszych wsadzić na pokład. Ale Anglicy czuwali. Z ich strony padło kilka strzałów karabinowych na okręt. Odsiecz znowu stchórzyła i uciekła, pozostawiając Szulca na pastwę losu.

Nadszedł wreszcie piąty dzień wyprawy, piątek, 16-go listopada 1838. Do Prescott przymaszerowały liczne posiłki angielskie pod wodzą pułk. Dundasa — 4-ry kompanje 83-go pułku regularnej piechoty i wiele milicji, zrekrutowanej naprędce z lojalistów, dyszących nienawiścią ku Amerykanom. M'Leod podaje, że w dniu tym Anglicy mieli 5,000 żołnierzy. Sam Szulc obliczał ich siły przynajmniej na 2,000 ludzi. Ponadto Anglicy mieli sporo artylerji, w tem i ciężkie działa, oraz flotylę na rzece.

Przeciw tym siłom Szulc miał tylko 108 ludzi zdolnych do broni, ale uzbrojonych jedynie w ręczną broń. Kilka armatek, które zdołał wysadzić na ląd, były już bezużyteczne, gdyż amunicję wyczerpały poprzednie walki. Ponadto Anglicy byli wypoczęci i syci, oddział Szulca po tylu dniach walki i czuwania, głodu i chłodu, był bliski wyczerpania ze sił.

"Godzina Szulca nadeszła" — pisze E. A. Theller. "Ale szlachetna jego dusza nie szemrała na to. Nie narzekał nawet na swego wiarołomnego generała, ani na towarzyszy, którzy go opuścili. Pozostawiony sam sobie, otoczony ze wszech stron przez nieprzyjaciela, odcięty od pomocy i zapasów przez rząd, który uwielbiał — miał teraz przed sobą tylko jedną drogę — walczyć i poledz śmiercią żołnierza."

W piątek o godz. 11-tej rano Anglicy wysłali parlamentarza do Szulca z żądaniem bezwarunkowego poddania się. Szulc, mając na względzie życie swych żołnierzy, zażądał uznania oddziału za stronę walczącą i traktowania wszystkich, w razie złożenia broni, jako jeńców wojennych. Odpowiedziano mu, że mogą poddać się tylko jako buntownicy — na łaskę i niełaskę zwycięzców.

— "Nigdy! Wolimy zginąć z bronią w ręku!" — była odpowiedź Polaka.

Zgodził się jednak na jedno-godzinne zawieszenie broni, aby pozwolić Anglikom na uprzątnięcie trupów, które zaległy pole po czwartkowej walce.

Zapatrzony w wielkie wzory przodków, prawdziwy ten "wspaniałomyślny bohater" — jak go nazywa M'Leod — wysłał wówczas

Anglikom ich rannych, jakich miał u siebie w niewoli, z następującym listem:

"Do komendanta wojsk królowej w Prescott:—

"Posyłam Panu pańskich rannych, ponieważ nie mogę opatrzyć ich i dać im takiej opieki, jakiej potrzebują.

"W zamian za to proszę o dobre obchodzenie się z moimi rannymi.

"Jeżeli, pod słowem honoru, może mnie Pan zapewnić, że tutejsza ludność nie wita nas jako oswobodzicieli, od Pana zależy wstrzymać dalszy rozlew krwi."

List ten — iście klasyczny przykład polskiej rycerskości — nie znalazł względów w oczach dowódcy wojsk angielskich. Ufny w swą przewagę, nie chciał wchodzić w układy z partyzantami. — W oczach jego, jak i w oczach rządu kanadyjskiego i lojalistów, amerykańscy ochotnicy byli tylko "bandytami" granicznymi.

List Szulca dowodzi, że jeszcze wówczas łudził się nadzieją porwania swym występem mas kanadyjskich przeciw tyrańskiemu rządowi. O ile poświęcenie jego było niepożądanem, gotów był wycofać się z honorem.

Po krótkim rozejmie zagrały armaty angielskie na lądzie i rzece. Na wiatrak i sąsiednie zabudowania zaczął sypać się istny grad kul. Przez kilka godzin trwała nieustanna kanonada. Ochotnicy odpowiadali wrogom strzałem za strzał z ręcznej broni. Przykład Szulca, który ustawicznie zagrzewał ich do boju, działał cuda. Garstka ochotników, wycieńczona głodem, trudem pięciu dni i nocy, walczyła jak lwy. Sam Szulc zajął najniebezpieczniejsze stanowisko w domu na lewem swem skrzydle, który Anglicy atakowali najzawzięciej, gdyż stanowił kluczową pozycję. Tylko dziesięciu najodważniejszych towarzyszyło mu.

Dopiero o zmroku, kiedy wystrzelano ostatnie naboje, ochotnicy w jednej części zabudowań wywiesili białą flagę. Stało się to bez wiedzy dowódcy. Po nich poddali się inni. Szulc walczył ciągle, choć dach zawalił się już nad nim od strzałów angielskich. Dopiero kiedy otoczyły go zewsząd chmary Anglików, złożył broń ostatni.

Milicjanci z taką dzikością rzucili się na jeńców, że regularne wojsko angielskie musiało bronić ich życia. Ochotników bito bez litości, zdzierano z nich odzież i rabowano. Szczególnie przeciw Szulcowi zwracała się ich nienawiść. Milicjanci omal nie rozszarpali go żywcem. W furji swej zdarli z niego wszystko odzienie, tak, że został tylko w koszuli i spodniach. Ograbili go z zegarka, pieniędzy i wszystkiego co miał. Regularni żołnierze z trudnością wydarli go z rąk milicji i to dopiero pod groźbą użycia bagnetów.

Przez całą noc trzymano jeńców nieokrytych i głodnych, na placu boju. W sobotę rano zapędzono ich na okręt i odstawiono do Kingston. Tam zwycięzcy odbyli pochód tryumfalny przez miasto. Jeńców prowadzono parami, uwiązanych na jednym długim sznurze. Na ich czele kroczył "dzielny i nieśmiertelny" Szulc, z odkrytą

głową i w poszarpanej koszuli, spodniach i butach tylko — mimo chłodu listopadowego.

Jeńców odstawiono do Fortu Henry, blisko Kingston, gdzie wkrótce rozpoczął się sąd wojenny. Zachowanie się Szulca przed sędziami cechowała ta sama rycerskość, jak na polu walki. Wiedział, że nie może spodziewać się litości. Tej, zresztą, nie chciał. — Umiał iść na śmierć spokojnie i z godnością. Obrony więźnia podjął się młody prawnik, Jan A. Macdonald, który potem został premjerem Kanady i jednym z jej największych mężów stanu. Ale i wymowa Macdonalda nie zdała się na nic. Stan umysłów pod wpływem walki stronnictw był zbyt rozogniony. Szulc razem z kilkoma przywódcami bohaterskiego oddziału skazany został na śmierć.

Już po wyroku pisał z więzienia do swego przyjaciela, J. R. Parkera z Oswego, N. Y., jak podaje "Boston Weekly Messenger" z 2-go stycznia 1839:

"Fort Henry, 1-go grudnia 1838.

"Drogi Panie:—

"Pozwalam sobie zwrócić się do Pana z kilkoma słowami prośby, abyś publicznie ogłosił o grzecznem, ludzkiem obejściu się, jakiego doznaliśmy od oficerów i żołnierzy 83-go pułku (kanadyjskiego) tak, aby, jeśli kiedy któryś z członków tego oddziału będzie podróżował po Stanach Zjednoczonych — nasi przyjaciele tamtejsi okazali im naszą wdzięczność. Mogę słusznie powiedzieć, że zawdzięczamy im nasze życie, gdyby nie osłonili nas po naszem poddaniu się, milicjanci z pewnością byliby zabili większą część z nas. Szeryf, pod którego dozorem jesteśmy, obchodzi się z nami jak najlepiej i uczynił wszystko w swej mocy, aby polepszyć położenie, w jakie wtrąciło nas nędzne tchórzostwo generała Birge'a, Billa Johnstona i innych oficerów. — Gdyby nasze modlitwy zostały wysłuchane, rząd nasz wydałby tych podłych łotrów rządowi angielskiemu, a wtedy pogodzilibyśmy się z zupełną rezygnacją z naszym własnym losem..."

Trudno dziwić się goryczy Szulca. Któż poświęciwszy wszystko dla obcej sprawy, nie wzdrygnąłby się przed szubienicą, na którą zaprowadziła go małoduszność i tchórzostwo tych, którzy razem z nim przysięgali dzielić dolę i niedolę dla szczytnej idei wolności? Ratunek garści straceńców z Windmill Point był zupełnie łatwy w poniedziałek, a możliwy do piątku rano przy odrobinie odwagi, stanowczości i przedsiębiorczości ze strony ochotników, pozostałych na brzegu amerykańskim. Przymiotów tych brakło wodzom wyprawy na Prescott.

Szulc zresztą był już w głębi duszy pogodzony ze swym tragicznym losem. List powyższy, po opisaniu pokrótce całej bohaterskiej walki na Windmill Point, zakończył następującymi słowami:

"...Jestem nagi, choć jakaś poczciwa istota z Cape Vincent, gdzie nie znam nikogo, przysłała mi koszulę i parę skarpetek, z na-

zwiskiem mojem wyszytem na nich. Niech Bóg błogosławi temu, kto to zrobił. Proszę Pana, abyś mi przysłał nieco pieniędzy, abym mógł dać sobie zrobić surdut i kupić inne rzeczy.

"Jesteśmy sądzeni przez sąd wojenny. Ja miałem już rozprawę — jestem gotowy na śmierć.

"Pozostaję szczery,

S. Schultz"

Zaiste, list taki mógł wyjść z pióra tylko człowieka o bohaterskiej duszy. Człowiek słaby byłby zapełnił go skargami na własny los. Szulc tylko w jednem zdaniu potrącił o zdradę towarzyszy i dopiero w ostatnich słowach listu wspomniał o śmierci, która już rozciągała nad nim swe cienie.

Egzekucja nastąpiła prędko. Prawdopodobnie Szulc nie doczekał się już nawet odpowiedzi i pieniędzy od Parkera.

Śladem patrjotów kanadyjskich, którzy na szubienicach zapłacili życiem za swe dążenia do zrzucenia ciemięstwa gubernatorów i klik rządzących, poszedł i młody wódz polski, bohater największej z bitew kanadyjskiego powstania, który z drobną garścią przez pięć dni opierał się walecznie przewadze angielskiej.

"Von Schultz next came to grace the band, —
"An exiled son of Poland's land;
"Well trained to arms in days of yore —
"A military air he bore!" — pisze o nim pułkownik L. A. Norton, jeden z uczestników powstania, we wierszu pod tytułem "The Patriot's Dream", poświęconym pamięci głównych ofiar walki. (Life and Adventures of Col. L. A. Norton, Oakland, Cal. 1887).

W sobotę, dnia 8-go grudnia, 1838-go roku, wyprowadzono Szulca na miejsce stracenia. Zdaje się, że przedtem pogodził się z Bogiem, gdyż egzekucji jego towarzyszył katolicki kapłan. Przed śmiercią skazaniec zdobył się na jeszcze jeden szlachetny czyn. W testamencie wyznaczył pewną sumę ze swego majątku na odszkodowanie dla rodzin poległych po stronie angielskiej podczas walk w Prescott.

"Boston Weekly Messenger" z 2-go stycznia 1839 podaje następujący opis egzekucji wedle "The Kingston (Upper Canada) Spectator":—

"Polski oficer Szulc został stracony w zeszłą sobotę koło Fortu Henry. Powiedział on, że jest gotów na śmierć, ale nie podoba mu się sposób egzekucji. Wielu z jego rodziny walczyli przeciw tyranji i przelewali krew za wolność Polski i innych krajów Europy. Skarżył się, że go oszukano w sprawie patrjotów, gdyż stan rzeczy był inny, niż mu przedstawiono. W bitwie przy wiatraku oddział jego był oblęgany od strony lądu i rzeki przez duże siły. Ze strony amerykańskiej wysłano statek, aby zabrać oficerów, ale Szulc nie chciał opuścić swych ludzi.

"Kiedy ciało odcięto, złożono je na wózku i przewieziono odkryte do budynku sądowego. Tam włożono je do trumny z prostych niemalowanych desek i nie zdejmując odzieży, złożono je znowu na wóz. Pogrzebowi towarzyszyli ksiądz, kilku żołnierzy i p. Russel, kat."

Wedle M'Leoda, "Szulc zginął z męską stałością polskiego patrjoty, ostatniemi słowy przebaczając swym zabójcom."

Z członków oddziału Szulca kilku powieszono, niektórych wywieziono do Tasmanji, część zaś więziono dłuższy czas w Kanadzie, poczem, gdy skutkiem powstania nastały rządy lżejszej ręki, — uwolniono.

Egzekucja Szulca odbyła się w obrębie dawnego Fortu Henry w Kingston, ale niewiadomo, gdzie został pochowany. Miejsce jego grobu, o ile przedtem było znane, jest, w każdym razie, nieznane obecnemu pokoleniu Kanadyjczyków. Pan W. H. Craig, mayor miasta Kingston, Ont., pytany przezemnie w tej sprawie, odpowiedział listownie, że ani on nie wie, ani mimo starań, nie mógł od innych osób dowiedzieć się, gdzie spoczęły prochy Szulca.

Stary wiatrak pod Prescott, miejsce bohaterskiej jego walki, stoi do dziś nad rzeką św. Wawrzyńca i służy obecnie za latarnię wybrzeżną.

"Bitwa pod wiatrakiem" — The Battle of the Windmill — była największą bitwą wśród wypraw amerykańskich "strzelców" dla oswobodzenia Kanady. Jeżeli garstka ochotników, odcięta od świata, zdołała przez pięć dni stawiać opór tysiącom żołnierzy i lojalistów angielskich, zasługa to wyłącznie zdolności i odwagi Szulca.

"Stanowisko jego było technicznie naczółkiem mostowym i odparł on z dużemi stratami pierwsze próby wyrzucenia go stamtąd. Gdyby został należycie poparty z amerykańskiego brzegu rzeki i gdyby Kanadyjczycy byli rzeczywiście gotowi do masowego powstania, jak go zapewniano, historja Kanady byłaby poszła innemi torami" — pisze Archibald Mac Mechan, jeden z nowszych historyków kanadyjskich (The Winning of Popular Government, Chronicles of Canada, Toronto, 1916).

Ale i tak ofiara młodego życia Szulca nie poszła na marne. — Dawniejsi historycy powstań kanadyjskich objawiali względem amerykańskich "strzelców" nieusprawiedliwioną nienawiść. Nie mieli dla nich dobrego słowa nawet ci, którzy sprzyjali partji reformatorskiej. Nie ulega wątpliwości, że "Loże Strzeleckie" mogły przyciągnąć wiele awanturniczego żywiołu, wielu takich, którzy więcej dla przygód, niż z prawdziwego zamiłowania wolności łączyli się do wyprawy na Kanadę. Ale na ogół ruch ten miał w sobie szlachetne pobudki — dążył do obalenia resztek tyranji na lądzie amerykańskim. "Strzelcy" — pisze wspomniany A. Mac Mechan, "byli powszechnie nazywani 'rozbójnikami' i 'bandytami' przez angielskich oficerów regularnych, którzy walczyli z nimi i nazwy te, bez krytycznego zbadania, przyjęli historycy kanadyjscy; niesłusznie jednak. Strzelcy, choć oszukani, patrzyli na Kanadę tylko tak,

jak Anglicy patrzyli na Grecję, na Polskę, albo Włochy, walczące o wolność polityczną; uczucie to, choć źle skierowane, nie było stanowczo nieszlachetne."

Ale nawet najzagorzalsi szowiniści angielscy chylili czoła przed bohaterską postacią Polaka. Jennet Roy, w swej "The History of Canada" (Montreal, 1850), ogromnie lojalistycznej, pisze o Szulcu: "Walczył ze zręcznością i odwagą i zginął odważnie i bez skargi."

"Dzielny i bohaterski, choć oszukany i zdradzony" — charakteryzuje Szulca Charles Lindsay w bjografji Williama L. Mackenziego.

J. C. Dent, autor "The Story of the Upper Canadian Rebellion" który nieinaczej odzywa się o strzelcach, jak o szumowinach społecznych, składa następujący hołd pamięci Szulca: —"Był to dżentelman, stanowczo za dobry dla kompanji, w której znaleziono go i do której przyłączył się. Był człowiekiem dużego wykształcenia, o charakterze i postawie żołnierza i o wysokich aspiracjach, które przy sprzyjających okolicznościach, z pewnością zdobyłyby mu zaszczytną sławę. Nie mógł mieć małych lub jedynie samolubnych pobudek w przyłączeniu się do ochotników, gdyż posiadał znaczny majątek i nie miał w sobie nic z rozbójnika."

Pamiętnikarze powstań kanadyjskich, sprzyjający ich sprawie, złożyli jak najgorętszy hołd pamięci Szulca. E. A. Theller nazywa go "wzniosłym i rycerskim męczennikiem, który jak drugi Kościuszko padł i wolność jęknęła nad opadłem ciałem nowego bohatera Polski". M'Leod odzywa się o nim nie inaczej, jak tylko o "dzielnym Polaku" i "szlachetnym bohaterze". "Dzielny i szlachetny dowódca" nazywa go Robert Marsh, jeden z uczestników tych walk (Seven Years of My Life, Buffalo, 1848).

Niestety, jakżeż inaczej obeszli się współcześni rodacy z nieszczęśliwym bojownikiem wolności. Ledwo Szulc zginął na szubienicy, a w paryskiej "Kronice Emigracji Polskiej" (marzec, 1839) pojawił się list od "ziomków w Ameryce", datowany 16-go stycznia w Nowym Jorku, i pisany na adres pułkownika Szyrmy.

"Von Schultz, który był główno-komenderującym szpiegiem" — donosił jakiś anonimowy autor — "w najpierwszej potyczce został złapany i wkrótce powieszony. Dzięki Opatrzności, że dopuściła sprawiedliwości na tego, który chciał zrobić nieszczęśliwymi tysiące. Ogłosiłem w gazetach, że nie jest Polakiem, lecz emisarjuszem cara."

Zarzut tak ciężki mógł powstać jedynie pod wpływem ślepej a stronniczej zawiści. Emigracja z r. 1831-go nie uznawała nic świętego w swych walkach partyjnych. Dziś, po upływie blisko stulecia od męczeńskiej śmierci Szulca, zbytecznem jest zajmować się tem oszczerstwem. Szpiegowie carscy nie poświęcali zabiegów i życia dla sprawy wolności, nie umieli odważnie patrzeć śmierci w oczy.

Walka reformatorów kanadyjskich o swobody była słuszną sprawą. Mimo niezręczności przywódców, mimo złej organizacji, mimo nieogarnięcia szerokich mas, przyspieszyła nadanie prowincjom wolności. Dent pisze o skutkach powstania: "Nie można powiedzieć, by ruch ten nie był usprawiedliwionym. Ani też nie można powiedzieć, bez mijania się z prawdą, że cena zapłacona za dobrodziejstwa, jakie przyniósł, była nieproporcjonalnie wielka do tych dobrodziejstw... Opinja publiczna już dawno wymierzyła sprawiedliwość ludziom, którzy walczyli o korzyści angielskiej konstytucji dla Kanady. Każdy teraz przyznaje, że w długim sporze, jaki zakończył się zjednoczeniem prowincyj, reformatorzy mieli słuszność, a ich przeciwnicy byli w błędzie... Podstawowe korzyści wolnego rządu są już oddawna naszym udziałem. Prawdopodobnie mielibyśmy je obecnie i bez powstania, ale ojcowie nasi musieliby czekać na nie, a czekali już na nie długo. Ruch ten, choć słaby i dorywczy, przyspieszył nieuniknione zakończenie a dobrodziejstwa jego zostały w spuściźnie dla nas i dla naszych dzieci."

Kanada dzisiaj w pełni korzysta z tego tryumfu moralnego, jaki zawsze odnosi poświęcenie dla wysokich ideałów nad niską przemocą. Polak był jednym z tych, którzy zginęli dla jej szczęśliwszej przyszłości. Polak był jednym z tych, którzy pokonani fizycznie, duchem swym obalili resztki tyranji angielskiej na tej półkuli i wyrwali nowy szmat ziemi z cieniów niewoli na słońce swobody.

Szulc zginął, ale zginął jak prawdziwy bohater. Kto taką śmiercią ginie, ten nie umiera wszystek.

DODATEK DO SZKICU "AMERYKA A POWSTANIE LISTOPADOWE".

REZOLUCJA RADY ALDERMANÓW NOWEGO JORKU Z DNIA 23 MAJA 1831

(Z "Buffalo Journal and Gen. Advertiser", 1 czerwca 1831).

Whereas, the brave defence of their rights lately exhibited by the citizens of Warsaw and the Polish Army has created in every free and liberal man sentiments of the warmest admiration,

Be it resolved, that the congratulations of this city be presented to the city of Warsaw and the heroic army which defended it — assuring them that our wishes for their final success are most warm and sincere; that we have not forgotten that the noble Pulaski lost his life for us in our struggle for liberty, and that the illustrious Kościuszko found among us a temporary asylum from the oppression of Poland.

WYJĄTEK Z REZOLUCJI TOW. MŁODZIEŻY W BOSTONIE

(z "New York Whig", 21 czerwca 1831).

Resolved... that we consider the domination extended by Russia over Poland, alike in its origin and its continuance, a flagitious violation of natural and national law, unparalled in the history of modern times.

Resolved, that we cordially cherish the remembrance of the Revolutionary services of the Sons of Poland in our behalf; and that, together with this sentiment, we regard the recent struggles and the present situation of the Poles, as demanding an expression of our sympathy with their sufferings—our approbation of the principles for which they contend—and, whatever may be or may have been the issue, our admiration of their magnanimous defence of their liberties...

WYJĄTEK Z REZOLUCJI OBYWATELI AMERYKAŃSKICH W PARYŻU 9 LIPCA, 1831.

(Z "New York Whig", 3 września 1831).

Resolved, that we sympathize with the Polish nation in their sufferings, and that we admire their heroic courage, and constancy with which they maintain their natural and sacred rights against the vast power of their enemies.

ODEZWA OBYWATELI AMERYKAŃSKICH W PARYŻU DO NARODU AMERYKAŃSKIEGO

(Pióra J. F. Coopera. Z Buffalo Journal and Gen. Advertiser, 7 września, 1831).

Your countrymen at Paris venture to address you in behalf of the ancient republic of Poland. Their position, comparatively near the scene of a disastrous war, their means, intelligence, and a desire to be useful, form their chief title to your attention;—as they come, however, the advocates of humanity, they forget the smallness of their number, and urge their requests with the confidence of men familiar with your philanthropy.

The necessity of order and of defence has given birth to nations. In the course of ages, Families swell into communities, and from the intimate relations of origin, languages and usages, are derived the feelings and interests which bind a people together. Next to the tie of blood, that which unites man to his country is the strongest. The sentiment of patriotism is among the purest that adorns human nature, and experience has shown that it cannot be destroyed without bringing with its loss a moral debasement that disqualifies its subjects for all aspiring and noble enterprises. In every case in which distinctive character and habits have been formed by social organization, national existence seems nearly necessary to national virtue. Conquest falls upon a people like a blight, checking the currents of its generous ambition, and withering its hopes for ages. We cannot find an extensive territory which has been brought, by violence, from the high condition of a State, to the dependent lot of a Province, which does not furnish manifest proofs of its bad administration. The restrains that are necessary to secure an ill-gained ascendency, and the impositions which the weak sustain from the strong, are among the more obvious evils of the calamity. To these must be added, the downward tendencies of defeat, personal humiliation, and personal corruption, with their train of depressing consequences. Such a fate, befalling the smallest community, would be entitled to—and we are certain would awaken—your pity; but when Poland was overcome, the fifth power in Christendom was trodden upon.—There are circumstances of unmitigated wrong, of peculiar aggravation, that must be added to the picture. The crime of Poland was too much liberty; her independent existence, in the vicinity of those who had reared their thrones on arbitrary will, was not to be endured. Fellow-citizens, neither the ancient institutions nor the ancient practices of Poland have been understood. The former had in common with all Europe, the inherited defects of feudal practices, but still were they among the freest of this hemisphere. The latter, as ever have been, and as ever will be the case, until man shall generally enter into the possession of these rights of which he has so long been deprived by political combinations and lettered monopolies, were calumniated and distorted to serve the ends of the few who desire to live on the toil of the many. Poland was accused of faction and anarchy. The free transmit their errours and their virtues to posteriority, as the companions of their greatness, while the sluggish vices of the slave sleep in the eternity of the

obscure. We hear of the factions of the Greek republics, while we search in vain for even the names of most of their contemporary despotisms. But we need not examine the annals of antiquity in order to estimate the value of these calumnies, or to investigate their motive. People of America! You too are accused of living in the midst of anarchy and lawless confusion—you are said to be tired of liberty—you are reviled as forgetting God,—you are quoted as pining for a monarchy! What you know to be false, as respects yourselves, was, with the exceptions incidental to the differences in the ages and the governments, also false in respect to Poland. With the liberty of Poland fell the sovereignty of the State itself.—Nor was this all; allegiance was not only transferred, but it was divided. Pole can be summoned, at the word of his master, to contend with Pole, and in this very war of existence, all the deep sentiments connected with the past are liable to be violated to uphold the detested and pernicious sway of strangers.

There was wanting but a single aggravating circumstance to render the partition of the fine country more odious, and, unhappily, this too is to be enumerated among its sufferings. When Poland was subdued, by far the larger portion of her territory became subject to a people less advanced in civilization than her own citizens.—She was, thus, excluded from the only solace of defeat, and was doomed to witness the gradual decay of those arts and opinions which form the basis of national prosperity.

Against the injustice of their lot, and the farther accumulation of their manifold wrongs, the Poles have arisen before God and man. They have proclaimed their sufferings; they have asserted their rights; and nobly have they staked every wordly interest on the issue. Under the most adverse and disheartening circumstances, they have shown themselves worthy of their high descent. Cut off from the sea—environed by a specious neutrality—and deserted by all but their courage, and the sacred justice of their cause, they have elevated the struggle from an insurrection to a war. We make no appeal in the spirit of propagandism; Warsaw, the government of the country, and all the essential immunities of sovereign power are already regained; and before Russia can ever again rule in Poland, Russia must again conquer Poland.

The constancy with which this heroic nation has clung to its recollections, its martial promptitude in rising in its own defence, and its entire frankness and dignity, since it has resumed the sword, excite our esteem. The Kingdom is a camp; its men are in the field, its women in the hospitals. While, in his own cause, neither person nor means are withheld from the public necessities, the Pole disdains deception; he sees the danger, he proclaims it, and he meets it as becomes the Pole.

People of America! Of all the nations of the earth you are most favoured. You dread no enemies; you anticipate no famines; you hold at command every bounty which a beneficent Providence has lavished upon man. The selfdenial and hardship of your ancestors are requited to their descendants in a ten-fold return of peace, security and happiness. To you, then, do we apply, to contribute from your abundance to the urgent

wants of this wronged nation. Remote from the scenes of this hemisphere, you are not familliar with the great advantages you possess, nor with the moral power you wield.—The religious emancipation of millions has quite recently been effected, more by a strong exhibition of your feelings, than from any other cause. Your great example is silently wearing away the foundations of despotism. That moral ascendancy, of which others boast, you exercise, and exercise only because you are the true repositories of the persecuted rights of human nature. Be not, then, unworthy of your trust, by coldly withholding yourselves from an exhibition of your real sentiments. Remember, that not a freeman fails, in the most remote quarter of the world, that you do not loose a brother who is enlisted in your own noble enterprise. Your gold will assuage many griefs, heal many wounds, purchase much relief from suffering and sorrow; but your sympathy will be dearer than all. Let it not be said, that while cold and heartless traffickers in human rights are combining their means to overhelm twenty millions of men, struggling and worthy to be free, that thirteen millions, animated by the same qualities, looked coldly on, because an ocean lay between them. But for this ocean, you too would be assailed, that another pernicious example may be destroyed. Thousands of bleeding hearts look to the success of this appeal less in the wish to benefit by your liberality, than in the noble hope of being cheered in success by your acclamations, or solaced by your sympathies in defeat.

We have put the case of Poland simply before you. Her cause is so obviously just, as to require no aid from the embellishments of language, or to need any laboured appeal to your charities. We do not conceal from ourselves the delicate relations which exists between our own country and Russia. We do not deny, on the contrary, we have pleasure in publishing, that Russia, by her wisdom, foresight and liberality, has established lasting claims on the friendship and esteem of America. There are numerous interests to keep them friends; there are some which might easily render them allies. We do not accuse Nicholas of tyranny, for we know he is the subject of circumstances, of which Poland is unhappily the victim. As our philanthropy is not quickened by national interests, or national dread, we can do justice equal to the assailant and the assailed.—In this exemption from personal accusation, we have pleasure in including the two mild princes, who, in common with the Czar, have been the inheritors of a false system entailed by former reigns. While we revolt at heaping injuries on others, who may find themselves enthralled by opinions different from our own, we bow to the majesty of truth. The wrong exists, and we should be false to our origin, our principles, and that mild religion in which we are nurtured, could we hesitate between Poland and her enemies.

To our gentle Countrywomen we confidently apply in behalf of the suffering. They are the companions of men taught to consider force as a subject to reason. The blessings they themselves so eminently enjoy, can never become general, until the power of the strong shall every where be taught to yield to the persuasion of the good. We appeal to them for succour to the fatherless and the heart broken; we ask for their countenance to encourage the desponding, and to confirm the bold. We call upon them

to appear as charitable mediators in this holy cause, and to take the lead in doing good with the fearless generosity with which their sex is instinct, whenever the principle of right is invaded by the wantonness of force.

Come then, people of America, to the relief of this much injured and gallant people. Your aid will be offered to those who are willing to sacrifice all for Liberty; to those who are willing to work out their own redemption; who have already shown themselves worthy of their ancient fame in twenty fields, and who will never yield until resistance shall have been carried to extremity.

(Signed) J. Fenimore Cooper, Chairman.

J. A.Washington, Secretary.

Amerykanie, którzy dnia 9 lipca 1831 r. podpisali w Paryżu pierwszą amerykańską odezwę o pomoc dla Polski i złożyli pierwsze ofiary na rzecz powstania listopadowego: (Wedle "United States Telegraph", Washington, D. C., z 9-go września, 1831).

Jos. Bryan,
C. W. Pennock,
W. N. Johnson,
J. P. Gilbert,
J. A. Washington,
Tho. Wilson,
L. De Baillou,
W. Selden,
J. C. Paul,
Mrs. Dewar,
M. S. —
E. Hallowell,
Tho. Law
Isaac Ward
Tho. Ward
F. Marx,
M. N. —
M. B. —
C. F. Johnson
J. Fenimore Cooper
M. R. —
Mrs. Kock
H. Lane,
S. B. Denison,
J. Jackson,
J. L. Stackpole
G. Thomas,
R. R. Dorsey
W. C. C. Claibourne,
W. T. S. —
— Harmesley,
T. G. Clemsen,
J. W. Paul,
W. Hood,
J. P. Smith,
W. Clement,
W. Ashmead
A. Beaumont
H. O. Apthorp
G. B. Osborn
S. L. Shelton
D. Cutter
F. H. Williams
James Bowen
M. S. Williams
G. Cook
J. Holwand
Julius Pringle
Geo. Douglass
G. Frick
W. C. Monifedt
Henry Brevoort
E. Poncet
Mrs. Stokes
N. Obrie
J. F. Canonge
E. Halowell
— Girod
C. S. Lacoste
J. Musson
J. P. Schermerhorn
N. C. Barrabino
— O'Mealy
W. J. Dorance
P. H. Bird
M. C. King
M. P. David
B. Cononge
W. C. Claiburne
F. Waldo
W. B. Draper
E. S. Gould
G. S. Richard
S. Draper, jr.
H. Edwards
E. Laracque
H. A. Rose
D. Low
N. Berry, jr.
B. Curtis
B. Wainwright
J. J. Ridgway
J. Lawrence
J. W. Bryan
D. B. Warden
J. A. Washington
E. W. —
W. G. H. —
Thos. L. Cook
A. Stewart
R. Prudau
A. M. Nathan
L. Hermann
R. Emerson
— Delacroix
S. Stoddard
S. Lowering
H. Thorn
P. S. Bryan
G. W. Green
G. B. Browne
C. Willing
J. Peace
J. C. McIntosh
E. H. Kelly
J. P. Delalande
Chauncey Bulkley
G. Smith
G. Buck
J. Charruaud
F. F. Dorr
J. W. Storrow, jr.
H. Lee
W. J. Todd
C. M. Baxter.

WYJĄTEK Z REZOLUCJI WIECU W NOWYM JORKU 5 września 1831

(Z "New York Whig", 9 września 1831)

Resolved, that we view with admiration the heroic sacrifices and exertions, now making by the people of Poland, and that the gallant aid rendered to our fathers in our own war for Independence by brave men of that nation gives them peculiar claims to our sympathy, and to such aid as it is lawful and patriotic for us to yield...

ODEZWA KOMITETU POMOCY POLAKOM W NOWYM JORKU Z 5 WRZEŚNIA 1831

(Z "New York Whig", 9 września 1831)

FELLOW CITIZENS: — At the moment when, in obedience to the patriotic Resolutions of a portion of our Citizens, the Committee appointed for the purpose were about to urge on your attention the claims of a great people, who have determined to be free, or perish from among the Nations of the earth, the voice of our contrymen from beyond the Atlantic has called upon you in terms that we need only to echo, and invokes you by considerations irresistible in their force, whether appealing to your judgments or to your feelings as American citizens.

To this call each American bosom will respond. In asserting the sacred rights for which our fathers fought, of the just and wise protection of which the institutions founded by them furnish the only perfect exemplar,—the Poles are now in a crisis and agony, from which they must come forth freemen, or in which they must expire. And ours is the Delphus from which they will catch the holy fire, that is to reillumine their broken hearths, and burn in its puty on their now desecrated altars. We now know that the assistance we can render, may be efficiently useful, and it is all important that it should be forthwith yielded. Honor, patriotism, religion, forbid us to withhold it. Should we look coolly upon the exigency until it is too late it would be a stain upon our National character, and our land would be unworthy of its heroes. Our history would reproach our degeneracy. The Monument which gratitude has consecrated to Pulaski, who fell in planting our standards on the ramparts of Savannah, and the Memorial on the height of West Point which reminds our chivalrous youths that their academic soil has been hallowed by the footsteps of Kościuszko, would awaken a blush on every generous cheek, as they called up the glorious association of the past, in contrast with the ignominious apathy of the present. The opposers of civil liberty in Europe would sneer at the hollowness of our pretentions; and it would no longer be a passport to respect among the nations, to exclaim: "I am an American Citizen".

FELLOW CITIZENS:—We will add no useless words to the glowing appeal of our friends and brethren who are near the scene of the great struggle which excites all our sympathies.—The first principle you are taught, nay, which is born with you, is that rebellion against tyrants is obedience to God.

Wherever man resists injustice and demands his rights, your hearts and prayers are with him. With no violation of the faith of treaties, you may now, at this urgent moment, lend your moral countenance to a brave people, whose national existence is in peril, and you may aid them with your wealth. The citizen of the two worlds, your own La Fayette, offers himself to be the herald of your sympathies, and the distributer of your freewill offering. As the great apostle of liberty in the old world, — it will be one of the crowning triumphs of a long life devoted to its service, that his honored hands conveyed to their intended destination the testimonies of your philanthropy. The arm of the warrior will be nerved anew, and for your sakes he will "give a deadlier blow". The eye of the matron while engaged in the sad but sacred duty of binding up the wouds of her soldier son, will brighten with joy when she beholds the succour you have afforded. And if, which may heaven grant, the hopes of the Poles shall be accomplished, and free Sarmatia, the land of Copernicus, Sobieski, and Kościuszko, clothed with sovereignty and independence, shall assert her rank among nations, you may add another leaf to your history, and bequeath another boast to your prosperity.

The emergency admits of no delay. While we express our sympathies inefectually, brave men bleed and die, and their families suffer all the horrors of war, want and pestilence.—You will not allow the golden moment to escape.

KONIEC.

Spis Rzeczy

Strona

1. Polacy w Nowej Holandji i Nowej Szwecji 3
2. William Penn i kwakrzy w Gdańsku 35
3. Piotr Stadnicki, pionier dobrobytu amerykańskiego 43
4. Sadowscy, pionierowie Ohio i Kentucky 57
5. Gen. Karol Lee, adjutant króla Stanisława Augusta 73
6. Kilka dokumentów o K. Pułaskim 95
7. Kościuszko i Dawid Humphreys 105
8. Jak Kościuszko chciał ratować dobrą sławę amerykańsk. bohatera 117
9. Wspomnienie Amerykanki o Kościuszce 129
10. Amerykanin zdrajcą Polski. (Szkic o Ludwiku Littlepage'u.) 137
11. Poeta amerykański, który zmarł na ziemi polskiej 169
12. Ameryka a powstanie listopadowe 185
13. Dr. Paweł Fitzsimmons Eve, uczestnik powstania listopadowego 217
14. S. B. Morse, wynalazca telegrafu, przyjaciel Polski 223
15. "Poland est a bas!" (Powstanie listopadowe w listach W. N. Parkera 235
16. Powstanie listopadowe w poezji amerykańskiej 247
17. "Za naszą wolność i waszą." (O pułk. Szulcu, męczenniku za wolność Kanady) 287

Dodatek 308

ZASADY I CELE
UNJI POLSKIEJ

w Stanach Zjedn. Półn. Am.

Założonej w roku 1890.

Bóg i Ojczyzna, oto hasło i wytycznie założyciela dzisiaj potężnej organizacji, śp. Najprz. Ks. Prałata Dominika Majera.

Unja Polska jest organizacją ubezpieczeniową. Posiada ona 3 rodzaje ubezpieczenia: (1) Opłacane ubezpieczenie przez całe życie; (2) Opłacane ubezpieczenie na 20 lat i (3) Opłacane ubezpieczenie w 20 latach. Ubezpieczenie życiowe dochodzi do sumy $2,000.00, a oprócz tego wspomaga ona swych członków w kalectwie, w chorobach nieuleczalnych i w starości.

Unja Polska posiada oddział młodzieży, w którym ubezpiecza dzieci w wieku od 3 miesięcy do 16 roku życia, poczem przechodzą one do wydziału starszych. Młodzież swą otacza ona szczególną opieką, a setkom ubogich lecz zdolnych uczni i uczennic udziela stypendjów, dopomagając im do zdobycia wyższych stanowisk społecznych.

Unja Polska posiada miljonowe kapitały. Interesy jej prowadzone są wzorowo, umiejętnie i uczciwie. Kapitały swe wypożycza ona członkom, na budowę kościołów i szkół parafjalnych. Wspomaga ona hojnie sierocińce i instytucje polskie i nie odmawia nigdy ofiar na cele narodowe i potrzeby Ojczyzny.

Unja Polska jest inkorporowaną na prawach stanu Pennsylvania i jest organizacją ABSOLUTNIE pewną, pod ścisłą kontrolą rządu. Wypłaca pośmiertne natychmiast bez zwłoki, co mogą poświadczyć tysiące wdów i sierót po ubezpieczonych zmarłych członkach UNJI POLSKIEJ.

Po wszelkie informacje odnośnie do założenia nowej Grupy w każdej miejscowości uprasza się pisać do:

BIURA SEKRETARZA JENERALNEGO

S. W. WARAKOMSKIEGO

911-917 Miners Bank Bldg. Wilkes-Barre, Pa.

"W Kobiecie Polskiej Przyszłość Narodu Polskiego"

Piękne i prawdziwe te słowa wyryte zostały na kamieniu węgielnym Domu Związku Polek w Chicago.

Nie w kim innym, tylko w kobiecie polskiej leży przyszłość Wychodźtwa poskiego w Ameryce.

Skoro zaś tak wielkie zadanie spoczywa na Polce-Amerykance, czyż może ona stać na uboczu w tych czasach, które są wiekiem organizacji?

Tylko silni, tylko zjednoczeni wygrywają w walce życiowej. Kobieta polska, ta strażniczka i kierowniczka rodziny polskiej, musi też jednoczyć się do wspólnej walki o wspólne ideały.

Organizacją Polek-Amerykanek jest:

Związek Polek w Ameryce

Związek Polek w Ameryce nietylko zabezpiecza rodziny polskie na wypadek nieszczęść i pomaga członkiniom materjalnie, ale też rzetelnie pracuje dla moralnego dobrobytu Wychodźtwa.

Tak jak miejsce matek-Polek jest w Grupach dorosłych, tak miejsce dziewcząt polskich w Ameryce jest w Wiankach Związku Polek.

Matki polskie, wstępujcie do Grup Związku Polek w Ameryce i zapisujcie swe córki do Wianków.

Związek Polek w Ameryce

1309-15 N. Ashland Ave. **Chicago, Illinois**

EMILJA NAPIERALSKA, Prezeska.

JOANNA ANDRZEJEWSKA
Kasjerka.

WIKTORJA M. LATWIS,
Gen. Sekr.

Historja Udziału Polaków
w Amerykańskiej Wojnie Domowej

NAPISAŁ MIECZYSŁAW HAIMAN

Podaje bardzo wiele nieznanych szczegółów o dawnej imigracji polskiej w Stanach Zj. i jej zasługach w wielkiej wojnie o oswobodzenie murzynów. Kto chce poznać przeszłość Polaków w Ameryce, nie obejdzie się bez tej książki.

Spis rozdziałów: 1) Tło wojny domowej i stanowisko Polaków wobec kwestji murzyńskiej. — 2) Krótki zarys historji wojny. — Jak Polakowi przedstawiała się organizacja armji unijnej. — 3) Rzut oka na Wychodźtwo Polskie w St. Zj. podczas wojny domowej. — Polacy w pułkach unijnych. — Polacy pierwszymi ofiarami wojny. — 4) Gen. Włodzimierz Krzyżanowski i jego Legjon Polski. — 5) Gen. Józef Karge.— 6) Kap. Ludwik Żychliński i jego "Przygody Wielkopolanina". 7) Inni Polacy, którzy odznaczyli się w armji unijnej. — 8) Gen. Kasper Tochman i konfederacka Brygada Polska. — 9) Pułk. Wincenty Sulakowski i plany Legji Polskiej w Konfederacji. — 10) Podpułk. Hipolit Oladowski i inni wybitni Polacy w Konfederacji. — 11) Nastroje polsko-amerykańskie w okresie wojny domowej. — 13) Spis Polaków-oficerów z armji unijnej. — 14) Spis Polaków żołnierzy z armji unijnej. — 14) Spis Polaków z armji konfederackiej.

CENA $1.10 Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ

Do nabycia u autora: M. HAIMAN,
1331 Augusta Blvd., — Chicago, Ill.

TEGOŻ AUTORA WYSZŁY:

Z Przeszłości Polskiej w Ameryce, zbiór 18 szkiców o dawnej imigracji polskiej w Stanach Zj. (wyczerpane).

Wygnańcy Polscy w Illinois, odczyt pani E. C. Rawlings, przetłumaczony przez M. Haimana. Cena 25c. z przesyłką. —

Do nabycia w DZIENNIKU ZJEDNOCZENIA
1331 Augusta Blvd., Chicago, Ill.

W Szeregi

ZJEDNOCZENIA P. R. K.

Wszyscy Polacy Katolicy Na Wychodźtwie

JEST TO SOLIDNA, PEWNA, PATRJOTYCZNA KATOLICKA ORGANIZACJA

ZJEDNOCZENIE P. R. K. nie popiera ani niezależnych, ani masonów, ani socjalistów, ani wywrotowców.

ZJEDNOCZENIE P. R. K. popiera szkoły polskie katolickie, parafje polskie katolickie, instytucje dobroczynne polskie katolickie.

ZJEDNOCZENIE P. R. K. prowadzi swoich członków po drodze polsko - katolickiej na Wychodźtwie.

Kto należy do Zjednoczenia P. R. K., może być pewny, że należy do organizacji pięknej, szlachetnej, dającej pomoc wdowom, kalekom, chorym, kształcącym się. Niech każdy Polak katolik należy do Zjednoczenia P.R.K.

Niech każde dziecko polskie katolickie należy do oddziału małoletnich w Zjednoczeniu P. R. K.

Prosimy o zakładanie nowych towarzystw i nowych oddziałów przy Zjednocz. P.R.K. Każdy może założyć nowe towarzystwo lub oddział. A jeżeli nie wie jak, niech napisze zaraz do Zarządu Głównego, adresując:

ZJEDNOCZENIE P. R. K.

984 MILWAUKEE AVENUE, CHICAGO, ILL.